

DESMOND BAGLEY

ODWET



Leżała na łóżku w niedbalej pozie, nieświadoma już obecności rosnących mężczyzn wypełniających pokój, którzy sprawiali, że wydawał się on jeszcze mniejszy niż był w rzeczywistości. Uleciało z niej życie, a słusznego wzrostu panowie przyjechali stwierdzić, dlaczego tak się stało - nie z czystej ciekawości, lecz z przyczyn zawodowych. Byli bowiem policjantami.

Detektyw - inspektor Stephens nie zwracał uwagi na ciało. Rzucił na nie tylko okiem, a potem zainteresował się pokojem, zauważając tanie, zdezelowane meble i wytarty dywan, który był zbyt mały, aby ukryć zakurzone deski. Brakowało szafy, a rzeczy dziewczyny leżały bezładnie porozrzucane, niektóre na oparciu krzesła, inne na podłodze obok łóżka. Ona sama była naga jak opustoszała muszla. Martwe ciało nie budziło pożądania.

Stephens wziął z krzesła sweter i zauważył ze zdziwieniem, jak bardzo jest miękki.

Spojrząwszy na metkę z nazwą firmy zmarszczył brwi, a potem podał go sierżantowi Ipsleyowi.

- Było ją stać na dobre rzeczy. Co z ustaleniem tożsamości?

- Betts rozmawia z właścicielką domu.

Stephens wiedział, ile to warte. Mieszkańcy jego rewiru niechętnie rozmawiali z policją.

- Niewiele mu to da. Dostanie tylko jakieś nazwisko i to zapewne fałszywe. Widział pan strzykawkę?

- Trudno było nie zauważyć, sir. Myśli pan, że to narkotyki?

- Możliwe. - Stephens odwrócił się w stronę komody z jasnego surowego drewna i pociągnął za jedną z gałek. Szuflada otworzyła się na szerokość cala, a potem zacięła się. Uderzył w nią kantem dłoni. - Czy zjawił się już policyjny lekarz?

- Pójdę się dowiedzieć, sir.

- Nie ma problemu. Przyjdzie we właściwym czasie. - Stephens odwrócił głowę w stronę łóżka. - Poza tym jej się tak bardzo nie śpieszy. - Szarpnął szufladę, która znów się zacięła.

- Co za cholera!

Umundurowany policjant pojawił się w drzwiach, zamykając je za sobą.

- Nazywała się Hellier, sir. June Hellier. Mieszkała tu od tygodnia. Przyjechała w zeszłą środę. Stephens wyprostował się.

- To niewiele nam daje, Betts. Widział pan ją już kiedyś na swoim terenie?

Betts spojrzał w stronę łóżka i pokręcił głową.

- Nie, sir.

- Czy właścicielka domu знаła ją wcześniej?

- Nie, sir. Przyszła z ulicy i poprosiła o pokój. Zapłaciła z góry.

- Inaczej by go nie dostała - stwierdził Ipsley. - Znam tę starą jędzę - nie za darmo, a za sześć pensów niewiele.

- Czy miała jakichś przyjaciół, znajomych? - zapytał Stephens. - Rozmawiała z kimś?

- Nic mi o tym nie wiadomo, sir. Wygląda na to, że większość czasu spędzała w pokoju.

Niski mężczyzna z zaokrąglonym brzuszkiem wcisnął się między nich. Podeszedł do łóżka i położył torbę.

- Przepraszam za spóźnienie, Joe. Te cholerne korki są coraz gorsze.

- W porządku, doktorze. - Stephens zwrócił się ponownie do Bettsa: - Niech pan tu jeszcze powęszy i spróbuje się czegoś dowiedzieć. - Podeszedł do doktora, stojącego w nogach łóżka i spojrzał z góry na ciało dziewczyny. - Chodzi, jak zwykle, o czas i przyczynę zgonu.

Doktor Pomray zmierzył go wzrokiem.

- Podejrzewa pan coś? Stephens wzruszył ramionami.

- Na razie nic nie wiem. - Wskazał na strzykawkę i szklankę, które leżały na nocnej szafce z bambusa. - To mogły być narkotyki. Może przedawkowała.

Pomray pochylił się nad szklanką i ostrożnie ją powąchał. Na dnie widać było cieniutką warstwę wilgoci. Już miał ją dotknąć, gdy Stephens powiedział:

- Proszę tego nie robić, doktorze. Chciałbym, żeby najpierw sprawdzono odciski.
- To nie ma większego znaczenia - odparł Pomray. - Jasne, że była narkomanką. Niech pan spojrzy na jej uda. Chciałem tylko sprawdzić, czym się truła.
Stephens zauważył już wcześniej ślady ukłuc i wyciągnął własne wnioski, stwierdził jednak:
- Może miała cukrzycę.
Pomray zdecydowanie pokręcił głową.
- Są ślady zakrzepu żylnego i zakażenia skóry. Żaden lekarz nie dopuściłby do tego u pacjenta z cukrzycą. - Pochylił się i ucisnął jej skórę. - Są też początki żółtaczk. Oznacza to uszkodzenia wątroby. Powiedziałbym, że to narkomania i typowa beztroska w obchodzeniu się z igłą. Ale dopiero po sekcji będziemy mieć pewność.
- W porządku, zostawiam to panu. - Stephens odwrócił się do Ipsleya i powiedział jakby od niechcenia: - Może pan otworzyć tę szufladę, sierzancie?
- Jeszcze jedno - dorzucił Pomray. - Przy swoim wzroście ma sporą niedowagę. To kolejny dowód. - Wskazał na popielniczkę zasypaną niedopałkami papierosów. - I bardzo dużo paliła.
Stephens zobaczył, jak Ipsley delikatnie ująwszy kciukiem i wskazującym palcem gałkę komody, bez trudu otwiera szufladę. Odwrócił wzrok od jego twarzy, na której malował się wyraz triumfu i stwierdził:
- Ja też dużo palę, doktorze. To niewiele oznacza. - Pasuje do klinicznego obrazu - przekonywał Pomray.
Stephens skinął głową. - Chciałbym wiedzieć, czy zmarła na tym łóżku.
Pomray wydawał się zaskoczony.
- Ma pan powody przypuszczać, że było inaczej? Stephens lekko się uśmiechnął.
- Bynajmniej. Po prostu jestem ostrożny.
- Zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć - stwierdził Pomray.

* * *

W szufladzie znaleźli niewiele: torebkę, trzy pończochy, parę wymagających uprania majtek, pęk kluczy, szminkę, pas do pończoch i strzykawkę ze złamaną igłą. Stephens odkręcił szminkę i zajrzał do środka. Była zupełnie zużyta, a ślady wskazywały na to, że dziewczyna próbowała wykorzystać ją do końca, co potwierdziło odnalezienie w szczelinie szuflady starej zapalki z zabarwionym na czerwono końcem. Stephens specjalizujący się w interpretowaniu takich szczegółów, wywnioskował, że June Hellier była w finansowych tarapatkach.

Majtki miały z przodu dwie czerwonobrazowe plamy. W podobny sposób zaplamiona była górna część jednej z pończoch. Wyglądało to na zaschniętą krew i było zapewne efektem zrobionego nieumiejętnie zastrzyku w udo. Na metalowym kółku znajdowały się trzy klucze, w tym jeden od stacyjki samochodu. Stephens zwrócił się do Ipsleya:

- Niech pan pójdzie sprawdzić, czy dziewczyna miała samochód.

Drugi klucz pasował do luksusowej i wytwornej walizki, którą znalazł w kącie; zajrzał do środka - była pusta. Stephens chciał kiedyś kupić podobną w prezencie dla żony, ale zrezygnował z powodu ceny.

Trzeciego klucza nie potrafił do niczego dopasować, zajął się więc torebką, zrobioną z miękkiej skóry. Zamierzał ją właśnie otworzyć, gdy wrócił Ipsley.

- Nie ma samochodu, sir.

- Doprawdy? - Stephens zacisnął wargi. Otworzył zatrzask torebki i - zajrzał do jej wnętrza. Papiery, bibułki, jeszcze jedna doszczętnie zużyta szminka, trzy szylingi i cztery pensy w drobnych, żadnych banknotów.

- Proszę uważnie posłuchać, sierzancie - powiedział. - Przyzwoita torebka, przyzwoita walizka, kluczyki do stacyjki, ale bez wozu, przyzwoite ciuchy, z wyjątkiem pończoch, które są tanie, w szufladzie szminka w złotej oprawie, w torebce szminka od Woolwortha - obie zużyte. Co pan o tym wszystkim myśli?

- Musiała zbiednieć, sir.

Stephens skinął głową, trącając wskazującym palcem kilka monet. Nagle zapytał:

- Może mi pan powiedzieć, doktorze, czy ona była dziewczicą?

- Nie była, już to sprawdziłem - odparł Pomray.

- Może żyła na kredyt - podsunął Ipsley.

- Możliwe - stwierdził Stephens. - Dowiemy się, jeśli będzie trzeba.

Pomray wyprostował się.

- Na pewno zmarła na tym łóżku. Są na to dowody. Więcej nic tu nie zdziałam. Można gdzieś umyć ręce?

- Na końcu korytarza jest łazienka - odparł Ipsley. - Ale niezbyt tam czysto.

Stephens porządkował niewielki plik papierów.

- Jaki był powód zgonu, doktorze?

- Powiedziałbym, że przedawkowanie narkotyku, ale dopiero sekcja wykaże, co to było.

- Przypadkowe czy celowe? - zapytał Stephens.

- Z tym też trzeba poczekać do sekcji - odparł Pomray. - Jeżeli przedawkowanie było naprawdę spore, można właściwie mieć pewność, że to nie przypadek. Narkoman z reguły wie dokładnie, ile ma wziąć. Jeśli przedawkowała tylko trochę, mogło się to stać przypadkowo.

- A więc jeżeli to nie przypadek, mamy do wyboru samobójstwo albo morderstwo - stwierdził z zadumą Stephens.

- Myślę, że morderstwo może pan śmiało wykluczyć - stwierdził Pomray. - Narkomani nie lubią, żeby inni wbijali im igły. - Wzruszył ramionami. - Ale wskaźnik samobójstw jest wysoki wśród tych, którzy są już na dnie.

Stephens mruknął cicho, natrafiając na wizytówkę jakiegoś lekarza. Jego nazwisko wydało mu się dziwnie znajome.

- Co pan wie o doktorze Nicholasie Warrenie? Czy to specjalista od narkotyków?

Pomray przytaknął.

- A więc była jedną z jego dziewczyn, tak? - zapytał z zainteresowaniem. - Co to za lekarz? Ma czyste ręce? Pomray zareagował gwałtownie.

- Mój Boże! Nick Warren ma nieskazitelną opinię. To jeden z najlepszych fachowców w branży. Nie jest żadnym szarlatanem, jeśli o to panu chodzi.

- Z różnymi ma się do czynienia - powiedział pojednawczo Stephens. - Sam pan to dobrze wie. - Podał wizytówkę Ipsleyowi. - To niedaleko stąd. Niech pan spróbuje go odnaleźć, sierzancie. Nie zidentyfikowaliśmy jeszcze tej dziewczyny.

- Tak jest, sir - powiedział Ipsley i ruszył do drzwi.

- Aha, sierzancie - zawołał Stephens. - Proszę mu nie mówić, że dziewczyna nie żyje.

Ipsley szeroko się uśmiechnął.

- Nie powiem.

- Proszę posłuchać - odezwał się Pomray. - Jeżeli spróbuje pan przyciskać Warrena, czeka pana spora niespodzianka. To twardy facet.

- Nie lubię lekarzy, którzy rozdają narkotyki - odparł ponuro Stephens.

- Cholernie dobrze pan wie, jak to jest - burknął Pomray. - A lekarskiej etyce Nicka Warrena nie zdoła pan niczego zarzucić. Jeżeli zastosuje pan taką taktykę, da panu nieźle popalić.

- Zobaczymy. Radziłem już sobie z twardzielami. Pomray wyszczerzył nagle zęby w uśmiechu.

- Chyba zostaną i popatrzą sobie. Warren wie o narkotykach i narkomanach tyle samo, co najlepszy specjalista w tym kraju, a może i więcej. Ma na tym punkcie lekkiego bzika. Nie przypuszczam, żeby wiele pan z niego wyciągnął. Wróć, jak tylko domyję się w tej zafajdanej łazience.

* * *

Stephens spotkał się z Warrenem w ciemnym korytarzu przy wejściu do pokoju dziewczyny. Chciał wykorzystać psychologiczną przewagę, którą uzyskał nie informując doktora o śmierci dziewczyny. Jeżeli zdziwiło go, że Warren przyjechał tak szybko, nie okazał tego, lecz obserwował idącego po korytarzu mężczyznę z zawodową rezerwą. Warren był człowiekiem wysokim, o delikatnej, ale dziwnie nieruchomej twarzy. Mówił zawsze z namysłem, robiąc nieraz długie przerwy, zanim udzielił odpowiedzi. Stephens odnosił wrażenie, że Warren go nie słyszy albo nie zwraca uwagi na zadawane pytanie, ale w chwili gdy zamierzał je powtórzyć, Warren zawsze odpowiadał. Ta powściągliwość drażniła Stephensa, chociaż starał się tego nie okazywać.

- Cieszę się, że pan przyjechał - powiedział. - Mamy pewien problem, doktorze. Zna pan młodą danie o nazwisku June Hellier?

- Znam - odparł lakonicznie Warren.

Stephens czekał z nadzieją, że Warren powie coś więcej, ale ten tylko mu się przyglądał. Tłumiąc irytację zapytał:

- Czy to jedna z pańskich pacjentek?

- Tak - odparł Warren.

- Na co chorowała, doktorze?

Warren odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

- To sprawa między pacjentem a lekarzem i nie chcę o tym rozmawiać.

Stephens poczuł, jak Pomray porusza się niespokojnie za jego plecami. Odezwał się chłodno:

- To sprawa dla policji, doktorze.

Warren znowu zamilkł, patrząc spokojnie na Stephensa. W końcu powiedział:

- Wydaje mi się, że jeżeli panna Hellier potrzebuje pomocy lekarskiej, tracimy czas stojąc tutaj.

- Nie będzie potrzebowała pomocy - rzekł obojętnie Stephens. Pomray znów się poruszył.

- Ona nie żyje, Nick.

- Rozumiem - odparł Warren. Wydawał się nieporuszony. Stephens był zły, że Pomray wtrącił się do rozmowy, ale bardziej zainteresował go brak reakcji ze strony Warrena.

- Nie jest pan zaskoczony, doktorze.

- Nie - odparł krótko Warren.

- Dostarczał pan jej narkotyki?

- Dawałem jej recepty. To było kiedyś.

- Na jakie narkotyki?

- Na heroinę.

- Czy to było konieczne?

Warren był nieporuszony jak zawsze, ale w jego oczach pojawił się wyraz niechęci, gdy powiedział:

- Nie mam zamiaru rozmawiać z osobą postronną na temat kuracji moich pacjentów.

Stephensa ogarnął gniew.

- Ale jej śmierć pana nie zaskoczyła. Czy była umierająca? Śmiertelnie chora?

Warren spojrzał na Stephensa z namysłem i powiedział:

- Współczynnik śmiertelności wśród narkomanów jest jakieś dwadzieścia osiem razy wyższy niż wśród ogółu ludności. Oto dlaczego jej śmierć mnie nie dziwi.

- Brała heroinę?

- Tak.

- A pan ją zaopatrywał?

- Tak.

- Rozumiem - podsumował Stephens. Spojrzał na Pomraya, a potem zwrócił się ponownie do Warrena: - Nie powiem, żeby mi się to podobało.

- Mało mnie obchodzi pańskie zdanie - stwierdził spokojnie Warren. - Chciałbym zobaczyć moją pacjentkę. Będzie panu potrzebne świadectwo zgonu. Lepiej, żebym ja je wystawił.

„Co za cholerny tupet” - pomyślał Stephens. Odwrócił się gwałtownie i otworzył drzwi do

sypialni.

- Proszę tędy - powiedział szorstko.

Warren minął go i wszedł do pokoju, a za nim podążył Pomray. Stephens zdecydowanym ruchem głowy nakazał sierżantowi Ipsleyowi, żeby wyszedł, po czym zamknął drzwi za jego plecami. Kiedy zbliżył się do łóżka, Warren i Pomray byli już zajęci rozmową, z której rozumiał co czwarte słowo.

Prześcieradło, którym doktor Pomray przykrył ciało dziewczyny, zostało odsunięte i widać było znów nagą June Hellier. Stephens wtrącił się do rozmowy:

- Doktorze Warren, kiedy zasugerowałem, że te ślady ukłuc mogą świadczyć o cukrzycy, doktor Pomray powiedział, że dziewczyna miała zakażenie i że żaden lekarz nie dopuściłby do tego u swojego pacjenta., Ona była pańską pacjentką. Jak pan to wyjaśni?

Warren spojrzął na Pomraya i kąciaki ust zadrgały mu lekko, jakby się uśmiechał.

- Nie muszę niczego wyjaśniać - odparł. - Ale zrobię to. Lek przeciw cukrzycy wstrzykuje się w zupełnie odmiennych warunkach niż heroinę. Dzieje się to w innej atmosferze, a częsty pośpiech może powodować zakażenia.

Zwracając się do Pomraya, dorzucił:

- Nauczyłem ją posługiwać się igłą, ale, jak wiesz, oni nie przejmują się szczególnie higieną. Stephens był oburzony.

- Nauczył ją pan posługiwać się igłą?! Boże, dziwne ma pan pojęcie o etyce!

Warren spojrzął na niego beznamiętnie i powiedział z niezwykłym opanowaniem:

- Panie inspektorze, jeśli wątpi pan w moją etykę, proszę to zakomunikować stosownym władzom. Chętnie służę adresem, gdyby pan nie wiedział, gdzie się udać. - Odwrócił się od Stephensa w niemal obraźliwy sposób i rzekł do Pomraya:

- Podpiszę świadectwo zgonu razem z patologiem. Tak będzie lepiej.

- Tak. Może tak będzie lepiej - stwierdził z namysłem Pomray.

Warren podszedł do wezglowia łóżka i stał tam przez chwilę, przyglądając się zmarłej dziewczynie. Potem bardzo powoli nasunął prześcieradło na martwe ciało. W tym powolnym ruchu było coś, co zaintrygowało Stephensa. Wyglądało to na gest... czułości. Zaczekał, aż Warren podniesie wzrok, po czym zapytał:

- Wie pan coś na temat jej rodziny?

- Właściwie nic. Narkomani nie lubią, kiedy się ich wypytuje - więc nie pytam.

- Wiadomo coso jej ojcu?

- Tylko tyle, że go miała. Wspominała o nim parę razy.

- Kiedy przyszła do pana po narkotyki?

- Zgłosiła się do mnie na leczenie jakieś półtora roku temu. Na leczenie, inspektorze.

- Oczywiście - odparł ironicznie Stephens, wyjmując z kieszeni złożoną kartkę papieru. - Może zechce pan na to spojrzeć. Warren wziął kartkę i rozłożył ją, zauważając, że jest zmięta. - Skąd pan to ma?

- Z jej torebki.

Był to list napisany na maszynie efektowną czcionką, na dobrej jakości papierze z wytłoczonym nagłówkiem: REGENT FILMS COMPANY i adresem z Wardour Street. Nosił datę sprzed sześciu miesięcy i zawierał taką oto treść:

Droga panno Hellier,

piszę z polecenia pani ojca, aby zawiadomić, że nie może się z panią spotkać w przyszły piątek, ponieważ tego samego popołudnia wyjeżdża do Ameryki. Nie będzie go zapewne przez jakiś czas. Nie potrafię w tej chwili określić, jak długo.

Zapewnia panią, że napisze, gdy tylko załatwi najpilniejsze sprawy i ma nadzieję, że swoją nieobecnością nie sprawia pani nadmiernej przykrości.

Z poważaniem,
D. L. Waiden

- To wiele wyjaśnia - powiedział cicho Warren, podnosząc wzrok. - Czy napisał?
- Nie wiem - odparł Stephens. - Tu niczego nie ma. Warren postukał palcem w list.
- Nie przypuszczam. Skoro June zachowała taki niewiele znaczący list, tym bardziej nie zniszczyłaby tamtego. - Spojrzał na okryte prześcieradłem ciało. - Biedna dziewczyna.
- Niech pan lepiej pomyśli o sobie, doktorze - powiedział uszczypliwie Stephens. - Proszę spojrzeć na skład zarządu w nagłówku tego listu.
Warren rzucił okiem: "Sir Robert Hellier, prezes". Z grymasem na twarzy podał kartkę Pomrayowi.
- Maj Boże! - powiedział Pomray. - To ten Hellier!
- Tak, ten Hellier - potwierdził Stephens. - Myślę, że będzie z tego śmierząca sprawa.
Prawda, doktorze Warren? - Powiedział to z nie ukrywaną satysfakcją, obrzucając Warrena pełnym niechęci spojrzeniem.

II

Warren siedział przy biurku w swoim gabinecie. Czekać na kolejnego pacjenta wykorzystywał cenne minuty, aby nadrobić zaległości w papierkowej robocie, do której zmuszał go system ubezpieczeń. Jak każdy lekarz nie cierpiał biurokracji w medycynie, poczuł więc dziwną ulgę, gdy pracę przerwał mu telefon. Uczucie to wkrótce go jednak opuściło, kiedy usłyszał słowa telefonistki:

- Panie doktorze, chce z panem rozmawiać sir Robert Hellier. Warren westchnął. Spodziewał się tego telefonu.

- Połącz go, Mary.

Usłyszał trzask i w słuchawce pojawił się nowy sygnał.

- Mówi Hellier.

- Tu Nicholas Warren.

Nawet brzęczenie na linii nie zdołało zagłuszyć rozkazującego tonu w głosie Helliera.

- Chcę się z panem zobaczyć, Warren.

- Spodziewałem się tego, sir Robert.

- Będę dziś w biurze o wpół do trzeciej po południu. Wie pan, gdzie to jest?

- To zupełnie niemożliwe - odparł zdecydowanie Warren. - Jestem bardzo zajęty.

Proponuję panu spotkanie w moim gabinecie.

Zaległa pełna niedowierzania cisza, a potem głos w słuchawce wykrztusił:

- Niech pan posłucha...

- Przykro mi, sir Robert - przerwał mu Warren. - Proponuję, żeby przyszedł pan do mnie dziś o piątej. Powinienem być wtedy wolny. Hellier podjął decyzję:

- Dobrze - odparł opryskliwie. Warren skrzywił się na odgłos rzuconej na widelki słuchawki. Odłożył delikatnie swój jednocześnieowy telefon i włączył interkom.

- Mary, o piątej przychodzi do mnie sir Hellier. Może będzie trzeba poprzestawiać parę spotkań. Spodziewam się długiej wizyty, więc musi być ostatnim pacjentem.

- W porządku, panie doktorze.

- Aha, Mary. Gdy tylko przyjdzie sir Robert, jesteś wolna.

- Dziękuję panu.

Warren zwolnił przycisk i w zamyśleniu patrzył w przestrzeń, ale po krótkiej chwili wrócił do swojej papierkowej roboty.

* * *

Sir Robert Hellier był dobrze zbudowanym mężczyzną, a nosił się tak, by robić wrażenie jeszcze potężniejszego. Subtelny garnitur z Savile Row nie łagodził ciężkości jego ruchów, zaś głos świadczyło tym, że nie jest przyzwyczajony do znoszenia sprzeciwu. Zaledwie wszedł do pokoju Warrena, powiedział krótko i bez wstępów:

- Wie pan, dlaczego tu jestem.

- Tak. Przyszedł pan w sprawie córki. Może zechce pan usiąść? Hellier zajął krzesło po drugiej stronie biurka.

- Przejdę do rzeczy. Moja córka nie żyje. Policja przekazała mi informację, w którą nie mogę uwierzyć. Mówią, że była narkomanką. Brała heroinę.

- To prawda.

- Heroinę, którą pan jej dostarczał.

- Heroinę, którą jej zapisywałem - poprawił Warren. Hellier był przez chwilę zbity z tropu.

- Nie oczekiwałem, że tak łatwo pan to potwierdzi.

- Dlaczego nie? - odparł Warren. - Leczyłem pańską córkę.

- Ależ z pana tupeciarz! - wybuchnął Hellier. Pochylił się do przodu, a jego potężne ramiona zgarbiły się pod marynarką. - TO hańba, żeby lekarz przepisywał silne narkotyki młodej dziewczynie.

- Moim zdaniem...

- Wsadzę pana do więzienia! - ryknął Hellier.

- ...ona niezbędnie potrzebowała tych recept.

- Jest pan zwykłym handlarzem narkotyków!

Warren wstał, a jego lodowaty głos przerwał tyradę Helliera:

- Jeżeli powtórzy pan to zdanie poza tym gabinetem, oskarżę pana o zniesławienie. Skoro nie chce pan posłuchać, co mam do powiedzenia, proszę stąd wyjść, bo dalsza rozmowa z panem nie ma sensu. A jeżeli nie podoba się panu moja etyka, musi pan pójść na skargę do Komisji Dyscyplinarnej przy Izbie Lekarskiej.

Hellier ze zdumieniem podniósł wzrok.

- Chce pan przez to powiedzieć, że Izba Lekarska usprawiedliwiłaby takie postępowanie?

- Właśnie - odparł Warren z przekąsem i ponownie usiadł. - Brytyjski rząd także. Wydali w tej sprawie ustawę. Hellier wydawał się zupełnie zbity z tropu.

- No dobrze - powiedział niepewnie. - Zapewne powinienem posłuchać, co ma pan mi do zakomunikowania. Po to tu przyszedłem. Warren przypatrywał mu się badawczo.

- June zjawiała się u mnie jakieś osiemnaście miesięcy temu. Brała już wtedy heroinę prawie od dwóch lat. Hellier znowu wybuchnął.

- To niemożliwe!

- Niby dlaczego?

- Wiedziałbym o tym.

- W jaki sposób?

- No cóż, rozpoznałbym... objawy.

- Rozumiem. A jakie są te objawy, sir Robert? Hellier zaczął mówić, potem opanował się i zamilkł.

- Wie pan - odezwał się Warren - narkomana, który bierze heroinę, nie poznaje się po drzeniu rąk. Objawy są o wiele trudniejsze do uchwycenia, a narkomani umiejętnie je ukrywają. Mógł pan jednak coś zauważyć. Proszę mi powiedzieć, czy wyglądało wtedy na to, że córka ma kłopoty finansowe?

Hellier przypatrywał się swoim dłoniom.

- Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek ich nie miała - odparł pogrążony w myślach. - Zaczynało mnie to już męczyć i w końcu ostro się sprzeciwiłem. Powiedziałem jej, że nie została wychowana na rozrzutną próżniaczkę. - Podniósł wzrok. - Znalazłem jej pracę, załatwiłem mieszkanie i zmniejszyłem o połowę kieszonkowe.

- Rozumiem - powiedział Warren. - Jak długo miała tę pracę? Hellier pokręcił głową.

- Nie wiem. Wiem tylko, że ją straciła. - Zaciśnął dłonie na krawędzi biurka, aż zbieleły mu kostki palców. - Wie pan, ona mnie okradła. Okradła własnego ojca.

- Jak to się stało? - zapytał ostrożnie Warren.

- Mam wiejski dom w Berkshire - odparł Hellier. - Pojechała na wieś i splądrowała go - dosłownie splądrowała. Było tam, między innymi, sporo georgiańskich sreber. Miała czelność zostawić kartkę z informacją, że to zrobiła. Podała mi nawet nazwisko kupca, któremu sprzedała towar. Odzyskałem wszystko, ale kosztowało mnie to cholernie dużo

pieniędzy.

- Podał ją pan do sądu?

- Niech pan nie będzie głupcem - odparł ostro Hellier. - Muszę dbać o reputację. Ładnie wypadłbym w gazetach, oskarżając o kradzież własną córkę. I tak mam już dość problemów z prasą.

- Może byłoby dla niej lepiej, gdyby ją pan zaskarżył - stwierdził Warren. - Nie zadał pan sobie pytania, dlaczego pana okradła? Hellier westchnął.

- Myślałem, że zeszła zupełnie na złą drogę, że odziedziczyła to po matce. - Wyprostował ramiona. - Ale to osobna historia.

- Oczywiście - odparł Warren. - Więc jak mówię, kiedy June zgłosiła się do mnie na leczenie, a właściwie po heroinę, była już prawie od dwóch lat narkomanką. Tak powiedziała i stan jej organizmu to potwierdzał.

- Co pan ma na myśli - zapytał Hellier - że zgłosiła się po heroinę, a nie na leczenie?

- Narkoman traktuje lekarza jako źródło zaopatrzenia - odparł Warren nieco znużonym głosem. - Narkomani nie chcą być leczeni. Boją się tego.

Hellier patrzył na Warrena tępym wzrokiem.

- Ależ to potworne. Dawał jej pan heroinę?

- Tak.

- I nie leczył jej pan?

- Nie od razu. Nie można leczyć pacjenta, który tego nie chce, a angielskie prawo nie pozwala na stosowanie przymusu.

- Ale przez pana uzależniła się jeszcze bardziej. Pan dostarczał jej heroinę.

- Wolałby pan, żebym tego nie robił? Miałem jej pozwolić wyjść na ulice, żeby zdobywała heroinę z nielegalnego źródła, po czarno-rynkowej cenie i zanieczyszczoną Bóg wie jakim świństwem? Narkotyki, które przepisywałem, były przynajmniej czyste i odpowiadały normom brytyjskiej farmakopei, co zmniejszało prawdopodobieństwo zapalenia wątroby. Hellier jakby się skurczył.

- Nie rozumiem - wymamrotał, kręcąc głową. - Po prostu nie rozumiem.

- Istotnie - przyznał Warren. - Zastanawia się pan, co się stało z lekarską etyką. Później o tym pomówimy. - Złączył dłonie czubkami palców. - Po miesiącu zdołałem przekonać June, że powinna się leczyć. Istnieją kliniki zajmujące się takimi przypadkami. Była w szpitalu przez dwadzieścia siedem dni. - Mierzył Helliera surowym spojrzeniem. - Wątpię, czy na jej miejscu wytrzymałbym tydzień. June była dzielną dziewczyną, sir Robert.

- Nie bardzo wiem, jak wygląda... hm... samo leczenie.

Warren otworzył szufladę biurka i wyjął pudełko papierosów. Wyciągnął jeden, a potem, najwyraźniej zreflektowawszy się, pchnął otwarte pudełko na drugą stronę biurka.

- Przepraszam, pali pan?

- Dziękuję - odparł Hellier i sięgnął po papierosa. Warren nachylił się i posłużył mu swoją zapalniczką, po czym sam z niej skorzystał.

Przyglądał się Hellierowi przez chwilę, a następnie podniósł do góry papieros.

- Wie pan, to także narkotyk, ale nikotyna nie jest szczególnie silna. Powoduje psychiczne uzależnienie. Każdy, kto ma wystarczająco silną wolę, może rzucić palenie. - Pochylił się do przodu. - Heroina to co innego. Uzależnia w sposób fizjologiczny. Potrzebuje jej organizm i rozum ma tu niewiele do powiedzenia.

Ponownie odchylił się do tyłu.

- Kiedy pozbawi się narkomana heroiny, obserwowane u niego fizjologiczne objawy mają takie nasilenie, że szansę przeżycia są jak jeden do pięciu. Lekarz musi się nad tym dobrze zastanowić, zanim rozpocznie kurację.

Hellier pobladł.

- Czy ona cierpiała?

- Owszem - odparł chłodno Warren. - Bardzo chciałbym móc powiedzieć, że nie, ale byłoby to kłamstwo. Oni wszyscy cierpią. Cierpią tak bardzo, że może jednemu na stu udaje się przejść kurację. June wytrzymała ile potrafiła, a potem wyszła. Nie mogłem jej zatrzymać -

prawo tego nie przewiduje.

Papieros w dłoni Helliera wyraźnie drżał. Warren stwierdził:

- Potem dość długo jej nie widziałem. Wróciła pół roku temu. Oni zwykle wracają. Chciała dostać heroinę, ale nie mogłem dać jej recepty. Zmieniło się prawo. Wszystkim narkomanom przepisuje się teraz narkotyki w specjalnych klinikach, które zorganizował rząd. Doradzałem jej leczenie, ale nie chciała o tym słyszeć, zabrałem ją więc do szpitala. Ponieważ znalazłem jej przypadek - i ponieważ obchodził mnie jej los - mogłem pełnić rolę konsultanta. Zanim nie umarła, dostawała recepty na heroinę - najmniejsze możliwe dawki.

- A jednak zmarła z przedawkowania.

- Nie - zaproponował Warren. - Śmierć spowodowała dawka heroiny rozpuszczonej w roztworze metyloamfetaminy, a to już zbyt ostra mieszanka. Nie miała zapisanej amfetaminy - musiała zdobyć ją gdzie indziej.

Hellier cały się trząsał.

- Podchodzi pan do tego bardzo spokojnie, Warren - powiedział niepewnym głosem. - Jest pan cholernie opanowany. Na mój gust - aż do przesady.

- Muszę być opanowany - stwierdził Warren. - Lekarz, który zanadto się przejmuję, szkodzi sobie i swoim pacjentom.

- Cóż za piękna, pozbawiona emocji postawa profesjonalisty - szydził Hellier. - Ale to zabiło moją córkę. - Podsunął Warrenowi pod nos drżący palec. - Dobiorę się panu do skóry, Warren. Mam swoje wpływy. Zniszczę pana.

Warren obdarzył Helliera niechętnym spojrzeniem.

- Nie mam zwyczaju w takich sytuacjach pognebiać zbolących rodziców - powiedział dobitnie - ale sam pan się tego dopomina. Proszę mnie nie prowokować.

- Prowokować! - Uśmiech Helliera pozbawiony był wesołości. - Ja pana pogrzebię, jak powiedział ten Rosjanin.*

Warren wstał.

- W porządku. Proszę mi więc powiedzieć, czy ma pan zwyczaj kontaktować się z dziećmi przez osoby trzecie, zlecając sekretarce pisanie do nich listów?

- O co panu chodzi?

- Pół roku temu, tuż przed pańskim wyjazdem do Ameryki, June chciała się z panem zobaczyć. A pan, na Boga, zbył ją urzędowym listem, który napisała pańska sekretarka!

- Byłem wtedy bardzo zajęty. Miałem na głowie dużą transakcję.

- Potrzebowała pańskiej pomocy. Nie uzyskała jej, więc zjawiała się u mnie. Obiecał pan napisać z Ameryki. I co?

- Byłem zajęty - odparł Hellier cicho. - Miałem napięty program: mnóstwo podróży, konferencji...

- A więc pan nie napisał. Kiedy pan wrócił?

- Przed dwoma tygodniami.

- Po prawie sześciu miesiącach. Czy wiedział pan, gdzie przebywa pańska córka? Czy próbował pan się tego dowiedzieć? Wtedy jeszcze żyła, proszę pana.

- Wielki Boże, musiałem uporządkować tutaj różne sprawy. Kiedy mnie nie było, wszystko zaczęło się walić!

- Istotnie - przyznał Warren lodowatym tonem. - Mówi pan, że znalazł pan June pracę i załatwił jej mieszkanie. W tej wersji nawet ładnie to brzmi, ale ja powiedziałbym, że pan ją wyrzucił. Czy parę lat wcześniej próbował pan dociec, dlaczego się zmieniła? Dlaczego potrzebowała coraz więcej pieniędzy? Prawdę mówiąc, chciałbym wiedzieć, jak często widywał pan córkę. Czy kontrolował pan jej postępowanie? Czy sprawdzał pan, w jakim towarzystwie się obraca? Czy wywiązywał się pan z roli ojca?

Hellier był szary na twarzy.

- O Boże!

Warren usiadł i powiedział cicho:

- Teraz naprawdę sprawię panu ból, panie Hellier. Córka nie znosiła pańskiego żelaznego

charakteru. Sama mi to powiedziała, choć nie miałem pojęcia, kim pan jest. Zachowała na pamiętkę ten cholernie protekcyjny w tonie list od pańskiej sekretarki, żeby podsycił jej nienawiść - i trafiła w końcu do nędznego pensjonatu w Notting Hill, mając w kieszeni trzy szylingi i cztery pensy. Gdyby pół roku temu zechciał pan poświęcić córce kwadrans swojego bezcennego czasu, nie byłaby teraz martwa.

Pochylił się nad biurkiem i powiedział chrapliwym głosem:

- Niech mi pan teraz powie, panie Hellier, kto odpowiada za śmierć pańskiej córki?

Twarz Helliera wyrażała głębokie przygnębienie. Warren oparłszy się z powrotem o krzesło, przyglądał mu się niemal ze współczuciem. Wstydił się, że w tak niegodny profesjonalisty sposób dał się ponieść emocjom. Widząc, że Hellier sięga po chusteczkę, wstał i podszedłszy do kredensu sięgnął po buteleczkę, z której wysypał dwie tabletki.

Potem wrócił do biurka i rzekł:

- Proszę je wziąć. To pomoże. - Hellier przyjął tabletki bez protestu, popijając je szklanką wody. Uspokoiwszy się, zaczął mówić cichym rwącym się głosem:

- Helen... to znaczy moja żona... matka June... moja była żona... wie pan, rozwiodłem się z nią. June miała wtedy piętnaście lat. Helen była złą kobietą, bardzo złą. Zadawała się z innymi mężczyznami... Miałem już tego dość. Robiła ze mnie głupca. June została ze mną, z własnej woli. Bóg świadkiem, że Helen nie chciała jej mieć przy sobie.

Z trudem zaczerpnął powietrza.

- Oczywiście, June chodziła wtedy jeszcze do szkoły. A ja miałem swoją pracę, moją firmę, która stawała się coraz większa i nawiązy-

wala coraz więcej kontaktów. Nie ma pan pojęcia, jakie to może przybrać rozmiary i jak staje się skomplikowane. Rozumie pan, działalność na międzynarodową skalę. Dużo podróżowałem. -Zamyślił się nad przeszłością. - Nie zdawałem sobie sprawy...

- Wiem - wtrącił cicho Warren. Hellier podniósł wzrok.

- Wątpię, doktorze. - Zamrugał oczami napotkawszy opanowane spojrzenie Warrena i ponownie spuścił głowę. - A może się mylę. Pewnie miał już pan do czynienia z takimi cholernymi głupcami jak ja.

Warren powiedział stonowanym głosem, starając się okazać Hellierowi zrozumienie:

- Trudno znaleźć z młodymi wspólny język, nawet jeżeli trzyma się ich przy sobie. Mają jakby inny sposób myślenia, inne ideały.

Hellier westchnął.

- Ale mogłem przynajmniej spróbować. - Zacisnął mocno dłonie. - Ludzie z mojej sfery myślą na ogół, że zaniedbywanie obowiązków rodzicielskich i przestępczość młodzieży to przywilej niższych klas. Wielki Boże!

- Dam panu na dzisiejszą noc jakiś środek nasenny - powiedział zdecydowanie Warren. Hellier pokręcił głową.

- Nie, doktorze, dziękuję. Muszę przełknąć tę gorzką pigułkę. - Podniósł na niego wzrok. - Czy pan wie, jak to się zaczęło? W jaki sposób ona...? Jak mogła...?

Warren wzruszył ramionami.

- Niewiele mi powiedziała. Miała dosyć bieżących problemów. Ale sądzę, że jej przypadek był typowy. Najpierw konopie - dla zgrywy albo żeby się popisać, potem mocniejsze narkotyki, a w końcu heroina i jeszcze silniejsze odmiany amfetaminy. Zwykle wszystko się zaczyna od nieodpowiedniego towarzystwa.

Hellier pokiwał głową.

- Brak kontroli ze strony rodziców - powiedział z goryczą. - Skąd oni biorą to świństwo?

- W tym tkwi cały problem. Sporo kradzieży w magazynach dokonują przestępcy mający gotowy rynek zbytu. No i oczywiście istnieje przemyt. Tu, w Anglii, gdzie w klinikach przepisuje się heroinę w sposób kontrolowany narkomanom zarejestrowanym w MSW, nie jest tak źle jak w Stanach. Tam, ponieważ jest to całkowicie zabronione, istnieje rozbudowany czarny rynek, co oznacza potężne zyski i zorganizowany nielegalny handel. Ocenia się, że w samym Nowym Jorku jest około czterdziestu tysięcy narkomanów biorących heroinę, gdy w całym Zjednoczonym Królestwie jest ich około dwóch tysięcy. Ale

i tak niedobrze się u nas dzieje, bowiem liczba podwaja się co szesnaście miesięcy. A policja nic nie może poradzić na nielegalny handel narkotykami - rzekł Hellier.

- Przypuszczam, że inspektor Stephens wszystko panu o mnie powiedział - odpari ironicznie Warren.

- Całkowicie się mylił - wymamrotał Hellier i poruszył się niespokojnie.

- W porządku, jestem do tego przyzwyczajony. Policja ma do tej sprawy mniej więcej taki sam stosunek jak całe społeczeństwo, ale prześladowanie narkomana, który już wpadł w nałóg, jest bez sensu. Daje to tylko większe zyski handlarzom, bo wygłodniały narkoman musi za wszelką cenę dostać swoją porcję prochów. Wzrasta w ten sposób przestępczość, gdyż jest mu wszystko jedno, skąd zdobędzie pieniądze na narkotyki. - Warren obserwował Helliera, który wyraźnie się uspokajał. Uznał, że ich akademicka dyskusja zadziałała w tym samym stopniu, co środek uspokajający, więc ciągnął dalej:

- Narkomani to ludzie chorzy i policja powinna zostawić ich w spokoju - stwierdził. - My się nimi zajmujemy. Policja powinna likwidować źródła nielegalnego handlu.

- Czy tego nie robi?

- To nie takie proste. Problem ma międzynarodowy charakter. Poza tym trudno jest zdobyć informacje. To nielegalne transakcje i dlatego ludzie nie chcą mówić. - Uśmiechnął się. - Narkomani nie lubią policji, więc policja niewiele z nich wyciąga. Z kolei ja, chociaż nie lubię narkomanów, bo to trudni pacjenci, z którymi większość lekarzy nie chce mieć do czynienia, rozumiem ich i dowiaduję się różnych rzeczy. Mam pewnie więcej informacji o tym, co się dzieje, niż oficjalne źródła policyjne.

- Czemu więc nie powie pan tego policji? - zapytał z naciskiem Hellier.

Głos Warrena stał się nagle szorstki.

- Gdyby któryś z moich pacjentów dowiedział się, że nadużyłem jego zaufania i wygadałem się przed policją, straciłbym wszystko. Pacjenci, zwłaszcza gdy chodzi o narkomanów, muszą bezwzględnie ufać lekarzowi, inaczej nie zgłoszą się na leczenie. Jeżeli nie mają dość zaufania - przerzucają się na czarny rynek. Dostają zanieczyszczoną heroinę z doków, po wyśrubowanych cenach, albo aseptyczną od kogoś z moich kolegów, pozbawionego skrupułów i nie stosującego żadnej kuracji. W medycznym świecie mamy parę czarnych owiec. Inspektor Stephens chętnie to panu opowie.

Hellier siedział przygarbiony i w zamyśleniu wpatrywał się w biurko..

- Jaka więc jest odpowiedź? Nic pan nie może zrobić?

- Ja? - zdziwił się Warren. - A cóż ja mógłbym zrobić? Źródło dostaw leży poza Anglią, na Bliskim Wschodzie. Nie jestem awanturnikiem z powieści przygodowej, panie Hellier. Jestem lekarzem, który ma swoich pacjentów - i jakoś wiąże koniec z końcem. Nie mogę tak po prostu wyskoczyć do Iranu, żeby przeżyć szaleńczą przygodę.

- Być może miałby pan mniej pacjentów, gdyby był pan wystarczająco szalony - mruknął Hellier, podnosząc się z krzesła. - Przepraszam, doktorze Warren, że wchodząc tutaj zachowałem się niestosownie. Wyjaśnił mi pan wiele spraw, których nie rozumiałem. Wytknął mi pan moje błędy. Zapoznał mnie pan ze swoją etyką. Wskazał pan też, jak można by rozwiązać problem, ale nie chce pan do tego przyłożyć ręki. Jakie więc pan popełnia błędy, doktorze Warren i jak to się ma do pańskiej etyki?

Ruszył ciężkim krokiem do drzwi.

- Proszę mnie nie odprowadzać, doktorze. Sam trafię.

Kiedy za Hellierem zamknęły się drzwi, Warren zaskoczony jego uwagą, nie mógł się pozbierać. Wrócił powoli do stojącego za biurkiem krzesła i usiadł. Zapalił papierosa i przez kilka minut trwał w głębokim zamyśleniu, po czym potrząsnął głową z rozdrażnieniem, jakby chciał odpędzić natrętną muchę.

"To absurd! Kompletny absurd!" - pomyślał.

Ale ziarno wątpliwości zostało zasiane i nie umiał pozbyć się tej myśli, chociaż bardzo się starał.

Tego wieczoru przeszedł się po Piccadilly i Soho, mijając restauracje, nocne lokale i kluby, ulubione miejsca większości jego pacjentów. Zobaczył kilku z nich. Machali do niego, a on

odpowiadał automatycznie tym samym gestem i szedł dalej, prawie nie zdając sobie sprawy, gdzie jest, aż dotarł na Wardour Street, w sąsiedztwo biur Regent Films Company. Spojrzał na budynek i powiedział głośno:

- To absurd!

III

Sir Robert Hellier również miał ciężką noc. Wrócił do swego mieszkania w dzielnicy St. James, prawie wcale nie zdając sobie sprawy, jak tam dotarł. Szofer zauważył jego zaciśnięte wargi i spuszczone wzrok, zanim więc odstawił samochód, na wszelki wypadek zadzwonił z garażu do mieszkania.

- Stary jest w kiepskim nastroju, Harry - oznajmił Hutchinsowi, służącemu Helliera. - Lepiej trzymaj się od niego z daleka i miej się na baczności.

Kiedy więc Hellier wszedł do swego luksusowego mieszkania. Hutchins przygotował whisky i zniknął. Hellier nie zauważając ani obecności whisky, ani nieobecności Hutchinsa, zagłębił się we wspaniałym fotelu i pogрузzył w myślach.

Dręczyło go poczucie winy. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni ktoś ośmielił się "podsunąć mu lustro", w którym mógłby się "przejrzeć". Wrażenie było piorunujące. Nienawidził samego siebie, a Warrena nienawidził być może jeszcze bardziej za to, że wtykał nos w drażliwe dla niego sprawy. Ale w gruncie rzeczy był uczciwy i w pewnej chwili miał świadomość, że słowa, które wypowiedział przed wyjściem i pośpiesznym opuszczeniem gabinetu Warrena to efekt uzmysłowienia sobie, iż pragnie zmusić doktora, by naruszył swoje zasady moralne; chciał znaleźć jego słaby punkt i sprowadzić go do własnego, nędznego poziomu.

A June? Jakie miejsce zajmowała jego córka? Pomyślał, jaka była kiedyś: wesola, pogodna i beztraska. Jego córka mogła mieć wszystko: najlepsze szkoły, modne stroje, przyjęcia, zagraniczne wakacje i pod każdym względem dostatnie życie.

"Miała wszystko, tylko nie mnie" - pomyślał z wyrzutem.

A potem, w którymś momencie jego wypełnionego pracą życia, niepostrzeżenie coś się zmieniło. June ogarnęła niezaspokojona żądza pieniędzy. Wyglądało na to, że nie chodzi o rzeczy, które można za nie kupić, lecz o pieniądze jako takie. Hellier doszedł do majątku o własnych siłach, przeszedł trudną szkołę życia i uważał, że młodzi powinni samodzielnie dorabiać się. Zaczęło się od spokojnych rozmów z June, ale stopniowo zamieniły się one w całą serię awantur, aż w końcu stracił panowanie nad sobą i wtedy się rozstali. Warren mówił prawdę: wyrzucił córkę z domu, nie próbując dociekać, dlaczego tak się zmieniła. Kradzież sreber z domu utwierdziła go jedynie w przekonaniu, że córka zeszła na złą drogę i martwił się głównie o to, by sprawa nie nabrała rozgłosu i by nie dowiedziała się o niczym prasa. Ze wstydem uświadomił sobie nagle, że odkąd ujrzał inspektora Stephensa najbardziej dręczyła go myśl, jak źle będą o nim pisać w związku ze śledztwem.

Jak do tego doszło? Jak to się stało, że utracił najpierw żonę, a potem córkę?

Pracował ciężko, Boże, jak ciężko! Wdarł się na sam szczyt w branży, gdzie najskuteczniej włada się sztyletem. Obracał milionami. Na przykład ta podróż do Ameryki: dobrał się do skóry tym cholernym, przebiegłym jankesom, ale za jaką cenę? Rezultatem tych sześciu miesięcy był wrzód, podwyższone ciśnienie, które wcale nie podobało się lekarzowi, oraz wypalane nerwowo trzy paczki papierosów dziennie... I martwa córka.

Rozejrzał się po swym apartamencie, popatrzył na świetlistego Renoira na przeciwległej ścianie i na błękitnego Picassa na końcu pokoju. Symbole sukcesu. Znienawidził je nagle. Przesiadł się na inne krzesło, żeby mieć je za plecami i móc patrzeć na panoramę Londynu, na elżbietańskie zwieńczenia pałacu St. James.

Po co tyle pracował? Początkowo robił to dla June, dla małej June i dzieci, które miały dopiero się urodzić. Ale Helen nie chciała mieć dzieci i June została jedynaczką. Czy to właśnie wtedy praca stała się dla niego nałogiem, a może raczej środkiem uspokajającym? Wciągnął go bez reszty dziwny świat wytwórni filmowych, w którym nie wiadomo, co jest

ważniejsze: pieniądze czy sztuka. A dla żony nie było już miejsca w jego sercu. Może dlatego, że ją zaniedbywał, Helen zmuszona była szukać innych mężczyzn, najpierw potajemnie, potem już otwarcie. Zmęczyła go w końcu ta dwuznaczna sytuacja i doprowadził do rozwodu.

Ale jakie, na Boga, miejsce zajmowała w tym wszystkim Helen? Miał pracę, którą należało wykonać. Musiał podejmować decyzje - nikt by tego nie zrobił za niego. A każda cholerna decyzja pociągała za sobą następne, wypełniając mu czas i życie, aż nie było już miejsca na nic poza pracą. Rozprostował dłonie i przyjrzał się im. "Jestem tylko maszyną. Mam umysł, który służy do podejmowania właściwych decyzji i ręce do podpisywania stosownych czeków" - pomyślał z niechęcią.

I gdzieś po drodze stracił June, swoją córkę. Ogarnął go nagle potworny wstyd na myśl o liście, o którym mówił Warren. Przypomniawszy sobie, jak do tego doszło. To był fatalny tydzień. Przygotowywał się do podróży do Ameryki i wszystko szło źle, miał więc masę roboty. Pamiętał, jak panna Waiden, jego sekretarka, zastąpiła mu drogę na korytarzu w biurze.

- Sir Robert, mam dla pana list od panny Hellier. Chciałaby spotkać się z panem w piątek. Przystanął nieco zaskoczony, pocierając rozpaczliwie podbródek. Chciał załatwić swoje sprawy, ale zarazem chciał zobaczyć się z June.

- Niech to diabli. Na piątek rano jestem umówiony z Matchetem, a to oznacza także wspólny obiad. Co z popołudniem, panno Waiden?

Nie należała do tych sekretarek, które muszą zaglądać do terminarza. Właśnie dlatego ją zatrudnił.

- Pański samolot odlatuje o wpół do czwartej. Będzie pan musiał wcześniej skończyć obiad.

- Hm... Poproszę panią o coś, panno Waiden. Niech pani napisze do mojej córki i wyjaśni sytuację. Proszę ją powiadomić, że odezwę się ze Stanów, gdy tylko będę mógł.

I wszedł do gabinetu, a potem do następnego i następnego, aż skończył się dzień - osiemnastogodzinny dzień pracy. Dwa dni później był piątek, narada z Matchetem i kosztowny obiad, konieczny, aby go udobruchać. Potem szybka jazda samochodem na Heathrow - i w mgnieniu oka znalazł się w Nowym Jorku, gdzie oczekiwali go Hewling i Morrin ze swoimi zdradliwymi ofertami i propozycjami.

Potem trzeba było lecieć nagle do Los Angeles i pobić hollywoodzkich magnatów na ich własnej ziemi. Gdy wrócił do Nowego Jorku, Morrin namówił go na wycieczkę do Miami i na wyspy Bahama. Była to niewybredna próba przekupienia go pozorami gościnności. Ale pokonał ich wszystkich i przeżywał szczyt swej kariery, przywożąc do Anglii owoce zwycięstwa. Na miejscu zastał "jednak jeden wielki bałagan, ponieważ nikt nie był wystarczająco silny, żeby kontrolować Matcheta. Przez cały ten czas ani razu nie pomyślał o swojej córce.

Zapadający mrok ukrywał szarość jego twarzy, gdy zastanawiał się nad tą odpychającą prawdą. Próbował szukać usprawiedliwienia, ale go nie znalazł. Wiedział, że było coś jeszcze gorszego. Wiedział, że nigdy nie dał June okazji, by mogła się z nim zwyczajnie, po ludzku, porozumieć. Była w jego życiu czymś drugoplanowym. Właśnie czymś, a nie kimś. Świadomość tego najbardziej go dręczyła. Hellier wstał i przechadzał się niespokojnie po pokoju, myśląc o tym wszystkim, co mówił Warren. Warren najwyraźniej traktował narkomanię jako coś zwyczajnego, normalne zjawisko, z którym trzeba sobie jakoś radzić. I choć nie powiedział tego wprost, można było wywnioskować, że jego zadaniem było likwidowanie skutków zaniedbań takich ludzi jak Hellier. Ale z pewnością winę ponosił kto inny. Czy nie ci, którzy czerpią z tego zyski? Handlarze narkotyków? Hellier przystanął, czując jak ogarnia go gniew, gniew, którego po raz pierwszy nie kierował przeciw sobie samemu. Zgrzeszył zaniedbaniem, i nie można było tego bagatelizować. Ale ci, którzy grzeszyli uczynkiem, świadomie dostarczając narkotyki młodym ludziom, aby osiągnąć zysk, popełniali rzecz potworną. On sam okazał się po prostu nierozważny, natomiast handlarze narkotyków byli uosobieniem zła. Jego gniew narastał i w końcu miał wrażenie, że go rozsadzi, ale wtedy świadomie się opanował, aby móc logicznie myśleć. Podobnie jak

nie dopuścił, by emocje wzięły w nim górę, gdy prowadził negocjacje z Matchetem, Hewlingiem i Morrinem, i tym razem starał się, by jego niebagatelny intelekt nie napotkał przeszkód w rozwiązywaniu nowego problemu. Hellier, jak wydajna maszyna, zaczynał powoli sprawnie funkcjonować.

Najpierw pomyślał o Warrenie, który jako znawca tematu był niewątpliwie kluczową postacią. Hellier zwykł uważnie obserwować ludzi, z którymi miał do czynienia, ponieważ drobne szczegóły zachowania ujawniały ich słabe i mocne strony. Starał się przypomnieć sobie dokładnie, co i w jaki sposób mówił Warren. Skoncentrował się na tych dwóch kwestiach. Był pewien, że Warren wie coś ważnego. Musiał jednak mieć pewność, że wybrany klucz nie złamie mu się w ręce. Podniósł zdecydowanie słuchawkę telefonu i wykręcił numer. W chwilę potem mówił:

- Tak, wiem, że jest późno. Czy mamy jeszcze adres tej firmy detektywistycznej? Pomogli nam w sprawie Lowreya... Dobrze! Chcę, żeby sprawdzili doktora Nicholasa Warrena. Proszę powtórzyć. Trzeba to zrobić dyskretnie. Wszystko, co można zdobyć na jego temat, do cholery! Jak najszybciej... raport w ciągu trzech dni... Och, do diabła z kosztami! Zapiszcie to na mój prywatny rachunek.

Sięgnął machinalnie po karafkę z whisky.

- I jeszcze jedno. Niech dział informacji zdobędzie, co się da, na temat przemytu narkotyków. Chodzi w ogóle o nielegalny handel narkotykami. Ten raport też ma być gotowy za trzy dni... Tak, nie żartuję.. Z tego może być niezły film. - Przerwał na moment. - I ostatnia sprawa: niech ludzie z działu informacji nie zbliżają się do doktora Warrena... Tak, wiem, że to prawdopodobne, ale muszą trzymać się od niego z daleka, zrozumiano? To dobrze!

Odłożył słuchawkę telefonu i z pewnym zdziwieniem spojrzął na karafkę. Postawił ją ostrożnie, po czym wszedł do sypialni. Po raz pierwszy od lat zrezygnował ze zwyczaju starannego wieszania swoich rzeczy, pozostawiając je rozrzucone na podłodze. Gdy tylko znalazł się w łóżku, opuściło go napięcie i poczuł fizyczne odprężenie. Dopiero wtedy jego organizm poddał się rozpacz i przyszło załamanie. Ciałem tego pięćdziesięcioletniego mężczyzny wstrząsnął szloch i poduszka zrobiła się mokra od łez.

2

Warren był i zarazem nie był zaskoczony, że Hellier ponownie się odezwał. Zastanawiał się usilnie, o co mu może chodzić i miał właściwie ochotę nie zgodzić się na spotkanie. Wiedział z doświadczenia, że gdy krewni ofiar rozpamiętują zbyt długo śmierć swych bliskich, na dłuższą metę nikomu nie przynosi to pożytku. Efekt jest taki, że ich poczucie winy zamienia się w pogodzenie z losem, on zaś jako człowiek wyznający określone zasady moralne uważał, iż winowajcom należy się kara, a najsurowiej karzemy siebie sami. Ale gdzieś w zakamarkach świadomości czaiła się nadal niepokojąca wątpliwość, którą zaszczepiły w nim słowa wypowiedziane na pożegnanie przez Helliera. Tak więc, trochę ku własnemu zaskoczeniu, przyjął zaproszenie do mieszkania w dzielnicy St. James. Tym razem, o dziwo, nie miał nic przeciwko temu, by spotkać się z Hellierem na jego terenie. Bitwę i tak już wygrał.

Hellier przywitał go konwencjonalnym "Cieszę się, że pan przyszedł, doktorze" i poprowadziwszy do dużego, luksusowego pokoju o przyjemnym wystroju, wskazał uprzejmie fotel.

- Czego panu nalać? - zapytał. - A może pan nie pije? Warren uśmiechnął się.

- Nie jestem pozbawiony zwykłych wad. Poproszę szkocką.

Po chwili popijał tak dobrą whisky, że było niemal zbrodnią rozcieńczać ją wodą, i trzymał w ręku papieros z monogramem Helliera.

- My, ludzie filmu, jesteśmy malowniczą gromadą - powiedział z przekąsem Hellier. - Skłonność do autoreklamy to jedna z naszych największych wad.

Warren spojrzął na splecione złote litery RH, wytłoczone na papierosie ręcznej roboty.

Podejrzewał, że nie był to zwykły styl Helliera, że z wyrachowaniem dostosowywał się on do konformistycznych wymogów swojej branży. Czekał w milczeniu, aż gospodarz zagai rozmowę w sensowniejszy sposób.

- Przede wszystkim muszę przeprosić za tę scenę w pańskim gabinecie - powiedział Hellier.

- Już pan to zrobił - odparł z powagą Warren. - A zresztą nie ma pan powodu przepraszać.

Hellier usadowił się w fotelu naprzeciwko Warrena i postawił szklankę na niskim stoliku.

- Słyszę, że cieszy się pan, w swoim środowisku znakomitą opinią. Warren uniósł brew.

- Doprawdy?

- Zbierałem informacje na temat handlu narkotykami. Wydaje mi się, że zdobyłem tego sporo.

- W ciągu trzech dni? - zapytał Warren z ironią w głosie.

- W przemyśle filmowym, ze względu na jego charakter, musimy posiadać ogromny zasób wiedzy na różne tematy. Mój dział informacji jest niemal równie dobry jak, powiedzmy, biuro prasowe. Jeżeli do jakiejś sprawy przydzielili się wystarczająco dużą grupę ludzi, można w trzy dni wiele zdziałać.

Warren pozostawił to bez komentarza i tylko skinął głową.

- Moi informatorzy stwierdzili, że co trzecia spośród indagowanych osób radziła im zwrócić się do pana jako czołowego specjalisty.

- Ale nie zrobili tego - stwierdził lakonicznie Warren. Hellier uśmiechnął się.

- Nie, bo im zabroniłem. Sam pan powiedział, że jest bardzo zajęty. Nie chciałem panu przeszkadzać.

- Pewnie powinienem podziękować - odparł Warren z udaną powagą.

Hellier wyprostował plecy.

- Doktorze Warren, skończmy te potyczki. Wyłóż wszystkie karty na stół. Poprosiłem również, aby zebrano informacje na pana temat.

Warren popijał whisky, spokojnie przyglądając się Hellierowi znad szklanki.

- Za dużo pan sobie pozwala - zauważył oględnie. - Powinienem chyba zapytać, czego się pan dowiedział. Hellier uniósł dłoń.

- Samych dobrych rzeczy, doktorze. Cieszy się pan godną pozazdroszczenia opinią jako człowiek i jako lekarz, a prócz tego jest pan wybitnym specjalistą w dziedzinie narkomanii.

- Chciałbym kiedyś przeczytać swoje dossier - stwierdził drwiąco Warren. -

Przypominałoby to lekturę własnego nekrologu. Niewielu z nas ma taką szansę. - Odstawił szklankę. - A czemu mają służyć te... te wysiłki z pańskiej strony?

- Chciałem uzyskać pewność, że jest pan odpowiednim człowiekiem - odparł poważnie Hellier.

- Mówi pan zagadkami - zniecierpliwiał się Warren. - Chce pan mi zaproponować pracę? - zapytał rozbawiony. - Może mam być doradcą przy kręceniu filmu?

- Może - odparł Hellier. - Pozwoli pan, że zadam jedno pytanie. Rozwiódł się pan z żoną. Dlaczego?

Warren był oburzony, zdziwiony i zaszokowany. Oburzył go charakter pytania. Zdziwiło to, że układny Hellier je zadał, a zaszokował fakt, iż zasięgał o nim aż tak szczegółowych informacji.

- To moja sprawa - odpowiedział chłodno.

- Niewątpliwie. - Hellier przyglądał się Warrenowi przez moment. - Powiem panu, dlaczego żona się z panem rozwiodła. Nie podobały się jej pańskie kontakty z narkomanami.

Warren oparł dłonie o poręcz fotela, zamierzając wstać, ale Hellier powiedział stanowczo:

- Siadaj, człowieku. Wysłuchaj, co mam do powiedzenia.

- Niech to będzie coś sensownego - odparł Warren, uspokajając się. - Takie rozmowy działają mi na nerwy. Hellier zgasił papierosa i zapalił następnego.

- Ten fakt mówi mi więcej o panu niż o pańskiej żonie, która mnie nie obchodzi. Dowodzi mianowicie, że sprawy zawodowe są dla pana ważniejsze niż życie osobiste. Wie pan, że uważają pana za fanatyka w dziedzinie narkotyków?

- Już mi na to zwracano uwagę - rzekł chłodno Warren. Hellier pokiwał głową.

- Jak sam pan wspomniał - a potwierdza to mój pobieżny raport
- narkomani nie należą do najłatwiejszych pacjentów. Są zarozumiali, agresywni, zakłamanii, złośliwi, przebiegli - pasują do nich wszelkie pejoratywne określenia. A jednak pan mimo wszystko uparczywie stara się im pomóc. Nawet za cenę rozstania z żoną. Na mój gust świadczy to o wielkim zaangażowaniu.

- Też coś! - zachnął się Warren. - Taki już jest charakter tej pracy. Wszystkie ujemne cechy, które pan wymienił, stanowią objawy typowego zespołu uzależnienia. Narkomani zachowują się w ten sposób z powodu nałogu i nie można pozostawić ich własnemu losowi tylko dlatego, że nie podoba nam się ich sposób bycia. - Pokręcił głową. - Broszę przejść do rzeczy. Nie zjawilem się tu, żeby być podziwianym - zwłaszcza przez pana.

Hellier zrobił się czerwony na twarzy.

- W pewnym sensie powiedziałem już, o co chodzi - stwierdził. - Ale przejdę do sedna sprawy. Kiedy byłem w pańskim gabinecie, powiedział pan, że cała rzecz w tym, by powstrzymać nielegalny dopływ narkotyków. Powiedział pan też, że to problem międzynarodowy. I stwierdził pan natychmiast, że nie jest przygotowany, by wyskoczyć do Iranu i przeżyć tam szaleńczą przygodę. - Wymierzył w niego wyprostowany palec. - Myślę, że pan coś wie. doktorze Warren, i to coś bardzo konkretnego.

- Mój Boże! - odrzekł Warren. - Wyciąga pan pochopne wnioski.

- Jestem do tego przyzwyczajony - odparł spokojnie Hellier. - Mam spore doświadczenie - i na ogół się nie myślę. Za to mi płacą i to sporo. A więc dlaczego Iran? Heroinę wyrabia się z opium, a opium pochodzi z wielu miejsc. Może pochodzić z Dalekiego Wschodu, z Chin albo Birmy, ale pan stwierdził, że problem nielegalnych dostaw ma swoje źródło na Bliskim Wschodzie. Dlaczego Bliski Wschód? I dlaczego akurat Iran? To opium mogłoby pochodzić z któregośkolwiek z kilku krajów od Afganistanu po Grecję, a pan bez namysłu wymienia Iran. - Odstawił szklanekę, która delikatnie brzęknęła. - Pan wie coś konkretnego, doktorze Warren. Warren poruszył się w fotelu.

- Skąd to nagle zainteresowanie?

- Ponieważ postanowiłem coś z tym zrobić - odparł Hellier. Zaśmiał się krótko, widząc wyraz twarzy Warrena. - Nie, nie oszalałem ani nie mam manii wielkości. Sam pan mi podsunął tę myśl. Po jakiego diabła leczyć tych cholernych idiotów, skoro mogą wyjść na ulicę i za najbliższym rogiem dostać następną porcję narkotyku? Gdyby przerwać nielegalne dostawy, miałby pan o wiele łatwiejszą pracę.

- Na Boga! - wybuchnął Warren. - Pracują nad tym setki policjantów na całym świecie. Niby dlaczego pan miałby być od nich lepszy?

Hellier wycelował w niego palec.

- Ponieważ posiada pan informacje, których nie chce pan przekazać policji ze znanych sobie powodów - jestem pewien, że najzupełniej etycznych.

- A które przekażę panu, czy o to chodzi?

- No, nie - odparł Hellier. - Może je pan zatrzymać dla siebie, jeśli pan chce. - Raz jeszcze wymierzył palec w kierunku Warrena. - Widzi pan, to pan załatwi tę sprawę.

- Teraz już wiem, że pan oszalał - stwierdził z niesmakiem Warren. - Panie Hellier, myślę, że jest pan wytracony z równowagi. Chce pan odbyć jakąś dziwną ekspiację i próbuje mnie pan do tego wciągnąć. - Skrzywił się. - To przypomina zamykanie drzwi do stajni, kiedy koń już z niej uciekł. Nie chcę brać w tym udziału.

Hellier nie przejmując się jego słowami, zapalił kolejnego papierosa, na co Warren powiedział nagle:

- Za dużo pan pali.

- Jest pan już drugim lekarzem, który mi to mówi w ciągu ostatnich dwóch tygodni - Hellier machnął ręką. - Widzi pan, nawet teraz nie przestaje pan wykonywać swego zawodu. Kiedy poprzednio się widzieliśmy, powiedział pan coś jeszcze: "Jestem lekarzem, który jakoś wiąże koniec z końcem". - Roześmiał się. - To fakt, znam co do grosza stan pańskiego konta. Przypuśćmy jednak, że dysponowałby pan praktycznie nieograniczonymi funduszami, a do tego informacjami, które moim zdaniem pan posiada, bo nawiasem

mówiąc wcale pan temu nie przeczy. Co wtedy?

Warren odezwał się bez namysłu:

- Jeden człowiek sobie z tym nie poradzi.

- Kto powiedział, że chodzi o jednego człowieka? Niech pan dobierze sobie ludzi - nalegał Hellier. Warren wpatrywał się w niego.

- Zdaje się, że mówi pan poważnie - stwierdził ze zdziwieniem.

- W mojej branży wymyśla się dla ludzi bajki - powiedział poważnie Hellier - ale na własny użytek tego nie robię. Mówię jak najbardziej poważnie.

Warren wiedział, że się nie omylił. Śmierć córki naprawdę wytrąciła Helliera z równowagi. Zawsze dążył w życiu do jednego celu, a teraz zboczył z kursu i skoncentrował się całkowicie na nowym zadaniu. I trudno byłoby go powstrzymać.

- Chyba nie zdaje pan sobie sprawy, o jaką chodzi stawkę - powiedział.

- Nie obchodzi mnie to - odparł obojętnie Hellier. - Chcę załatwić tych drani. Chcę krwi!

- Czyjej krwi? Mojej? - zapytał cynicznie Warren. - Wybrał pan nieodpowiedniego człowieka. Zresztą chyba nikt odpowiedni nie istnieje. Potrzebny panu ktoś pośredni między świętym Jerzym a Jamesem Bondem. Jestem lekarzem, a nie pogromcą gangsterów.

- Ma pan potrzebną wiedzę i kwalifikacje - powiedział z naciskiem Hellier. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę może Warrena utracić, dodał więc spokojnie: - Niech pan nie podejmuje pochopnej decyzji, doktorze. Proszę to przemyśleć. - Jego głos nabrał ostrego tonu. - I proszę nie zapominać o etyce. - Spojrzał na zegarek. - A teraz może coś przekąsimy?

II

Warren opuszczał mieszkanie Helliera najedzony do syta, ale pełen niepokoju. Idąc po Jermyn Street w kierunku Piccadilly Circus rozważał wszystkie aspekty jego dziwnej propozycji. Bez wątpienia Hellier mówił serio, ale nawet w połowie nie miał pojęcia, w co się pakuje. W występnyim światku handlarzy narkotyków nie znano litości. Gra szła o zbyt dużą stawkę.

Przeciskając się przez szemrzący tłum na Piccadilly Circus, skręcił w Soho. Przystanął obok pubu, spojrzął na zegarek i wszedł do środka. Było tam tłoczno, ale ktoś usłużnie zrobił mu miejsce w rogu baru, zamówił więc szkocką i trzymając szklanekę w ręce, rozejrzał się wokół. Po drugiej stronie sali siedziało przy stoliku trzech jego chłopaków. Przyjrzał się im badawczo i uznał, że niedawno musieli się szprycować. Zachowywali się swobodnie i prowadzili ożywioną rozmowę. Jeden z nich spojrzął znad stolika i pomachał do niego ręką. Warren pozdrowił go, unosząc dłoń.

Aby dotrzeć do swoich pacjentów i mimo wszelkich trudności zdobyć ich zaufanie, Warren przebywał wśród nich i w końcu go zaakceptowali. Walczył z uporem, żeby stosowali czyste strzykawki i wodę destylowaną. Zbyt wielu z nich nie miało najmniejszego pojęcia o higienie. Dzielił z nimi życie w przestępczym półświatku, o którym nawet prostytutki z Soho wyrażały się z pogardą, uważając, że narkomani psują opinię całej okolicy. Człowiek miał ochotę się śmiać - albo płakać.

Warren nie poddawał ocenie ich postępowania. Dla niego był to problem społeczny i medyczny. Nie obchodziła go bezpośrednio wrodzona człowiekowi słabość, która doprowadzała ludzi do zażywania heroiny. Wiedział jedynie, że gdy ktoś raz popadł w nałóg, nie miał już wyjścia. Na tym etapie żadne oskarżenia nie miały sensu, gdyż do niczego nie prowadziły. Był tylko chory człowiek, który potrzebował pomocy i Warren pomagał mu, mając przeciw sobie całe społeczeństwo, policję, a nawet samego narkomana. Właśnie w tym pubie i w podobnych miejscach dowiedział się trzech niepodważalnych faktów i usłyszał tysiące pogłosek, składających się na tę wyjątkową wiedzę, którą Hellier usiłował z niego wydobyć. Zadając się z narkomanami miał do czynienia ze światem przestępczym. Na początku w jego obecności byli małomówni, ale potem, kiedy przekonali

się, że można liczyć na jego dyskrecję, zaczęli rozmawiać z nim bardziej swobodnie. Wiedzieli, kim jest i co robi, ale akceptowali to, chociaż dla części z nich był po prostu Jeszcze jednym "napalonym samarytaninem", który nie powinien wtykać nosa w cudze sprawy. Większość jednak go zaakceptowała.

Odwrócił się w stronę baru i zaczął wpatrywać w szklanę. "Nick Warren jako Bond-amator!" - pomyślał. Hellier jest niesamowity. Problem polegał na tym, że nie zdawał sobie sprawy, na co się porywa. Był milionerem, ale przy cenach obowiązujących w handlu narkotykami nawet Hellier mógł się wydawać biedakiem, a gdy gra idzie o takie pieniądze, ludzie nie wahają się zabijać.

Czyjaś ciężka ręka walnęła go po plecach tak, że aż się zakrztusił.

- Cześć, doktorku. Topisz smutki? Warren odwrócił się.

- Cześć, Andy. Napij się.

- Bardzo chętnie - odparł Andrew Tozier.- Ale na mój rachunek. - Wyciągnął portfel i z grubego pliku wyłuskał pojedynczy banknot.

- Nie przyszłoby mi to do głowy - powiedział chłodno Warren. - Jesteś wciąż bez pracy. - Odszukał wzrokiem barmana i zamówił dwie porcje whisky.

- Taaak... - odparł Tozier, chowając portfel. - Na mój gust, na świecie robi się zbyt spokojnie.

- Chyba nie czytasz gazet - zauważył Warren. - Rosjanie znowu rozrabiają, a w Wietnamie, jak słyszałem, dalej jest gorąco.

- Ale to wielki biznes - stwierdził Tozier. - Dla takich drobnych przedsiębiorców jak ja, nie ma miejsca. Wszędzie to samo - duże firmy niszczą nas, nic nie znaczących facetów. - Wziął do ręki szklanę. - Zdrowie!

Warren przyglądał mu się z nagłym zainteresowaniem. Major Andrew Tozier. Zawód: najemnik. Płatny zabójca. Andy nie strzeliłby do kogokolwiek - to byłoby morderstwo. Ale gotów był na zlecenie jakiegoś nowego rządu zapędzić do szeregu pułk na wpeł wyszkolonych czarnoskórych żołnierzy i poprowadzić ich do boju. Stanowił żywą ilustrację ogarniętego schizofrenią świata.

- Zdrowie! - powiedział machinalnie Warren. W głowie kłębiły mu się szalone myśli.

Tozier wskazał głową na drzwi.

- Twój gabinet się zapełnia, doktorku. - Warren obejrzał się i zobaczył wchodzących właśnie czterech młodych mężczyzn. Trzej byli jego pacjentami, ale czwartego nie znał. - Nie rozumiem, jak możesz znieść tych śmierdzieli - stwierdził Tozier.

- Ktoś musi się nimi zajmować - odparł Warren. - Kim jest ten nowy?

Tozier wzruszył ramionami.

- Jeszcze jedna przeklęta dusza w drodze dopiekła. - Jego słowa zabrzmiały dość makabrycznie. - Spotkasz go zapewne, jak będzie chciał się szprycować.

Warren pokiwał głową.

- A więc w twojej robocie zastój.

- Całkowity.

- Może żądasz wygórowanych stawek? Przypuszczam, że to kwestia podaży i popytu, jak w każdej innej branży.

- Stawki nigdy nie są wygórowane - odparł Tozier nieco smętnie. - Jaką cenę wyznaczyłbyś za własną skórę, doktorku?

- Właśnie żądano mi to pytanie - w pośredni sposób - rzekł Warren, myśląc o Hellierze. - A jaka właściwie obowiązuje stawka?

- Pięćset miesięcznie plus cholernie wysoka premia po wykonaniu zadania. - Tozier uśmiechnął się. - Chcesz zacząć wojnę? Warren popatrzył mu w oczy.

- Niewykluczone. Tozier przestał się uśmiechać. Przyjrzał się Warrenowi uważnie. Sposób, w jaki to powiedział, zrobił na nim wrażenie.

- Wielki Boże! Chyba mówisz serio - rzekł. - Z kim chcesz się zmierzyć? Ze stołeczną policją? - Uśmiechnął się ponownie, tym razem jeszcze szerzej.

- Nigdy nie pracowałeś tak naprawdę na prywatne zlecenie, prawda? - zapytał Warren. -

Chodzi mi o to czy brałeś udział w jakiejś prywatnej, a nie publicznej wojnie.

Tozier pokręcił głową.

- Zawsze trzymałem się prawa, a przynajmniej polityki. Zresztą niełatwo o ludzi, którzy finansują rozróby z własnej kieszeni. Rozumiem, że nie chodzi o noszenie spluwy za jakimś ważniakiem z Soho, który dorabia się mozolnie prywatnego imperium? Ani o osobistą ochronę?

- Nic z tych rzeczy - odparł Warren. Zastanawiał się, jaki jest Andrew Tozier. Miał swoje zalety. Niedawno Warren spytał go, dlaczego nie skorzystał z konfliktu w jednym z krajów Ameryki Południowej.

Tozier okazał zjadliwą pogardę.

- Na Boga! Tam biją się o władzę dwa gangi awanturników z wyższych sfer. Nie mam ochoty powystrzelać Bogu ducha winnych, pieprzonych wieśniaków, którzy przypadkiem znajdują się na linii ognia. - Patrzył na Warrena w skupieniu. - Sam decyduję o tym, gdzie mam walczyć - stwierdził.

Warren pomyślał, że gdyby podjął idiotyczne wyzwanie Helliera, Andy Tozier byłby dla niego odpowiednim towarzyszem. Ale nie brał tego poważnie.

Tozier pomachał ręką na kelnera i uniósł w górę dwa palce. Potem odwrócił się do Warrena i rzekł:

- Masz jakiś problem, doktorku. Ktoś wywiera na ciebie presję?

- W pewnym sensie - odparł kwaśno Warren. Pomyślał, że Hellier tak naprawdę jeszcze nie zaczął. Następnym etapem będzie moralny szantaż.

- Podaj mi jego nazwisko - zaproponował Tozier. - Trochę go przycisnę. Nie będzie ci się więcej naprzykrzał. Warren uśmiechnął się.

- Dzięki, Andy. To innego rodzaju presja. Tozier najwyraźniej poczuł ulgę.

- W takim razie w porządku. Myślałem, że zmówili się przeciw tobie ci twoi szprycownicy. Szybko bym ich przywołał do porządku. - Położył na kontuarze jednofuntowy banknot i zabrał resztę. - No to, oby nam się...!

- Przypuśćmy, że to ja potrzebowałbym ochrony - zaczął ostrożnie Warren. - Czy podjąłbyś się tego za normalną cenę? Tozier roześmiał się na głos.

- Nie byłoby cię stać. Ale popracowałbym za darmo, gdyby ta robota nie trwała zbyt długo. - Na czole pojawiły mu się zmarszczki. - Ciebie naprawdę coś gryzie, doktorku. Lepiej powiedz mi, o co chodzi.

- Nie - odparł stanowczo Warren. Jeżeli - a stało to pod cholernie dużym znakiem zapytania - miał głębiej wchodzić w tę sprawę, nie mógł nikomu ufać, nawet Andy'emu Tozierowi, który wydawał się dość uczciwy. - Jeśli w ogóle do tego dojdzie - powiedział powoli - cała rzecz potrwa, powiedzmy, parę miesięcy i dotyczyć będzie Bliskiego Wschodu. Dostałbyś swoich pięć setek miesięcznie plus premię.

Tozier ostrożnie odstawił szklanke.

- I nie chodzi o politykę?

- O ile mi wiadomo, nie - odparł Warren w zamyśleniu.

- I mam ochraniać ciebie"? - Tozier wydawał się zaskoczony. Warren uśmiechnął się szeroko.

- Może będzie trochę przepychanki.

- Bliski Wschód i żadnej polityki. Można i tak - powiedział Tozier z zadumą, kręcąc głową. - Lubię zwykle wiedzieć dokładniej, w co się pakuję, - Posłał Warrenowi przenikliwe spojrzenie. - Ale tobie mogę zaufać. Daj znać, kiedy będę potrzebny.

- Może nigdy do tego nie dojść - ostrzegł Warren. - Nie ma żadnych zobowiązań.

- W porządku - odparł Tozier. - Powiedzmy, że jestem do usług. - Ostentacyjnie opróżnił szklanke i odstawił ją z hałasem, patrząc wyczekująco na Warrena. - Teraz twoja kolejka. Jeżeli ktoś stać na wynajęcie mnie, może postawić mi drinka.

* * *

Wróciwszy do domu, Warren przez długi czas siedział w fotelu wpatrując się w przetrzeń. Mimo tego, co usłyszał od niego Andy Tozier, w jakiś trudny do określenia sposób czuł się zaangażowany w sprawę. Już samo spotkanie z tym człowiekiem nasunęło mu różne pomysły, pomysły zupełnie szalone, ale z każdym tyknięciem zegara coraz bardziej realne i konkretne. W pewnej chwili nerwowo wstał z fotela i przeszedł przez pokój.

- A niech cię diabli, Hellier! - powiedział na głos.

Podszedł do biurka, wyjął kartkę papieru i zaczął coś skrzętnie zapisywać. Wpół godziny później miał zanotowanych około dwudziestu nazwisk. Przejrzał uważnie listę i zaczął wykreślać niektóre z nich. Gdy minął kolejny kwadrans, spis zawierał tylko pięć nazwisk:

ANDREW TOZIER

JOHN FOLLET

DAN PARKER

BEN BRYAN

MICHAEL ABBOT

III

Dom pod numerem dwudziestym trzecim na ulicy Akacyjowej był schludnym bliźniakiem, podobnym do setek innych w okolicy. Warren pchnął drewnianą furtkę, po czym mijając maleńki przydomowy ogródek przeszedł kilka kroków dzielących go od frontowych drzwi i nacisnął dzwonek. Otworzyła mu zadbana kobieta w średnim wieku, witając go z radością.

- O, doktor Warren! Dawno pana nie widzieliśmy. - Na jej twarzy pojawiło się zaniepokojenie. - Chyba nie chodzi znów o Jimmy'ego, prawda? Nie wpakował się w nowe kłopoty?

Warren uśmiechnął się uspokajająco.

- Nic mi o tym nie wiadomo, pani Parker. Czuł, jaką sprawiło jej to ulgę.

- Och! - westchnęła. - No to i dobrze. Chce pan zobaczyć się z Jimmy'm? Nie ma go w domu. Poszedł do klubu.

- Przyszedłem do Dana na przyjacielską pogawędkę - wyjaśnił Warren.

- Ależ jestem roztrzępana - zreflektowała się pani Parker. - Trzymam pana w drzwiach. Proszę wejść, doktorze. Dan właśnie wrócił. Myje się na górze.

Warren doskonale wiedział, że Dan Parker dopiero co wrócił. Nie chciał się z nim spotykać w warsztacie, w miejscu pracy, czekał więc w swoim samochodzie i pojechał za nim do domu. Pani Parker wprowadziła go do pokoju, którego okno wychodziło na ulicę.

- Powiem mu, że pan przyszedł - oznajmiła.

Warren rozejrzał się po niewielkim pokoiku. Zobaczył na ścianie trzy gliniane kaczki, a na kredensie zdjęcia dzieci i fotografię młodego jeszcze Dana Parkera w mundurze. Nie musiał czekać długo. Parker wszedł do pokoju i wyciągnął do niego rękę.

- Cóż za nieoczekiwana przyjemność, doktorze. - Ściskając mu dłoń, Warren poczuł twardość zgrubiałego naskórka. - Któregoś dnia mówiłem właśnie do Sally, że byłoby dobrze częściej pana widywać.

- Może tak jest lepiej - odparł Warren z odrobiną żalu. - Obawiam się, że właśnie przestraszyłem panią Parker.

- Taak - powiedział z powagą Parker. - Wiem, o czym pan myśli. Ale mimo wszystko chcielibyśmy pana widywać. Tak po przyjacielsku. - W jego głosie nadal pobrzmiwał miły akcent z Lancaster, chociaż Parker od wielu lat mieszkał w Londynie. - Niech pan siada, doktorze. Sally przyniesie zaraz herbatę.

- Przyszedłem do pana... w interesach.

- Ach, tak - odparł ze spokojem Parker. - Zajmiemy się tym po podwieczorku, zgoda? Sally i tak musi wyjść. Jej młodsza siostra niezbyt dobrze się czuje, więc pomaga jej trochę przy dziecku.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Warren. - A co u Jimmy'ego?

- Teraz już w porządku - odparł Parker. - Sprowadził go pan ze złej drogi, doktorze. Postraszył go pan jak należy, a ja staram się dopilnować, żeby dalej miał bat nad głową.

- Nie byłbym dla niego zbyt surowy.

- Tyle, ile trzeba - stwierdził bezkompromisowo Parker. - Nie będzie się już głupio zabawiał.

- Westchnął ciężko. - Co te dzieciaki teraz wyprawiają. Kiedy byłem młody, to się nie zdarzało. Gdybym zrobił to, co Jimmy, ojciec złożyłby mi pasem skórę. A miał ciężką rękę ten mój stary. - Pokręcił głową. - Ale nam coś takiego nawet by nie przyszło do głowy. Warren wysłuchiwał tych staromodnych rodzicielskich utyskiwań bez cienia uśmiechu.

- Tak - zgodził się z całą powagą. - Wiele się zmieniło.

Sally Parker wniosła podwieczorek. Była to skromniejsza, południowa odmiana posiłku, jaki jada się tradycyjnie w północnej części kraju. Namawiała Warrena na domowe ciasteczka i rożki, nalegała też, by wypił drugą filiżankę herbaty. Warren dyskretnie przyglądał się Parkerowi, próbując się zorientować, jak zacząć rozmowę na delikatny temat, aby możliwie najskuteczniej skłonić go do współpracy.

Daniel Parker miał czterdzieści lat. W ostatnich miesiącach wojny wstąpił do marynarki i postanowił w niej pozostać. Podczas pokoju piął się uparcie do góry, mimo że awanse, siłą rzeczy, następowały rzadko. Walczył na wodach Korei, a po zakończeniu konfliktu był już podoficerem z szansami na stopień oficerski. Ale w 1962 roku torpeda stoczyła mu się na nogę i taki był koniec jego kariery w marynarce. Wyszedł z wojska pozbawiony stopy, z rentą inwalidzką i bez pracy. Brakiem zajęcia się nie martwił, wiedząc, że ma talent w rękach. Od 1963 roku pracował jako mechanik samochodowy i Warren był zdania, że jego pracodawca ma piekielne szczęście.

Pani Parker spojrzała na zegarek i zawołała:

- Och, spóźnię się. Musi mi pan wybaczyć, doktorze.

- Oczywiście, pani Parker - odparł Warren wstając.

- Idź, złotko - powiedział Parker. - Pozbieram ze stołu i porozmawiamy sobie spokojnie z doktorem. - Kiedy żona wyszła, Parker wyciągnął pęką fajkę i zaczął ją napełniać.

- Wspomniał pan, że ma do mnie jakiś interes, doktorze - spojrzał na niego z zaciekawieniem, a potem się uśmiechnął. - Może potrzebny panu nowy wóz?

- Nie - odparł Warren. - Jak tam w warsztacie, Dan? Parker wzruszył ramionami.

- Jak zwykle. Czasem robi się trochę nudno, ale teraz mam ciekawe zajęcie przy mini-cooperze. - Uśmiechnął się z wolna. - Najczęściej wybawiam z kłopotów damy. Któregoś dnia przyszła taka jedna i powiedziała, że samochód za dużo pali. Sprawdziłem, wszystko było w porządku, więc go jej oddałem. Ale niedługo potem wróciła z tą samą sprawą. - Zapalił zapałkę. - Znowu niczego nie stwierdziłem, więc mówię do niej: "Panno Hampton, przejadę się z panią jeszcze raz na próbę". No i ruszamy. A ona wyciąga ssanie, żeby powiesić sobie torebkę. Była przekonana, że właśnie do tego służy. - Pokręcił głową zdegustowany.

Warren zaśmiał się.

- Marynarka to już odległa przeszłość, Dan.

- Tak, to prawda - odparł Parker trochę smętnie. - Wie pan, ciągle mi tego brak. Ale cóż można poradzić? - bezwiednie potarł okaleczoną nogę. - Może tak jest lepiej dla Sally i dzieciaków, chociaż nigdy nie miała nie przeciwko temu, że nie było mnie w domu.

- Czego najbardziej panu brak, Dan? Parker z namysłem pykał z fajki.

- Trudno powiedzieć. Chyba okazji do obsługiwanego dobrego sprzętu. Przy tym łataniu fabrycznych wozów człowiek się nie rozwija. Dlatego lubię dostawać coś nowego, jak ten mini-cooper, nad którym teraz pracuję. Kiedy skończę, sam Issigonis by go nie rozpoznał.

- Przypuśćmy, że miałby pan okazję zająć się znowu czymś z dziedziny marynarki - zaczął ostrożnie Warren. - Podjąłby się pan tego?

Parker wyjął fajkę z ust.

- Do czego pan zmierza, doktorze?

- Potrzebuje kogoś, kto zna się na torpedach - powiedział Warren prosto z mostu.

Parker zmrużył oczy.

- Chyba znam się na nich lepiej niż ktokolwiek, ale nie pojmuję... - przerwał w pół zdania i patrzył na Warrena zaskoczony.

- Niech pan posłucha. Powiedzmy, że chce przemyścić do kraju, który graniczy z morzem coś stosunkowo lekkiego i mającego dużą wartość. Czy można to zrobić za pomocą torpedy? Parker podrapał się po głowie.

- Nigdy nie wpadłem na ten pomysł - powiedział, szeroko się uśmiechając. - Ale to cholernie dobra myśl. Co chce pan szmuglo-wać? Szwajcarskie zegarki?

- A co by pan powiedział na heroinę? - zapytał cicho Warren.

Parker zeszywniał i wpatrywał się w Warrena tak, jakby temu wyrosły nagle rogi i ogon. Fajka wypadła mu z ręki, ale nie zwracał na nią uwagi.

- Mówi pan poważnie? - zapytał. - Nigdy bym w to nie uwierzył.

- Wszystko w porządku, Dan - odparł Warren. - Mówię poważnie, ale w innym sensie niż pan sądzi. Tylko czy dałoby się to zrobić? Dopiero po dłuższej chwili Parker sięgnął po fajkę.

- Jak najbardziej - powiedział. - Starego typu torpeda Mark XI miała w głowicy ładunek o wadze ponad siedmiuset funtów. Można by tam wpakować cholernie dużo heroiny.

- A co z zasięgiem?

- Maksymalnie pięć i pół tysiąca jardów, gdyby wcześniej rozgrzać baterie - odparł Parker bez namysłu.

- Cholera! - Warren był zawiedziony. - To za mało. Wspomniał pan o bateriach. To torpeda z elektrycznym napędem?

- Tak. Idealna do przemytu. No wie pan, nie pozostawia za sobą pęcherzyków powietrza.

- Ale ma zdecydowanie za mały zasięg - odparł Warren zniechęcony. - A to był taki dobry pomysł...

- W czym problem? - zapytał Parker, zapalając zapalniczkę.

- Myślałem o tym, żeby wystrzelić torpedę na brzeg ze statku płynącego poza wodami terytorialnymi Stanów Zjednoczonych. To jakieś dwanaście mil - ponad dwadzieścia jeden tysięcy jardów.

- Duża odległość - stwierdził Parker, pykając z fajki. Nie paliła się, musiał więc użyć następnej zapalniczki i dopiero po jakimś czasie tytoń rozżarzył się jak należy. - Ale może dałoby się coś zrobić.

Warren na nowo odzyskał nadzieję i spojrzał na niego z uwagą.

- Naprawdę?

- Torpedę typu Mark XI skonstruowano w 1944 roku, a od tamtego czasu wiele się zmieniło - powiedział Parker zamyślony, po czym podniósł wzrok. - A w ogóle skąd by ją pan wziął?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem - odparł Warren. - Ale nie powinno być problemu. W Szwajcarii mieszka pewien Amerykanin, który ma wystarczające zapasy broni, żeby uzbroić całą brytyjską armię. Powinien mieć też torpedy.

- A więc będzie to typ Mark XI - odparł Parker. - Albo ich niemiecki odpowiednik. Wątpię, żeby coś nowocześniejszego trafiło już na wolny rynek. - Ściągnął wargi. - To ciekawa sprawa. Widzi pan, torpeda typu Mark XI ma baterie ołowiowo-kwasowe. Pięćdziesiąt dwie sztuki. Ale od wojny sporo się zmieniło i teraz można już dostać coś lepszego. Wyrzuciłbym te stare baterie i zastąpił je rtęciowymi, o dużej mocy. - Popatrzył w sufit rozmarzonym wzrokiem. - Trzeba by zaprojektować od nowa wszystkie obwody i cholernie dużo by to kosztowało, ale myślę, że bym sobie poradził.

Pochylił się do przodu, postukał fajką o kominek, żeby opróżnić ją z popiołu, po czym wbił w Warrena stanowcze spojrzenie.

- Tyle, że nie ma mowy o przemyśczeniu narkotyków.

- W porządku, Dan. Nie zmieniłem poglądów. - Warren potarł dłonią podbródek. - Chcę panu zaproponować wspólną robotę. Zarobi pan dwa razy tyle, co w warsztacie, a na koniec będzie duża premia. Gdyby potem nie chciał pan do warsztatu wracać, ma pan zagwarantowaną stałą pracę na jak długo pan zechce.

Parker wydmuchał długą smugę dymu.

- Coś mi tu nieładnie pachnie, doktorze. Wygląda to na nielegalną robotę.
- Nie jest nielegalna - odparł pośpiesznie Warren. - Ale może być niebezpieczna.
Parker zastanawiał się.
- Ile by to potrwało?
- Nie wiem. Może trzy miesiące, może pół roku. Poza tym nie chodzi o Anglię. Pojechałby pan na Bliski Wschód. - I może być niebezpiecznie.
- W jakim sensie?
Warren zdecydował się postawić sprawę uczciwie:
- No cóż, jeżeli zrobi pan niewłaściwy krok, mogą pana zastrzelić. Parker położył fajkę na kominku.
- Czy aby nie za dużo pan żąda? Mam żonę i troje dzieci, a pan przychodzi tu z dziwną ofertą, która śmierdzi na odległość i dowiaduję się w dodatku, że mogą mnie zastrzelić. Dlaczego właściwie zwraca się pan do mnie?
- Potrzebuję specjalisty od torped, a nie znam żadnego oprócz pana. - Na ustach Warrena pojawił się ledwie widoczny uśmiech. - W pańskiej branży nie roi się od fachowców.
Parker skinął głową potakująco.
- To fakt. Nie chcę się chwalić, ale nie znam innego człowieka, który zrobiłby to, czego pan oczekuje. Trzeba by się przy tym nieźle nagimnastykować, co? Pchnąć to stare cygaro na odległość ponad dwudziestu tysięcy jardów - no, no!
Warren wstrzymał oddech, obserwując, jak Parker walczy z pokusą, a potem westchnął, gdy ten pokręcił głową, mówiąc:
- Nie, nie mógłbym tego zrobić. Co by powiedziała Sally?
- Wiem, że to niebezpieczna robota, Dan.
- Nie tym się martwię. Nie chodzi o mnie. Mogłem zginąć w Korei. Problem w tym, że... No cóż, nie mam wysokiego ubezpieczenia, a co ona pocnie z trójką dzieciaków, gdyby coś mi się stało?
- Powiem panu tylko tyle, Dan - odparł Warren. - Nie przypuszczam, żeby doszło do najgorszego, ale gdyby tak się zdarzyło, dopilnuję, żeby Sally dostała dożywotnią rentę równą pańskim obecnym zarobkom. Bez żadnych warunków - i mogę to panu dać na piśmie.
- Widzę, że szasta pan pieniędzmi. A może nie są pańskie? - spytał rzeczowo Parker.
- Nieważne, skąd pochodzą. Chodzi o słuszną sprawę. Parker westchnął.
- Na tyle mogę panu zaufać. Wiem, że nigdy nie stanąłby pan po niewłaściwej stronie. Kiedy ma się zacząć ta heca?
- Nie wiem - odparł Warren. - Może w ogóle się nie zacznie. Jeszcze się nie zdecydowałem. Ale jeżeli wystartujemy, to w przyszłym miesiącu.
Parker gryzł cybuch fajki, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że dawno zgasła. Wreszcie spojrział na Warrena z błyskiem w oczach.
- Dobrze, zgadzam się. Sally robi mi pewnie piekielną awanturę. - Uśmiechnął się szeroko.
- Najlepiej nic jej nie mówić, doktorze. Wymyślę jakąś bajeczkę. - Podrapał się w głowę. - Muszę spotkać się z kumplami z marynarki i zdobyć instrukcję do torpedy Mark XI Gdzieś się jakaś musiała uchować. Będzie mi potrzebna, żeby przerobić obwody.
- Proszę się tym zająć. Może lepiej panu powiem o co chodzi - powiedział Warren.
- Nie ! - zaprotestował Parker. - Mam już ogólne pojęcie. Jeżeli to ma być niebezpieczne, im mniej wiem, tym lepiej dla pana. Kiedy nadejdzie pora, powie mi pan, co robić, a ja to zrobię - o ile będę umiał.
- Czy może się nie udać? - zapytał Warren bez ogródek.
- Może. Ale jeżeli dostanę wszystko, o co poproszę, chyba da się to zrobić. Mark XI to świetny sprzęt. Nietrudno z jego pomocą zrobić coś niewykonalnego. - Uśmiechnął się szczerze. - Co pana do tego skłoniło? Ma pan dość leczenia kolejnych narkomanów?
- Coś w tym rodzaju - skwitował pytanie Warren.
Opuszczając Parkera, który z zadowoleniem mruzczał coś do siebie na temat baterii i obwodów, ostrzegł go, że rozmowa jest na razie niezobowiązująca, A jednak, podkreślając z

naciskiem wstępny charakter wszelkich uzgodnień, wiedział, że angażuje się w sprawę coraz bardziej.

IV

Warren zatelefonował do Andrew Toziera.

- Mogę liczyć dziś wieczorem na twoje wsparcie, Andy?
- Jasne, doktoru. Moralne czy fizyczne?
- Możliwe, że jedno i drugie. Zobaczymy się w Howard Club. Wiesz, gdzie to jest?
- Wiem - odparł Tozier. - Mógłbyś wybrać lepsze miejsce, jeżeli chcesz tracić pieniądze, doktoru. To pierwszej wody szulernia.
- Uprawiam hazard, Andy - stwierdził Warren. - Ale nie chodzi o pieniądze. Trzymaj się z boku, dobrze? Poproszę cię, gdybyś był potrzebny. Zjawię się tam o dziesiątej.
- Rozumiem. Potrzebujesz ubezpieczenia.
- Właśnie - przytaknął Warren i odłożył słuchawkę.

* * *

Howard Club mieścił się w Kensington, ukryty dyskretnie w jednym ze starych wiktoriańskich domów w szeregowej zabudowie. W odróżnieniu od klubów w Soho, nie było tam błyskających neonów, które reklamowałyby grę w oko i ruletkę, gdyż lokal nie należał do tanich. W Howard Club nie kupowało się żetonów za pół korony. Tuż po dziesiątej Warren przeszedł przez salę gry w kierunku baru. Miał pełną świadomość, że jego wizyta wzbudziła zainteresowanie personelu. Kiedy się pojawił, portier podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i wiadomość dotarła szybko do jego zwierzchników. Warren przyglądał się przez chwilę ruletce i pomyślał drwiąco: "Gdybym był Jamesem Bondem, rozbiłbym bank".

Przy barze zamówił szkocką, a kiedy barman postawił ją przed nim, usłyszał beznamiętny głos, mówiący z amerykańskim akcentem:

- To będzie na koszt firmy, doktorze Warren. Odwróciwszy się, ujrzał za sobą Johna Folleta, szefa klubu.
 - Co pan porabia tak daleko na Zachodzie? - zapytał Follet. - Jeżeli szuka pan którejś ze swoich zagubionych owieczek - to tu jej pan nie znajdzie. Nie przepadamy za nimi.
- Warren zrozumiał bardzo dobrze, że to ostrzeżenie. Zdarzało się już, że niektórzy z jego pacjentów próbowali dorobić się szybko fortuny, żeby móc zaspokajać narkotyczny głód. Nie udawało im się to, oczywiście, a kiedy tracili panowanie nad sobą, wszystko kończyło się awanturą. Zarząd Howard Club nie lubił awantur - psuły atmosferę szacownego lokalu - poradzono więc Warrenowi, żeby pilnował swoich chłopców.
- Uśmiechnął się do Folleta.

- Tylko się rozglądam, Johnny. - Wziął do ręki szklanekę. - Napijesz się ze mną?

Follet skinął na barmana i stwierdził:

- W każdym razie, miło pana widzieć.

"Wkrótce zmieni zdanie" - pomyślał Warren, głośno zaś powiedział:

- Mówisz o pacjentach, Johnny. To chorzy ludzie. Nie rządzą nimi. Nie jestem przywódcą ani nikim w tym rodzaju.

- Możliwe - odparł Follet. - Ale kiedy ci pana narwańcy dostają pary, mogą narobić niewiarygodnie wiele szkód. A tylko pan potrafi utrzymać ich w ryzach.

- Rozgłosiłem wszędzie, że nie są tu mile widziani - odparł Warren. - I to wszystko, co mogę zrobić.

Follet odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

- Rozumiem, doktorze. To mi w zupełności wystarczy. Warren rozejrzał się po sali i zobaczył, że Andrew Tozier stoi przy najbliższym stoliku do gry w oko.

- Nieźle się wam powodzi - powiedział zdawkowo. Follet prychnął pogardliwie.

- W tym zwariowanym kraju nikomu nie może się dobrze powodzić. Musimy grać w ruletkę bez zera, a to jest nie do przyjęcia. Żaden klub nie może funkcjonować nie mając forów.

- No, nie wiem - stwierdził Warren. - Klient i klub mają równe szansę, więc jest to uczciwe. Poza tym macie dochód ze składek członkowskich, z baru i restauracji.

- Czy pan oszalał? - naskoczył na niego Follet. - To nie działa w ten sposób. W każdej grze, która stwarza równe szansę, bogaty szczęściarz zawsze bije na głowę szczęściarza bez forsy. Stwierdził to już w 1713 roku Bernoulli. To tak zwany paradoks z Sankt Petersburga. - Wskazał ręką na stół z ruletką. - To koło przynosi pięćdziesiąt tysięcy funtów. A na ile wycenia pan naszych klientów? Jesteśmy zmuszeni grać, przy równych szansach, przeciwko wszystkim. Można więc uznać, że nasz przeciwnik dysponuje nieograniczonymi funduszami. Na dłuższą metę dostajemy w kość i to nieźle.

- Nie wiedziałem, że tak dobrze znasz się na matematyce - zauważył Warren.

- Jeżeli ktoś w tej branży się na niej nie zna, szybko bankrutuje - odparł Follet. - I najwyższa pora, żeby w waszym brytyjskim prawodawstwie zatrudniono, paru matematyków. - Rzucił Warrenowi gniewne spojrzenie. - To nie wszystko. Weźmy grę w oko. Kiedyś była zakazana, bo nazywano ją "gra przypadku". Teraz, kiedy takie gry zalegalizowano, znów chcą jej zabronić, ponieważ dobry gracz ma w niej możliwość pokonać złego. Sami nie wiedzą, czego chcą, do cholery.

- Czy dobry gracz może wygrać w oko? - zainteresował się Warren. Follet przytaknął.

- Wymaga to fenomenalnej pamięci i żelaznych nerwów, ale jest możliwe. Szczęście dla klubu, że niełatwo o takich facetów. Przy grze w oko możemy ryzykować, ale w ruletce musimy mieć przewagę. - Wpatrywał się smętnie w dno szklanki. - A nie widzę na to większej szansy, przynajmniej przy aktualnych przepisach.

- Wszędzie jest ciężko - stwierdził Warren, nie okazując współczucia. - Może powinieneś wrócić do Stanów.

- Nie, jeszcze trochę się tu pokręcę. - Follet opróżnił szklankę.

- Nie odchodź - zatrzymał go Warren. - Nie przyszedłem bez powodu. Chciałem z tobą pogadać.

- Jeżeli chodzi o datek dla pańskiej kliniki, już figuruję w księgach. Warren uśmiechnął się.

- Tym razem chcę tobie dać pieniądze.

- Tego warto posłuchać - zainteresował się Follet. - Niech pan mówi dalej.

- Planuję zorganizować małą ekspedycję - wyjaśnił Warren. - Zapłata nie jest wysoka - powiedzmy dwieście pięćdziesiąt miesięcznie, przez pół roku. Ale jeżeli wszystko dobrze pójdzie, na koniec będzie premia.

- Dwieście pięćdziesiąt miesięcznie! - Follet roześmiał się. - Niech się pan rozejrzy i zobaczy, ile zarabiam. Proszę wymyślić coś lepszego, doktorze.

- Nie zapominaj o premii - powiedział ze spokojem Warren.

- No dobrze. Ile wynosi premia? - zapytał Follet, uśmiechając się.

- To pozostaje do uzgodnienia, ale powiedzmy, że tysiąc.

- Umrę ze śmiechu, panie Warren, naprawdę. Niesamowite, z jaką powagą na twarzy opowiada pan dowcipy. - Zaczął zbierać się do odejścia. - Do zobaczenia, doktorze.

- Zostań, Johnny. Jestem przekonany, że się do mnie przyłączysz. Widzisz, wiem, co przydarzyło się przed paroma miesiącami owemu Argentyńczykowi - i wiem, jak do tego doszło. Obrobiliście go na ponad dwieście tysięcy funtów, prawda?

Follet stanął jak wryty i odwróciwszy głowę, powiedział przez ramię:

- A skąd pan o tym wie?

- Takie opowiadki się rozchodzą. Ty i Kostas byliście bardzo sprytni.

Follet wrócił do Warrena i rzekł poważnie:

- Doktorze Warren, na pańskim miejscu byłbym bardzo ostrożny z wypowiedzianiem takich opinii - zwłaszcza na temat argentyńskich milionerów. Może się panu coś przytrafić.

- Nie wątpię - zgodził się Warren. - Tobie też może się coś przytrafić, Johnny. Gdyby Argentyńczyk dowiedział się, na przykład, jak go urządzono, zrobiłby się smród, prawda? Z

pewnością poszedłby na policję. Co innego przegrać, a co innego zostać oszukanym, więc poszedłby na policję. - Poklepał Folleta po torsie. - A policja zjawiałaby się u ciebie, Johnny. W najlepszym razie zostałbyś deportowany. Wsadziliby cię na statek do Stanów. A może to nie byłoby najlepsze? Jak słyszę, Johnny Follet woli trzymać się teraz z daleka od Ameryki. Chodzi o jakichś ludzi, którzy mają dobrą pamięć.

- Cholernie dużo pan słyszy - odezwał się chłodno Follet.

- Bywam w wielu miejscach - stwierdził Warren, uśmiechając się skromnie.

- Na to wygląda. Nie będzie pan chyba próbował tego wykorzystać, prawda?

- Można to tak określić. Follet westchnął.

- Panie Warren, wie pan, jak to jest. Mam w tym lokalu piętnaście procent udziału. Nie jestem szefem. To Kostas tak urządził tego Argentyńczyka. Pewnie, że wszystko widziałem, ale nie ja wymyśliłem ten numer. Nie maczałem w tym palców i nie miałem z tego żadnych korzyści. Wszystko załatwiał Kostas.

- Wiem - stwierdził Warren. - Jesteś czysty jak śnieg. Ale to nie będzie miało większego znaczenia, kiedy wsadzą cię do VC-10 i odstawią do Stanów. - Zamilkł, a potem dodał zamyślony: - Może dałoby się nawet zorganizować komitet powitalny na lotnisku Kennedy'ego.

- Wcale mi się to nie podoba - powiedział zdenerwowany Follet. - A gdybym tak powiedział Kostasowi, że ma pan za długi język - jak pan myśli, co by się z panem stało? Nigdy nic do pana nie miałem i nie rozumiem, dlaczego pan to robi. Radzę być ostrożnym.

Kiedy się odwracał, Warren powiedział:

- Przykro mi, Johnny. Coś mi się zdaje, że przed końcem miesiąca wrócisz do Stanów.

- Dostyc tego - odparował z wściekłością Follet. - Kostasowi nie warto wchodzić w drogę.

Niech się pan ma na baczności, Warren. - Strzelił palcami. Podpierający ścianę mężczyzna stał się nagle czujny i podszedł do baru. - Doktor Warren właśnie wychodzi - oznajmił Follet.

Warren spojrział w kierunku Andy'ego Toziera i uniósł w górę palec. Tozier podszedł powoli i odezwał się grzecznie:

- Dobry wieczór wszystkim.

- Johnny Follet chce mnie stąd wyrzucić - powiedział Warren.

- Naprawdę? - spytał Tozier z zainteresowaniem. - A jak zamierza to zrobić? Pytam zresztą z czystej ciekawości.

- Co to za facet, do cholery? - warknął Follet.

- Och, jestem przyjacielem doktora Warrena - odparł Tozier. - Ładny ma pan lokal, panie Follet. To byłoby ciekawe zadanie.

- O czym pan mówi? Jakie zadanie?

- Och, można by sprawdzić, jak szybko da się rozebrać ten lokal na kawałki. Znam paru krzepkich sierżantów, którzy w pół godziny by się z tym uporali. Jedyny problem, że miałby pan potem cholernie dużo roboty ze złożeniem wszystkiego do kupy. - Jego głos nabral ostrego tonu. - Niech pan posłucha mojej rady. Jeżeli doktor Warren chce z panem porozmawiać, proszę położyć po sobie swoje kosmate uszy i słuchać.

Follet nabral głęboko powietrza i wydał policzki.

- W porządku, Steve. Sam to załatwię - powiedział do stojącego obok mężczyzny. - Ale trzymaj się w pobliżu. Możesz mi być pilnie potrzebny. - Mężczyzna skinął głową i wrócił na swoje miejsce pod ścianą.

- Napijmy się wspólnie czegoś na uspokojenie - zaproponował Tozier.

- Nic z tego nie rozumiem - zaprotestował Follet. - Dlaczego pan się mnie czepia, Warren? Niczego panu nie zrobiłem.

- I niczego nie zrobisz - zauważył Warren. - A zwłaszcza nie powiesz o niczym Kostasowi, bo gdyby coś mi się stało, wszelkie informacje, które posiadam, dotrą bezpośrednio tam, gdzie okażą się najbardziej przydatne.

- Nie wiem, o co tu chodzi - wtrącił Tozier - ale jeżeli doktorowi Warrenowi coś się przytrafi, niejaki Johnny Follet będzie żałował, że w ogóle się urodził, bez względu na to, co

w ogóle się z nim stanie.

- Dlaczego się na mnie uwzięliście, do diabła? - zapytał z rozpaczą Follet.

- Nie wiem - odparł Tozier. - Dlaczego się na niego uwzięliśmy, doktorku?

- Chodzi tylko o to, żebyś zrobił sobie urlop, Johnny - wyjaśnił Warren. - Pojedziesz ze mną na Bliski Wschód, pomożesz przy pewnej robocie, a potem wrócisz tutaj. I wszystko będzie po staremu. Osobiście nie obchodzi mnie, na ile forsy naciągasz argentyńskich milionerów. Chcę tylko mieć wykonaną robotę.

- Ale dlaczego wybrał pan właśnie mnie? - dopytywał się Follet.

- Wcale cię nie wybierałem - odparł Warren zmęczonym głosem. - Po prostu nie mam nikogo innego, do cholery! Wpadłem na pomysł, że przydałby mi się facet z takimi zdolnościami jak twoje, więc na ciebie wypadło. I nie masz za wiele do powiedzenia. Nie odważyłbyś się zaryzykować, że wyślą cię z powrotem do Stanów. Jesteś hazardzi-ścią, ale nie aż do tego stopnia.

- Dobra, więc wrobiliście mnie - stwierdził Follet z przekąsem. - Co to za interes?

- Załatwiam to ha zasadzie "dowiesz się w swoim czasie". Nie musisz niczego wiedzieć, musisz tylko działać - a ja ci powiem kiedy.

- Zaraz, jedną chwileczkę, do cholery...

- Tak to funkcjonuje - dokończył beznamiętnie Warren. Follet pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Njgdą w życiu nie przytrafiło mi się nic równie idiotycznego.

- Jeśli cię to pocieszy, bracie Jonatanie, ja także nie mam pojęcia, o co chodzi - stwierdził Tozier, przyglądając się Warrenowi z namysłem. - Ale nasz doktorek wczuł się najwyraźniej w rolę szefa, więc przypuszczam, że nim jest.

- No to wydam ci rozkaz. - W uśmiechu Warrena widać było zmęczenie. - Przestań, na miłość boską, nazywać mnie "doktorkiem". W - przyszłości to może być ważne.

- W porządku, szefie - odparł Tozier, zachowując twarz pokerzysty.

V

Warren nie musiał szukać Mike'a Abbota, ponieważ Mike Abbot sam się u niego zjawił. Wychodząc z gabinetu po szczególnie pracowitym dniu spotkał go pod drzwiami.

- Ma pan mi coś do powiedzenia, doktorze? - zapytał.

- Nic szczególnego - odparł Warren. - A co cię interesuje?

- Jak zwykle - brudny świat narkotyków. - Abbot siedł obok Warrena, dotrzymując mu kroku. - Na przykład, co z tą córką Hellie-ra?

- Czyją? - spytał obojętnie Warren.

- Sir Roberta Helliera, magnata przemysłu filmowego. I niech pan nie próbuje udawać pokerzysty. Wie pan, o kim mówię. Ze śledztwa wyniknęło cholernie niewiele. Stary zamknął wszystkim usta. Zdziwiająca, jak wiele można załatwić, mając parę milionów funtów. To był wypadek czy samobójstwo - a może ktoś ją do tego nakłonił?

- Dlaczego mnie pytasz? - odparł Warren. - Sensacje to twoja specjalność.

Abbot szeroko się uśmiechnął.

- Wiem tylko to, o czym piszę do gazet. Ale muszę skądś zdobywać informacje. Skądś albo od kogoś. Tym razem tym kimś jest pan.

- Przykro mi, Mike. Nie mam nic do powiedzenia.

- No cóż, przynajmniej spróbowałem - stwierdził filozoficznie Abbot. - Dlaczego omijamy ten pub? Wejdźmy, postawię panu drinka.

- W porządku - zgodził się Warren. - Nie odmówię. Miałem ciężki dzień.

Otworzywszy drzwi, Abbot powiedział:

- Sądząc z tego, ile pan ostatnio pije, ma pan same ciężkie dni. - Kiedy dotarli do baru, zapytał: - Co dla pana?

- Szkocką - odparł Warren. - Co, u diabła, miała znaczyć ta uwaga?

- Nic złego - odrzekł Abbot, podnosząc w górę ręce, jakby się poddawał. - To jeden z moich

kiepskich dowcipów. Po prostu widziałem ze dwa razy, jak pan zdrowo tankował. W pubie w Soho, a kilka dni później w Howard Club.

- Śledziłeś mnie? - dopytywał się Warren.

- Na Boga, nie! - zaprotestował Abbot. - To był przypadek. -Zamówił coś do picia. - W każdym razie obraca się pan w trunkowym towarzystwie. Zadaję sobie pytanie: co łączy lekarza z zawodowym szulerem i najemnym żołnierzem? I wie pan co? Nie znajduję odpowiedzi.

- Któregoś pięknego dnia ktoś ci obetnie ten przydługi nos - ostrzegł Warren, rozcieńczając whisky wodą.

- Lepsze to niż utrata twarzy - stwierdził Abbot. - Zarabiam na swojej opinii, zadając właściwe pytania. Na przykład, o co ogromnie szanowany doktor Warren pokłócił się z Johnny'm Folletem? Wie pan, to się rzucało w oczy.

- Sam rozumiesz, jak to jest - odparł Warren znużonym głosem. - Niektórzy z moich pacjentów wszczynali burdy w Howard Club. Johnny'emu się to nie podobało.

- I musiał pan korzystać z prywatnej obstawy, żeby pana ubezpieczała? - zastanawiał się Abbot. - Proszę wymyślić inną bajeczkę. -Barman patrzył na niego wyczekująco, zapłacił mu więc, po czym dodał odwróciwszy się do Warrena:

- W porządku, doktorze. Wypijmy jeszcze po jednym. To na rachunek firmy.

- Widzę - skwitował oschle Warren. Wciąż jeszcze nie był zdecydowany, czy przyjąć propozycję Helliera. Poczynił zaledwie wstępne przygotowania i to jedynie po to, żeby się upewnić, czy w razie potrzeby zdoła skompletować potrzebny zespół ludzi. Mike Abbot był jednym z potencjalnych kandydatów - miało to zależeć od decyzji Warrena - ale wszystko wskazywało, że tak czy inaczej sam wprasza się do udziału w przedsięwzięciu.

- Wiem, że dziennikarzowi nie zadaje się takich idiotycznych pytań - zaczął. - Ale na ile potrafisz dochować tajemnicy? Abbot uniósł brew.

- W niewielkim stopniu. Na pewno nie na tyle, by pozwolić komuś odebrać sobie temat. Wie pan, jakimi prawami rządzi się Fleet Street.

Warren skinął głową.

- Ale na ile jesteś niezależny? Chodzi o to, czy musisz składać komuś ze swojej gazety sprawozdania na temat uzyskanych informacji? Na przykład naczelnemu?

- Zazwyczaj tak - potwierdził Abbot. - W końcu to on mi płaci. -Będąc specjalistą od przeprowadzania wywiadów, czekał, by Warren kontynuował. Ale Warren nie włączył się do gry. Powiedział tylko "Szkoda" i zamilkł.

- No nie! - podjął rozmowę Abbot. - Nie może pan tak po prostu tego zostawić. O co chodzi?

- Chciałbym, żebyś mi pomógł - ale pod warunkiem, że nie będzie o tym głośno w redakcji. Wiesz, w jakim plotkarskim światku się obracasz. Powiem ci, o jaką stawkę idzie gra, ale nikt inny nie może się tego dowiedzieć - w przeciwnym razie leżymy.

- Nie sądzę, żeby mój naczelny to kupił - zauważył Abbot. - To przypomina za bardzo owego faceta z firmy South Sea, który sprzedawał udziały spółki: "Były tylko nikt nie wiedział, co to za akcje".* Domyślam się, że chodzi o narkotyki?

- Właśnie - potwierdził Warren. - Trzeba będzie pojechać na Bliski Wschód.

Abbot rozpromienił się.

- Brzmi interesująco. - Zabębnił palcami o bar. - Czy to jakaś grubsza sprawa?

- Owszem. Może nawet bardzo.

- I dostanę wyłączność?

- Tak - odparł Warren. - Wszelkie prawa.

- Ile czasu to potrwa?

- Tego nie wiem. - Warren popatrzył mu w oczy. - Nie wiem nawet, czy w ogóle się zacznie. Jest wiele niewiadomych. Powiedzmy, że trzy miesiące.

- Cholernie długo - skwitował Abbot i przez chwilę był pogrążony w myślach. - Wkrótce mam urlop - stwierdził w końcu. - Mógłbym pogadać z naczelnym i powiedzieć mu, że chcę w wolnym czasie popracować trochę na własny rachunek. Jeżeli będzie warto, zostaną przy tej robocie, kiedy skończy mi się urlop. Może się zgodzi.

- Nie wymieniaj mojego nazwiska - ostrzegł Warren.
- Jasne. - Abbot opróżnił szklankę. - Tak, myślę, że się zgodzi. Wiadomość, że chcę pracować w czasie urlopu będzie dostatecznie szokująca. - Odłożył szklankę na kontuar. - Ale najpierw musi pan przekonać mnie.
- Warren zamówił jeszcze dwa drinki.
- Usiądźmy przy stoliku, a opowiem ci wystarczająco dużo, byś nabrał apetytu.

VI

Lokal mieścił się przy Dean Street, a staranny, złożony napis głosił: OŚRODEK TERAPEUTYCZNY W SOHO. Poza tym nic nie wskazywało, do czego służył. Wyglądał jak wszystkie inne lokale przy Dean Street, z tą tylko różnicą, że okna miał zamalowane zieloną farbą, o przyjemnym odcieniu, nie można więc było zajrzeć do środka.

Warren otworzył drzwi i nie zobaczywszy nikogo, przeszedł do pokoju na zapleczu, w którym urządzone biuro. Przy biurku siedział rozgorączkowany, młody człowiek, przetrząsając szuflady, wyciągając wszystko i wykładając na wierzch stertę papierów. Na widok Warrena powiedział:

- Gdzie się podziewałeś, Nick? Próbowałem cię złapać. Warren lustrował biurko.

- W czym problem, Ben?

- Nigdy byś mi nie uwierzył na słowo - odparł Ben Bryan, grzebiąc w papierach. - Będę musiał ci to pokazać. Gdzie to się podziało, do diabła?

Warren zmiótł z krzesła stertę książek i usiadł.

- Tylko spokojnie - powiedział. - Co nagle, to po diable.

- Spokojnie? Poczekaj, aż sam zobaczysz. Nie będziesz taki spokojny jak teraz. - Bryan szperał dalej, rozrzucając papiery.

- Może lepiej po prostu mi powiedz - zasugerował Warren.

- No dobrze... nie, już mam. Czytaj!

Warren rozłożył pojedynczą kartkę papieru. Zapisana na niej informacja była zwięzła i brutalnie jednoznaczna.

- Wyrzucą cię?! - Warren czuł, jak wzbiera w nim gniew. - Nas wyrzucą? - Podniósł wzrok znad kartki. - Czy może tak po prostu wypowiedzieć nam dzierżawę?

- Może - i robi to - odparł Bryan. - W umowie jest zapisana drobnym drukiem klauzula, której nasz adwokat nie zauważył, niech go szlag trafi.

Warren wściekły, jak jeszcze nigdy w życiu, odezwał się zdławionym głosem:

- Gdzieś pod tą kupą śmieci jest telefon - wydostań go.

- To nic nie da - odparł Bryan. - Już z nim rozmawiałem. Mówi, że nie zdawał sobie sprawy, że z tego miejsca będą korzystać narkomani. Twierdzi, że inni najemcy się skarżą. Uważają, że cierpi na tym ich reputacja.

- Boże Wszchemogący! - ryknął Warren. - Jeden ma nocny lokal ze strip-teasem, a drugi sklep porno. Na co się mogą skarżyć, do cholery?! Co za śmierdząca hipokryzja!

- Stracimy naszych chłopców, Nick. Jeżeli nie będą mieli dokąd przychodzić, utracimy ich wszystkich.

Ben Bryan był psychologiem, specjalistą w dziedzinie narkomanii. Wspólnie z Warrenem i kilkoma studentami medycyny założył Ośrodek Terapeutyczny w Soho, aby w ten sposób dotrzeć do narkomanów. Mogli oni porozmawiać tam z ludźmi, którzy rozumieli ich problemy, a wielu dostawało skierowanie do kliniki Warrena. Mieli miejsce, - w którym mogli się odprężyć, nie włócząc się po ulicach, higieniczne warunki do zrobienia zastrzyku przy użyciu wody destylowanej i aseptycznych strzykawek.

- Znowu pójda na ulicę - stwierdził Bryan. - Będą się szprycować w toaletach na Piccadilly, a gliniarze będą się za nimi uganiać po całym West Endzie.

Warren skinął potakująco głową.

- A potem nastąpi kolejna epidemia zapalenia wątroby. Dobry Boże, tego najmniej byśmy sobie życzyli.

- Próbowałem znaleźć inne miejsce - tłumaczył Bryan. - Cały wczorajszy dzień spędziłem przy telefonie. Nasze kłopoty nikogo nie obchodzą. Wiadomości już się rozeszły i chyba jesteśmy na czarnej liście. A wiesz, że to musi być w tym rejonie.

Warren nagle się przełamał.

- I będzie - rzekł zdecydowanie. - Ben, co byś powiedział na naprawdę dobry lokal tutaj, w Soho? W pełni wyposażony, bez liczenia się z kosztami, nawet z krzątającą się służbą?

- Zadowolilibym się tym, co mamy teraz - odparł Bryan. Warren czuł, że ogarnia go podniecenie.

- A ten twój pomysł, Ben, żeby zorganizować ośrodek grupowej terapii na zasadach samorządnej wspólnoty, takiej jak w Kalifornii? Co byś na to powiedział?

- Odbiło ci? - zapytał Bryan. - Do tego potrzebny jest dom na wsi. Skąd wzięlibyśmy pieniądze?

- Dostaniemy je - stwierdził z przekonaniem Warren. - Wydobądź ten telefon.

Podjął decyzję i pozbył się wszelkich skrupułów. Zmęczyło go borykanie się z ludzką głupotą, której pojedynczym zaledwie przejawem były zastrzeżenia ograniczonego właściciela lokalu. Skoro mógł dopiąć swego tylko jako James Bond w pigułce, przedzierzgnie się w tę postać.

Ale będzie to kosztowało Helliera kupę forsy.

3

Kiedy Warren zdołał się wreszcie przedrzeć przez kordon sekretarek, z których każda była ważniejsza i zgrabniejsza od poprzedniej, został wprowadzony do gabinetu Helliera przy Wardour Street. Trafił w końcu do świętego przybytku i Hellier przywitał go słowami:

- Nie oczekiwałem właściwie pańskiej wizyty, doktorze. Przypuszczałem, że będę musiał pana szukać. Proszę usiąść. Warren natychmiast przeszedł do rzeczy.

- Wspomniał pan o nieograniczonych funduszach, ale rozumiem, że była to tylko metafora. Na ile są nieograniczone?

- Całkiem nieźle mi się powodzi - odparł Hellier z uśmiechem. - Ile panu potrzeba?

- Dojdziemy do tego. Najpierw przedstawię problem w ogólnym zarysie, żeby miał pan pojęcie o jego rozmiarach. Kiedy to do pana dotrze, może się okazać, że dysponuje pan zbyt skromnymi zasobami.

- Zobaczymy - odparł Hellier, uśmiechając się coraz szerzej. Warren położył teczkę.

- Nie mylił się pan mówiąc, że posiadam specjalne informacje, ale ostrzegam, że nie jest tego wiele. Dwa nazwiska, jedno miejsce - reszta to tylko pogłoski. - Uśmiechnął się cierpko.

- To nie zasady etyczne powstrzymały mnie od pójścia na policję, tylko najzwyczajniejszy brak konkretnych faktów.

- Pozostawmy na boku te trzy, o których pan wspomniał. Interesują mnie pogłoski. Na ich podstawie podejmowałem w życiu cholernie ważne decyzje, a jak już panu wspomniałem, płacami, żebym się przy tym nie mylił.

Warren wrzucił ramionami.

- To wszystko jest niezbyt jasne. Nasłuchałem się różnych rzeczy w Soho. Spędzam tam sporo czasu, głównie w West Endzie. Kręci się tam większość moich pacjentów. Nocne apteki na Piccadilly nie mają powodów do narzekań - dodał drwiąco.

- Widziałem, jak ustawiają się w kolejce - stwierdził Hellier.

- W 1968 roku zlikwidowano we Francji gang handlarzy narkotyków. Była to duża grupa. Powinien pan wiedzieć, że heroina docierająca do Wielkiej Brytanii to tylko niewielkie przecieki z przynoszącego o wiele znacznie większe zyski handlu w Ameryce. Gang, o którym mowa, zajmował się przemytem dużych ilości towaru do Stanów, ale kiedy został rozbity, skutki tego odczuliśmy tutaj. Chłopcy biegali jak kurczaki z odrąbanymi głowami. Nielegalny handel zupełnie zamarł.

- Chwileczkę - wtrącił Hellier. - Chce pan przez to powiedzieć, że aby przerwać dopływ narkotyków do Wielkiej Brytanii, trzeba by zrobić to samo w Stanach?

- Tak należałoby rozumować, chcąc przypuścić atak na źródło dostaw, co byłoby najlepszym rozwiązaniem. Siłą rzeczy trzeba brać pod uwagę i ten drugi rynek. Mówiłem panu, że to problem na dużą skalę.

- Ma większy zasięg niż przypuszczałem - przyznał Hellier. - Nie jestem bynajmniej szowinistą - dodał wzruszając ramionami. - Jak sam pan powiedział, to problem międzynarodowy.

Hellier nie wydawał się na razie zmartwiony potencjalnymi kosztami przedsięwzięcia, więc Warren ciągnął dalej:

- Chyba najlepiej wyjaśnię panu krążące pogłoski, jeżeli przedstawię problem, że tak powiem, od końca, czyli zaczynając od Ameryki. Typowy nowojorski narkoman kupuje "szesnastkę", to znaczy jedną szesnastą uncji, u pośrednika. Musi korzystać z jego usług, bo nie może dostać narkotyków legalnie, jak w Anglii. Podbija to cenę, szesnastka będzie go więc kosztowała jakieś sześć, siedem dolarów. A w ciągu dnia potrzebuje przeciętnie dwóch zastrzyków.

Było niemal widać, jak Hellier intensywnie myśli. Po chwili stwierdził:

- Do Stanów musi więc docierać cholernie dużo heroiny.

- Nie tak dużo - odparł Warren. - Nie są to ilości hurtowe. Powiedziałbym, że w ciągu roku trafiają tam nielegalnie ze dwie, trzy tony towaru. Widzi pan, heroina, którą kupuje narkoman, jest zmieszana z obojętną rozpuszczalną substancją wypełniającą, zazwyczaj laktozą, czyli cukrem mlecznym. W zależności od tego, czy go oszukują - a na ogół tak jest - dostaje od pół procenta do dwóch czystej heroiny. Myślę, że można by przyjąć średnio jeden procent.

Hellier znowu przystąpił do kalkulacji. Wyciągnął kartkę papieru i zaczął liczyć.

- Jeżeli jeden zastrzyk zawiera szesnaście setnych uncji czystej heroiny, a narkomani płacą, powiedzmy, sześć i pół dolara... - Zamilkł raptownie. - Do diabła, wychodzi ponad dziesięć tysięcy dolarów za uncję!

- Bardzo intratne zajęcie - zgodził się Warren. - Robi się na tym duże interesy. Funt heroiny sprzedawanej konsumentowi wart jest około stu siedemdziesięciu tysięcy dolarów.

Oczywiście, nie cała ta suma stanowi zysk. Problem w tym, jak dostarczyć narkotyk do konsumenta. Heroinę wyrabia się z maku gatunku *Papaver somniferum*, który z oczywistych powodów nie jest uprawiany w Stanach. Cykl produkcyjny wygląda w ten sposób, że z maku uzyskuje się surowe opium, z opium morfinę, a z morfiny heroinę.

- Ile kosztuje naprawdę jej wytworzenie? - spytał Hellier.

- - Niewiele - odparł Warren. - Ale nie w tym rzecz. Funt heroiny sprzedawanej konsumentowi w Stanach wart jest sto siedemdziesiąt tysięcy dolarów. U amerykańskiego hurtownika wewnątrz kraju kosztuje pięćdziesiąt tysięcy. Poza granicami Stanów jest wart dwadzieścia tysięcy. A jeżeli pójdzie się tym tropem do samego źródła, na Bliskim Wschodzie można kupić nielegalnie surowe opium za pięćdziesiąt dolarów za funt.

- Nasuwają mi się dwa wnioski - powiedział z namysłem Hellier.

- Każdy pośrednik może sporo zarobić, a cena towaru na poszczególnych etapach zależy bezpośrednio od ryzyka, jakie wiąże się z jego szmuglowaniem.

- Właśnie - zgodził się Warren. - Jak dotąd handel był rozdrobniony, ale krążą pogłoski, że ma się to zmienić. Zlikwidowanie gangu we Francji pozostawiło próżnię, którą już ktoś wypełnia - i to działając w inny sposób. Zdaje się, że nowa organizacja chce wykluczyć pośredników. Sami zajmą się wszystkim, poczynając od uprawy maku, a kończąc na dostawach niewielkich ilości towaru do dowolnego miasta wewnątrz Stanów. Powinno im to gwarantować pięćdziesiąt tysięcy dolarów netto za funt, po odliczeniu kosztów. Ostatni etap - dostarczanie towaru do Stanów - jest najbardziej ryzykowny.

- Integracja pionowych struktur - stwierdził poważnie Hellier. - Ci ludzie uczą się od wielkiego biznesu. Pełna kontrola nad produktem.

- Jeżeli to się uda i zdołają wejść na amerykański rynek, możemy się spodziewać wzmożonego napływu towaru do Wielkiej Brytanii. Zyski są tu o wiele mniejsze, ale

istnieją, a ci ludzie nie omieszkają skorzystać z okazji. - Warren uczynił lekceważący gest. - Ale to tylko domysły. Wyciągam wnioski na podstawie setek zasłyszanych pogłosek. Hellier położył dłonie na blacie biurka.

- Przejdźmy więc do faktów - powiedział z powagą.

- Nie wiem, czy zasługują na to miano - odparł Warren znużonym głosem. - Dwa nazwiska i pewne miejsce. George Speering, farmaceuta o podejrzanym reputacji. W ubiegłym roku był uwikłany w sprawę o narkotyki i towarzystwo farmaceutyczne dobrało mu się do skóry.

Miał szczęście, że uniknął więzienia.

- Zakazali mu... eee... uprawiania zawodu?

- Właśnie. Tym facetom będzie potrzebny chemik. Słyszałem, jak wymieniano jego nazwisko. Jest jeszcze w Anglii. Staram się mieć go na oku, ale spodziewam się, że wkrótce wyjedzie za granicę.

- Dlaczego wkrótce? I jak szybko?

Warren postukał palcem w stojący na biurku kalendarz.

- Zbiory opium jeszcze się nie zaczęły i nie zaczną się przez najbliższy miesiąc. Ale morfinę uzyskuje się najlepiej ze świeżego opium, więc jak tylko gang zdobędzie je w wystarczających ilościach, Speering będzie miał zajęcie.

- Może powinniśmy dokładniej go obserwować? Warren skinął głową.

- Wygląda na to, że na razie jest na sporym luzie. I ma forszę, więc pewnie dostał zaliczkę. Zgadzasz się, że trzeba mieć go na oku.

- A to drugie nazwisko? - spytał Hellier.

- Jeanette Delorme. Nigdy przedtem o niej nie słyszałem. Bardzo możliwe, że jest Francuzką, ale na Bliskim Wschodzie niewiele to oznacza, a podobno tam zamieszkuje. Nawet tego nie wiem na pewno. Właściwie nic o niej nie wiem. Tyle, że jej nazwisko pojawiło się w rozmowie na temat Speeringa.

Hellier zanotował coś na kartce papieru.

- Jeanette Delorme - powtórzył i podniósł wzrok. - Wspominał pan o jakimś miejscu?

- To Iran - odparł lakonicznie Warren. Hellier wydawał się rozczarowany.

- Cóż, to niewiele.

- A czy twierdziłem, że jest inaczej? - Warren był rozdrażniony. - Myślałem, żeby pójść z tym na policję, ale, na dobrą sprawę, co miałem im powiedzieć?

- Mogli przekazać informację do Interpolu. Może tamci by coś zdziałali.

- Kręci pan za dużo filmów dla telewizji - stwierdził Warren nieuprzejmym tonem. - A w dodatku wierzy pan w ich scenariusze! Interpol stanowi tylko ośrodek informacji i nie podejmuje żadnych działań. Przypuśćmy, że dowiedziałyby się o całej sprawie irańska policja. W żadnym kraju policja nie jest nieprzekupna, a za gliniarzy z Bliskiego Wschodu nie dałbym złamanego grosza. Chociaż, z tego co wiem, z Irańczykami nie jest jeszcze najgorzej.

- Doceniam pański punkt widzenia. - Hellier milczał przez chwilę. - Wygląda na to, że najlepiej byłoby postawić na Speeringa.

- Chce się pan więc angażować w sprawę w oparciu o tę garść informacji, które posiadam? Hellier okazał zdziwienie.

- Ależ oczywiście!

- Warren wziął do ręki kilka przyniesionych ze sobą arkuszy papieru.

- Może zmieni pan zdanie po obejrzeniu tego. W grę wchodzi spora suma. Powiedział pan, że mogę dobrać sobie ludzi. Poczyniłem w pańskim imieniu zobowiązania, z których będzie pan musiał się wywiązać. - Pchnął dwie kartki papieru na drugą stronę biurka. - Znajdzie pan tam szczegółowe informacje - kim są ci ludzie, jakich żądają honorariów - i garść danych biograficznych na ich temat.

Hellier przejrzał szybko papiery i powiedział szorstko:

- Zgadzasz się na te stawki. Zgadzasz się też na premię w wysokości pięciu tysięcy funtów na osobę po pomyślnym wykonaniu zadania. - Podniósł wzrok znad kartki. - W razie niepowodzenia nie będzie premii. Czy to uczciwe warunki?

- Uczciwe - w zależności od tego, co uważa pan za niepowodzenie.

- Chce, żeby ten gang został zlikwidowany - odparł Hellier chrapliwym głosem. - Żeby przestał istnieć.

- To zrozumiałe, jeżeli w ogóle mamy podjąć się takiego zadania - stwierdził z przekąsem Warren. Pchnął na przeciwległą stronę biurka następną kartkę papieru. - Ale nie doszliśmy jeszcze do proponowanej przeze mnie ceny.

Hellier wziął papier do ręki i po chwili powiedział:

- Hm... Po diabła panu lokal w Soho? Są cholernie drogie. Warren wyjaśnił z przejęciem, w jakich tarapatach znalazł się ich ośrodek terapeutyczny. Hellier zaśmiał się cicho.

- Tak, ludzie są cholernymi hipokrytami. Pewnie sam bym tak kiedyś postąpił... no cóż, nieważne. - Wstał i podszedł do okna. - Czy lokalizacja przy Wardour Street panu odpowiada?

- Byłoby nieźle.

- Spółka ma budynek dokładnie po drugiej stronie ulicy. Mieliśmy tam magazyn, ale już go nie używamy. Stoi teraz pusty i jest trochę zniszczony, ale powinien panom odpowiadać. - Wrócił do biurka. - Zamierzaliśmy go sprzedać, ale przekażę go panu tanio w dzierżawę, zapewniając spółce zwrot kosztów z własnych funduszy.

Warren, który bynajmniej jeszcze nie skończył, skinął tylko głową i podsunął na drugą stronę biurka kolejną kartkę papieru.

- A oto moja premia w wypadku pomyślnego wykonania zadania.

- Z celową ironią zaakcentował to samo słowo, co Hellier.

Hellier spojrzął na zapisany na kartce tekst i o mało nie wybuchnął.

- Wiejska rezydencja z dwudziestoma sypialniami?! Co to jest, do cholery? - Przeniósł wzrok na Warreną. - Bardzo się pan ceni, doktorze.

- Chce pan krwi - odparł Warren. - To kosztowny towar. Kiedy podejmiemy się tego zadania, wejdziemy natychmiast w konflikt z gangiem, który nie zrezygnuje z walki, ponieważ osiąga milionowe zyski. Myślę, że w którymś momencie poleję się krew - po ich stronie albo po naszej. Jeśli chce pan tej krwi, musi pan za nią zapłacić.

- Mianując pana feudałem na włościach? - zapytał cynicznie Hellier.

- Nie mnie, tylko niejakiego Bena Bryana. Chce założyć samorządną wspólnotę dla narkomanów, żeby na początek wyłączyć ich z obiegu, »potem nauczyć odpowiedzialnego zachowania. W Stanach ten pomysł nieźle się sprawdził.

- Rozumiem - powiedział cicho Hellier. - W porządku, zgadzam się.

Zabrał się do czytania krótkich biografii członków grupy, tymczasem Warren rzekł zdawkowo:

- Żaden z tych ludzi nie wie naprawdę, w co się angażuje. Przypuśćmy, że zdobędziemy na przykład sto funtów heroiny - to kupa pieniędzy. Nie wiem, czy Andy Tozier byłby wtedy godny zaufania -zapewne nie. Z całą pewnością nie ufałbym Johnny'emu Folletowi.

Hellier odwrócił kartkę i po chwili podniósł głowę.

- Mówi pan serio? Wybrał pan tych właśnie ludzi? Dobry Boże, połowa z nich to typy spod ciemnej gwiazdy, a druga połowa nie wiadomo skąd się tu wzięła.

- A jakich ludzi się pan spodziewał? - zapytał Warren. - Tej sprawy nie załatwią powiewający sztandarami święci. Żadna z tych osób nie robi tego dla pieniędzy - wyjątkiem jest Andy Tozier. Wszyscy mają swoje osobiste powody. -Patrząc krytycznie na własne postępowanie, pomyślał o Follecie. - Odkrywam w sobie nieoczekiwane zdolności do szantażowania i wymuszania.

- Rozumiem, że wybrał pan Toziera - to zawodowy żołnierz - stwierdził Hellier. - Ale Follet? Po co panu hazardzista?

- Johnny ma rozmaite zdolności. Jest hazardzista, ale potrafi też znakomicie wyludzać pieniądze. Szybciej znajdźcie sposób, żeby wydostać forszę z pańskiej kieszeni niż pan zdąży się zastanowić, jak go powstrzymać. Myślę, że taki talent można wykorzystać nie tylko w sprawach finansowych.

- Pańskie rozumowanie brzmi dość rozsądnie - odparł Hellier bez przekonania. - Ale ten

Abbot, jest przecież dziennikarzem. Do diabła! Na to się nie zgodzę!

- Owszem - powiedział obojętnie Warren. - I tak się do nas przyczepi, a wolę, żeby był z nami niż przeciw nam. Miałem go wcześniej na liście, ale teraz sam się wprosił i odmawiając mu - za wiele byśmy ryzykowali. Ma lepszego nosa niż niejeden detektyw, a tego nam trzeba.

- Zapewne więc to także ma sens - stwierdził ponuro Hellier. - Nie wiem tylko, po co nam ten Parker. Nie widzę, do czego miałyby się przydać.

- Dan to jedyny uczciwy człowiek w tym całym towarzystwie - odparł Warren i roześmiał się.

- Poza tym jest moją polisą ubezpieczeniową.

II

Hellier zrobił Warrenowi wykład na temat obowiązującej w przemyśle filmowym filozofii.

- W większości krajów - zwłaszcza tych uboższych - lubią filmowców. Faceci u władzy darzą nas sympatią, bo nie oszczędzamy na łapówkach. Zwykli ludzie lubią nas, ponieważ na planie płacimy wystrojonym kolorowo statystom, jak na miejscowe warunki, wyjątkowo dobrze. Nie mamy nic przeciwko temu, bo w sumie stawki są i tak o wiele niższe niż u nas w kraju.

Ważył w rękach wielką księgę formatu A3 w eleganckiej oprawie.

- To scenariusz, który od pewnego czasu leży u nas na półce. Mniej więcej połowa akcji dzieje się w Iranie. Zdecydowałem, że nie powinien się zmarnować. Zrobimy z niego film. Zatrudnimy pana i pańskich ludzi. Będziecie stanowić ekipę, którą wyślemy do Iranu na rozpoznanie terenu, żeby poszukała odpowiednich miejsc do zdjęć. Mając taki pretekst możecie pojawić się w dowolnym miejscu. Odpowiada to panu?

- Bardzo - odparł Warren. - To dobra osłona.

- Dostaniecie samochody i cały ekwipunek, jaki zabiera zwykle grupa rozpoznawcza - wyjaśnił Hellier. - Niech mi pan dostarczy listę wszystkich rzeczy, których możecie potrzebować. - Przerzucił kartki scenariusza. - Kto wie, może nawet nakręcimy ten film - stwierdził drwiąco.

* * *

Andy Tozier podszedł do Warrena.

- Za wiele przede mną ukrywasz - powiedział niezadowolony. - Chciałbym wiedzieć, w co się pakuję. Nie mam pojęcia, do czego się przygotowujemy.

- Przygotuj się na najgorsze - odparł Warren, niczego nie wyjaśniając.

- To nie jest odpowiedź, do cholery! Czy to ma być operacja wojskowa?

- Powiedzmy, że paramilitarna - stwierdził ostrożnie Warren.

- Rozumiem. Akcja policyjna, ze strzelaniną.

- Tyle, że nieoficjalna - wyjaśnił Warren. - A do strzelaniny może dojść.

Tozier potarł dłonią szczękę.

- Nie podoba mi się ta "nieoficjalność". A skoro już mają do mnie strzelać, chciałbym mieć coś poręcznego, żeby móc się bronić. Jak to załatwimy?

- Nie wiem - przyznał Warren. - Myślałem, że ty się tym zajmiesz. Jesteś specjalistą. -

Tozier odburknął coś, a Warren dodał: - Nie wiem, czego właściwie mamy się tam spodziewać. Wszystko jest trochę skomplikowane.

Tozier zastanowił się.

- Jakie samochody nam dają?

- Dwa nowe land-rovery. Polecą z nami do Iranu. Tam potrzebne są wozy terenowe.

- A wyposażenie, które dostajemy? Z czego się składa?

- To nasz parawan. Aparaty fotograficzne z całym mnóstwem obiektywów, dwie kamery szesnastomilimetrowe, zestaw wideo i cholernie dużo sprzętu, którego nie potrafię nazwać.

- Czy do kamer są statywy? - Warren potwierdził skinieniem głowy. - To dobrze - ciągnął

dalej Tozier. - Chciałbym dostać jak najszybciej te land-rovery i cały sprzęt. Być może trzeba będzie wprowadzić tam parę ulepszeń.

- Jutro wszystko dostaniesz.

- Chciałbym też trochę szmalu z tej kopalni, którą odkryłeś. Przynajmniej tysiąc funtów. Moje ulepszenia drogo kosztują.

- Powiedzmy, że również jutro dam ci dwa tysiące - powiedział Warren pojednawczo.

- Johnny Follet może być potrzebniejszy niż myślałem - stwierdził z namysłem Tozier. - Umie posługiwać się bronią; był w Korei.

- Naprawdę? W takim razie Dan Parker i on będą się dobrze rozumieli.

Tozier potrząsnął głową.

- A kto to jest Dan Parker? Warren szeroko się uśmiechnął.

- Kiedyś go poznasz - obiecał.

* * *

- Zabieram się z wami - oznajmił Ben Bryan, kiedy Warren wyjaśnił mu, co się dzieje.

- A po co niby nam psychiatra? - spytał Warren. Bryan szeroko się uśmiechnął.

- Żeby zaaplikować wam odrobinę zdrowego rozsądku. To najbardziej szalony pomysł, o jakim słyszałem.

- Jeżeli do nas dołączysz, będziesz takim samym szaleńcem. Ale możesz się przydać. -

Przyjrzał się Bryanowi z namysłem, a potem stwierdził: - Chyba powinienes być w głównej grupie. Mike Abbot może jechać z Parkerem.

- Co będzie robił?

- Jest naszym koniem trojańskim - o ile uda się nam odnaleźć tę Delorme, a będzie to chyba cholernie trudne. Ludzie Helliera przeglądają w Paryżu księgi urodzeń, szukając osób o nazwisku Jeanette Delorme i starając się zlokalizować. Znaleźli ich już osiem. Ponieważ istnieje prawdopodobieństwo, że urodziła się w Szwajcarii, Hellier ma i tam swoją ekipę.

- A jeżeli pochodzi z Martyniki? - zapytał Bryan.

- Na początek możemy sprawdzić tylko najbardziej oczywiste poszlaki - odparł Warren. - Hellier ma dobrych wywiadowców. Wiem, bo zebrali dla niego sporo na mój temat. Poza tym wydaje pieniądze, jakby miał własną mennicę. Mamy już u niego siedemdziesiąt tysięcy funtów. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - A to zaledwie tyle, ile wydaje w ciągu dwóch lat na utrzymanie jachtu.

- Nigdy nie słyszałem, żeby bogacz rozstawał się chętnie ze swoimi pieniędzmi - rzekł Bryan. - Musiałeś niezłe nim wstrząsnąć. Zmusiłeś go, żeby dobrze się sobie przyjrzał, a to, co zobaczył, wcale

nie przypadło mu do gustu. Chciałbym móc postąpić tak samo z niektórymi pacjentami. Może powinienes zmienić zawód.

- Już to zrobiłem. Zajmuję się naborem ludzi do prywatnej armii.

* * *

Wiele rzeczy rozgrywało się równocześnie. Dzięki szczęściu, a może dobrze zorganizowanemu dochodzeniu, natrafiono na ślad osoby o nazwisku Delorme. Nie zawdzięczali tej informacji skrupulatnemu przeglądaniu ksiąg urodzeń, lecz kontaktom z francuską służbą bezpieczeństwa. Zdaje się, że Mike Abbot miał znajomego, którego znajomy...

Hellier rzucił Warrenowi akta.

- Proszę przeczytać i powiedzieć mi, co pan o tym sądzi. Warren zagłębił się w fotelu i otworzył teczkę.

Jeanette Veronique Delorme. Urodzona 12 kwietnia 1937 roku w Chalons. Rodzice...

Opuścił podstawowe dane, żeby przejść do treści raportu:

...w 1955 roku trzy miesiące więzienia za drobne oszustwa; w 1957 - sześć miesięcy więzienia za udział w przemyśle na granicy francusko-hiszpańskiej; wyjechała z Francji w 1958 roku.

Dalej następowało coś w rodzaju całej serii hipotez:

Podejrzana o udział w przemyśle z Tangeru do Hiszpanii w latach 1958-1960, w przemyśle broni do Algierii w latach 1961-1963 oraz w przemyśle narkotyków do Wioch i Szwajcarii w latach 1963-1967. Podejrzana o współudział w zabójstwach, których ofiarami byli: Henry Rowe (Amerykanin), 1962; Kurt Schlesinger (Niemiec), Ahrned ben Bonza (Algierczyk) i Jean Fouget (Francuz), 1963; Kameer Osman (Libańczyk) i Pietro Fuselli (Wioch), 1966. Charakterystyka metod działania: wykazuje zdolności organizatorskie i umiejętność przewodzenia dużym grupom; jest. bezwzględna i nie toleruje błędów; stara się nie brać osobiście udziału w przemyśle, ale możliwe, że kierowała dużymi akcjami kradzieży biżuterii na południu Francji w 1967 roku. Są to jednak nie potwierdzone informacje.. Obecne miejsce pobytu: Bejrut, Liban.

Obecna sytuacja - prawna: na terenie Francji nie jest poszukiwana za popełnienie przestępstwa.

Dwa niewyraźne zdjęcia, którym kopiowanie stanowczo nie wyszło na dobre, ukazywały blondynkę w trudnym do określenia wieku. Warren wydał policzki.

- Ależ z niej musi być diablica. - Postukał palcami w teczkę. - Myślę, że to ona. Wszystko pasuje.

- Też tak uważam - zgodził się Hellier. - Kazałem zaprzestać poszukiwań i skoncentrować się na niej. Do Bejrutu poleciał już człowiek, który mają zlokalizować.

- Mam nadzieję, że ktoś mu powiedział, żeby był ostrożny - rzekł Warren.

- Ma tylko ustalić, gdzie mieszka i... hm... jaka jest jej pozycja w środowisku. To nie powinno być zanadto ryzykowne. Potem on się wycofuje, a panowie wchodzi do akcji.

- Gdy tylko dowiemy się czegoś konkretnego, wyślę tam Dana Parkera. Mike Abbot będzie mu pomagał. Nie jestem pewien, czy Dan poradziłby sobie sam. Sprawa może okazać się delikatna. Aha, mamy ochotnika: Ben Bryan dołączy do grupy, która leci do Iranu.

- Miło słyszeć, że pan Bryan chce zarobić na swojej rezydencji na wsi - stwierdził Hellier nieco zgryźliwie. - Ten pański Speering na razie nic nie robi.

- Niedługo się ruszy - powiedział z przekonaniem Warren. Był tego tym bardziej pewien, że dossier Jeanette Delorme tak znakomicie pasowało do obrazu sytuacji.

- No cóż, zajmiemy się nim w ten sam sposób. Przez całą drogę ktoś będzie go śledził. Jeżeli zdecyduje się lecieć, nasz agent wsiądzie prawdopodobnie do tego samego samolotu. A potem kolej na panów.

* * *

Speering wyruszył w drogę dwa dni później, a po upływie dwunastu godzin Warren, Tozier, Follet i Bryan wzbijali się w powietrze na pokładzie czarterowego samolotu, który transportował również dwa land-rovery. Parker i Abbot zmierzali już w kierunku Libanu.

III

W Teheranie padał śnieg.

Follet zadrżał z zimna, gdy poczuł przez kurtkę ostry powiew wiatru.

- Myślałem, że tu jest zawsze gorąco. - Spojrzał poza płytę lotniska na stromy masyw gór

Elburs, a potem na zimne, szare niebo, z którego opadały śnieżne płaty. - I to ma być Bliski Wschód? - spytał z powątpiewaniem.

- Jak najbardziej - odparł Tozier. - Tyle że jest marzec i znajdujemy się prawie pięć tysięcy stóp nad poziomem morza. Follet postawił kołnierz, osłaniając szyję.

- Gdzie, do cholery, podziewa się Warren?

- Załatwia odprawę celną samochodów i sprzętu. - Tozier uśmiechnął się złowieszczo. Udoskonalili land-rovery w taki sposób, że gdyby podczas odprawy celnej to odkryto, rozpętałoby się istne piekło, a Warren i Bryan zostaliby bez żadnej dyskusji wtrąceni do więzienia. Nie powiedział jednak Warrenowi, na czym te udoskonalenia polegały, i dobrze się stało. Kiedy prześwietla człowieka wzrok doświadczonego celnika, prawdziwa niewinność jest lepsza od udawanej.

Mimo wszystko Tozier odetchnął swobodniej, gdy Follet dotknął jego ramienia i, wskazując na coś ręką, powiedział: "Jadą". Zobaczył z ulgą, że zbliża się do nich jeden z land-roverów. Z boku miał gustowny napis: REGENT FILMS COMPANY. ROZPOZNANIE TERENU.

Toziera opuściło napięcie.

Warren wychylił głowę przez boczne okienko.

- Ben jedź tuż za mną - oznajmił. - Niech jeden z was wsiada.

- Miałeś jakieś problemy? - zapytał Tozier.

- Absolutnie żadnych. - Warren wydawał się zaskoczony. Tozier uśmiechnął się bez słowa. Obszedł samochód i pogładził dłonią jeden z metalowych wsporników, podtrzymujących plandekę.

- Niech mi pan da wsiąść i schronić się przed tym cholernym wiatrem - powiedział Follet. - Dokąd jedziemy?

- Mamy rezerwację w hotelu Royal Hilton w Teheranie. Nie wiem, gdzie to jest, ale nietrudno będzie trafić. - Wskazał na zapelniający się pasażerami mikrobus z wypisaną z boku nazwą hotelu. - Wystarczy pojechać za nim.

Follet wsiadł i zatrzasnął drzwi. Spojrzał posepnie na obcy krajobraz i nagle zapytał:

- Co my tu, do cholery, właściwie robimy, panie Warren? Warren rzucił okiem we wsteczne lustro i zobaczył, że nadjechał już drugi land-rover.

- Śledzimy pewnego człowieka.

- Jezu, jest pan tak samo małowówny jak ten pański goryl. A może on też o niczym nie wie?

- Rób tylko to, co ci każą, Johnny, a wszystko będzie w porządku - poradził mu Warren.

- Czułbym się o niebo lepiej, gdybym wiedział, czego się ode mnie oczekuje - narzekał Follet.

- Przyjdzie na to czas.

Follet niespodziewanie się roześmiał.

- Zabawny z pana facet, Warren. Coś panu powiem. Lubię pana. Naprawdę. Miał mnie pan w garści. Zaproponował mi pan tysiąc funtów wiedząc, że zgodziłbym się na każdą sumę. Potem podniósł pan premię do pięciu tysięcy, chociaż wcale pan nie musiał. Dlaczego pan to zrobił?

Warren uśmiechnął się.

- Fachowiec jest wart dobrej ceny. Zasłużysz na ten zarobek.

- Może i tak, ale nie wiem jeszcze, w jaki sposób. W każdym razie chciałem powiedzieć, że doceniam pański gest. Może pan na mnie polegać - oczywiście w granicach rozsądku - dodał pośpiesznie. - Tozier wspominał o jakichś bzdurach - na przykład, że mają do nas strzelać...

- Powinieneś być przywyknąć do tego w Korei.

- Wie pan, że nigdy mi się to nie udało - odparł Follet. - Do pewnych rzeczy człowiek nie może się jakoś przyzwyczaić. Zabawne, prawda?

* * *

Hotel Royal Hilton w Teheranie znajdował się na peryferiach miasta. Był to karawanseraj,

zaprojektowany specjalnie dla nafciarzy i ludzi interesu, napływających tłumnie do Iranu wskutek gospodarczego boomu, który spowodowały reformatorskie rządy Mohammada Rezy Pahlawi, Króla Królów i Światłości Aryjczyków. Jazda z lotniska nie należała do najłatwiejszych, gdyż miejscowi kierowcy mieli skłonność do traktowania jezdni jako toru wyścigowego. Kilkakrotnie Warren był o włos od poważnej kolizji i kiedy dotarli do hotelu, pomimo zimna spływał z niego pot.

Zameldowali się, a na Warrena czekała już wiadomość. Dopiero gdy znalazł się u siebie, rozdarł kopertę i przeczytał krótką, tajemniczą notatkę: W pańskim pokoju o 19.30. Lane. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że akurat wystarczy mu czasu, żeby się rozpakować.

O siódmej dwadzieścia dziewięć rozległo się dyskretne pukanie. Otworzył drzwi i jakiś człowiek powiedział:

- Pan Warren? Byłem z panem umówiony. Nazywam się Lane.

- Proszę wejść, panie Lane - odparł Warren, otwierając szerzej drzwi. Przyglądał się, jak Lane zdejmuje płaszcz. Wyglądał zupełnie przeciętnie i mógł równie dobrze pracować w każdym zawodzie, co w przypadku prywatnego detektywa stanowiło niewątpliwą zaletę.

- Pański człowiek mieszka tutaj, w hotelu Hilton - poinformował Lane, kiedy już usiadł. - Zarezerwował pokój na tydzień. Jest teraz na miejscu, gdyby go pan potrzebował.

- Ufam, że nie jest sam - stwierdził Warren.

- Wszystko w porządku, panie Warren. Zajmują się nim dwie osoby. Jest pod obserwacją. - Lane wzruszył ramionami. - Ale i tak się nie ruszy. Lubi mieć pod ręką butelki.

- Dużo piję?

- Nie jest może alkoholikiem, ale zdrowo pociąga. Dopóki nie zamkną baru, spędza tam cały czas, a potem posyłają mu butelkę do pokoju.

Warren skinął głową ze zrozumieniem.

- Co jeszcze może mi pan powiedzieć na temat Speeringa? Lane wyjął z kieszeni notes.

- Był w paru miejscach. Mam tu szczegółowe notatki i dostanie je pan, ale w pięć minut mogę wszystko powiedzieć. - Otworzył notes. -

Na lotnisku czekał na niego ktoś stąd - myślę, że to Irańczyk - i zawiózł go do hotelu. Tego Irańczyka nie byłem w stanie zidentyfikować. Dopiero przyjechaliśmy i nie mieliśmy sprzętu - stwierdził przepraszająco.

- W porządku.

- W każdym razie już go potem nie widzieliśmy. Następnego dnia Speering odwiedził pewne miejsce na Mowlavi, koło stacji kolejowej. Mam tutaj adres. Odjechał stamtąd samochodem, a ściślej biorąc, amerykańskim dżipem. To nie jest wóz z wypożyczalni. Próbowałem sprawdzić numer rejestracyjny, ale w tym dziwnym mieście są z tym trudności.

- Tak, z pewnością - przytaknął Warren.

- Potem pojechał do firmy farmaceutycznej - ma pan zapisaną jej nazwę i adres - i spędził tam półtorej godziny. Następnie wrócił do hotelu Hilton i przebywał w nim przez resztę dnia. To było wczoraj. Dziś rano ktoś go odwiedził - Amerykanin, niejaki Jack Eastman. Spotkali się w pokoju. Eastman został przez cały ranek - trzy godziny. Potem jedli obiad w hotelowej restauracji.

- Wie pan coś na temat Eastmana? Lane pokręcił głową.

- Żeby móc kogoś bez przerwy śledzić, potrzeba w zasadzie czterech ludzi. Nas jest tylko dwóch. Próbując zająć się Eastmanem, mogliśmy zgubić Speeringa. A mieliśmy instrukcję, żeby się go trzymać. - Lane ponownie zajrzał do notesu. - Eastman wyszedł wkrótce po obiedzie, a Speering nie ruszył się od tamtej pory. Jest teraz na dole, w barze. To wszystko, panie Warren.

- Myślę, że biorąc pod uwagę okoliczności nieźle się pan spisał - powiedział Warren. -

Jestem tu z kilkoma przyjaciółmi. Chciałbym, żeby przyjrzeni się Speeringowi i wiedzieli, jak wygląda. Da się to załatwić?

- Nic prostszego - odparł Lane. - Wystarczy pójść na drinka. - Wyjął kopertę i wręczył ją

Warrenowi. - To wszystko, co mamy na temat Speeringa: numer rejestracyjny jego dżipa,

nazwy i adresy miejsc, które odwiedzał w Teheranie. - Zamilkł na chwilę. - Rozumiem, że na tym nasze zadanie się kończy - jak tylko wskażę panu tego człowieka.

- Zgadza się. Nie chodziło o nic więcej. Lane najwyraźniej odetchnął z ulgą.

- Nie było to proste - przyznał. - W Londynie takie zlecenie nie sprawia mi żadnych trudności. Pracowałem też w Paryżu i w Rzymie. Ale tutaj, w niektórych częściach miasta Europejczyk cholernie rzuca się w oczy, a to utrudnia śledzenie kogokolwiek. Kiedy chce pan zobaczyć Speeringa?

- Może od razu? - powiedział Warren. - Zbiorę chłopaków.

Zanim zeszli do baru, Warren zatrzymał się i oznajmił:

- Jesteśmy tu służbowo. Pan Lane wskaże nam dyskretnie człowieka, którego mamy zobaczyć. Podkreślam: zobaczyć. Przyjrzyjcie mu się dobrze, żebyście mogli wszędzie go rozpoznać, ale zróbcie to ostrożnie. Rzec w tym, żeby widzieć nie będąc zauważonym. Proponuję się rozdzielić.

Przeszli przez foyer do baru. Warren natychmiast dostrzegł Speeringa i zmienił kierunek, by na niego nie wpaść. Spotkali się kilka razy w Londynie i chociaż nie przypuszczał, by Speering go poznał, wolał mieć pewność, że nie jest obserwowany. Usiadł tyłem do sali, oparł się o bar i zamówił coś do picia.

Siedzący obok mężczyzna obrócił się w jego stronę, mówiąc "Cześć!"

Warren uprzejmie skinął głową.

- Dobry wieczór.

- Jest pan z IMEG? - Nieznajomy był Amerykaninem.

- IMEG?...

Mężczyzna roześmiał się.

- Widzę, że nie. Zauważyłem, że jest pan Brytyjczykiem i myślałem, że może pracuje pan dla IMEG.

- Nawet nie wiem, co to takiego - stwierdził Warren. Spojrzał w lustro za barem i zobaczył, że Tozier siedzi przy stoliku i zamawia drinka.

- Nie było chyba niczego ważniejszego w dziejach tego nędznego kraju - powiedział Amerykanin, trochę już wstawiony. - Przeciągamy przez jego środek czterdziestocalowy gazociąg - z Abadanu do rosyjskiej granicy. Jest wart ponad sześćset milionów dolarów. Forsa płynie jak... jak forsa. - Zaśmiał się.

- Naprawdę? - odparł Warren, nie okazując szczególnego zainteresowania.

- IMEG nadzoruje cały interes. To wy, Brytyjczycy. A ja... pracuję dla firmy Williams Brothers, która jest od czarnej roboty. Nazwie pan to sprawiedliwym podziałem pracy?

- Zdaje się, że to spore przedsięwzięcie - powiedział wymijająco Warren. Zmienił pozycję i przy drugim końcu baru zobaczył Folleta.

- Największe. - Amerykanin pociągnął łyk ze szklanki. - Ale cała śmietanka przypadnie Roskom. Boże, co za genialna kombinacja! Będą dostawali irański gaz, płacąc niecałe dwa centy za jednostkę cieplną, a ponieważ zbudowali gazociąg do Triestu, mogą sprzedawać rosyjski gaz Włochom za ponad trzy centy. Nie powie mi pan, że ci skubani bolszewicy nie są dobrymi kapitalistami. - Trącił Warrena łokciem. - Może się pan napije?

- Nie, dziękuję - odparł Warren. - Czekam na znajomego.

- Ech, do diabła! - Amerykanin spojrział na zegarek. - Zresztą i tak muszę coś zjeść. Do zobaczenia.

Kiedy sobie poszedł, przy barze zjawił się Tozier ze szklanką w ręce.

- Kim jest twój przyjaciel? -

- To samotny pijaczyna.

- Widziałem tego twojego faceta - stwierdził Tozier. - Też wygląda na pijaka. Co teraz?

- Postaramy się nie stracić go z oczu.

- A potem?

Warren wzruszył ramionami.

- A potem się zobaczy.

Tozier milczał przez chwilę. Wyjął papierośnicę, zapalił papierosa i wydmuchał długą

smugę dymu.

- To nie wystarczy, Nick. Nie lubię poruszać się po omacku.

- Przykro mi to słyszeć.

- Będzie ci jeszcze bardziej przykro, kiedy jutro się wyniosę. - Warren gwałtownie odwrócił głowę, a Tozier dodał: - Nie wiem, do czego zmierzasz, ale nie możesz prowadzić tej akcji trzymając wszystko w tajemnicy. Jak mam, do cholery, wykonać zadanie, jeżeli nie wiem, co właściwie robić?

- Przykro mi, że tak to odbierasz, Andy. Nie masz do mnie zaufania?

- Och, mam! Problem w tym, że to ty mi nie ufasz. A więc wycofuję się, Nick. Jutro wieczorem będę z powrotem w Londynie. Masz jakiś haczyk na Johnny'ego Folleta, Ben Bryan też może coś mieć na sumieniu; o ile się orientuję. Ale ja jestem czysty, Nick. Zaangażowałem się w całą sprawę z uczciwych powodów - wyłącznie dla pieniędzy.

- Więc zostań i zarób je. Tozier powoli pokręcił głową.

- Muszę wiedzieć, w co się pakuję - i dlaczego. Powiedziałem ci kiedyś, że lubię mieć pod ręką jakąś broń, kiedy do mnie strzelają. Lubię też wiedzieć, dlaczego ktoś strzela. Do diabła, może mieć powody, z którymi będę skłonny się zgodzić. Może nawet byłbym po jego stronie, gdybym wiedział, o co walczy.

- Warren zacisnął dłoń na szklance. Zmuszano go do podjęcia decyzji.

- Andy, płacą ci za różne rzeczy. Czy przemyślałbyś narkotyki dla pieniędzy?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - powiedział Tozier z namysłem. - Nikt mi czegoś takiego nie proponował. Czy to oferta, Nick?

- Czy wyglądam na handlarza narkotyków? - odparł Warren z niesmakiem.

- Nie wiem - stwierdził Tozier. - Nie wiem, jak oni się zachowują. Ale wiem, że najuczciwsi nawet ludzie łamią się pod wpływem napięcia. A ty żyjesz w napięciu od dłuższego czasu, Nick. Obserwuję, jak się z tym borykasz. - Opróżnił szklankę. - Skoro już padło to pytanie - dodał - odpowiedź brzmi "nie". Nie przemyślałbym narkotyków dla pieniędzy. I uważam, że jest z ciebie kawał skurwysyna, Nick. Próbowaleś mnie w to wrobić, ale ci się nie udało, co? Warren wydał policzki i odetchnął z wyraźną ulgą. Przepełniała go radość. Uśmiechnął się do Toziera.

- Źle mnie zrozumiałeś, Andy. Opowiem ci wszystko - chodźmy w kąt, żeby Speering nas nie widział.

Wziął Toziera pod ramię, poprowadził do stolika i w ciągu pięciu minut wyjaśnił mu pokrótce, o co chodzi. Tozier słuchał, a na jego twarzy pojawiło się lekkie zdumienie.

- I tylko na tym się opierasz? - zapytał. - Zwariowałeś?

- Niewiele tego - przyznał Warren. - Ale nie mamy nic więcej. Nieoczekiwanie Tozier zachichotał.

- To na tyle wariacki pomysł, że brzmi interesująco. Przykro mi, że źle cię oceniłem, Nick, ale byłeś tak cholernie tajemniczy. - Pokiwał głową ze smutkiem. - Rozumiem, w jakim położeniu się znalazłeś. W tej sprawie nie możesz nikomu ufać. Dobra, jestem z tobą.

- Dzięki, Andy - odparł cicho Warren. Tozier zawołał kelnera i zamówił coś do picia.

- Przejdźmy do rzeczy - powiedział. - Pod jednym względem miałeś rację: Johnny Follet nie powinien się dowiedzieć, co jest grane. Gdy chodzi o pieniądze, Johnny będzie chciał uszczknąć coś dla siebie, nie przebijając w środkach. Z drugiej strony takiego faceta jak on warto mieć pod ręką i dopóki potrafisz trzymać go krótko, może okazać się pożyteczny. Jaki właściwie masz na niego haczyk?

- Czy to istotne?

Tozier wzruszył ramionami.

- Chyba nie. A co sądzisz o Speeringu?

- Przyjechał tu wyrabiać morfinę z opium - odparł Warren. - Jestem o tym przekonany. To dlatego odwiedził wczoraj te zakłady farmaceutyczne. Zamawiał towar.

- Czego mógł potrzebować?

- Wysokiej jakości wapnia, które stosuje się w farmacji, chloro-metanu, benzenu, alkoholu amyłowego, kwasu chlorowodorowego i pewnej ilości szkła laboratoryjnego. - Warren

zamilkł na chwilę. - Nie wiem, czy ma zamiar przerabiać morfinę na heroinę tutaj. Jeśli tak, będzie potrzebował także kwasu octowego.

Tozier zmarszczył brwi.

- Nie bardzo rozumiem. Czym różni się morfina od heroiny? Przyniesiono drinki. Warren nie odpowiadał, dopóki kelner nie odszedł.

- Morfina to alkaloid, który wyodrębnia się z opium za pomocą stosunkowo prostej reakcji chemicznej. Heroina jest morfiną, której struktura molekularna uległa zmianie wskutek jeszcze prostszej reakcji. - Uśmiechnął się cierpko. - Do tej roboty wystarczy dobrze wyposażona kuchnia.

- Ale na czym polega różnica?

- Cóż, heroina jest syntetyczna pochodną morfiny. W odróżnieniu od niej rozpuszcza się w wodzie, rozchodzi się więc szybciej w organizmie, a ponieważ ludzkie ciało składa się w większości z wody, pewne właściwości narkotyku ulegają wzmocnieniu i uzależnienie następuje o wiele szybciej niż w przypadku morfiny.

Tozier odchylił się do tyłu.

- A więc Speering będzie zajmował się ekstrakcją morfiny. Ale gdzie? Tutaj, w Iranie? I w jaki sposób morfina albo heroina dotrze na wybrzeże? Gdzieś na południe od Zatoki Perskiej? A może przez Irak i Syrię do Morza Śródziemnego? Musimy dowiedzieć się cholernie wielu rzeczy, Nick.

- Tak - przyznał Warren z ponurą miną. - Poza tym istnieje pewien spory problem, z którym zupełnie nie mogę sobie poradzić. Coś, czego nawet nie omawiałem z Hellierem.

- O! Więc lepiej wyduś to z siebie.

- W Iranie nie ma opium - stwierdził Warren beznamiętnym głosem.

Tozier wpatrywał się w niego.

- Sądziłem, że na całym Bliskim Wschodzie jest tego od cholery.

- Zgadza się. W Iranie za poprzedniego szacha było tak samo. Ale ten nowy jest reformatorem. - Warren oparł łokieć o stolik. - Za starego szacha wszystko się waliło. Rządził Iranem jak rzymskim imperium. Żeby zjednać sobie ludność, utrzymywał na nienaturalnie niskim poziomie ceny zboża. Polityka ta okazała się zgubna, ponieważ farmerzy stwierdzili, że nie wyżyją z uprawy zbóż i zaczęli siał mak, przynoszący o wiele większe zyski. W ten sposób zboża było coraz mniej, a opium coraz więcej. - Skrzywił się - Stary szach nie miał nic przeciwko temu, ponieważ stworzył opiumowy monopol. Rząd pobierał podatek od zbiorów, a on otrzymywał prowizję od każdego funta.

- Urocza historyjka.

- To zaledwie początek. W 1936 roku Iran wytwarzał 1 350 ton opium. Światowe zapotrzebowanie na opium stosowane w lecznictwie wynosiło wtedy 400 ton.

Tozier obruszył się.

- To znaczy, że ten drań je przemyczał?

- Nie musiał - odparł Warren. - Nie było zakazu. W Iranie to on ustalał prawa. Po prostu sprzedawał towar każdemu, kto miał pieniądze, żeby za niego zapłacić. Nieźle mu szło, ale wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. Zbytньо zaufał swemu szczęściu i musiał abdykować. Powołano na krótko rząd tymczasowy, a potem przejął władzę obecny szach. Okazało się, że to mądry gość. Chciał wziąć swój nieszczęsny kraj za kark i wprowadzić go w dwudziesty wiek, ale stwierdził, że nie da się rozwijać przemysłu tam, gdzie siedemdziesiąt pięć procent ludności to narkomani. A więc błyskawicznie i zdecydowanie przykręcił śrubę. Wątpię, czy dzisiaj znajdziesz w całym kraju choćby uncję nielegalnego opium. Tozier wydawał się zbity z tropu.

- Więc co Speering tu robi?

- W tym cały problem - odparł spokojnie Warren. - Nie zamierzam jednak pytać go o to wprost.

- No jasne - powiedział Tozier zamyślony. - Ale musimy deptać mu po piętach.

Podszedł kelner i odezwał się z obcym akcentem:

- Pan Warren?

- To ja.

- Wiadomość dla pana, sir,

- Dziękuję. - Wręczając kelnerowi napiwek, Warren spojrzął na _ Toziera i znacząco uniósł brwi. W minutę później oznajmił: - To od Lane'a. Speering odwołał rezerwację. Jutro wyjeżdża. Lane nie wie dokąd, ale jego dżip miał przegląd, a na tył załadowano kanistry z wodą. Jak myślisz, co to oznacza?

- Wyjeżdża z Teheranu - powiedział z przekonaniem Tozier. - Lepiej wróć sprawdzić samochody. Chcę się upewnić, czy mają sprawne radia. Wyjdziemy osobno. Daj mi pięć minut.

Warren czekał niecierpliwie, aż upłynie ustalony czas, a potem wstał i odszedł od baru.

Mijając Speeringa o mało nie przystanął ze zdumienia. Zobaczył, że siedzi przy nim Johnny Follet i obaj grają w monety.

IV

Speering jechał drogą w kierunku Qazvin na północny zachód od Teheranu.

- Wyprzedź go, a ja zostanę - z tyłu - powiedział Tozier do Warrena.

- Będziemy go mieli w garści. Jeżeli zboczy z drogi, dam ci znać przez radio.

Przez całą noc mieli na oku dżipa, ale okazało się to niepotrzebne.

- Speering zjadł bez pośpiechu śniadanie i nie opuścił Teheranu przed dziesiątą.

Towarzyszył mu kierowca, Irańczyk o wyrazistych rysach. Wlekli się za dżipem przez miasto w sznurze samochodów, a kiedy wyjechali na główną drogę, Warren dodał gazu, wyprzedził Speeringa i zwolnił dopiero po pewnym czasie, aby trzymać się w dogodnej od niego odległości. Follet siedział obok i z uwagą patrzył w tył, korzystając z dodatkowego wstecznego lusterka, które było jednym z udoskonaleń wprowadzonych przez Toziera.

Na prawo wznosiły się ośnieżone szczyty gór Elburs, ale wokół rozpościerała się jednostajna równina, piaszczysta i monotonna.

Zdaniem Warrena droga nie należała do najlepszych, ale ponieważ miał wyższe wymagania niż irańscy kierowcy, pomyślał, że według miejscowych kryteriów uchodziła zapewne za znakomitą. W końcu była to główna autostrada prowadząca do Tebriz.

Kiedy oswoił się już z prowadzeniem land-rovera, powiedział szorstko do Folleta:

- Rozmawiałeś wczoraj wieczorem ze Speeringiem. Na jaki temat?

- Po prostu gawędziliśmy - odparł swobodnie Follet.

- Nie popełnij błędu, Johnny - powiedział cicho - Warren. - Możesz sobie zaszkodzić, i to bardzo.

- Do diabła, nic się nie stało - zaprotestował Follet. - Nawet nie ja zacząłem. Podszedł do mnie, więc co miałem zrobić, nie odzywać się?

- O czym rozmawialiście?

- O wszystkim po trochu. O pracy. Powiedziałem mu, że pracuję dla Regent Films. No wie pan, powtórzyłem te brednie na temat filmu, który kręcimy. Opowiedział mi, że pracuje w przemyśle naftowym. - Follet roześmiał się. - Poza tym oskubałem go trochę z forsy.

- Zauważyłem - skomentował z przekąsem Warren. - Miałeś monetę z orłem po obu stronach?

Follet podniósł ręce udając przerażenie.

- Bóg mi świadkiem, że go nie oszukałem. Wie pan, że to nie w moim stylu. Zresztą nie musiałem. Był kompletnie zalany. - Spojrzął w lusterko. - Proszę trochę zwolnić. Tracimy go z oczu.

Z Teheranu do Qazvin było prawie sto mil i dochodziła pierwsza, kiedy zbliżyli się do peryferii miasta. Gdy przez nie przejeżdżali, zatrzeszczał głośnik:

- Regent Dwa, zgłoś się. Regent Dwa, zgłoś się. Odbiór. Follet wziął do ręki mikrofon i pstryknął przełącznikiem.

- Słyszę cię dobrze, Regent Jeden. Odbiór.

Docierając do nich głos Toziera był słaby i zniekształcony.

- Nasz człowiek zatrzymał się w hotelu. Pewnie się posila. Odbiór.
- To cholernie dobry pomysł. Też jestem głodny - stwierdził Follet i unosząc brew spojrzał na Warrena.

- Zjedziemy z drogi za miastem - odrzekł Warren. - Powiedz mu to. - Kontynuował jazdę, dopóki przedmieścia Qazvin nie zostały daleko za nimi i dopiero wtedy zatrzymał wóz na poboczu. - Z tyłu jest kosz z jedzeniem - oznajmił. - Mianowałem Bena kwatermistrzem. Zobaczmy, jak się spisał.

Po zjedzeniu kanapek z kurczakiem i wypiciu gorącej kawy z termosu Warren poczuł się lepiej, natomiast Follet był wyraźnie przygnębiony.

- Co za nędzny kraj - stwierdził. - Przejechaliśmy sto mil, a te przekłete góry ani trochę się nie zmieniły. - Wskazał na idące rzędem wzdłuż drogi objuczone wielbłądy. - Założę się, że wylądujemy w końcu na grzbietach tych stworzeń.

- Może być jeszcze gorzej - odparł z namysłem Warren. - Coś mi się zdaje, że jak na naszą tajną misję te land-rovery trochę za bardzo rzucają się w oczy. - Wziął do ręki mapę. - Ciekawe, dokąd jedzie Speering.

Follet zajrzał mu przez ramię.

- Następne miasto to Zandżan - znowu sto przeklętych mil. - Rozejrzał się wokół. - Boże, czyż to nie potworny kraj? Gorzej niż w Arizonie.

- Byłeś tam?

- Pochodzę stamtąd, do cholery. Prysnałem, jak tylko trochę podrosłem. W głębi duszy jestem chłopakiem z miasta. Lubię blask neonów. - Zanucił kawałek "Melodii z Broadwayu", a potem sięgnął na półkę obok tablicy rozdzielczej i wziął do ręki talię kart. - A skoro tam wracam, nie mogę wychodzić z wprawy.

Warren usłyszał szmer tasowanych kart i zerkając na bok zobaczył, jak Follet z niebywałą zręcznością przerzuca całą talię. Nie przypominało to bynajmniej niezdarnych amatorskich sztuczek.

- Mówiłeś chyba, że nie oszukujesz.

- Nie, ale potrafię to robić, gdyby zaszła potrzeba. Całkiem nieźle radzę sobie z kartami, kiedy chcę. - Uśmiechnął się ujmująco. - To jest tak - jeśli posiada się takie kasyno jak moje w Londynie, nie musi się oszukiwać - o ile lokal ma fory w grze. Widzi pan, liczą się fory. Nie przypuszcza pan chyba, że Monte Carlo prosperuje dzięki oszustwom, prawda?

- Z założenia to uczciwa gra.

- Uczciwa w stu procentach - stwierdził stanowczo Follet. - Dopóki rachunek prawdopodobieństwa przemawia na naszą korzyść, wszystko jest w porządku i nie ma potrzeby oszukiwać. Pokażę panu, co mam na myśli, bo czuję, że właśnie dopisze mi szczęście. W ciągu godziny mijamy na tej drodze około dwudziestu samochodów. Założę się z panem, że wśród tych, które minimy przez następną godzinę, będą dwa z identyczną kombinacją końcowej pary cyfr na tablicy rejestracyjnej. To taka zabawa dla zabicia czasu. Warren zastanowił się. Istniało sto możliwych kombinacji, od 00 do 99. Skoro Follet ograniczył je do dwudziestu samochodów, wyglądało na to, że szansę Warrena są większe.

- Zakładamy się o pierwszą dwudziestkę - powiedział ostrożnie Warren.

- O sto funtów - stwierdził Follet ze spokojem. - Jeżeli wygram, dorzuci je pan do mojej premii. Oczywiście pod warunkiem, że wygram. Zgoda?

Warren westchnął ciężko, a potem powiedział:

- W porządku.

Jednostajny szum w głośniku zakłóciła napływająca fala. Usłyszeli, jak Ben Bryan mówi:

- Regent Dwa, zgłoś się. Nasz człowiek szykuje się do odjazdu. Odbiór.

Warren wziął do ręki mikrofon.

- Dziękuję, Regent Jeden. Ruszamy powoli i poczekamy, aż nas dogoni. Żarcie było nieźle, Ben. Będziesz naszym stałym dostawcą. Wyłączam się.

Z głośnika rozległy się nieprzyjemne trzaski, a potem zapadła cisza. Warren uśmiechnął się szeroko i nacisnął samoczynny rozrusznik.

- Patrz w tył, Johnny i daj mi znać, kiedy pokaże się Speering. Follet wyjął pióro.

- Niech pan podaje liczby, a ja będę zapisywać. Proszę się nie obawiać. Upilnuję Speeringa. Dzięki rywalizacji czas upływał szybciej. Jazda była monotonna, droga również i Warren miał się przynajmniej czym zająć. Ponieważ Follet pilnował tego, co działo się z tyłu, Warrenowi pozostawało tylko prowadzenie wozu. Na polecenie Folleta przyśpieszał lub zwalniał, aby utrzymać bezpieczny dystans od jadącego za nimi Speeringa. Poza tym za kierownicą stawał się senny, a zabawa zmuszała go do czujności.

Odczytywał liczby z tablic rejestracyjnych nadjeżdżających samochodów, a Follet je notował. Warren spostrzegł, że kierując prawie całą uwagę na Speeringa, Follet co jakiś czas sprawdzał jednak podawane numery. Uśmiechnął się. Ten facet nigdy nikomu nie ufał. Kiedy wśród piętnastu zanotowanych liczb żadna się nie powtórzyła, Warren zaczął mieć wielką nadzieję, że wygra te sto funtów i jego zainteresowanie zabawą wzrosło. To nie było już tylko zabijanie czasu.

Przy osiemnastej pozycji Follet powiedział nagle:

- No proszę, numer piąty i osiemnasty są takie same! Liczba trzydzieści dziewięć. Przegrał pan, Warren. Moja premia zwiększa się o sto funtów. - Wsadził pióro z powrotem do kieszeni koszuli. - To było tak zwane podpuszczenie albo inaczej frajerski zakład. Nie miał pan większych szans.

- Nie bardzo rozumiem - odparł Warren. Follet roześmiał się.

- To dlatego, że w matematyce jest pan ignorantem. Wyliczył pan, że przy stu możliwych rozwiązaniach i wyborze tylko dwudziestu z nich, pańskie szansę wygranej są czterokrotnie większe i uznał pan, że jestem durniem, skoro uważam je za wyrównane. Ale to pan okazał się durniem, ponieważ tak naprawdę przewaga była po mojej stronie, i to w stosunku co najmniej siedem do jednego. Warto znać się na matematyce.

- Nadal nie rozumiem - stwierdził po namyśle Warren.

- Proszę spojrzeć na to z innej strony. Gdybym się założył, że w pierwszej dwudziestce pojawi się dwukrotnie jakaś konkretna liczba, byłbym głupcem. Ale tego nie zrobiłem. Powiedziałem, że dowolne dwie liczby spośród pierwszych dwudziestu będą identyczne. Warren zmarszczył brwi. Ciągle nie wiedział, w czym rzecz, ale zawsze był słaby w matematyce.

- Podpuszczanie polega na tym - powiedział Follet - że zakład wydaje się korzystny dla frajera, ale w rzeczywistości przewagę ma cwaniak, który mu go proponuje. Wystarczy poszperać trochę w zakamarkach matematyki, zwłaszcza w teorii prawdopodobieństwa, żeby znaleźć dziesiątki pomysłów, na które naiwniak zawsze się nabierze.

- Ze mną już ci się nie uda - stwierdził Warren. Follet stłumił śmiech.

- Może się założymy? To zadziwiające, jak często frajerzy ponownie próbują szczęścia. Andy Tozier też dał się wykiwać. I nabiorę go jeszcze raz. Zanim skończymy akcję, odbiorę mu całą premię. - Zerknął w lusterko. - Niech pan zwolni, dobrze? Droga robi się kręta.

Jechali dalej, aż dotarli do Zandzan.

- Mam tego dżipa na oku - oznajmił Follet. - Chyba jedzie w naszym kierunku.

W dwie minuty później powiedział:

- Zgubiłem go.

Z radia odezwał się głos, zakłócony trzaskami, spowodowanymi zapewne przez wyładowania atmosferyczne nad górami na zachodzie.

- ...skręcił w lewo... hotelu... jedźcie... zrozumieliście? Odbiór. Follet pstryknął przełącznikiem.

- Speering skręcił w lewo koło hotelu. Czy chcesz, żebyśmy jechali za nim? Czy o to chodzi, Andy? Odbiór.

- Tak... szybko... Wyłączam się. Warren zatrzymał wóz.

- Teraz ja poprowadzę - powiedział Follet. - Wygląda pan na zmęczonego.

- W porządku - odparł Warren. Zamienili się miejscami. Warren przeciągnął się i rozsiadł wygodnie w fotelu obok kierowcy. Jechał przez cały dzień, a land-rovera prowadziło się nieco trudniej niż jego limuzynę. Wrócili do Zandzan, znajdując obok hotelu drogę wiodącą na zachód. Na drogowskazach były arabskie napisy, których Warren nie potrafił odczytać.

Follet gwałtownie skręcił i Warren musiał przytrzymać mapy.

Droga pogarszała się z każdą chwilą, a ponieważ prowadziła w góry, była coraz bardziej kręta i niebezpieczna: Follet jechał nieco szybciej niż powinien, starając się dogonić Toziera i Bryana, wóz trząsał się więc i podskakiwał. W końcu zobaczyli przed sobą tuman kurzu.

- To chyba Andy - stwierdził Follet, a po chwili dodał: - Tak, to on. - Zmniejszył nieco prędkość. - Zwolnię trochę, żebyśmy nie łykali przez całą drogę tego przekłętego kurzu. Kiedy wjechali głębiej w góry, jazda stała się powolniejsza. Droga była bardzo zła, pełna kolein, na których trzęsło jak wszyscy diabli i rozmyta w miejscach, gdzie przepływały wezbrane potoki. Zbocza stawały się coraz bardziej strome, a zakręty coraz ostrzejsze, tak że Follet musiał korzystać ze specjalnego niskiego biegu, w który wyposażony jest land-rover. Dzień miał się już ku końcowi.

Warren trzymał na kolanach spięty zestaw map, obserwując równocześnie kompas. Jechali cały czas na zachód. Sprawdziwszy ponownie mapę, powiedział:

- To droga do Kurdystanu.

Wiedział, że tą trasą przemycano od lat opium z Iranu do Syrii i Jordanii. Nabral jeszcze głębszego przekonania, że się nie myli - to już nie mógł być wyłącznie przypadek.

Follet pokonał kolejny zakręt i zjechał w dół jednym z niewielu prostych odcinków drogi. W tym miejscu biegła ona wzdłuż zbocza góry. Na prawo wznosiła się pionowo skalna ściana, a na lewo znajdowała się nie mniej stroma przepaść.

- Niech pan patrzy - powiedział Follet, wskazując głową w dół.

Droga przecinała dolinę i pięła się znowu zboczem góry po drugiej stronie. W oddali pędzący samochód wzniecał czerwony tuman kurzu, wyraźnie widoczny w promieniach słońca.

- To Speering - powiedział Follet. - Andy nie wyjechał jeszcze z doliny. Skoro widzimy Speeringa, to i on nas widzi. Musiałby być ślepy albo zalany w trupa, żeby nie zauważyć, że go śledzimy.

- Nic się na to nie poradzi - stwierdził ponuro Warren. - Tak już jest.

- Niech mi pan powie jedną rzecz - zagadnął Follet. - Co będzie po zachodzie słońca? Pomyślał pan o tym?

Warren rzeczywiście się nad tym zastanawiał i bardzo go to martwiło. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że została im niecała godzina.

- Będziemy jechać, jak długo się da - odparł pozbawionym emocji głosem.

Nie zajechali zbyt daleko. W pół godziny później natrafili na drugiego land-rovera, zaparkowanego przy drodze. Ben Bryan zatrzymał ich machnięciem ręki. Tuż za nim stał Tozier, obserwując góry. Follet zahamował, a Warren wychylił się przez okno.

- Co się dzieje, Ben?

Zęby Bryana lśniły bielą na tle pokrytej kurzem twarzy, a górski wiatr rozwiewał mu włosy.

- Przegraliśmy, Nick. Podejdź tam, gdzie stoi Andy. Warren wysiadł z wozu i poszedł za nim w kierunku Toziera, który odwrócił się i rzekł:

- Może ty mi powiesz, którądy pojechał.

Na szczycie skalistego płaskowyżu drogi rozchodziły się w pięciu kierunkach.

- Pięć możliwości - oznajmił Tozier. - Powiedz, którą wybrał.

- Nie zostawił żadnych śladów?

- Nawet tam, gdzie nie ma litej skały, ziemia jest twarda. - Tozier rozejrzał się wkoło.

- Wygląda to na skrzyżowanie głównych dróg, ale na mapie nie jest zaznaczone.

- Tej drogi, którą jechaliśmy, też tam nie ma - zauważył Warren. Przykucnął, opierając sobie mapę na kolanie. - Przypuszczam, że jesteśmy gdzieś tutaj. - Zaznaczył na mapie niewielki krzyżyk. - Jakies trzydzieści mil w głąb Kurdystanu. - Wyprostował się, przeszedł

na skraj drogi i popatrzył na zachód, gdzie zniżające się słońce oświetlało co jakiś czas burzowe chmury nad czerwonymi szczytami. - Speering może jechać prosto do irackiej granicy.

- Dzisiaj tam nie dotrze - odparł Tozier. - Po takich górskich drogach nie da rady. Co

robimy, Nick?

- A co możemy zrobić, do cholery? - zdenerwował się Warren. - Zgubiliśmy go już na samym początku. Mamy jedną szansę na cztery, że wybierzemy właściwą drogę. Jak przy frajerskim zakładzie. - Opanował bezcelowy gniew. - Teraz niewiele na to poradzimy. Już prawie ciemno, więc lepiej rozbić obóz.

Tozier skinął głową.

- W porządku. Ale zrobmy to tak, żeby nie było go widać z żadnej z tych dróg.

- Dlaczego? O co ci chodzi?

- Właściwie o nic. - Tozier wzruszył ramionami. - Przestrzegam podstawowych zasad bezpieczeństwa. Weszło mi to w krew.

Oddalił się w kierunku samochodów, pozostawiając Warrena w podłym nastroju.

"Sknociliśmy robotę" - pomyślał Warren. "W Bogu nadzieja, że Mike i Dan mają więcej szczęścia".

Nie miał jednak ochoty się o to zakładać. Byłby to kolejny zakład frajera.

4

- To jest życie - stwierdził Michael Abbot. Popijał coś z wysokiej szklanki z matowego szkła, przyglądając się z wyraźnym zainteresowaniem efektownej dziewczynie w nader skąpym bikini, która weszła właśnie na trampolinę. Ugiąwszy nogi w kolanach znieruchomiała na chwilę, a potem śmignęła w powietrzu, wykonując po mistrzowsku jaskółką i nurkując gładko - w Morzu Śródziemnym.

Dan Parker pozostał niewzruszony.

- Tracimy tylko czas - powiedział.

- Nie można niczego przyspieszać - odparł Abbot. Omawiał to już wcześniej z Parkerem i Dan zgodził się, aczkolwiek niechętnie, że lepsze rozwiązanie nie istnieje. Mieli dwa wyjścia. Mogli działać w sposób bezpośredni - to znaczy przedstawić się panie Delorme jako potencjalni sojusznicy. Kłopot polegał na tym, że gdyby im się nie powiodło, ponieśliby totalną klęskę i nie mieli żadnych innych możliwości. Rozwiązanie pośrednie polegało na tym, żeby nakłonić jakoś Delorme, by sama do nich przyszła. Gdyby w rozsądnym krótkim czasie się to nie udało, zastosują wariant bezpośredni.

Abbot pochylił się do przodu, żeby popatrzeć na dziewczynę, która wychodziła właśnie z wody.

- Zdążymy na czas.

- Mamy więc przesiadywać w tym szykownym hotelu, a ty będziesz wlewać w siebie kolejne drinki. Czy o to chodzi? - Parker był rozdrażniony. Dobrze wiedział, że hotel Saint-Georges nie jest dla niego odpowiednim miejscem.

- Spokojnie, Dan - powiedział cicho Abbot. - To dopiero początek. Jeżeli nie zdołamy do niej dotrzeć, będziemy musieli się dowiedzieć, w jakim towarzystwie się obraca - i po to tu jesteśmy.

Jeanette Delorme należała w Libanie do towarzyskiej śmietanki. Mieszkała w Hammana, w luksusowej willi w górach i stać ją było na to, by jadać przez dwa dni z rzędu w hotelu Saint-Georges. Problem polegał na tym, jak ją podejść. Musieli znaleźć sposób, żeby się do niej zbliżyć. Abbot pomyślał, że przypomina to podchodzenie do grzechotnika. Czytał już jej dossier.

Uważał, że jedynie mogli dowiedzieć się, kim są jej wspólnicy - ci najbardziej podejrzani - a potem założyć jakąś solidną przynętę. Musiało to zająć sporo czasu - zdaniem Dana Parkera zbyt dużo - ale nie było innego wyjścia. Siedzieli więc w hotelu Saint-Georges, trzymając się dyskretnie na uboczu, a tymczasem panna Delorme jadła obiad z jakimś znajomym, którego personalia zostaną sprawdzone, gdy tylko się z nią rozstanie. Poprzedni dzień miał podobny przebieg - i nic nie osiągnęli. Jej towarzysz okazał się otyłym libańskim bankierem o nieposzlakowanej reputacji i zdecydowanie nie był łajdakiem, jakiego potrzebowali.

Abbot przyglądał się dziewczynie, która wchodziła znów na trampolinę.

- Wiesz, Dan, dlaczego ten hotel nazywa się Saint-Georges? - zapytał nieoczekiwanie.

- Nie. - Ton lakonicznej odpowiedzi Parkera świadczył, że zupełnie go to nie obchodzi.

Abbot zakolysał zamasyżycie trzymaną w ręce szklanką.

- Właśnie w Bejrucie święty Jerzy zabił smoka. Tak mi przynajmniej mówiono. Stało się to podobno tutaj, nad Zatoką Świętego Jerzego. Zawsze myślałem, że chrześcijanie podkradli ten wątek z mitologii greckiej - no wiesz, z historii o Perseuszu i Andromedzie. - Wskazał dziewczynę na trampolinie. - Sam bym chętnie zabił smoka, gdyby ona była nagrodą. Parker poruszył się niespokojnie na krześle, a Abbot pomyślał, że będzie musiał znaleźć mu jakieś zajęcie. Dan był w porządku, kiedy miał co robić z rękami, ale to obce otoczenie działało mu na nerwy.

- Co cię gryzie, Dan? - zapytał.

- Nadal uważam, że tracimy czas. - Parker wyjął chusteczkę i otarł pot z czoła. - Chętnie napiłbym się piwa. Wiele bym teraz dał za duży kufel.

- Nie widzę powodu, żebyś sobie odmawiał - stwierdził Abbot, rozglądając się za kelnerem.

- Dlaczego jeszcze go nie zamówiłeś?

- Co? Tutaj? - Parker był zaskoczony. Angielskie piwo kojarzyło mu się z londyńskim pubem i kuflami z czasów króla Edwarda, albo z niskim, drewnianym sklepieniem wiejskiej gospody. - Nie sądziłem, że w takim eleganckim miejscu mogą podawać piwo.

- Zarabiają na życie, oferując to, czego życzą sobie klienci - stwierdził sucho Abbot. - Ten jankes za nami popija budweisera, nie widzę więc powodu, dlaczego miałbyś nie dostać swojego kufła. - Przywołał wzrokiem kelnera, który natychmiast się zjawił. - Ma pan jakieś angielskie piwo?

- Oczywiście, proszę pana. Jakie pan sobie życzy? Bass, worthington, watney...

- Niech będzie watney - odparł Parker.

- A dla mnie jeszcze raz to samo. - Abbot patrzył w ślad za odchodzącym kelnerem. - Widzisz, Dan, jakie to proste?

- Nigdy bym nie przypuszczał - zdziwił się Dan.

- Kiedy zjawia się tutaj angielski milioner i nie może dostać ulubionego trunku, robi karczemną awanturę, a to nie sprzyja interesom - stwierdził Abbot. - Zapewne będziemy musieli zapłacić słony rachunek, ale to i tak idzie na konto starego.

Dan zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy przyniesiono mu cynowy kufel. Pogrążył się w nim natychmiast, a gdy wynurzył się dla zaczerpnięcia powietrza, miał pianę pod nosem.

- Takie właśnie lubię - oznajmił. - Zimne i w dobrym gatunku.

- Może poprawi ci humor - rzekł Abbot. Rzucił okiem na rachunek, skrzywił się i odwrócił go na drugą stronę, aby Dan nie zobaczył zapisanej tam kwoty. Zepsułoby mu to na pewno całą przyjemność, nawet jeżeli Hellier za wszystko płacił. Popatrzył z ukosa na Parkera i stwierdził, że znajomy smak piwa wyraźnie go rozluźnił. - Jesteś pewien, że nie mylisz się co do tej torpedy? Znaczący, że to się da zrobić?

- Ależ tak. Dam sobie radę. Potrafię nauczyć je różnych sztuczek.

- Nie chodzi nam o żadne sztuczki. Chcemy tylko, żeby torpeda mogła dotrzeć na cholernie dużą odległość. Pięć razy dalej niż przewiduje jej konstrukcja.

- O to się nie martw - powiedział uspokajająco Dan. - Poradzę sobie. Chciałbym tylko wiedzieć, czy ci ludzie zdobędą torpedę. Wiesz, że nie jest o nie tak łatwo.

Abbot podzielał jego niepokój, choć się do tego nie przyznawał. Warren wpadł na zwariowany pomysł, żeby wykorzystać do przemytu torpedę, ale wprowadzenie jego pomysłu w czyn było już osobną sprawą. Jeżeli Delorme nie zdobędzie torpedy, cały plan weźmie w łeb.

- Pomartwimy się o to w swoim czasie - stwierdził.

Zajęli się luźną rozmową, a Abbot z miną kalifa na targu niewolnic odbierał równocześnie defiladę skaczących z trampoliny dziewcząt. Miał jednak na oku wejście do restauracji i w pół godziny później powiedział cicho:

- To ona. Kończ piwo, Dan.

Parker wlewał w siebie zawartość drugiego już kufła ze swobodą wskazującą na wieloletnią praktykę.

- A więc tak samo jak wczoraj?

- Zgadza się. Jedziemy za tym facetem. Wiadomo, gdzie ją można znaleźć. - Abbot płacił rachunek, a Parker podążył wolno śladem Jeanette Delorme i jej towarzysza. Kiedy Abbot dogonił Parkera, ten otwierał właśnie drzwiczki wozu.

- To czwarty samochód - wyjaśnił Parker. - Chyba nie będzie z nim problemów. Mam tylko nadzieję, że ten facet nie okaże się jeszcze jednym pieprzonym bankierem.

- Ja poprowadzę - powiedział Abbot i wsunął się za kierownicę. Zaczekał, aż wielki mercedes ruszy, a potem wrzucił bieg i włączył się do ruchu trzy wozy za nim. - Nie przypuszczam, żeby to był bankier. Przede wszystkim nie ma brzucha. I z pewnością nie wygląda na Libańczyka.

- Zauważyłem, jak przyglądałaś się tym wszystkim gołym paniąkom, które paradowały przed hotelem - rzekł Parker. - A co myślisz o tej przed nami?

- O naszej Jeanette? - Abbot w skupieniu wyprowadzał wóz z rue Minetel Hosn. - Jakoś nie myślałem o niej w tych kategoriach - stwierdził drwiąco. - Jakby się nad tym zastanowić, jest całkiem niebrzydka, ale nie miałem nigdy okazji popatrzeć sobie na nią czule i bez pośpiechu. Trochę trudno ocenić urodę kobiety, kiedy nie pozwalają ci się jej przyglądać.

- Nie gadaj bzdur - zachnął się Parker.

- No już dobrze. Jest dla mnie trochę za stara. - Abbot miał dwadzieścia sześć lat. - Ale szykowna, bardzo szykowna. Świetnie nadaje się do łóżka. - Skrzywił się. - Tyle że, moim zdaniem, równie dobrze można by iść do łóżka z modliszką.

- O czym ty mówisz, do cholery?

- Nie wiesz, że modliszki zjadają swoich partnerów, kiedy się już z nimi zabawią? - Skręcił w avenue Bliss, jadąc w dyskretnej odległości za mercedesem. Gdy mijali Uniwersytet Amerykański, powiedział: - Zastanawiam się, po co tędy jadą. U wylotu tej drogi jest już tylko morze.

- Wkrótce się przekonamy - odrzekł flegmatycznie Parker. Avenue Bliss przeszła w rue Manarah, a mercedes jechał dalej. Za zakrętem ukazało się morze.

- Uważaj! - ostrzegł Parker. - Zatrzymuje się. Abbot przejechał obok mercedesa, starając się usilnie nie patrzeć na boki. Skręcił za róg i zaparkował wóz na Corniche.

- To był hotel - powiedział i zaczął się zastanawiać. W końcu podjął decyzję. - Pójdę tam. Jeżeli ten mercedes ruszy, a facet będzie w środku, jedź za nim. Nie czekaj na mnie.

- W porządku - odparł Parker.

- I pamiętaj, Dan - działaj dyskretnie.

- To i ciebie dotyczy - stwierdził Parker. Patrzył, jak Abbot skręca za róg w rue Manarah, a potem zawrócił samochód na miejsce, z którego mógł lepiej obserwować wejście do hotelu i równocześnie, w razie potrzeby, ruszyć za zaparkowanym wciąż na ulicy mercedesem. Delorme i towarzyszący jej mężczyzna wyszli właśnie z chłopcem hotelowym, który pakował do samochodu całe mnóstwo bagaży.

Mercedes ruszył miękko, a Parker pojechał za nim i niebawem znalazł się na znajomej drodze. Minęli Uniwersytet Libański i lotnisko Khaldeh, kierując się do Hammana. Kusilo go, żeby zawrócić, ale przejechał całą trasę, towarzysząc Jeanette Delorme i jej gościowi aż do samego domu. Potem udał się z powrotem do Bejrutu, przedzierając się w drodze do hotelu przez uliczne korki.

Kiedy Parker wszedł do pokoju, Abbot Jeżał do góry brzuchem.

- Gdzie się podziewałaś tyle czasu, Dan?

- O tej porze jest cholerny ruch na drodze - odparł z rozdrażnieniem Parker. - Zabrała go do siebie, a wiesz, jak wygląda teraz wyjazd z miasta. Wzięła go do domu, z bagażami i ze wszystkim. Wygląda na to, że jest jej gościem. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Jeżeli on zniknie, będziesz wiedział, że to naprawdę modliszka. Udało ci się czegoś dowiedzieć?

- Owszem - przytaknęła Abbot. - Jedna z paniąnek w hotelu uległa mojemu słynnemu urokowi i dzięki temu wiem już, że facet jest Amerykaninem, nazywa się Jack Eastman i

przyleciał wczoraj z Teheranu. Słyszałeś, Dan? Z Teheranu! Odkryliśmy pierwsze ogniwo.

II

Możliwe, że było to pierwsze ogniwo, ale nie ostatnie, gdyż Eastman okazał się niemal tak samo nieprzystępny, jak panna Delorme.

- Ci przemytnicy narkotyków strasznie zadzierają nosa - zauważył Abbot. - Nie zadają się z pospólstwem.

Zastosowali więc wobec Eastmana starą taktykę. Obserwowanie go i demaskowanie jego współników było potwornie czasochłonne. Zrezygnowaliby z tego, gdyby nie mieli pewności, że są na właściwym tropie. Abbot dostał bowiem list od Helliera, który pełnił rolę ich ośrodka informacji.

- Wiadomości są dobre i złe - stwierdził Abbot po zapoznaniu się z treścią przesyłki.

- Zacznijmy od tych złych - stwierdził. Parker. - Może będą potrzebować pocieszenia, kiedy je usłyszą.

- Warren stracił z oczu Speeringa. Rozpłynął się im gdzieś w centrum Kurdystanu. Teraz wszystko w naszych rękach, Dan. Założę się, że Nick jest wściekły jak diabli - dodał w zadumie.

- My też nie posunęliśmy się zbyt daleko - powiedział ponuro Parker.

- Wprost przeciwnie. To jest właśnie ta dobra wiadomość. Spe-ering zwał Nickowi, ale dzień wcześniej spotkał się z Eastmanem. To łączy go bezpośrednio z panną Delorme.

Uzyskujemy w ten sposób pierwszy konkretny dowód. Wszystko inne to były tylko domysły Nicka Warrena.

Parker rozpromienił się.

- No, skoro tak, to bierzmy się do roboty.

I rzeczywiście, wzięli się do roboty, ale upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim Abbot zdecydował:

- To jest odpowiedni człowiek. Zarzucimy na niego przynętę i miejmy nadzieję, że sownie się to opłaci.

- Picot?

Picot był tylko plotką. Znał faceta, który znał kogoś, kto znał Eastmana. Łatwo było do niego dotrzeć i Abbot miał nadzieję, że okaże się otwarty na nowe pomysły, jeśli mu się je odpowiednio poda. Bystre i wnikliwe oko dostrzegało również, że jest oszustem, co zwiększało jeszcze bardziej nadzieje Abbota.

- Jak go podejdziemy? - zapytał Parker.

- Przede wszystkim musimy przenieść się do tańszego hotelu. - Przyjrzał się Parkerowi z uwagą. - Nie mamy nadmiaru gotówki, ale i nie jesteśmy kompletnymi bankrutami. Faceci żądni forsy, ale ostrożni. Mamy coś do sprzedania i chcemy dostać najwyższą cenę, więc nie decydujemy pochopnie. Rozumiesz?

Parker smętnie się uśmiechnął.

- Najłatwiej będzie mi udawać brak gotówki. Nigdy nie miałem za wiele forsy. Jak podsunie mi Picotowi temat do rozmowy?

- Będziemy improwizować - odparł spokojnie Abbot.

Picot odwiedzał często kawiarnię na starym mieście w pobliżu portu. Kiedy Abbot i Parker znaleźli się tam następnego dnia wieczorem, siedział właśnie przy stoliku, czytając gazetę. Abbot wybrał stolik obok. Usiadł przy nim razem z Parkerem, marszcząc nos na widok śladów jedzenia na jadłospisie, po czym złożył zamówienie dla dwóch osób.

Parker rozejrzał się wokół i powiedział zniżając głos:

- Co teraz?

- Spokojnie - odparł cicho Abbot. - Niech to wyniknie spontanicznie. - Odwrócił się i spojrzał na plik gazet i czasopism, leżących na stoliku Picota i przeznaczonych najwyraźniej dla klientów. Odezwał się po angielsku:

- Przepraszam, monsieur. Czy można? Picot podniósł wzrok i skinął głową.

- Proszę bardzo.

Jego angielszczyzna była dziwnie zabarwiona francuskim i amerykańskim akcentem. Abbot wziął jakieś czasopismo i przeglądał je od niechcienia, dopóki nie zjawiał się kelner, który postawił na stoliku całe mnóstwo talerzy, dwa drinki i dzbanek z wodą. Abbot nalał sobie do szklanki trochę wody, powodując zmętnienie napoju.

- Twoje zdrowie, Dan.

Parker poszedł niezdecydowanie w jego ślady, napił się i prychnął.

- Co to jest? - zawołał uderzając szklanką o stół. - Lekarstwo na kaszel?

- To arak, miejscowy trunek. Parker badał językiem podniebienie.

- Nie próbowałem czegoś takiego od dzieciństwa. - Ze zdziwieniem dokonał odkrycia. -

Ziarenka anyżu! - Powąchał zawartość szklanki. - To nie jest napój dla mężczyzny. Nie mają tu watneya?

Abbot szeroko się uśmiechnął.

- Wątpię. Jeżeli chcesz napić się piwa, masz do wyboru libańskie francuskie i libańskie niemieckie.

- Niech będzie niemieckie - zdecydował Parker. Abbot złożył zamówienie na henninger byblos, a odwróciwszy się zobaczył, jak Parker przygląda się podejrzliwie zawartości talerzy.

- Na miłość boską, Dan, przestań zachowywać się jak turysta! - powiedział ze złością. - Czego się tu spodziewałeś, ryby z frytkami?

- Lubię wiedzieć, co jem - stwierdził nieporuszony Parker.

- To "mezza" - powiedział głośno Abbot. - Niewiele kosztuje i wystarczy, żeby się najeść.

Jeżeli chcesz czegoś lepszego, idź do Saint-Georges'a, ale nie ja będę płacić rachunek.

Zaczynam mieć ciebie dość. Jeszcze trochę, a wszystko odwołam.

Parker wyglądał na zaskoczonego, ale uspokoił się, gdy Abbot do niego mrugnął.

Przyniesiono piwo. Parker spróbował je, po czym odstawił szklankę.

- Chyba może być.

- Czy myślisz, że mógłbyś się tym... hm... zalać? - zapytał cicho Abbot.

Parker przytknął palcem w szklankę.

- Taka słabizna nie wystarczy.

- Ale mógłbyś się postarać, prawda? Może nawet zacząłbyś być niedyskretny.

- To zamów mi następne piwo - stwierdził Parker i jednym potężnym haustem opróżnił szklankę.

Abbot jadł z apetytem, natomiast Parker przebierał w talerzu i pił najwyraźniej więcej niż powinien. Mówił coraz głośniej, coraz bardziej bełkotał i zaczynał uskarżać się na swój los.

- Chcesz ze wszystkiego zrezygnować? A nie pomyślałeś o tym, co ja czuję? To był mój pomysł - cholernie dobry pomysł - i jak go wykorzystujesz? Siedzisz na tym swoim arystokratycznym tyłku i nic nie robisz.

- Uspokój się, Dan! - nalegał Abbot.

- Wcale się nie uspokoję! Tych twoich pretensji też zaczynam mieć już dość. - Zaczął mówić przedrzeźniającym tonem: "Nie rób tego Dan. - Nie rób tamtego Dan. - Zamykaj usta przy jedzeniu Dan". Za kogo ty się uważasz, do cholery?

- Och, na miłość boską! - wtrącił Abbot.

- Powiedziałeś, że możesz mi pomóc w załatwieniu tej sprawy - i co zrobiłeś? Gównno!

- Trzeba czasu, żeby nawiązać kontakty - odparł ze znużeniem Abbot.

- Mówiłeś, że masz kontakty - stwierdził zjadliwie Parker.

- Na co ty właściwie narzekasz? - powiedział Abbot podniesionym głosem. - Nie płacisz za to, prawda? Gdyby nie ja, siedziałbyś dalej na tyłku w Londynie, grzebał się w pogruchotanych wozach i marzył o tym, jak szybko zrobić majątek. Wyłożyłem już prawie tysiąc funtów, Dan. Czy to się w ogóle nie liczy?

- Nie obchodzi mnie, czyje to pieniądze. Ciągle nic nie robisz i tracę tylko czas. - Parker wskazał zamaszystym gestem otwarte drzwi: - W porcie jest pełno statków i załóżę się, że połowa z nich bierze udział w przemyśle. Wezmą to, co mam im do zaoferowania i dobrze

mi zapłącą. Mówisz, że siedzę na tyłku - a czemu ty swojego nie ruszysz?

Abbot próbował bezskutecznie uciszyć Parkera.

- Zamknij się, na Boga! Chcesz, żeby wszystko się wydało? Skąd wiesz, czy tu nie roi się od policji? Parker z trudem stanął na nogi.

- A, do cholery! - Rozejrzył się wokoło zamglonym wzrokiem. - Gdzie tu jest toaleta?

Abbot patrzył na niego z rezygnacją.

- Tam - powiedział wskazując drzwi w głębi kawiarni. - Tylko nie rozmawiaj z obcymi. -

Patrzył, jak Parker odchodzi chwiejnym krokiem od stolika, po czym wzruszył ramionami i wziął do ręki gazetę.

- Monsieur? - odezwał się głos za jego plecami. Odwróciwszy się zobaczył, że Picot bacznie mu się przygląda,

- Słucham?

- Czy myliłbym się twierdząc, że pan i pański przyjaciel szukacie... pracy?

- Owszem - odparł krótko Abbot i odwrócił się. Zawahał się wyraźnie, po czym znowu spojrzął na Picota. - Dlaczego pan tak uważa?

- Pomyślałem, że może szukacie roboty. Jesteście marynarzami?

- Czy ja wyglądam na marynarza? - spytał Abbot. Picot uśmiechnął się.

- Nie, monsieur. Ale pański przyjaciel... - - To jego sprawa.

- A nie pańska, monsieur? - Picot uniósł brwi. - Więc zdecydowanie nie szukacie panowie pracy?

- Jakiego rodzaju?

- Każdy, kto ma błyskotliwe pomysły, a zwłaszcza marynarz... zawsze coś odpowiedniego się dla niego znajdzie.

- Nie jestem marynarzem. Mój przyjaciel był nim w przeszłości. Ale i dla mnie musiałoby się znaleźć miejsce. Jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi. Rozumie pan, nigdy się nie rozstajemy.

Picot z uśmiechem przyglądał się swoim paznokciom.

- Rozumiem, monsieur. Wiele zależeć będzie od tego, co pański przyjaciel wymyślił. Gdyby zechciał mi pan to wyjaśnić, na pewno pan nie pożałuje.

- Jeżeli panu powiem, będzie pan wiedział tyle, co ja, prawda? - powiedział chytrze Abbot. - Nic z tego. Poza tym nie wiem, kim pan jest. Nie lubię robić transakcji z nieznanymi.

- Nazywam się Jules Fabre - przedstawił się Picot, zachowując powagę na twarzy.

Abbot pokręcił głową.

- To mi nic nie mówi. Może pan być równie dobrze grubą rybą albo nędznym oszustem.

- Nie zabrzmiało to ładnie, monsieur - powiedział z wyrzutem Picot.

- Bo i wcale nie miało - odparł Abbot.

- Utrudnia pan sprawę - stwierdził Picot. - Nie spodziewa się pan chyba, że kupię kota w worku. To żaden interes. Wcześniej czy później będzie mi pan musiał powiedzieć.

- Nie martwię się tym za bardzo. Tego, co wymyślił Dan - mój przyjaciel - nie dokona nikt inny. On jest specjalistą.

- A pan?

Abbot wyszczerzył zęby w impertynenckim uśmiechu.

- Można powiedzieć, że jestem jego menedżerem. Poza tym, włożyłem w to na razie swoje pieniądze. - Zmierzył Picota obraźliwym spojrzeniem. - A skoro mowa o pieniądzach - to, co mamy do sprzedania, będzie kosztowało kupę forsy, a nie przypuszczam, żeby taki drobny kanciarz jak pan je miał, więc niech pan nie zabiera mi czasu. - Powiedziawszy to, znów się odwrócił.

- Chwileczkę - powstrzymał go Picot. - Ile spodziewa się pan dostać za tę swoją tajemnicę?

Abbot zrobił obrót i zmierzył Picota wzrokiem.

- Pół miliona dolarów amerykańskich. Ma pan tyle? - zapytał ironicznie.

Picot ściągnął usta i zniżył głos:

- I chodzi o przemyt?

- A o czym niby cały czas rozmawialiśmy, do cholery? - spytał Abbot.

Picot wyraźnie się ożywił.

- Chce pan skontaktować się z kimś u góry? Mogę panu pomóc, monsieur, ale to będzie kosztowało. - Znacząco potarł kciuk o wskazujący palec, wzruszając ramionami. - Ja też mam swoje wydatki, monsieur.

Abbot zawahał się, ale zaraz potem pokręcił głową.

- Nic z tego. Nasza oferta jest tak dobra, że góra zapłaci za to, żeby nas pan znalazł. Po co miałbym dawać panu w łapę?

- Bo jeżeli pan nie da, góra nigdy o was nie usłyszy. Staram się tylko zarobić na życie, monsieur.

Parker wrócił i usiadł ciężko na krześle. Wziął do ręki pustą butelkę i uderzył nią o stół.

- Chcę jeszcze jedno piwo.

Abbot obrócił się na krześle i powiedział ze złością: - - No to sobie kup.

- Nie mam forsy - stwierdził Parker. - Poza tym - dodał wojowniczo - to ty jesteś bankierem.

- Och, na litość boską! - Abbot sięgnął po portfel, wyłuskał z cienkiego zwitka pojedynczy banknot i rzucił go na stolik. - Kup sobie całe wiadro piwa i wykup się w nim. Jeśli o mnie chodzi,

możesz się nawet utopić. - Odwrócił się do Picota: - No dobrze, ile za to chcesz, cholerny krętaczu?

- Tysiąc funtów. Libańskich.

- Połowa teraz, a reszta po nawiązaniu kontaktu. - Odliczył banknoty i rzucił je Picotowi przed nos. - W porządku? Picot wyciągnął rękę i ostrożnie zabrał pieniądze.

- W porządku, monsieur. Jak pan się nazywa i gdzie mogę pana znaleźć?

- Moje nazwisko jest bez znaczenia. Będę tu prawie co wieczór - oznajmił Abbot. - To wystarczy. Picot skinął głową.

- Wierzę, że nie marnujecie czasu - ostrzegł. - Ten facet nie toleruje głupców.

- Będzie zadowolony z tego, co mamy do zaoferowania - powiedział z przekonaniem Abbot.

- Mam nadzieję. - Picot spojrzał na Parkera, który siedział z nosem w szklance. - Pański przyjaciel za dużo pije - i za głośno mówi. To niedobrze.

- Jest w porządku. Zrobił się tylko drażliwy z powodu długiego czekania, nic więcej. W każdym razie potrafię nim pokierować.

- Doskonale pana rozumiem - stwierdził oschle Picot. Zaraz potem wstał. - Wkrótce się zobaczymy.

Abbot popatrzył w ślad za nim, a po chwili powiedział:

- Byłeś znakomity, Dan. Scena straciła wielkiego aktora. Parker odstawił szklankę i przyglądał się jej bez entuzjazmu.

- Grałem kiedyś niezłe w amatorskim teatrze - powiedział z zadowoleniem. - Wyplaciłeś mi coś. Ile tego było?

- Ma dostać tysiąc funtów. Dałem mu połowę. - Abbot roześmiał się. - Spokojnie, Dan. To funty libańskie. Każdy wart jest około pół korony.

Parker odchrząknął i zabełtał piwo w szklance.

- To i tak za dużo. Dają tu straszną lurę. Chodźmy gdzieś napić się czegoś przyzwoitego i wtedy mi wszystko opowiesz.

III

Następnego dnia nic się nie wydarzyło. Wieczorem znaleźli się w kawiarni o tej samej porze, ale nie zastali tam Picota, zjedli więc coś, pogawędzili trochę i wyszli. Abbot był pewny swego, a jednak zastanawiał się, czy Picot nie blefował i czy nie zapłacił sześćdziesięciu funtów zręcznemu naciągaczowi, którego nigdy więcej nie zobaczy.

Następnego wieczoru mieli właśnie iść do kawiarni, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Abbot uniósł brwi, spoglądając ze zdziwieniem na Parkera i poszedł otworzyć.

- Kto tam?

- Fabre. Otworzył drzwi.

- Skąd pan wiedział, gdzie nas szukać?

- To bez znaczenia, panie Abbot. Chciał pan z kimś rozmawiać. Ta osoba tu jest. - Pokazał wzrokiem w bok. - To będzie kosztowało pięćset funtów.

Abbot rzucił okiem w mroczny korytarz, gdzie stał jakiś wysoki mężczyzna.

- Niech mnie pan nie próbuje nabrać, Fabre. Skąd mam wiedzieć, że to facet, którego szukam? To może być jedno z pańskich szachrajstw. Najpierw z nim pogadam, a potem dostanie pan pieniądze.

- W porządku - zgodził się Picot. - Będę jutro tam gdzie zwykle.

Odszedł korytarzem, a Abbot czekał przy drzwiach. Wysoki mężczyzna ruszył z miejsca, a gdy jego twarz wyłoniła się z mroku, Abbot wiedział, że trafił w dziesiątkę. Był to Eastman. Usunął się na bok, żeby pozwolić mu przejść, a Eastman odezwał się z bezbarwnym akcentem człowieka ze Środkowego Zachodu:

- Czy Picot próbował pana naciągać? Abbot zamknął drzwi.

- Kto? - spytał obojętnie. - Powiedział, że nazywa się Fabre.

- Nazywa się Picot i jest z niego kawał hochszaplera - oznajmił Eastman bez cienia złośliwości.

- Skoro mowa o nazwiskach - powiedział Abbot - to Dan Parker, a ja jestem Mike Abbot. A pan nazywa się...? - zawiesił pytająco głos.

- Eastman.

Abbot uśmiechnął się.

- Proszę usiąść, panie Eastman. Dan, dostaw sobie fotel i przyłącz się do zgromadzenia.

Eastman usiadł sztywno na podsuniętym mu fotelu.

- Podobno chcecie mi panowie coś sprzedać. Przejdźmy do rzeczy.

- Ja zacznę, Dan - powiedział Abbot. - Możesz się wtrącić, kiedy dojdziemy do kwestii technicznych. - Spojrzał na Eastmana. - Podobno w tym rejonie istnieje duży przemysł. Dan i ja mamy pewien pomysł. Dobry pomysł. Kłopot w tym, że nie posiadamy kapitału, żeby go zrealizować, oczekujemy więc propozycji - oczywiście na zasadach partnerstwa.

- Nie dostaniecie ani centa, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

- W tym miejscu rozmowa staje się trudna - stwierdził Abbot. - Dan jest jednak zdania, że nawet gdy pozna pan naszą tajemnicę, nie będzie to miało większego znaczenia. Uważa, że tylko on wie, jak zrealizować swój pomysł. Oczywiście, nic z tego nie wyjdzie przy zbyt dużym obciążeniu. Co chciałby pan przemycać? Eastman zawahał się przez moment.

- Powiedzmy, że złoto.

- Powiedzmy - zgodził się Abbot. - Dan, ile mógłbyś tego przerzucić - biorąc na wagę?

- Do pięciuset funtów.

- Interesuje to pana? - spytał Abbot.

- Niewykluczone. Co to za cudo?

- Możliwość przemytu od strony morza. Za pomocą torpedy. - Abbot patrzył na Eastmana, jakby oczekiwał oklasków.

Eastman westchnął i położył dłonie na stole, jak gdyby zamierzał wstać.

- Naraża mnie pan na stratę czasu - stwierdził. - Bardzo mi przykro.

- Chwileczkę - zatrzymał go Abbot. - Dlaczego uważa pan, że to strata czasu?

Eastman zmierzył go wzrokiem i smętnie pokręcił głową.

- Już tego próbowano, z miernym skutkiem. Nie macie szczęścia, chłopcy.

- Może używaliście nieodpowiednich torped.

- Możliwe. - Eastman spojrzał na Abbota, okazując znowu zainteresowanie. - A jakie pan ma?

- Jeżeli pan mi powie, co jest potrzebne, może dojdziemy do porozumienia.

Eastman lekko się uśmiechnął.

- W porządku, wchodzę do gry. Mam jeszcze dziesięć minut. Torpeda sprawdziła się tylko raz. Było to na granicy austriacko-włoskiej. Kilku cwaniaczków-amatorów zdobyło torpedę i zabrali się za przemysł przez jedno z tamtejszych jezior. W jedną stronę przerzucali alkohol, w drugą tytoń. Celnicy dostawali szau i nie mogli dojść, jak to działa. A potem

jakiś głupek zaczął za dużo gadać i wszystko się skończyło.

- A więc to działało, prawda? - spytał Abbot.

- Owszem, ale tylko przez jakieś pieprzone jezioro. Torpeda ma dla mnie za mały zasięg.

- A może pan ją zdobyć?

- Pewnie, ale po co? Te, do których jest dostęp, docierają na zbyt małą odległość, a te, które by się nadały, są na tajnych listach. Boże, gdybym mógł dostać jeden z tych nowoczesnych, zdalnie sterowanych podwodnych pocisków, byłbym bogatym człowiekiem.

- Jakiego rodzaju torpedę może pan zdobyć? - wtrącił się Parker. Eastman wzruszył ramionami.

- Jedną z tych, które są dostępne na międzynarodowym rynku broni. Modele z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Nic szczególnie nowoczesnego.

- A model brytyjski, Mark XI?

- Na pewno też można je dostać. Mają zasięg maksymalnie do trzech mil. Na co by się zdały, do diabła?

- Przy podgrzanych bateriach pokonają pięć i pół tysiąca jardów - poprawił go Parker. Abbot uśmiechnął się.

- Myślę, że powinieneś mu wszystko powiedzieć, Dan. - - Mogę wypuścić torpedę Mark XI na odległość piętnastu mil - rzekł z naciskiem Parker.

Eastman wyprostował się w fotelu.

- Mówi pan serio?

- Tak - potwierdził Abbot. - Nasz Danny sprawi, że Mark XI stanie na wodzie i będzie robił sztuczki. Przedstawiam pana Parkera, najlepszego podoficera, jakiego miała kiedykolwiek Królewska Marynarka, i specjalistę od torped.

- Zaciekawia mnie pan - powiedział Eastman. - Jest pan pewien tych piętnastu mil? Parker z wolna się uśmiechnął.

- Naładuję torpedę taką energią, że będzie pan mógł wystrzelić ją w kierunku brzegu z prędkością trzydziestu węzłów, pozostając bezpiecznie poza dwunastomilowym pasem wód terytorialnych. Nie pozostawi nawet śladu pęcherzyków powietrza.

- I uniesie ładunek pięciuset funtów?

- Właśnie.

Eastman zastanawiał się.

- A co z dokładnością?

- To zależy od egzemplarza, który dostanę. Urządzenia sterujące są czasem nieco prymitywne. Ale mogę je usprawnić, jeżeli da mi pan zrobić próby na morzu. - Parker potarł szczękę. - Zakładam, że mógłbym zagwarantować dokładność trzech cali na sto jardów, co przy odległości piętnastu mil oznacza ewentualne odchylenie o niecałe siedemdziesiąt jardów w jedną lub drugą stronę.

- Mój Boże! - odezwał się Eastman. - Całkiem niezłe.

- Chyba znajdzie pan dostatecznie dużą, spokojną plażę - stwierdził Abbot. - Musi łagodnie opadać w głąb morza, ale z tym nie powinno być większych problemów.

- Chwileczkę - wtrącił się Parker. - Mówię o dokładności samej torpedy, ale osobną sprawą są prądy. Jeżeli na nie natrafi, zboczy z kursu, a niech pan nie zapomina, że będzie w wodzie przez pół godziny. Przy bocznym prądzie o prędkości zaledwie pół węzła torpedę zniesie o pięćset jardów. Można to jednak uwzględnić i wziąć odpowiednią poprawkę albo w ogóle uniknąć problemu, wybierając spokojne wody.

- Tak, z tym dalibyśmy sobie radę. - Eastman z namysłem przygryzał kciuk. - Jest pan, zdaje się, bardzo pewny, że wszystko się uda.

- Owszem - odparł Parker. - Ale będzie to pana cholernie dużo kosztowało. Potrzebna jest przede wszystkim torpeda, a do niej wyrzutnia. Trzeba kupić wysokiej mocy ogniwa rtęciowe, które też nie są tanie. Poza tym...

- ...nasze usługi również kosztują - wtrącił gładko Abbot. - I to niemało.

- Jeżeli wam się uda, potrafimy o was zadbać - powiedział Eastman, - Jeśli nie, zadamy także, tylko w inny sposób. - Zmierzył ich lodowatym spojrzeniem.

Parker zachował całkowity spokój.

- Na początek udowodnię panu, że to się da zrobić. Urządzimy próby na morzu.
- W porządku - zgodził się Eastman. - Ale najpierw muszę pogadać o wszystkim z szefem. - Z szefem? - zdziwił się Abbot. - Myślałem, że to pan nim jest!
- Jeszcze wielu rzeczy pan nie wie - stwierdził Eastman. - Proszę być w pobliżu. - Podniósł się z fotela. - Skąd panowie jesteście?
- Z Londynu - odrzekł Abbot. Eastman skinął głową.
- Dobrze. Wkrótce się zobaczymy.
- Nie chcę wyjść na natręta - odezwał się Abbot - ale co z naszym angażem? Mówiąc inaczej, nabył pan właśnie prawo do naszych usług, za które należy się zaliczka, prawda?
- Ma pan tupet. - Eastman wy dobył portfel. - Na ile naciągnął was Picot?
- Tysiąc libańskich funtów. Połowa teraz, reszta potem.
- W porządku. Macie tu dwa pięćset. To daje już dwa tysiące czystego zysku - zanim cokolwiek zrobiliście. Gdyby Picot upominał się o drugą pięćsetkę, odeślijcie go do mnie. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Ale nie robi tego. - Odwrócił się gwałtownie i wyszedł z pokoju.

Abbot usiadł powoli i odezwał się do Parkera:

- W Bogu nadzieja, że sobie poradzisz. Mamy ich wreszcie w garści, ale oni nas także. Jeżeli nam się nie uda, wpadniemy w tarapaty.

Parker z całkowitym spokojem napełnił fajkę.

- Dostaną to, czego chcą, a może i więcej. - Zamilkł na chwilę. - Myślisz, że on będzie zasięgał o nas informacji w Londynie?
- Z całą pewnością. Jesteś czysty, Dan. W twojej przeszłości nic go nie zaniepokoi. - Abbot przeciągnął się. - A co do mnie, tuż przed wyjazdem zrobiłem naczelnemu karczemną awanturę. Specjalnie ją zaaranżowałem. Założę się, że na Fleet Street do dzisiaj jest o tym głośno. - Uśmiechnął się szeroko. - Wylali mnie, Dan. Zostałem na własnym garnuszku za zachowanie niegodne dziennikarza i dżentelmena. Mam tylko nadzieję, że Eastmana i spółkę to zadowoli.

IV

Eastman nie kazał im długo czekać. W trzy dni później zadzwonił i oznajmił:

- Dzień dobry, panie Abbot. Proszę włożyć na siebie coś ekstra. Dziś wieczorem wychodzą panowie do miasta.
 - Dokąd?
 - Do Paon Rouge. Jeżeli nie macie przyzwoitych strojów, skorzystajcie z forsy, którą wam dałem.
 - Kto stawia kolacje? - zapytał Abbot, grając konsekwentnie rolę faceta, który dopiero ma się wzbogacić.
 - Wszystko będzie zapłacone - odparł Eastman. - Macie spotkać się z szefem. Zachowujcie się jak należy. O wpół do dziesiątej przyślę po was samochód.
- Abbot powoli odłożył słuchawkę i odwrócił się do Parkera, który z zainteresowaniem mu się przyglądał.
- Masz smoking, Dan? Parker skinął głową.
 - Na wszelki wypadek go zapakowałem.
 - Dziś wieczorem będzie ci potrzebny. Mamy zaproszenie do Paon Rouge.
 - A więc włożę go już po raz trzeci - stwierdził Parker. Dotknął ręką brzucha. - Może być trochę ciasny. Co to jest Paon Rouge?
 - Nocny klub w hotelu Fenicja. Mamy spotkać się z szefem, a jeżeli to ta osoba, o której myślę, dopieśliśmy swego. Dano nam właśnie delikatnie do zrozumienia, żebyśmy się ogolili i ładnie umyli zęby.
 - Hotel Fenicja... Czyżby to był ten stylowy lokal koło Saint-Georges?
 - Właśnie. Wiesz, co to jest hotel pięciogwiazdkowy, Dan? Parker zmrużył oczy.

- Saint-Georges? - odpowiedział na chybił trafił.
- Zgadza się! A do sklasyfikowania hotelu Fenicja brakuje w informatorze gwiazdek.
Przemysł narkotyków musi się opłacać.

* * *

Libańczyk, który zawiózł ich czarnym mercedesem do hotelu Fenicja, okazał się małym mówcą. Parker był cały nieszczęśliwy, gdyż potwierdziły się jego obawy co do wieczorowego stroju. Kołnierzyk koszuli uciskał mu gardło, dusząc go powoli, a spodnie uwierały go okrutnie w pasie i w kroku. Postanowił, że zacznie się gimnastykować, żeby pozbyć się typowego dla pana w średnim wieku brzuszka.

Kiedy tylko wymienili nazwisko Eastmana, ubrany w imponujący strój majordomus z godną podziwu skwapliwością zaprowadził ich do jego stolika. W Paon Rouge, jak przystało na nocny klub, panował stosowny półmrok, nie było jednak na tyle ciemno, by Abbot nie mógł dostrzec swej zdobyczy. Eastman siedział obok Jeanette Delorme. Gdy podeszli, podniósł się z miejsca.

- Rad jestem, że mogliście się panowie zjawić - przywitał ich konwencjonalnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Eastman - odparł Abbot. Spojrzał na siedzącą kobietę. - Czy szefem jest ta pani? Eastman uśmiechnął się.

- Sam się pan przekona; jeśli wejdzie jej pan w drogę. - Odwrócił się do kobiety. - Panowie Abbot i Parker. Pozwalam sobie przedstawić pannę Delorme.

Abbot przyjrzał się jej, skłaniając głowę. Miała na sobie prostą narzutkę, ledwie osłaniającą jej ramiona i piersi. Wyglądała najwyżej na dwadzieścia pięć lat. Wiedział z całą pewnością, że ma trzydzieści dwa, ale pieniądze potrafią zdziałać cuda. Panna Delorme była bardzo kosztownym kąskiem.

Skinęła na niego palcem.

- Pan usiądzie tutaj.

Powstało małe zamieszanie, gdyż lokaje musieli poprzestawiać krzesła, po czym Abbot, z kieliszkiem szampana w ręce, znalazł się obok panny Delorme i naprzeciwko Parkera.

Panna Delorme przyglądała - się Parkerowi przez moment, a potem oświadczyła:

- Jeżeli to, co mówi Jack, jest zgodne z prawdą, może będę chciała pana zatrudnić.

Potrzebuję jednak dowodów.

Mówiła doskonałą angielszczyzną, pozbawioną niemal obcego akcentu.

- Będzie je pani miała - stwierdził Abbot. - Dan ich pani dostarczy.

- Wszędzie wokoło jest morze - powiedział Parker. - Możemy zrobić próby.

- Jaka torpeda byłaby najodpowiedniejsza?

- To właściwie bez znaczenia - odparł Parker. - Byleby miała elektryczny napęd.

Obracała powoli w palcach kieliszek.

- Mam pewnego znajomego - powiedziała. - Był podczas wojny kapitanem niemieckiej łodzi podwodnej. Nie miał wysokiego mniemania o brytyjskich torpedach. Twierdził, że połowa z nich po odpaleniu zbaczała z kursu. - Jej głos zabrzmiał agresywnie. - To byłoby niedopuszczalne.

- Na Boga, nie! - odezwał się Eastman. - Nie możemy stracić torpedy z ładunkiem, który ma zawierać. To by cholernie dużo kosztowało.

- Och, mówi pani o brytyjskich torpedach starego typu - stwierdził Parker. - Model Mark XI to co innego. Pani znajomy kapitan miał całkowitą rację. Pierwsze brytyjskie torpedy były fatalne, ale Mark XI to chińska wersja modelu niemieckiego. Kiedy weszła do użytku w czterdziestym czwartym, okazała się bardzo dobra. Podkradliśmy ją szkopom, a jankesi nam. Każda z tych torped mogłaby się nadać, ale osobiście wolę model Mark XI. Po prostu lepiej go znam. W sumie są bardzo podobne i różnią się tylko szczegółami.

- W jaki sposób chce pan ją udoskonalić?

- Proszę posłuchać - powiedział Parker, z przejęciem pochylając się do przodu. - Torpedę Mark XI skonstruowano w czterdziestym czwartym roku. Miała baterie ołowio-

kwasowe. Innych wtedy nie znano. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat wiele się zmieniło. Nowego typu ogniwa potasowe - to tlenek rtęci z cynkiem - mają bez porównania większą moc, którą da się wykorzystać na dwa sposoby. Można zwiększyć zasięg torpedy albo jej prędkość. Zaprojektowałem odpowiednie obwody dla obu wariantów.

- Nas interesuje większy zasięg - stwierdził Eastman. Parker skinął głową.

- Wiem. Będzie to kosztowało kupę forsy - ostrzegł. - Ogniwa rtęciowe nie są tanie.

- Ile? - zapytała Delorme. Parker podrapał się po głowie.

- Przy każdym odpaleniu torpedy sama energia będzie pania kosztować ponad tysiąc.

Spojrzała na Eastmana, który wyjaśnił:

- To znaczy tysiąc funtów szterlingów. Abbot wypił łyk szampana.

- Wszystko drożeje - zauważył chłodno.

- Fakt - odparł z uśmiechem Parker. - A w czterdziestym czwartym całe to cholerne cygaro kosztowało zaledwie sześćset funciaków. Nie mam pojęcia, jaką teraz mają cenę.

- Tysiąc pięćset funtów - oznajmił Eastman. - Po tyle chodzą na wolnym rynku.

- No proszę - powiedział Parker. - Następnym tysiąc będzie kosztowała próba i tysiąc wykonanie zadania plus, powiedzmy, pięćset za przeróbki. Podstawowy koszt wyniesie więc cztery tysiące. Do tego dochodzi nasz udział.

- A jaki jest panów udział? - zapytała Jeanette Delorme.

- Procent od zysków - oznajmił Abbot. Odwróciła się w jego stronę.

- Doprawdy? A na czym polega pańska rola? Wygląda na to, że całą robotę wykonuje pan Parker. Abbot uśmiechnął się szczerze.

- Powiedzmy, że jestem jego menedżerem.

- W naszej organizacji nie ma zbędnych ludzi - powiedziała bez cienia emocji.

- Mike i ja jesteśmy kumplami - wtrącił się Parker. - Pójdę tam, gdzie on, i odwrotnie. Poza tym postaram się, żeby miał co robić - sam wszystkiemu nie podołam.

- Jak pani widzi, to sprzedaż wiązana - stwierdził Abbot. - A o interesach trzeba mówić ze mną.

- Zyski z przemytu złota nie są zbyt wysokie - powiedziała z powątpiewaniem.

- Och, niech pani da spokój - odezwał się z niesmakiem Abbot. - Nie przemycacie przecież złota, tylko narkotyki. Popatrzyła na Eastmana, a potem znów na Abbota.

- A skąd pan o tym wie? - zapytała cicho.

- Potrafię logicznie myśleć. Po Londynie krążyły różne pogłoski. Dlatego tu przyjechaliśmy.

- Za wiele tych pogłosek - powiedziała oschle. Abbot uśmiechnął się.

- Nie martwiłbym się szczególnie z tego powodu. Wysłuchiwałem ich jako zawodowiec. To był czysty przypadek i jechaliśmy tutaj zupełnie w ciemno. - Wzruszył ramionami. - Ale się opłaciło.

- Jeszcze nie - rzuciła uszczypliwie. - Ile chcecie dostać?

- Dwadzieścia procent - odparł bez namysłu Abbot. Delorme roześmiała się.

- Och, co za głupiec nam się trafił. Nie uważasz, Jack? - Eastman uśmiechnął się szeroko, a Delorme oświadczyła poważnie: - Dostanie pan jeden procent i będzie pan bardzo bogaty, monsieur Michael Abbot.

- Może jestem głupi - stwierdził Abbot - ale nie na tyle szalony, żeby zgodzić się na jeden procent.

- Moim zdaniem sam fakt, że spodziewa się pan procentowego udziału, świadczy o szaleństwie - powiedział Eastman. - W ten sposób nie dojdziemy do porozumienia.

- No dobrze - oznajmiła Delorme. - Damy panu określoną sumę za całą robotę. Co by pan powiedział na sto tysięcy dolarów amerykańskich?

Abbot uniósł brwi.

- Dla każdego z nas? Zawahała się przez moment.

- Oczywiście.

- Powiedziałbym, że się nie zgadzam - odparł Abbot, kręcąc głową. - Chcemy co najmniej dwa razy tyle. Myśli pani, że nie wiem, jakie zyski osiąga się w tej robocie?

Eastman zaśmiał się chrapliwie.

- Jesteście obaj głupcami i szaleńcami. Do cholery, i tak już zdradziliście nam swój pomysł. Co nas powstrzyma, żeby zrealizować go bez waszego udziału?

- I kto tu jest głupcem? - spytał Abbot. - Niełatwo znaleźć mechanika znającego się na torpedach - dodał wskazując na Parkera. - Jeszcze trudniej o takiego, który potrafi dokonać potrzebnych w tym przypadku przeróbek. A mechanika skłonnego przemycać narkotyki szukalibyście ze świecą. Bez nas nie dacie rady i dobrze o tym wiecie.

- Więc uważacie, że macie nas w garści? - stwierdził ironicznie Eastman. - Posłuchaj no, tydzień temu nie wiedzieliśmy nawet o waszym istnieniu. Nie jesteście nam do niczego potrzebni!

- Pomysł jest jednak niezły, Jack - powiedziała z namysłem Delorme. - Może pan Abbot pójdzie na ugodę. - Odwróciła się do niego.

- To ostateczna propozycja. Zgodzi się pan albo nie. Trzysta tysięcy dolarów dla was obu. Sto tysięcy zdeponuję w miejscowym banku po pomyślnym zakończeniu prób. Resztę dostaniecie po wykonaniu zadania.

- Co o tym myślisz, Dan? - spytał Abbot.

Parker siedział z otwartymi ustami. Zamknął je, a potem odrzekł:

- To ty masz głowę do interesów. Zdaję się na ciebie, Mike - stwierdził i z trudem przełknął ślinę. Abbot długo się zastanawiał.

- W porządku. Zgadząmy się.

- Dobrze! - odparła Delorme, promiennie uśmiechnięta. - Zamów jeszcze szampana, Jack.

Abbot mrugnął do - Parkera.

- Jesteś zadowolony, Dan?

- Bardzo się cieszę - powiedział Parker słabym głosem.

- Myślę, że honorarium uzależnione od rezultatów to najlepsze rozwiązanie - stwierdził Abbot i zerknął na Eastmana. - Gdybyśmy upierali się przy udziale procentowym, Jack zdarłby z nas skórę. Na pewno nie chciałby pokazać nam książ.

Eastman uśmiechnął się,

- Jakich książ? - Uniósł palec i natychmiast podbiegł do nich kelner.

- Chciałabym zatańczyć - oświadczyła Delorme. Patrzyła na Abbota, więc ten zaczął podnosić się z miejsca, ona rzekła jednak: -Poproszę chyba... pana Parkera.

Abbot usiadł, przyglądając się, jak panna Delorme pozwala zaprowadzić się na parkiet zupełnie ogłupiałemu Parkerowi. Na jego ustach pojawił się złośliwy uśmiech.

- A więc ona jest szefem. Tego się nie spodziewałem.

- Jeżeli trafnie odgaduję pańskie myśli, proszę pozbyć się złudzeń - doradził Eastman. - Jeanette nie jest dziewczyną, która pozwoli wodzić się za nos. Wolałbym raczej rzucić się z gołymi rękami na piłę tarczową. - Skinął głową w kierunku parkietu. - Czy Parker jest tak dobry, jak twierdzi?

- Da sobie radę. Jaki to ma być towar? Eastman zawahał się przez moment, a potem powiedział:

- Pewnie i tak się dowiecie. To heroina.

- Pełny ładunek? Całych pięćset funtów?

- Tak.

Abbot gwizdnął cicho, dokonał szybkiej kalkulacji, po czym stwierdził z uśmiechem:

- To warte w przybliżeniu co najmniej dwadzieścia pięć milionów dolarów. Tak czy inaczej, udało mi się przekroczyć ten jeden procent, który proponowała Jeanette.

- Ma pan fart - powiedział Eastman. - Proszę jednak nie zapominać, że jest pan tylko facetem, którego wynajęła. - Zapalił papierosa.

- Te pogłoski, które słyszał pan w Londynie... skąd pochodziły? Abbot wzruszył ramionami.

- Wie pan, jak to jest. Słyszysz się tu i tam różne rzeczy. Kiedy je złożyć do kupy, uzyskuje się pewien obraz. Mam w tym doświadczenie. Byłem kiedyś reporterem.

- Wiem - powiedział spokojnie Eastman. - Sprawdzano pana. Za to na temat Parkera nic na razie nie mamy. - Zmierzył Abbota przenikliwym spojrzeniem. - Radzę, żeby teraz przestał pan już bawić się w reportera, Abbot.

- Nie mógłbym dostać roboty nawet w prowincjonalnej gazecie - stwierdził z goryczą Abbot.
- Mam zaszarganą opinię. Jeżeli mnie pan sprawdzał, to pan wie, że wylali mnie na zbity pysk. Właśnie dlatego postanowiłem wziąć udział w tej aferze i zarobić trochę gotówki.

- Okazał się pan prawie szantażystą - przyznał Eastman.

- Niczego nie mogli mi udowodnić - bronił się Abbot.

- Niech pan tylko nie narobi sobie kłopotów pracując dla nas - doradził Eastman. - No dobrze, a co nam pan może powiedzieć na temat Parkera? Szefowa chce, żeby i jego sprawdzić. Bardzo dba o bezpieczeństwo.

Abbot zapoznał go skwapliwie z życiorysem Parkera, trzymając się wyłącznie znanych faktów. Nie mogło to w niczym zaszkodzić, gdyż w tym przypadku właśnie prawdziwe informacje najlepiej służyły ich celom. Skończył w momencie, gdy Jeanette i Parker wrócili do stolika. Parker był różowy na twarzy.

- Dan ma chyba nieczęsto do czynienia z nowoczesnymi tańcami - stwierdziła Jeanette. - A pan, panie Abbot? Abbot wstał od stolika.

- Chce mnie pani wypróbować?

W odpowiedzi wyciągnęła do niego ręce. Zabrzmiały właśnie pierwsze takty muzyki. Abbot wystąpił naprzód. Grano wolny i dość staromodny kawałek, objął ją więc i kiedy tylko znaleźli się na parkiecie, zapytał: - Co taka miła dziewczyna jak pani robi w tym interesie?

- Lubię pieniądze - odparła. - Tak jak pan.

- Musi pani mieć ich sporo - stwierdził w zamyśleniu. - Nie każdy ma pod ręką sto tysięcy dolarów w gotówce. Tyle dostajemy za udaną próbę, gdyby pani przypadkiem nie pamiętała. Zakładam, że nie skończy się na jednym razie?

- A jakie to ma znaczenie?

- Lubię być tam, gdzie są pieniądze. Nie miałbym nic przeciwko osiągnięciu w ten sposób regularnych dochodów. Przysunęła się do niego bliżej.

- Dlaczego by nie. Musi pan tylko robić swoje i nie puszczać pary z ust. To dwa podstawowe warunki zachowania dobrego zdrowia.

- Czyżby to była groźba? - zapytał beztrąsko Abbot. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Owszem. Mnie nikt nie robi kawałów, monsieur Abbot.

- Nie mam takiego zamiaru - stwierdził Abbot, którego przeraził kontrast między jej słowami a zachowaniem. Widział dossier panny Delorme i pasowało ono dokładnie do słów Eastmana. Wspominał o pile tarczowej. Każdy, kto próbowałby dobrać się do panny Delorme albo któregoś z jej podejrzanych przedsięwzięć, skończyłby w najlepszym razie z obciętą dłonią. A lista sześciu osób różnych narodowości dowodziła, że mogło być jeszcze gorzej. Obejmując w tańcu sto sześćdziesiąt pięć centymetrów kobiecego ciepła, które lgnęło do niego namiętnie, Abbot pomyślał, że może jednak panna Delorme jest modliszką.

- Bardzo dobrze tańczysz, Mike - szepnęła mu do ucha. Skrzywił się, gdy przygryzła je delikatnie zębami.

- Dzięki, ale nie ma potrzeby aż tak się emocjonować - stwierdził oschle.

- Dan był zaszokowany - powiedziała chichocząc. - Ciągłe mówił o żonie i dzieciach.

Naprawdę ma żonę i dzieci?

- Oczywiście. Chyba troje.

- To typ wieśniaka - stwierdziła. - Ma rozum w rękach. Ty jesteś inny.

Abbot zaśmiał się w duchu, wyobrażając sobie oburzenie Parkera, gdyby usłyszał, że ktoś określa go jako wieśniaka.

- W jakim sensie jestem inny?

- Dobrze wiesz - odparła. - Witamy w organizacji, Mike. Postaramy się, żebyś był szczęśliwy. Uśmiechnął się w półmroku.

- Czy Jack Eastman się pod tym podpisze?

- Nie przejmuj się nim - odparła nieoczekiwanie ostrym tonem. - Jack zrobi to, co mu każe. On nie jest... - Zamilkła i wężowym ruchem przywarła piersiami do jego torsu. - Będziesz szczęśliwy ze mną - wyszeptwała.

Muzyka przestała grać, ale Jeanette odsunęła się od niego dopiero po dłuższej chwili.

Odprowadził ją do stolika. Zdawało mu się, że w oczach Eastmana dostrzegł drwiący błysk.

- Nie jestem jeszcze zmęczona - oznajmiła panna Delorme. - Miło mieć do towarzystwa trzech mężczyzn. Chodź, Jack.

Eastman zabrał ją z powrotem na parkiet, a Abbot opadł na krzesło obok Parkera.

Stwierdził, że trochę się poci. "To pewnie z powodu upału" - pomyślał, biorąc do ręki napełniony ponownie kieliszek szampana.

Parker przyglądał się tłumowi na parkiecie.

- Ta kobieta mnie przeraża - stwierdził ponuro.

- Co zrobiła? Próbowwała zgwałcić cię w tańcu?

- Cholera, niewiele brakowało. - Parker zrobił się znów różowy na twarzy. - Boże, gdyby moja stara mnie zobaczyła, jutro byłby rozwód. - Rozluźnił kołnierzyk koszuli. - To prawdziwy ludojad.

- Zdaje się, że mamy dokładny podział zadań - stwierdził Abbot. - Ty zajmujesz się torpedą, a ja Jeanette. - Wypił łyk szampana. - A raczej ona zajmuje się mną, o ile dobrze zrozumiałem.

Uświadomił sobie, że się uśmiecha.

* * *

Zostali w Paon Rouge dość długo, jedząc kolację i oglądając kabaret. Wyszli około drugiej nad ranem. Mercedes czekał na zewnątrz. Eastman usiadł z przodu obok kierowcy, a Abbot znalazł się koło ubranej w błyszczącą srebrną pelerynę Jeanette, która ocierała się o niego ramieniem i udem.

Samochód ruszył. Po chwili Abbot popatrzył przez okno na morze i stwierdził:

- Byłoby dobrze wiedzieć, dokąd jedziemy.

- Dowiesz się - odparła Jeanette, otwierając papierośnicę. - Daj mi ognia.

Pstryknął zapalniczką i zobaczył, że Parker siedzi z drugiej strony obok Jeanette, rozluźniając ciasny kołnierzyk.

- Ty tu jesteś szefem.

Samochód jechał dalej bez przeszkód drogą prowadzącą z Bejrutu do Trypolisu.

Zastanowiło go, dokąd ich wiezie - i po co. Nie myślał o tym jednak długo, gdyż w tej samej chwili wóz skręcił i zatrzymał się przed drewnianymi wrotami, które otworzył jakiś Arab.

Mercedes wjechał na duży dziedziniec i stanął.

Kiedy wysiedli, Abbot rozejrzał się wokół. Było ciemno, ale na ile zdołał się zorientować, znajdowali się w jakiejś fabryce. Na tle mrocznego nieba majaczyły kontury dużej szopy, a jeszcze dalej skrzyło się na powierzchni morza światło księżyca.

- Tędy - powiedział Eastman i Abbot podążył za nim do biura. Pierwszą rzeczą, którą ujrzał, gdy tylko rozbłysło światło, była stojąca pod ścianą jego własna walizka.

- Go u diabła...?

- Zostajecie panowie tutaj - oznajmił Eastman. - W sąsiednim pokoju stoją dwa łóżka.

Niestety, nie ma łazienki, ale jest umywalka. - Spojrzał na Jeanette, a potem ponownie na Abbota. - Powinno panom być całkiem wygodnie - stwierdził drwiąco. - Ali będzie wam gotował.

- Zostaniecie tutaj do zakończenia prób z torpedą - oznajmiła Jeanette. - Od was samych zależy, ile czasu to potrwa. - Uśmiechnęła się i dodała bez troski: - Ale będę was odwiedzała. Często. - Odwróciła się do Parkera i zapytała nagle: - Ile czasu zabiorą przeróbki?

Parker wzruszył ramionami.

- Dwa tygodnie, jeżeli dostanę odpowiedni sprzęt. Bez niego potrwa to cholernie długo albo w ogóle się nie uda. Ale najpierw muszę mieć torpedę.

Skinęła głową.

- Chodźcie ze mną.

Wyszli za nią z biura i podążyli przez podwórze do wielkiej szopy. Ali wyjął duży klucz i

otworzył drzwi, a potem stanął z boku, pozwalając im wejść. Szopa miała dwa poziomy. Znaleźli się na podeście, z którego widać było główny warsztat. Drewniane schody prowadziły na dół.

Abbot spojrział przez barierkę i powiedział:

- A niech mnie diabli! Musiałaś być bardzo pewna, że się dogadamy, co?

W mdłym świetle połyskiwała ułożona na kozłach śmiertcionośna torpeda. Lśniła dzięki pokrywającej ją cienkiej warstwie ochronnego smaru. Abbot odniósł wrażenie, że jest ogromna. Natychmiast zaświtało mu pytanie: jak, do cholery, w ciągu zaledwie trzech dni ta suka zdobyła torpedę?

5

Warren przeglądał ponownie mapy, zaznaczając piórem przebytą dotychczas trasę. Dwa tygodnie, które spędzili w Kurdystanie zostały zmarnowane, ale jego zdaniem nie mogli postąpić inaczej. Istniała szansa, choć z pewnością niewielka, że natkną się na Speeringa i nie należało jej marnować. Dwa tygodnie okazały się jednak bezowocne.

Wrócili zatem do Teheranu w nadziei, że coś odkryją, choć nie miał pojęcia co. Wiedział jedynie, że doznał porażki, i to dotkliwej. Za każdym razem, gdy musiał pisać do Helliera i przyznawać się do niepowodzenia, wściekał się i przeklinał. Pociuszające było jedynie to, że Abbot i Parker najwyraźniej nieźle sobie radzili w Libanie. Jego "polisa ubezpieczeniowa" mogła okazać się zbawienna. Na razie jednak zniknęli mu z oczu i nie wiedział, co o tym myśleć.

Johnny Follet przyjmował wszystko ze spokojem. Nie miał pojęcia, czego Warren tak wytrwale szuka i nie obchodziło go to specjalnie, dopóki mu płacono. Już dawno przestał odnosić się do Warrena z niechęcią. Czuł się w Teheranie całkiem dobrze i traktował pobyt tam jako miłe egzotyczne wakacje. Przechadzał się po ulicach, oglądał widoki, znalazł sobie nawet odpowiednie towarzystwo.

Niepokoił się natomiast Ben Bryan, choć nie aż tak, jak Warren, być może dlatego, że nie na nim spoczywała odpowiedzialność za powodzenie akcji. Ślęczeli razem nad mapami północno-zachodniego Iranu, próbując odgadnąć, gdzie mógł się ukryć Speering.

- To bez sensu - stwierdził Ben. - Gdybyśmy mieli brytyjskie mapy sztabowe, można by jeszcze na coś liczyć, ale połowa tych cholernych dróg nie jest tu w ogóle z-aznaczona.

- Więc co robimy? - spytał Warren.

Ben nie potrafił odpowiedzieć. Sprawy nie posuwały się naprzód.

Andy Tozier miał pewien problem - niewielki co prawda, ale jednak. Bardzo był złego powodu zmartwiony. Johnny Follet pozbawiał go powoli pieniędzy, a Andy nie potrafił się zorientować, na czym polega sztuczka. Biorąc pod uwagę liczbę rozgrywek nie stracił tak dużo, ale powolny ubytek gotówki wyraźnie go drażnił.

Wspomniał o tym Warrenowi.

- Na oko biorąc gra jest uczciwa. Nie rozumiem, jak on to robi.

- Nie uwierzyłbym, że Johnny gra uczciwie - stwierdził Warren. - O co chodzi tym razem?

- No więc tak. Każdy z nas ma monetę. Porównujemy je ze sobą. Nie rzucamy ich, więc odpada tu element przypadku. Sami decydujemy, czy pokazać orła czy reszkę. Jasne?

- Na razie tak - odparł ostrożnie Warren.

- W porządku - powiedział Tozier. - A więc jeżeli ja pokazuję orła, a on reszkę, płaci mi trzydzieści funtów. Jeżeli pokazuję reszkę, a on orła, płaci mi dziesięć funtów.

Warren zastanowił się.

- To dwie z czterech potencjalnych możliwości.

- Właśnie! - odparł Tozier. - Pozostają dwa orły lub dwie reszki. W każdym z tych przypadków ja płacę mu dwadzieścia funtów.

- Chwileczkę - powiedział Warren, notując coś na kawałku papieru. - Przy czterech potencjalnych możliwościach w dwóch przypadkach wygrywa on, a w dwóch ty. Skoro przyjmujemy wszystkie za równie prawdopodobne - bo tak jest - w razie ich zaistnienia

wygrasz czterdzieści funtów - i on także. Wygląda to na uczciwą grę. -Wyglądało mu to również na dziecinadę, ale tego już nie powiedział.

- Więc dlaczego wygrywa, do cholery? - dopytywał się Tozier. -Jestem już prawie sto funtów do tyłu.

- Chcesz powiedzieć, że zawsze przegrywasz?

- No nie. Czasem wygrywam ja, czasem on - tyle że on częściej. To przypomina huśtawkę. Waży jakby więcej niż ja i moja forsa toczy się w jego kierunku. Nie mogę się zorientować, na czym polega sztuczka i to doprowadza mnie do szału.

- Może lepiej przestań grać.

- Dopiero kiedy się dowiem, jak on to robi - stwierdził Tozier z determinacją. - Dręczy mnie jedna sprawa. Nie może przecież podstawić monety z podwójnym awersem - to by mu nie pomogło. Do diabła, nawet by mu zaszkodziło, bo wtedy wiedziałbym, co wypadnie i jak powinienem postąpić. - Uśmiechnął się szczerze. - Mam zamiar poświęcić jeszcze stówę, żeby rozwikłać tę zagadkę. Ta gra przynosi zysk. Sam mógłbym z niej korzystać, gdybym wiedział, w jaki sposób.

- Zdaje się, że będziesz miał na to dużo czasu - stwierdził z przekąsem Warren. - Na razie stoimy w miejscu.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział Tozier. - Przyszło mi coś do głowy. Co z tymi zakładami farmaceutycznymi, w których Speering zamawiał towar? Muszą go gdzieś dostarczyć, prawda? Powinni więc mieć w swoich księgach jakiś adres. Trzeba go tylko stamtąd wydostać.

Warren przyglądał mu się ze znużeniem.

- Proponujesz zrobić włamanie?

- Coś w tym stylu.

- Też brałem to pod uwagę - przyznał Warren. - Ale powiedz mi jedno. Jak, do cholery, znajdziemy to, czego szukamy, nawet jeżeli tam będzie? Ci ludzie prowadzą księgi po persku -w języku, którego jiiie znamy, a w dodatku używają arabskiego zapisu, więc żaden z nas go nie odczyta. Poradzisz sobie z tym, Andy?

- Cholera, wyleciało mi to z głowy - stwierdził Andy. - Mogę jako tako dogadać się po arabsku, ale czytać nie potrafię. - Podniósł wzrok na Warrena. - Pozwolisz mi porozmawiać o tym z Johnnym?

Warren zawahał się.

- Ale nie mów mu o szczegółach. Nie chcę, żeby za dużo wiedział.

- Nie powiem mu więcej niż trzeba. Pora już zagonić go do roboty. Jest z niego niezły kanciarz, skoro więc nie możemy zdobyć informacji w inny sposób, może oszustwa Johnny'ego nani pomogą.

* * *

Tak więc Tozier wyjaśniał Johnny'emu Folletowi, w czym rzecz, a Johnny słuchał.

- W porządku - powiedział w końcu. - Dajcie mi parę dni. Zobaczymy, co można załatwić. Ruszył w miasto, znikając im z oczu i nie widzieli go przez cztery dni. Kiedy wrócił, oznajmił Tozierowi:

- Da się zrobić. Będzie to wymagało trochę zachodu, ale jest do załatwienia. Możecie mieć informacje za niecały tydzień.

II

Plan Folleta był tak szatański, że Warrenowi włosy stanęły dęba.

- Siedzi w tobie diabeł, Johnny - stwierdził.

- Chyba tak - odparł beztrosko Follet. - Każdy znajdzie dla siebie rolę. Im nas będzie więcej, tym lepiej się zabawimy. Ale, na litość boską, podejdźcie do tego poważnie! Wszystko musi wyglądać prawdziwie i przekonywająco.

- Powiedz mi coś więcej o tym facecie.
- Jest zastępcą kierownika działu sprzedaży w firmie. Oznacza to, że realizuje zamówienia na towary i prowadzi księgowość. Ten facet będzie miał informacje, których potrzebujecie - albo przynajmniej potrafi je zdobyć. Żadne pieniądze nie wchodzi w rachubę, bo nigdy nie ma z nimi do czynienia. Wszystko załatwia centrala. Właściwie szkoda, bo tracimy szansę, żeby go naprawdę zrobić.
- A dlaczego nie dać mu łapówki? - zapytał Tozier.
- Dlatego, że to uczciwy facet - albo przynajmniej dobrze się maskuje. Przypuśćmy, że spróbujemy go przekupić, a on odmówi? Zawiadomiłby swoich szefów i nasze informacje zniknęłyby z biura firmy w takim tempie, że już byśmy do nich nie dotarli. Poza tym mogliby zawiadomić policję, a to by nas naraziło na kłopoty.
- Możliwe, że nie daliby znać policji - stwierdził Warren. - Nie wiemy, jak blisko firma współpracuje ze Speeringiem, ale domyślam się, że we wszystkim się orientują. Z całą pewnością. Każda firma, która dostarcza określonego sprzętu i odczynników cholernie dobrze wie, do czego mają służyć. Moim zdaniem oni wszyscy siedzą w tym po uszy.
- W czym? - zaniepokoił się Follet.
- Nieważne, Johnny, mów dalej. Follet wzruszył ramionami.
- Ten Javid Raqi to bystry chłopak. Mówi dobrze po angielsku, jest wykształcony i ambitny. Domyślam się, że jego szef nie zagrzeje długo stołka, jeśli Javid depcze mu po piętach. Ma tylko jedną wadę: lubi hazard.
- Tozier uśmiechnął się.
- To także twoja wada, Johnny?
- Niezupełnie - odparł szybko Follet. - On naciąga frajerów. Co nie znaczy zresztą, że jest głupcem. Nauczył się grać w pokera od facetów pracujących przy budowie gazociągu. Jest dobrym graczem. Sam się przekonałem, bo pozbawił mnie części gotówki i wcale nie musiałem mu w tym pomagać. Oskubał mnie jak zawodowiec. Oznacza to jednak, że można mu się dobrać do skóry. Da się złapać. A mając chłopaka w garści, przyciśniemy go jak należy.
- Warren z odrazą zmarszczył nos.
- Wolałbym załatwić to inaczej.
- Oszustowi nie należy nigdy dawać równych szans - stwierdził Follet, po czym zwrócił się do Toziera: - Powodzenie całego planu zależy od magnetowidu. Na ile jest sprawny?
- Mam go w pokoju. Działa bardzo dobrze.
- Muszę sam się przekonać - powiedział Follet. - Chodźmy tam. Poszli na górę do pokoju Toziera, który włączył telewizor i wskazał ręką magnetowid.
- Oto on. Jest już podłączony.
- Urządzenie przypominało zwykły magnetofon, jakby nieco bardziej masywny. Taśma miała jednak całą szerokość, a rolki były bardzo duże. Follet pochylił się, oglądając z zainteresowaniem cały sprzęt.
- Żeby nie było nieporozumień. To urządzenie rejestruje wszystko, obraz i dźwięk, czy tak?
- Zgadza się - odparł Tozier.
- A co z jakością?
- Przy korzystaniu z kamery wideo obraz jest trochę zamazany, zwłaszcza w ruchu, ale kiedy nagrywa się z telewizji, kopia prawie nie różni się od oryginału. - Rzucił okiem na ekran telewizora. - Zaraz ci to zademonstruję.
- Z ekranu przemawiał jakiś człowiek. Usłyszeli go, gdy Tozier nastawił głośniejszy odbiór. Mówił w obcym dla Warrena języku. Nadawano chyba wiadomości, gdyż spiker nagle zniknął, a zamiast niego pojawił się obraz ulicy, choć głos słychać było nadal. Tozier pochylił się i pstryknął jakimś przełącznikiem. Rolki zaczęły się obracać o wiele szybciej niż w normalnym magnetofonie.
- Już się nagrywa.
- Taśma przesuwa się dość szybko - zauważył Follet. - Na ile jej starczy?

- Na godzinę.
 - O cholera, to sporo. - Wpatrywał się przez chwilę w ekran telewizora, po czym powiedział:
 - No dobrze, zrobimy powtórkę.
- Tozier przewinął taśmę, przełączając telewizor na wybrany uprzednio wolny kanał. Zatrzymał magnetowid, nastawił go na odtwarzanie i wcisnął klawisz. Na ekranie pojawiły się oglądane wcześniej sceny z ulicy. Usłyszeli też głos spikera.
- Follet pochylał się do przodu, obserwując obraz krytycznym okiem.
- No, no, jakość jest całkiem dobra. Dorównuje oryginałowi, tak jak powiedziałeś. To powinno się udać. - Wyprostował się i dodał: -A teraz posłuchajcie. W sobotę zaczynamy akcję i nie możecie niczego sknocić. Musicie uważać nie tylko na to, co mówicie, ale i w jaki sposób. Żadnych fałszywych tonów. - Zmierzył ich wzrokiem. - Jesteście amatorami w tej grze, zrobimy więc parę prób. Wyobraźcie sobie, że wystawiamy sztukę, a ja ją reżyseruję. Zagracie tylko dla jednoosobowej widowni.
 - Nie potrafię grać - przyznał się Bryan.- Nigdy mi to nie wychodziło.
 - Nie ma sprawy. Możesz obsługiwać sprzęt. Co do pozostałych: ja zagram faceta na luzie, Andy twardiela, a Warren szefa. - Follet roześmiał się szczerze, widząc wyraz twarzy Warrena. - Mówi pan niewiele i zawsze spokojnie. Uważam, że im mniej będzie pan grał, tym lepiej. W pewnych sytuacjach nawet zwykły ton rozmowy może brzmieć wystarczająco groźnie. - Rozejrzał się po pokoju. - Gdzie będzie Ben z magnetowidem?
- Tozier podszedł do okna, otworzył je i wyjrzał na zewnątrz.
- Chyba przeciągnę kabel do twojego pokoju, Johnny. Ben może tam siedzieć.
 - Dobra - zgodził się Follet, po czym klasnął w dłonie i dodał: - W porządku, zaczynamy pierwszą próbę. Amatorzy na scenę.

III

W sobotę o wpół do pierwszej czekali w salonie, przylegającym do foyer hotelu. Nie byli właściwie ukryci, ale też nie rzucali się specjalnie w oczy. W pewnej chwili Follet trącił Warrena łokciem.

- To on. Powiedziałem mu, żeby zczekał na mnie w barze. Wchodzi pan pierwszy, Andy da panu czas na załatwienie sprawy, a ja włączę się zaraz potem. Proszę iść.

Kiedy Warren się oddalił, Follet powiedział nieco zmartwiony do Toziera:

- Mam nadzieję, że Ben nie nawali z tym telewizorem.

Warren przeszedł przez foyer i znalazłszy się w barze zamówił coś do picia. Javid Raqi siedział przy stoliku. Wyglądał na zdenerwowanego, choć z pewnością bardziej denerwował się Warren, zbierający siły, by odegrać w przedstawieniu swą rolę. Raqi liczył sobie około dwudziestu pięciu lat i ubrany był elegancko od stóp do głów na europejską modłę. Miał tajemniczą urodę Rudolfa Valentine i czekała go zapewne wielka przyszłość. Warrenowi zrobiło się go żal.

Tozier pojawił się w drzwiach, trzymając na ramieniu przerzuconą niedbale marynarkę.

Kiedy przechodził obok Raqiego, coś wyleciało mu z kieszeni i upadło tamtemu pod nogi.

Był to gruby portfel z brązowej skóry. Raqi zerknął na podłogę, schylił się, a potem wyprostował, trzymając w ręku portfel. Popatrzył w ślad za Tozierem, który szedł dalej nie zwalniając kroku i po chwili Raqi podążył za nim do baru.

Warren usłyszał cichą wymianę zdań, a potem głośniejsze słowa Toziera:

- Cóż, bardzo dziękuję. Ależ jestem roztrzępany! Pozwoli pan zaprosić się na drinka?

Johnny Follet był już w barze i brał Raqiego w obroty.

- Cześć, Javid. Nie wiedziałem, że się znacie - stwierdził ze zdziwieniem.

- Nie znamy się, panie Follet - powiedział Raqi.

- A więc to jest ten człowiek, o którym opowiadałeś, Johnny? -powiedział Tozier. - Pan Raqi

- tak się pan nazywa, prawda? Właśnie zwrócił mi portfel. - Otworzył go, pokazując gruby

plik banknotów. -A mógł wszystko zabrać, wcale ze mną nie wygrywając.

Follet stłumił śmiech.

- Pewnie i tak dasz mu tę forszę. To pierwszorzędny pokerzysta. -Rozejrzał się wokoło. - Jest Nick. Będzie nas czterech, Javid. Czy to ci odpowiada?

- W porządku, panie Follet - odparł trochę nieśmiało Raqi.

- Do diabła z panem Folletem! Jesteśmy przecież przyjaciółmi. Mam na imię Johnny, to jest Andy Tozier, a to Nick Warren. Panowie, oto Javid Raqi, najlepszy pokerzysta, jakiego spotkałem w Teheranie. Wcale nie żartuję.

Warren uśmiechnął się do Raqiego zdawkowo, mrużąc pod nosem jakąś powitalną formułkę.

- Nie zamawiaj niczego, Andy - powiedział Follet. - Chodźmy tam, gdzie będzie się coś działo. Mam już wszystko przygotowane, alkohol i zagrychę.

Poszli razem na górę do pokoju Toziera, w którym telewizor został przesunięty pod okno. Follet przygotował całe przyjęcie: kurczaki na zimno, różne gatunki kiełbas, sałatki i kilka zamkniętych jeszcze butelek whisky. Szykowała się dłuższa nasiadówka. Warren spojrzął dyskretnie na zegarek, który wskazywał, że minęła właśnie dwunasta. Oznaczało to dokładnie półgodzinne opóźnienie. Zastanawiał się, w jaki sposób Follet dobierze się bez wiedzy Raqiego do kosztownie wyglądającego zegarka, który tamten nosił na szczupłym przegubie śniadej ręki.

Follet otworzył szufladę i rzucił na stół zapakowaną talię kart.

- Masz, Javid. Rozdajesz pierwszy. To przywilej nowego gracza, ale nie pozostaniesz nim długo. Nie dolewaj mi za dużo wody, Nick.

Warren napełnił cztery szklanki i przyniósł je do stolika. Raqi tasował karty. Robił to chyba dość fachowo, chociaż Warren nie czuł się kompetentny, by go oceniać. Był natomiast pewien, że Follet jest w tym lepszy.

Follet zmierzył wzrokiem siedzących przy stole mężczyzn.

- Panowie, ograniczymy się do czystego pokera. Żadnych sztuczek. To poważna gra dla poważnych graczy. Zaczynamy. Raqi rozdał każdemu po pięć kart i powiedział cicho:

- Otwierają walety albo wyższe.

Warren spojrzął na swoje karty. Nie był dobrym pokerzystą, chociaż orientował się w zasadach gry. Follet przekonywał go, że to bez znaczenia, bo i tak nie ma wygrywać. Zrobił mu jednak krótkie intensywne szkolenie.

W ciągu pierwszej godziny przegrał około czterech tysięcy riali, czyli jakieś dwadzieścia dwa funty. Tozier także trochę stracił, ale o wiele mniej. Follet był na niewielkim plusie, ale Raqi okazał się najlepszy, wygrywając około pięciu tysięcy riali.

- A nie mówiłem? - stwierdził jowialnie Follet, tasując karty. - Ten chłopak potrafi grać w pokera. Jaki masz ładny zegarek, Javid. Mogę zobaczyć?

Raqiego przepełniało tak wielkie poczucie triumfu, że jego początkowa nieśmiałość i zdenerwowanie prawie zupełnie zniknęły.

- Oczywiście -powiedział beztrzesko, ściągając zegarek z przegubu.

Kiedy Follet wziął go do ręki, Warren powiedział:

- Mówisz bardzo dobrze po angielsku, Javid. Gdzie się tego nauczyłeś?

- Miałem angielski w szkole, Nick. Potem chodziłem na kursy wieczorowe. - Uśmiechnął się. - A teraz ćwiczę grając w pokera.

- Świetnie ci to idzie.

Tozier przeliczył pieniądze i odezwał się:

- Grajcie, bo jestem na minusie. Follet uśmiechnął się szelmowsko.

- Ostrzegłem, że Javid opróżni ci portfel. - Zegarek, trzymany na wskazującym palcu, z jakiegoś powodu wysliznął mu się z ręki i upadł na podłogę. Follet odsunął krzesło do tyłu. Rozległ się charakterystyczny chrzęst. - Niech to cholera! - zawołał ze złością, schylając się, by go podnieść. - Pękło szkiełko. Ale chodzi - stwierdził, przykładając zegarek do ucha. Raqi wyciągnął rękę.

- To nie ma znaczenia, Johnny.

- Dla mnie ma - stwierdził Follet. - Dam ci go do naprawy. -Wrzucił zegarek do kieszeni koszuli. - Nie, nie - bronił się przed naleganiami Raqiego - pozwól mi to zrobić. Zepsułem

go, więc zapłacę za naprawę. Kto rozdaje? - Raqi przestał się upierać.

Grali dalej i Raqi ciągle wygrywał. Na ile Warren mógł się zorientować, był to urodzony pokerzysta, przypuszczalnie więc Follet nie musiał mu wcale dyskretnie pomagać. Nie znalazł się na tym jednak na tyle dobrze, by mieć całkowita pewność. Wiedział jedynie, że sam ciągle przegrywa, chociaż starał się grać jak najlepiej. Tozier odrobił początkowe straty i wyszedł na zero. Follet natomiast zaczął mieć złą passę.

W pokoju zrobiło się gęsto od papierosowego dymu i Warren poczuł lekki ból głowy. Nie był to jego ulubiony sposób spędzania sobotniego wieczoru. Zerknął na zegarek i zobaczył, że wskazuje drugą trzydzieści. W sąsiednim pokoju Ben Bryan powinien był nagrywać właśnie program z telewizji.

Za kwadrans trzecia Tozier podniósł rękę, demonstrując rozdrażnienie.

- Hej! - powiedział zaniepokojony. - Złatw lepiej ten telefon. Follet popatrzył na zegarek.

- O Boże, byłbym zapomniiał. Już za kwadrans trzecia. Wstał i podszedł do telefonu.

- Myślałem, że jest później - stwierdził Raqi z pewnym zdziwieniem.

Warren odsłonił tarczę swojego zegarka i podsunął mu go pod nos.

- Nie, jest właśnie ta godzina. Ale dla nas może już być trochę za późno.

Follet podnosił właśnie słuchawkę telefonu, kiedy Tozier odezwał się szorstko:

- Nie stąd, Johnny. Zadzwoń z holu. - Znaczącym ruchem głowy wskazał na Raqiego.

- Javid jest w porządku - stwierdził beztrząsko Follet.

- Powiedziałem, żebyś dzwonił z holu.

- Nie bądź taki zasadniczy, Andy. Facet okazał się na tyle uczciwy, że oddał ci portfel wcale nie wiedząc, kim jesteś. Dlaczego mamy go wyłączać?

- Zawsze miałeś trudny charakter, Andy - powiedział cicho Warren.

Raqi patrzył na ich twarze, nie rozumiejąc, co się dzieje. Tozier z niechęcią wzruszył ramionami.

- Nie moja sprawa. Myślałem, że chcecie zachować to w tajemnicy.

- Nieważne - powiedział obojętnie Warren. - Javid jest w porządku. Wszyscy to wiemy.

Zadzwoń, Johnny. Robi się późno. Jeżeli będziemy dłużej dyskutować, spóźnimy się na początek gonitwy.

- W porządku - odparł Follet i zaczął wykręcać numer, zasłaniając ciałem telefon. Nastąpiła chwila ciszy. - To ty, Jamshid? ... Tak, wiem. Wszędzie są problemy. ... Tym razem wygram, obiecuję. ... Zdążę jeszcze obstawić gonitwę o trzeciej. Powiedzmy, dwadzieścia tysięcy riali na Al Fahkri. - Odwrócił się, wyszczerzając zęby do Raqiego. - Tak, dokładnie... I postaw jeszcze dwa tysiące dla mojego znajomego.

- Zakład stoi, chłopcy - oznajmił, odkładając słuchawkę. - Płacą osiem do jednego.

Postawiłem za ciebie dwa tysiące, Jayid.

- Ależ, Johnny, ja nie gram na wyścigach - zaprotestował Raqi. - Dwa tysiące riali to kupa pieniędzy!

- Zagrasz na rachunek firmy - stwierdził wielkodusznie Follet. - Andy opłaci zakład, żeby odpokutować za swoje winy. Prawda, Andy? .

- Idź do diabła - zachnął się Tozier.

- Przestań się martwić, Javid - stwierdził Follet. - Ja stawiam. Niech chłopak zostanie i obejrzy gonitwę - powiedział do Warrena. - Nikt z nas nie mówi tutejszą gwara, więc powie nam, gdybyśmy nie zrozumieli, który koń wygrał.

- Może byś się tak zamknął? - odezwał się Tozier, wyprowadzony z równowagi.

- Nie ma sprawy, Andy - powiedział Warren. - Johnny jest w porządku. Ależ z ciebie niewdzięcznik! Ile forsy miałeś w portfelu, kiedy ci wypadł?

- Jakies sto tysięcy riali - odparł niechętnie Tozier. Follet był oburzony.

- I uparłeś się, żeby nie dać chłopakowi nagrody? - krzyknął. - W dodatku nic cię to nie kosztuje, do cholery. Za wszystko zapłaci Jamshid. - Zwrócił się do Raqiego. - Znasz Jamshida, chłopcze?

Raqi lekko się uśmiechnął. Czuł się niezręcznie, będąc z niezrozumiałych dla siebie powodów tematem rozmowy.

- W Teheranie wszyscy go znają. Każdy, kto gra na wyścigach, idzie do Jamshida.

- Tak, cieszy się sporą sławą - przyznał Follet. - Szybko wypłaca wygrane, ale niech Bóg cię ma w opiece, jeżeli nie zapłacisz mu równie szybko, kiedy przegrywasz. To twardy facet.

- Może popatrzymy sobie, jak wygrywa nasz koń? - zaproponował Warren. Skinął głową na telewizor. - Gonitwa powinna się zaraz zacząć.

- Tak - potwierdził Follet, podchodząc do odbiornika. Warren zacisnął kciuki z nadzieją, że Ben wykonał zadanie. Znał już zwycięzcę gonitwy z godziny trzeciej i przekazał tę wiadomość Folletowi podczas jego rzekomej rozmowy z Jamshidem. Jeżeli jednak sknocił nagranie, cały plan weźmie w łeb.

Z telewizora popłynęły coraz głośniejsze wypowiedziane po persku słowa, po czym na ekranie pojawił się zgromadzony na wyścigach tłum. Follet spojrzał krytycznym okiem na obraz i stwierdził: - Zostało jeszcze około pięciu minut.

Warren pozwolił sobie na dyskretne westchnienie ulgi.

- Co on mówi? - zapytał Tozier.

- Podaje informacje o koniach - wyjaśnił Raqi i nasłuchiwał przez chwilę słów komentatora.

- To Al Fakhri - wasz koń. Numer pięć.

- Nasz wspólny koń, Javid - stwierdził jowialnym tonem Follet. - Ty też bierzesz w tym udział. - Wstał i podszedł do zaimprovizowanego na kredensie baru. - Napelnij szklanki, żeby to oblać. Ta gonitwa nie potrwa długo.

- Zdaje się, że jesteś pewny wygranej - zauważył Raqi. Follet odwrócił się i mrugnął do niego porozumiewawczo:

- Za słabo powiedziane. To murowany typ. Stuprocentowy - oznajmił, bez pośpiechu napelniając szklanki.

- Wychodzą na start, Johnny - powiedział Tozier.

- Dobrze, dobrze. To przecież bez znaczenia, prawda?

Sprawozdawca komentował rozpoczętą gonitwę coraz bardziej podniesionym głosem i Warren pomyślał, że nawet nie rozumiejąc języka nie można było pomylić wyścigów konnych z niczym innym. Raqi obserwował w napięciu, jak Al Fakhri wysuwa się do przodu, biegnąc tuż za prowadzącym koniem.

- Ma szansę - stwierdził.

- Nawet więcej - powiedział niewzruszonym tonem Follet. - On wygra.

Al Fakhri wyszedł na prowadzenie, wygrywając o dwie długości. Warren wstał i wyłączył telewizor.

- No i już po wszystkim - stwierdził ze spokojem.

- Masz, chłopcze. Napij się za zdrowie Jamshida - powiedział Follet, wciskając Raqiemu szklankę do ręki. - Za uczciwego bukmachera, który nigdy nie kantuje. Jesteś teraz trochę bogatszy niż byłeś rano.

Raqi przyglądał się po kolei każdemu z nich. Warren wyjął notes i zapisywał systematycznie jakieś liczby. Tozier zbierał rozrzucone na stole karty. Follet wprost tryskał dobrym humorem.

- Czy ta gonitwa była... zaaranżowana? - zapytał niepewnie Raqi.

- Była kupiona, chłopcze. Opłaciliśmy paru dobrych dżokejów. Mówiłem ci, że to stuprocentowa inwestycja.

"Raczej stuprocentowy kant" - pomyślał Warren.

Follet wyjął portfel z leżącej na oparciu krzesła marynarki i przeliczył banknoty.

- Nie musisz czekać na wypłatę od Jamshida - powiedział. - Wezmę od niego te pieniądze, kiedy będę brał nasze. - Rzucił Raqiemu na stół zwitek banknotów. - Było osiem do jednego. Masz tu swoich szesnaście tysięcy: - Uśmiechnął się szeroko. - Puli ci nie zwracam, bo nie była twoja. W porządku, chłopcze?

Raqi wziął pieniądze i ze zdumieniem się im przyglądał.

- Śmiało - zachęcał Follet. - Weź je. Są twoje.

- Dzięki - powiedział Raqi, szybko je chowając.

- Grajmy dalej w pokera - odezwał się lakonicznie Tozier.

- To jest myśl - stwierdził Follet. - Może odbierzemy Javidowi tych szesnaście tysięcy. - Zajął miejsce, a Warren odłożył na bok notes. - Ile mamy na razie, Nick?

- Trochę poniżej dwóch milionów - odparł Warren. - Myślę, że powinniśmy na jakiś czas spasować.

- Kiedy tak dobrze nam idzie? Chyba oszalałeś!

- Jamshid zacznie się niepokoić - rzekł Warren. - Fakt, że sprytnie to rozegraliśmy - nie wie, że we trzech stanowimy zespół - ale może się zorientować, jeżeli nie będziemy ostrożni. Znając Jamshida wolałbym do tego nie dopuścić. Chciałbym jeszcze trochę pożyć.

- W porządku - odparł z rezygnacją Follet. - W przyszłą sobotę kończymy - przynajmniej na razie. Ale może by tak zrobić jakiś naprawdę duży numer?

- Nie! - zaprotestował gwałtownie Tozier.

- Dlaczego nie? Załóżmy, że postawimy sto tysięcy na dziesięć do jednego. Zgarniemy kolejny milion. - Follet rozłożył ręce. - Ułatwi nam to zresztą obliczenia. Wypadnie po milionie na głowę.

- Za bardzo ryzykujemy - upierał się Warren.

- Zaraz, mam pomysł - powiedział z przejęciem Follet - Jamshid nie zna Javida. Dlaczego Javid nie miałby postawić za nas zakładu? Opłaci się i nam, i jemu. Może dołożyć własną forszę i też się obłowić. Co ty na to, Javid?

- No, sam nie wiem... - odparł niepewnie Raqi. Tozier okazał zainteresowanie.

- To całkiem możliwe - powiedział z namysłem.

- Stałbyś się bogatym człowiekiem, Javid - stwierdził Follet. - Zamieniłbyś tych szesnaście tysięcy, które teraz wygrałeś, na sto sześćdziesiąt. Czyli tyle, ile wygraliśmy dzisiaj we trzech. Nie może ci się nie udać - i to jest piękne.

Raqi chwycił przynętę jak pstrąg muchę.

- W porządku - zdecydował się nagle. - Zrobię to.

- No dobrze. - Warren dał za wygraną. - Ale niech to będzie ostatni raz w tym roku. Jasne? Follet skinął głową, a Tozier powiedział:

- Grajmy w pokera.

- Tylko do szóstej - oznajmił Warren. - Mam dziś wieczorem spotkanie. Bez względu na wynik kończymy o szóstej.

Przez resztę popołudnia odrobił większość strat. Zawdzięczał to częściowo zgarnięciu dużej puli po bezczelnym blefie, ale i w ogóle lepiej mu szło. O szóstej przegrywał już tylko tysiąc riali. Zdążył też nastawić dyskretnie zegarek na właściwą godzinę.

- No dobrze - powiedział Follet. - Zobaczymy się w przyszłym tygodniu, Javid. - Mrugnął do niego znacząco. - Będziesz miał swój wielki dzień.

Kiedy Raqi wyszedł, Warren wstał i przeciągnął się.

- Cóż to za sposób spędzania czasu - stwierdził.

- Nasz mały był szczęśliwy - powiedział Follet. - Wspiął się na sam szczyt i nie kosztowało go to ani centa. Zobaczmy, ile jest nam winien. Jak dużo pan przegrał, Warren?

- Około tysiąca, do cholery.

- A ty, Andy?

- Jakieś trzy tysiące. On umie grać w pokera.

- Rzeczywiście - stwierdził Follet. - Po gonitwie musiałem go trochę przystopować. Nie chciałem by myślał, że grając w pokera może zarobić więcej niż na wyścigach. - Spojrzał na Warrena. - Pan nie nadaje się na pokerzystę. No dobrze, zobaczmy. Ja przegrałem tysiąc, więc wziął w sumie dwadzieścia jeden tysięcy, wliczając forszę, którą dałem mu za wyścigi. Za tydzień na pewno wróci.

- Żadny jeszcze większego szmalu - powiedział Tozier. - Mówiłeś, zdaje się, że jest uczciwy.

- W każdym z nas drzemią złodziejskie skłonności - odparł Follet. - Wielu porządnych obywateli uważa, że oszukiwanie bukmachera to nic nagannego - podobnie jak przemykanie przez granicę butelki whisky. - Wziął do ręki talię kart i zaczął je tasować. - Faceci wyłudający forszę mają takie stare powiedzenie: uczciwego nie oszukasz. Gdyby Javid był naprawdę uczciwy, nasz plan by się nie' powiódł. Ale on nie jest inny niż

większość ludzi.

- Naprawdę potrafisz go ograć w pokera? - zapytał Warren. - Od tego wiele zależy.
- Już to dzisiaj robiłem, prawda? - zauważył Follet. - Sam pan powinien najlepiej wiedzieć.
Nie zaczął pan przecież wygrywać dzięki swojej dobrej grze. - Podsunął Warrenowi talie. -
Proszę wziąć górną kartę. Warren odkrył ją. Była to dziewiątka karo.

Follet nadal trzymał talie w ręce.

- Proszę położyć ją z powrotem. Teraz ta górna karta trafi w rozdaniu na stół. Niech pan uważnie patrzy. - Wziął do ręki leżącą na wierzchu kartę, rzucając ją wprawnym ruchem przed Warrena. - Proszę ją odwrócić.

Warren odkrył asa trefl.

Follet roześmiał się.

- Nieźle sobie radzę z wyciąganiem drugiej karty. Dałem panu drugą z kolei, nie tę z wierzchu, a pan tego nie zauważył. - Podniósł w górę dłoń. - Jeżeli zobaczy pan faceta, który trzyma karty w ten sposób, proszę z nim nie grać. To chwyt szulera. Będzie wyciągał drugą albo ostatnią kartę z talii i opróżni panu kieszenie. Javid Raqi nie ma ze mną szans.

IV

Tydzień włókł się niemiłosiernie. Warren rozumiał, że ich beczynność jest uzasadniona, a jednak był rozdrażniony. Tozier i Follet grali bez końca w monety. Tozier stale przegrywał i bardzo go to denerwowało.

- Znajdę rozwiązanie, choćbym miał paść trupem - oświadczył, co Folleta wyraźnie rozbawiło.

Warren nie pojmował, dlaczego Toziera tak bardzo wciągnęła ta gra. Wyglądało to na dziecinadę, chociaż pozostawało pytanie, dlaczego Follet ciągle wygrywał, mając na oko równe szansę i nie mogąc oszukiwać.

Bryan niecierpliwił się nie mniej od Warrena.

- Czuję się zupełnie zbędny - powiedział. - Jakbym był piątym kołem u wozu. Mam wrażenie, że niczego nie robię i zmierzam donikąd.

- Nie tylko ty tak się czujesz - stwierdził z rozdrażnieniem Warren.

- Owszem, ale wy trzej dobrze się bawiliście, kiedy ja tkwiłem przy tym cholernym magnetowidzie.

- To było najważniejsze, Ben.

- Możliwe. Ale już się skończyło. Tym razem wideo nie będzie wam potrzebne. Więc co mam robić - siedzieć z założonymi rękami? Follet podniósł na niego wzrok.

- Zaczekaj: - Przyglądał się Benowi z namysłem. - Zdaje się, że przeoczyliśmy pewną szansę. Chyba możemy cię wykorzystać, Ben, ale musiałbyś trochę poćwiczyć ze mną i z Andym.

Byłoby to zresztą ważne zadanie. Miałbyś ochotę zaryzykować?

- Jasne - odparł z entuzjazmem Bryan. Poszli więc we trzech do pokoju Folleta.

- Pan nie musi się o nic martwić, Nick - oznajmił Follet. - Najlepiej, żeby pan nie wiedział, co się stanie. I tak kiepski z pana aktor, a chcę, żeby to była naprawdę niespodzianka.

* * *

Nadeszła sobota. Javid Raqi zjawił się wcześniej. Follet zadzwonił do niego i zaproponował, żeby zaczęli rano i pograli dłużej. Raqi chętnie na to przystał.

- Musimy mieć czas, żeby oskubać tego cwaniaczka - stwierdził cynicznie Follet.

Zaczęli grę w pokera o wpół do jedenastej i początkowo Raqi wygrywał, podobnie jak tydzień wcześniej. Potem jednak szczęście jakby go opuściło. Warren pobił trzema asami jego trzy króle, ful nie wystarczył mu przeciwko czterem trójkom Toziera, a sekwens z asem okazał się za słaby przy fulu Folleta. Nie było tych sytuacji tak wiele, ale zdarzały się przy wysokiej grze i Raqi przegrywał duże sumy. Stałe nieduże wygrane nie zrekompensowały kilku poważnych wpadek.

Do południa miał już pusty portfel i sięgnął niezdecydowanie po kopertę. Rozerwał ją niecierpliwym ruchem, wysypując na stół plik banknotów.

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - spytał delikatnie Follet.

- Mam jeszcze pieniądze. Dużo pieniędzy - odparł Raqi, wyraźnie zdenerwowany.

- Nie chciałem cię obrazić - powiedział Follet, zbierając karty. - Chyba sam wiesz, co robisz. Jesteś już dorosły. - Rozdał karty. Javid Raqi znowu przegrał.

O drugiej po południu Raqi był niemal zupełnie splukany. Trzymał się jeszcze przez jakieś pół godziny, a leżące przed nim pieniądze - około tysiąca riali - krążyły po stoliku, pozostając jednak w grze. Warren domyślił się, że Follet to wszystko aranżuje i poczuł lekkie mdłości. Nie podobała mu się ta zabawa w kotka i myszkę.

W końcu Tozier spojrział na zegarek.

- Zajmijmy się lepiej końmi - powiedział. - Zostało niewiele czasu.

- Jasne - zgodził się Follet. - Wyłóż forszę, Nick. Jesteś bankierem. Wiesz, co masz robić, Javid? Raqi jakby nieco pobladł.

- Po prostu zadzwonić - powiedział obojętnie, gdy Warren przeliczał na stole banknoty o dużych nominałach.

- Nie, do cholery! - krzyknął Follet. - Powyżej dwudziestu pięciu tysięcy Jamshid nie przyjmuje zakładów na kredyt, a we trzech stawiamy całą setkę. Musisz to wpłacić u Jamshida - gotówkę na stół. Ile chcesz postawić, Javid? »Raqi przełknął ślinę.

- Nie wiem - powiedział wskazując bezradnie na stół. - Ja... wszystko przegrałem - oznajmił z rozpaczą.

- Fatalnie - stwierdził obojętnie Tozier. - Może następnym razem ci się poszczęści.

Warren złożył banknoty do kupy.

- Sto tysięcy - oznajmił, popychając stertę pieniędzy na drugą stronę stołu.

- Tak czy inaczej, postawisz je za nas, prawda? - zapytał Follet, podsuwając forszę Raqiemu.

- Obiecałeś, że to zrobisz.

Raqi skinął głową. Zawahał się przez moment, a potem zapytał:

- Czy... czy moglibyście... eee... pożyczyć mi trochę do końca gonitwy?

Follet spojrział na niego z politowaniem.

- Słuchaj, chłopcze. Jak jesteś na szczycie, musisz korzystać z własnej forsy. Tam, gdzie gra się o marne grosze, można się nimi wymieniać, ale nie tutaj.

Pogardliwy ton Toziera najwyraźniej zbił Raqiego z tropu. Cofnął się, jakby ktoś go uderzył.

- Ale... ale... - wyjąkał. Warren pokręcił głową.

- Przykro mi, Javid. Sądziłem, że to rozumiesz. Tutaj każdy odpowiada za siebie. - Zamilkł na chwilę. - Można by rzec, że zaciąganie pożyczek jest źle widziane - nie należy do dobrego tonu.

Raqi był zlany potem. Spozstrzegłszy, że drżą mu ręce, włożył je do kieszeni. Przełknął ślinę, po czym zapytał:

- Kiedy muszę iść do Jamshida?

- Zanim konie podejda na start - stwierdził Follet. - Chcielibyśmy jednak wpłacić tę forszę jak najszybciej. Nie możemy stracić tej gonitwy - to wyjątkowa okazja.

- Mogę wyjść na parę minut? - zapytał Raqi.

- Bylebyś wrócił na czas - odparł Follet. - Jak powiedziałem, to wyjątkowa okazja. Raqi podniósł się.

- Zaraz będę z powrotem - odezwał się przez ściśnięte gardło. - Najpóźniej za pół godziny. - Wyszedł, potykając się w progu.

Follet zaczął, aż zamknęły się za nim drzwi, po czym powiedział cicho:

- Mamy go w garści.

- Ale czy na pewno wróci? - zapytał Warren.

- Wróci. Podpuszczony frajer zawsze wraca - stwierdził Follet z cynicznym przekonaniem.

- Ile przegrał? - zapytał Tozier.

Follet przeliczył pieniądze i zrobił kalkulację.

- Moim zdaniem, nieco ponad czterdzieści osiem tysięcy. Musiał wyciągnąć oszczędności,

żeby się obłowić, ale zdążyliśmy mu się do nich dobrać. Będzie teraz zachodził w głowę, skąd wziąć forszę.

- Gdzie ją zdobędzie? - zapytał Warren.

- Czy to ważne? Skądś ją wydostanie, to pewne. Wie, że trafia mu się nie lada okazja i nie przepuści jej. Nie będzie mógł oprzeć się pokusie oszukania Jamshida, więc jakoś znajdzie pieniądze.

W oczekiwaniu na powrót Raqiego - owcy przeznaczonej na rzeź - Tozier i Follet grali w monety i tym razem Follet przegrywał.

- Nieważne - wzruszył ramionami. - Statystycznie i tak jestem górą.

- Szkoda, że nie wiem dlaczego - stwierdził zjadliwie Tozier. - Ale kiedyś to rozszyfruję. Chyba jestem bliski rozwiązania. Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

- To nasz chłopak - powiedział Tozier.

Kiedy Follet otworzył, Javid Raqi wszedł po cichu do pokoju. Zbliżył się do stołu, na którym leżało sto tysięcy riali. Spojrzał na pieniądze, ale nie próbował nawet ich ruszyć.

- Wszystko w porządku, Javid? - upewnił się Warren. Raqi sięgnął powoli po plik banknotów.

- Tak - odparł. - Jestem gotowy. - Nagle odwrócił się do Folleta i zapytał z naciskiem: - Czy ten koń jest pewny? Czy wygra?

- Wielki Boże! - odpowiedział Follet. - Trzymasz w ręku nasze sto tysięcy i zadajesz takie pytania? Oczywiście, że wygra! Wszystko jest załatwione.

- Więc mogę już iść - stwierdził Raqi, chowając szybko pieniądze.

- Pójdę z tobą - powiedział Follet z szerokim uśmiechem. - Nie chodzi o to, że ci nie ufamy, ale nie chciałbym, żeby jakiś cwaniaczek załatwił cię, kiedy masz przy sobie naszą forszę. Możesz mnie uważać za ochronę. - Włożył marynarkę. - Wrócimy obejrzeć gonitwę - powiedział wychodząc razem z Raqim.

- Żal mi tego chłopaka - westchnął Warren.

- Mnie też - przyznał Tozier. - Ale Johnny miał rację: gdyby był uczciwy, nigdy by mu się to nie przydarzyło.

- Zapewne - zgodził się Warren i zamilkł. Po chwili poruszył się i zapytał: - A jeżeli ten koń wygra?

- Nie wygra - odparł z przekonaniem Tozier. - Wybraliśmy z Johnny'm najniebezpieczniejszą szkapę, jaką udało nam się znaleźć. Mogłaby wygrać - przyznał - gdyby wszystkie inne konie połamały nogi.

- A jeżeli jednak zwycięży? - dopytywał się Warren, wyraźnie tłumiąc śmiech. - Ktoś musi przecież na niego stawiać.

- Wtedy wygramy kupę forsy - i Raqi także, w zależności od tego, ile udało mu się zebrać. Musielibyśmy od nowa brać go w obroty. Ale to się nie zdarzy.

Zaczął grać sam ze sobą w monety, a Warren przechadzał się tymczasem nerwowo po pokoju. Follet i Raqi dość długo nie wracali. Zjawili się akurat w momencie, gdy Warren włączył telewizor, by obejrzeć gonitwę. Raqi - cichy i niepozorny - usiadł na swoim miejscu przy stole.

- Javid jest kłębkim nerwów - odezwał się jowialnym tonem Follet. - Powtarzam mu, że wszystko będzie okej, a on ciągle się martwi. Zaryzykował trochę gotówki. Zdaje się, że kosztuje go to za wiele emocji.

- Ile postawiłeś? - zapytał z zainteresowaniem Tozier. Raqi nie odpowiedział, za to Follet wybuchnął śmiechem.

- Pięćdziesiąt tysięcy - oznajmił. - Płacą piętnaście do jednego. Nasz chłopak zarobi siedemset pięćdziesiąt tysięcy riali. Powtarzam mu, że wszystko jest w porządku, ale najwyraźniej mi nie wierzy.

Tozier gwizdnął cicho. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy riali oznaczało około czterech tysięcy funtów. Dla młodego irańskiego urzędnika była to fortuna. Nawet pięćdziesiąt tysięcy, które postawił, stanowiło niemałą sumę - jakieś dwieście sześćdziesiąt funtów, czyli sporą część rocznych zarobków Raqiego.

- Skąd wzięłeś aż tyle forsy? - zapytał. - Rozbiłeś domową skarbonkę?
- Zamknij się! - powiedział opryskliwie Warren. - Zaraz zaczniesz się gonitwa.
- Napelnij szklanki, żeby to uczcić -oznajmił Follet, podchodząc do kredensu. - Możecie mi gratulować, chłopcy. Ten koń nazywa się Nuss el-leil.

- Nic mi to nie mówi - stwierdził Tozier. - Co to znaczy?
- Północ - odpowiedział Raqi, nie odrywając oczu od ekranu. Miał zupełnie zbiegłe wargi.
- Dobra nazwa dla czarnego konia- zauważył Tozier. -Już ruszyli.

Warren popatrzył kątem oka na Raqiego, który siedział w napięciu na krawędzi krzesła. Błękitna poświata z telewizora odbijała się w jego oczach. Zaciskał tak mocno złęczone dłonie, że aż zbiegły mu kostki.

- Do diabła, gdzie podziewa się ten koń? - zdenerwował się Tozier. - Widzisz go, Javid?
- Jest na czwartej pozycji -oznajmił Raqi. W chwilę później powiedział: - Spadł na piątą... nie, na szóstą. - Ręce zaczęły mu drżeć.

- Co ten przekłety dżokej wyprawia? - irytował się Tozier. - Wszystko zmarnuje, do cholery! W piętnaście sekund później gonitwa się skończyła. Nuss el-leil nie został nawet sklasyfikowany.

Follet stał oniemiały obok kredensu.

- Ten karzeł nas przechytrył - wyszeptał. W porywie gniewu cisnął pełną szklanką whisky o ścianę. Rozleciała się na kawałki. - Już ja go urządę! - ryknął.

Warren wyłączył telewizor.

- Uspokój się, Johnny. Mówiłem ci, że to nie może trwać wiecznie.

- Owszem, ale nie wyobrażałem sobie, że skończy się w ten sposób - stwierdził wojowniczo Follet. - Jamshid mógł się w którymś momencie zorientować, ale nie przypuszczałem, że okantuje mnie taki kurdupel. Niech ja go tylko dostanę w swoje ręce!

- Masz zostawić go w spokoju - rozkazał Warren, po czym dodał bardziej pojednawczym tonem: - Straciliśmy sto tysięcy - to tylko pięć procent dotychczasowych zysków. Jesteśmy do przodu. - Usiadł przy stole i pozbierał karty. - Kto ma ochotę zagrać?

- Moim zdaniem Johnny ma rację - powiedział stanowczo Tozier. - Nie powinniśmy puścić tego płazem. Możesz być pewny, że żaden dżokej nie będzie wystawiał mnie do wiatru.

Jeżeli mu płacę, to nie na darmo, do cholery!

- Zapomnijcie o tym - stwierdził lakonicznie Warren. - Ta gra już się skończyła, przechodzimy do następnej. Powiedziałem, że robimy to po raz ostatni, prawda? - Spojrzał przez ramię. - Na miłość boską, Johnny, chodź tu i usiądź. Świat się jeszcze nie skończył. Poza tym masz teraz rozdawać.

Follet westchnął, zajmując miejsce.

- No dobrze, ale nie uważam, żeby to było w porządku. Naprawdę. Cóż, ty tu decydujesz. - Potasował talie kart i przesunął ją na drugą stronę stołu. - Przelóż.

Javid Raqi siedział w zupełnym bezruchu.

- Hej! - odezwał się Follet. - O co chodzi, chłopcze? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Raqiemu pociekły z oczu dwie wielkie łzy i spłynęły po policzkach.

- Na litość boską! - powiedział z niesmakiem Tozier. - Mamy pod opieką płaczące niemowlę!

- Zamknij się, Andy! - rozkazał stanowczo Warren.

- Co się stało, Javid? - zapytał Follet. - Za dużo postawiłeś? Nie było cię stać na tych pięćdziesiąt tysięcy?

Raqi gapił się w przestrzeń, jakby miał przed oczami jakąś straszliwą scenę. Jego oliwkowa cera przybrała brudnozielony odcień. Drżał na całym ciele, nie mogąc się opanować.

Oblizwał wargi i wyszeptał:

- To nie były moje pieniądze.

- O, to niedobrze - powiedział współczująco Follet. - Ale pamiętasz, co ci mówiłem? Powinieneś zawsze grać za własną forszę. Powtarzałem ci to - i Nick również.

- Wyrzucą mnie z pracy - stwierdził Raqi z rozpaczą w głosie. - Co powie moja żona? Co ona powie? - Głos mu się załamał. Zaczął mamrotać coś po persku i żaden z nich nie rozumiał,

co mówi.

Follet nagłym ruchem wymierzył Raqiemu policzek, przywołując go do porządku.

- Przepraszam, Javid, ale zaczynałeś wpadać w histerię. Uspokój się i mów do rzeczy. Skąd wzięłaś forszę?

- Z biura - odparł Raqi, z trudem przełykając ślinę. - Kierownik ma sejf, a ja mam do niego klucz. Trzyma tam pieniądze na bieżące wydatki. Wróciłem do biura i... i...

- Ukradłeś forszę - stwierdził Tozier obojętnym tonem. Raqi skinął głową zrozpaczony.

- Zorientuje się w poniedziałek, jak tylko otworzy sejf. Będzie wiedział, że...

- Spokojnie, chłopcze - powiedział Follet. - Jeszcze nie wsadzili cię do więzienia.

O tym Raqi dotychczas nie pomyślał. Wpatrywał się teraz w Folleta z jeszcze większym przerażeniem.

- Może zdołamy ci pomóc - oznajmił Follet.

- Na mnie nie liczcie - powiedział bezpardonowo Tozier. - Nie będę płacić za nieopierzonego smarkacza, który żeruje na innych. Niech nie włązi do kuchni, jak mu tam za gorąco. Nie powinno się go w ogóle dopuszczać do gry. Od razu wam to mówiłem.

Warren spojrział na Folleta, który wzruszył tylko ramionami i stwierdził:

- Chyba ma rację. Musisz się uczyć na własnych błędach, chłopcze. Jeżeli teraz cię z tego wyciągniemy, kiedyś znowu wpadniesz.

- Och, nie! Obiecuję! Naprawdę! - Raqi szeroko rozłożył ręce na stole, płaszcząc się przed Folletem. - Pomóżcie mi... proszę... Obiecuję, że...

- Na miłość boską, wstań i bądź mężczyzną! - warknął Tozier. Raqi podniósł się. - Nie znoszę takich scen. Wychodzę.

- Chwileczkę - zatrzymał go Follet. - Zdaje się, że mam pomysł. - Wycelował palec w Toziera. - Nie wspomniałeś mi przypadkiem, że jakiś facet potrzebuje czegoś z firmy, w której pracuje ten chłopak? Informacji o jakichś odczynnikach?

Tozier zastanowił się przez chwilę, a potem skinął głową.

- No i co z tego?

- Ile by za to zapłacił?

- Skąd mam wiedzieć, do cholery? - odparł Tozier zbolalym głosem. - Facet zajmował się sprawami, które mnie nie interesują.

- Zawsze możesz go spytać. Masz tu telefon.

- A niby dlaczego? Co mi z tego przyjdzie?

- Na miłość boską, nie mógłbyś choć raz w życiu okazać odrobiny ludzkich uczuć? - zapytał Follet tonem rozpaczony.

- Zadzwoni, Andy - odezwał się Warren spokojnym, ale nie znoszącym sprzeciwu głosem.

- No już dobrze. - Tozier sięgnął po marynarkę. - Chyba mam gdzie tutaj ten numer.

Follet poklepał Raqiego po ramieniu.

- Głowa do góry, Javid. Jakoś cię z tego wyciągniemy. - Usiadł obok i zaczął z nim cicho rozmawiać.

Tozier mamrotał coś do słuchawki. W końcu odłożył ją i przeszedł przez pokój z kartką papieru w ręce.

- Facet chce wiedzieć, kto zamawiał te odczynniki - i w jakich ilościach. Chce wiedzieć, gdzie je wysłano. Potrzebuje też informacji o wszelkich transakcjach, w których brał udział niejaki... - spojrział na kartkę - ...Speering. To wszystko. - Potarł dłonią szczękę. - Naciągnąłem go na czterdzieści tysięcy, ale więcej za tę informację nie da.

- Po co mu są potrzebne? - zainteresował się Warren.

- Przypuszczalnie chodzi o szpiegostwo gospodarcze. Follet wziął od Toziera kartkę papieru.

- Czy to istotne? Byle tylko Javid mógł mu je dostarczyć. - Podał kartkę Raqiemu. - Możesz to zdobyć?

Raqi wytarł oczy ręką, popatrzył uważnie, po czym skinął głową i szepnął:

- Tak mi się zdaje. To wszystko jest w księgach.

- Ale facet nie da więcej niż czterdzieści tysięcy, diabli by go wzięli - stwierdził Follet. -

Niech tam, jestem gotów dołożyć część tej brakującej sumy.

- Na mnie nie liczcie - powiedział ponuro Tozier. - Już swoje zrobiłem.

- Nick?

- W porządku, Johnny. Weźmiemy to na siebie. - Warren odliczył z leżących na stole pieniądze pięć tysięcy riali i podał je Folletowi.

- Jak widzisz, Javid, mamy tu dziesięć tysięcy. Wystarczy, że wrócisz do biura, a zarobisz pozostałe czterdzieści. Masz klucz?

Raqi skinął głową i z pomocą Folleta podniósł się z krzesła.

- To trochę potrwa - stwierdził.

- Masz pół godziny. Tyle czasu potrzebowałeś, żeby obrobić sejf-powiedział brutalnie Tozier.

Follet odprowadził Raqiego do drzwi, ostrożnie je zamknął, po czym odwrócił się i oznajmił:

- Jesteśmy prawie u celu. Pozostaje do załatwienia jeszcze tylko jedna sprawa.

- Chyba nie możemy już zrobić nic gorszego - westchnął Warren. - Co to ma być?

- Pan jest wyłączony, więc proszę się niczym nie przejmować - stwierdził Follet. - Teraz pozostaje nam tylko czekać. Pójdę zobaczyć się z Benem. Wracam za dziesięć minut.

* **

Oczekiwanie na powrót Raqiego dłużyło się Warrenowi w nieskończoność. Powoli mijały minuty. Zastanawiał się, jaki wpływ wywiera na niego ta szaleńcza przygoda. Nie dość, że szantażował Folleta, to jeszcze przyczynił się do sprowadzenia na złą drogę młodego człowieka, który dotąd był bez skazy. Co prawda Follet twierdził, że uczciwego się nie oszuka, ale ten, kto proponuje trzydzieści srebrników, winien jest tak samo jak ten, kto je przyjmuje.

Ponownie rozległo się oczekiwane pukanie do drzwi i Follet poszedł je otworzyć. Raqi wziął się już trochę w garść i nie wyglądał na zrozpaczonego. Jego policzki nabrały znów koloru i nie był tak zboląły, jak wówczas, gdy wychodził.

- No i co, chłopcze?- spytał Follet.- Masz to? Raqi skinął głową.

- Spisałem te rachunki po angielsku. Pomyślałem, że tak będzie lepiej.

- Z pewnością - odparł Follet, który zdążył zapomnieć, że istnieje tego rodzaju problem, - Pokaż mi to.

Raqi podał mu trzy kartki papieru, a Follet przekazał je Tozierowi.

- Postaraj się, Andy, żeby to dotarło, gdzie trzeba. - Tozier skinął głową, Follet zaś wręczył Raqiemu plik banknotów. - Masz tu swoich pięćdziesiąt tysięcy, Javid. Włóż je jak najszybciej z powrotem do sejfu.

Raqi chował właśnie pieniądze do kieszeni, kiedy z łoskotem otworzyły się drzwi. Stał w nich mężczyzna z chustą na twarzy i automatem w rękach.

- Nie ruszać się - to nikomu nic się nie stanie - powiedział przytłumionym głosem.

Warren patrzył z niedowierzaniem, jak nieznajomy robi krok do przodu. Zastanawiał się, kim, u diabła, jest i co zamierza. Mężczyzna machnął lufą, mówiąc rozkazującym tonem: "Przejdźcie tam". Raqi i Follet ruszyli posłusznie przez pokój, dołączając do Warrena.

Kiedy Tozier chciał pójść w ich ślady, nieznajomy rzeki:

- Ty nie. Zostań na miejscu. - Podeszedł do Toziera i wyrwa! mu z ręki papiery. - Chcę tylko tego.

- Idź do diabła! - zawołał Tozier, rzucając się na niego. Rozległ się huk wystrzału i Tozier stanął w miejscu, jakby natrafił na kamienny mur. Na jego twarzy pojawił się tępy grymas. Ugięły się pod nim kolana. Powoli, jak powalone drzewo, osunął się na ziemię, a kiedy upadł, z ust popłynęła mu strużka krwi.

Za nieznajomym zamknęły się z trzaskiem drzwi. W powietrzu unosił się lekki swąd prochu.

Pierwszy otrząsnął się Follet. Rzucił się w kierunku Toziera i uklęknął przy nim. Po chwili

podniósł zdumiony wzrok.

- Boże wielki! On nie żyje!

Warren, wiedziony instynktem lekarza, błyskawicznie znalazł się obok, ale Follet powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie dotykaj go, Nick. Zaplamisz się krwią.

Powiedział to tak dziwnym tonem, że Warren zatrzymał się.

Raqi drżał jak osika na wietrze. Patrzył z przerażeniem na poplamiony krwią rękaw marynarki, a z jego ust dobywał się jęk. Nie były to słowa, lecz powtarzające się w kółko głośne posapywanie. Follet chwycił go za ramię i potrząsnął nim.

- Javid! Javid, przestań! Słyszysz mnie? Raqি jakby oprzytomniał.

- Ja... Nic mi... nie jest.

- Więc posłuchaj uważnie. Nie ma potrzeby, żebyś był we wszystko zamieszany. Nie wiem, co to za cholerna historia, ale jeżeli się pośpieszysz, możesz się z tego wykaraskać.

- Niby jak? - oddech Raqiego stał się spokojniejszy. Follet spojrział na ciało Toziera.

- Nick pomoże mi się go pozbyć. Biedaczysko. Był z niego kawał drania, ale nie życzyłem mu aż tak źle. Ta informacja, której potrzebował jego znajomy, musiała być naprawdę ważna.

- Odwrócił się do Raqiego. - Jeżeli dbasz o własną skórę, wynoś się stąd i nie puszczaj pary z ust. Idź do biura, włóż forszę z powrotem do sejfu, a potem wracaj do domu i nikomu nic nie mów. Rozumiesz?

Raqi skinął głową.

- No więc ruszaj - rozkazał Follet. - I nie biegnij, tylko idź. Bez nerwów.

Raqi czmychnął z pokoju, wydając zdławiony okrzyk. Drzwi zatrzasnęły się za nim z hałasem.

Follet westchnął i potarł dłonią kark.

- Biedny Andy - stwierdził. - Kawał "rycerskiego" sukinsyna. Dobra, możesz się już podnieść. Wstań, Łazarzu.

Tozier otworzył oczy i mrugnął porozumiewawczo, po czym podparł się na łokciu.

- Jak to wyglądało?

- Doskonale. Już myślałem, że Ben naprawdę cię rąbnął.

Warren podszedł do Folleta.

- Czy to przedstawienie było naprawdę konieczne? - zapytał chłodno.

- Owszem - odparł obojętnie Follet. - Przypuścimy, że nie załatwilibyśmy go w ten sposób.

Za parę dni zacząłby się zastanawiać, złożyłby wszystko do kupy i nie musiałby być geniuszem, żeby się zorientować, że został wykiwany. Wie pan, ten chłopak nie jest wcale głupi. Ale zmusiliśmy go do pośpiechu. Nie daliśmy mu czasu, żeby spokojnie wszystko przemyślał.

- I co z tego?

- To, że teraz już nigdy nie będzie zdolny pomyśleć spokojnie o tym, co się stało. Widok czyjejs nagłej śmierci działa na ludzi w ten sposób. Do końca życia nie będzie w stanie dojść, co się naprawdę wydarzyło. Nigdy się nie dowie, kto zastrzelił Andy'ego - i z jakiego powodu, bo to do niczego nie pasuje. Będzie więc siedział cicho, żeby nie być zamieszany w zabójstwo. Dlatego właśnie musieliśmy go załatwić za pomocą kurzego pęcherza.

- Czego?

- Kurzego pęcherza. - Follet skinął na Toziera: - Pokaż mu, Andy. Tozier wypluł na dłoń coś, co trzymał w ustach. - O mało tego cholerstwa nie połknąłem.

Wyprostował rękę, pokazując zabarwiony na czerwono kawałek miękkiej gumy.

- To tylko kauczukowy woreczek wypełniony krwią kurczęcia - tak zwany kurzy pęcherz.

Korzysta się z niego dość często, żeby pozbyć się różnych durniów, kiedy przestają być potrzebni. - Zaśmiał się ze złośliwą satysfakcją. - To jeden z dwóch właściwych sposobów wykorzystania prezerwatywy.

Do pokoju wszedł Ben Bryan, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Jak wypadłem, Johnny?

- Znakomicie, Ben. Gdzie są te papiery? - Wziął je od Bryana i wcisnął Warrenowi do

zwiotczącej dłoni. - Tego pan chciał.

- Tak - powiedział z goryczą Warren. - Tego chciałem.

- Więc dostał pan, co trzeba - powiedział z naciskiem Follet. - Proszę zrobić z tego użytek. Tylko niech pan nie udaje przede mną świętoszka, Warren. Nie jest pan lepszy od innych. Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

6

Jechali znów po stromych i krętych drogach przez brunatnoczerwone góry Kurdystanu. Warren dziękował Bogu, że są na przedzie. Tozier i Follet byli gdzieś za nimi w drugim land-roverze, niewidoczni w tumanie kurzu. Wcale im nie zazdrościł. Bryan prowadzi! wóz, a Warren go pilotował, próbując znaleźć drogę do miejsca zaznaczonego na mapie. Okazało się to trudniejsze niż początkowo sądzili. Warren czuł się chwilami, jakby był z Alicją po drugiej stronie lustra, gdyż nie pozaznaczane na mapie drogi wiły się i zakręcały gwałtownie i często wyglądało na to, że najlepszym sposobem dotarcia do jakiegoś miejsca jest jazda w przeciwnym kierunku.

Poza tym samo uznanie tych górskich traktów za drogi wymagało sporego wysiłku wyobraźni. Były to pełne wybojów, kamieniste, wypłukane przez wodę i biegnące często po litej skale szlaki, wydeptywane od setek, a może i tysięcy lat przez niezliczone pokolenia wielbłądów. Przemierzał te góry Aleksander Macedoński, prowadząc swe heterie na podbój Persji oraz Indii. Warren przypuszczał, że od tamtego czasu nikt tych dróg nie naprawiał. Kilkakrotnie mijali grupy koczowniczych Kurdów, którzy szukali prawdopodobnie bardziej zielonych pastwisk, chociaż Warren nie miał pojęcia, gdzie mogliby je znaleźć. Wokół rozciągała się kamienna pustynia, a z jałowej ziemi wyrastały jedynie nieliczne, najbardziej odporne rośliny. Pojawiały się z rzadka w szczelinach skalistych zboczy, wiotkie, ale nad podziw żywotne. Cała roślinność była brunatna i wyschnięta. Nie widziało się ani śladu zieleni.

Spojrzał ponownie na mapę, a potem podniósł ją, odsłaniając trzy kartki papieru, które Javid Raqi z tak wielkim poświęceniem wydostał z biura. Zdobyte informacje dawały Warrenowi od samego początku powód do zmartwienia. Spodziewał się znaleźć zamówienia na jakieś rozsądne ilości odczynników - wystarczające do uzyskania z surowego opium najwyżej stu funtów morfiny. To, co zobaczył, było zupełnie bez sensu. Chodziło o nieprawdopodobnie duże partie towaru. Zamawianego chlorometanu, benzenu, alkoholu amyloвого, kwasu chlorowodorowego i farmaceutycznego wapnia wystarczyłoby do uzyskania co najmniej dwóch ton morfiny. Dwie tony! Na samą myśl przechodziły go ciarki. Taka ilość heroiny nasyciłaby na ponad rok czarny rynek w Stanach Zjednoczonych. Gdyby trafiła do sprzedaży, handlarze mieliby pełne ręce roboty i pojawiłoby się mnóstwo nowych narkomanów.

- Sprawdziłem jeszcze raz te liczby, Ben - powiedział - i wydają mi się pozbawione sensu. Bryan zwolnił, zbliżając się do niebezpiecznego zakrętu.

- Są zaskakujące. - przyznał.

- Zaskakujące? - powtórzył jak echo Warren. - Są cholernie mało prawdopodobne. Posłuchaj, Ben. To by oznaczało dwadzieścia ton czystego opium. Na miłość boską, dwadzieścia ton! Taka ilość opium kosztowałaby na czarnym rynku prawie milion funtów. Myślisz, że Delorme dysponuje aż tak dużym kapitałem?

Bryan zaśmiał się.

- Gdybym miał tyle forsy, przestałbym pracować. - Skręcił kierownicę. - Właśnie przyszło mi do głowy, że Raqi mógł z wrażenia coś pokręcić. Pamiętaj, że przekładał orientalne pismo na zapis łańcisk. Może popełniał konsekwentnie jakiś błąd, zwiększając liczby o stały współczynnik.

Warren przygryzł wargę.

- Ale jaki to był współczynnik? Powiedzmy, że pomylił się o dziesięć. Dawałoby to około czterystu funtów morfiny. Też cholernie dużo, ale brzmi już o wiele rozsądniej.

- Ile miałyby z tego Delorme? - spytał Bryan.

- Jakież dwadzieścia milionów dolarów, ulokowanych w Stanach.

- Tak - powiedział poważnie Bryan. - To chyba rozsądna suma. - Zredukował bieg, gdyż zaczęli zjeżdżać w dół. - Jak daleko jeszcze do tego... jak on się nazywa?

- Szejk Fahrwaz. - Warren rzucił okiem na mapę. - Jeśli wszystko dobrze pójdzie - to znaczy lepiej niż dotychczas - za godzinę powinniśmy tam dotrzeć.

Land-rover z rykiem silnika piął się na szczyt górskiej przełęczy. Kiedy tam dotarli, Bryan zwolnił. Warren spoglądając przez zakurzoną przednią szybę, nagle znieruchomiał.

- Zawracaj, Ben - powiedział zdecydowanie. - Schowaj się za wzgórze, szybko.

Bryan, któremu udzieliło się podniecenie Warrena, wrzucił gwałtownie wsteczny bieg. Land-rover kilka razy podskoczył i zatrzymał się.

- Biegnij z powrotem drogą - rozkazał Warren. - Leć najdalej, jak się da i zatrzymaj Andy'ego. Niech tu do mnie podejdzie. I nie trzaskaj drzwiami, kiedy będziesz wysiadać. Otworzył drzwiczki i zeskoczył na ziemię. Biegnąc na szczyt przełęczy, zboczył w stronę grupy skał, za którymi mógł się ukryć. Dotarł na górę zdyszany, bardziej jednak z przejęcia niż z wysiłku. Przykucnął za skałami, a potem ostrożnie podniósł głowę, żeby przyjrzeć się leżącej poniżej dolinie.

Po jej drugiej stronie, na tle typowej scenerii spalonych słońcem wzgórz, rozciągały się połacie zielonej uprawnej ziemi, pociętej szachownicami pól, a na środku znajdował się kompleks niskich budynków o płaskich dachach - niewielka osada albo spora farma. W tym miejscu zamieszkiwał szejk Fahrwaz - człowiek, który zamówił ogromne ilości nie stosowanych w rolnictwie substancji chemicznych i tam właśnie Warren miał nadzieję znaleźć Speeringa.

Usłyszał za plecami odgłos kroków na kamieniach i odwróciwszy głowę zobaczył zbliżającego się Toziera, a tuż za nim Folleta. Dał im ręką znak, żeby się pochylili. Podeszli bliżej, zachowując większą ostrożność i zaczęli razem z nim przyglądać się dolinie.

- Więc to tutaj - odezwał się po chwili Tozier. - I co teraz?

- Ci ludzie mieli duże kłopoty - stwierdził nagle Follet.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał Warren, spoglądając w dół.

- Nie widzi pan? - odpowiedział pytaniem Follet. - Proszę spojrzeć na te leje po bombach. Przecinają całą dolinę. Jedna bomba o mało nie trafiła w ten duży budynek. Ktoś atakował naszych chłopców z powietrza.

Wyglądało na to, że Follet ma rację. Leje ciągnęły się szeregiem wzdłuż doliny, od miejsca, w którym stali aż do zabudowań i jeszcze dalej. Tozier sięgnął po lornetkę.

- Kto chciałby ich bombardować? Chyba, że było to irańskie lotnictwo. - Nastawił ostrość. - Nie bardzo im się zresztą udało. Ten budynek pozostał nie tknięty. Na ścianie obok leja nie widać żadnych śladów reperacji.

- Jesteś pewien, że to leje po bombach? - zapytał Warren. Męczyły go jakieś niejasne skojarzenia.

- Widziałem ich sporo w Korei - odparł Follet.

- Tak, to na pewno leje - potwierdził Tozier. - Po niezbyt dużych bombach.

Stanowiło to nowy element sytuacji, a dla Warrena kolejny powód do zmartwienia. Pozostawiając ten problem na później, zapytał:

- Więc co robimy? Dołączył do nich Bryan.

- Pojedźmy tam - powiedział wskazując głową na stojące z tyłu pojazdy. - Mamy wystarczająco dobry kamuflaż i powinno nam się udać. Nawet ci ludzie musieli słyszeć o przemyśle filmowym.

Tozier skinął głową:

- Pojedzie tylko połowa grupy - oznajmił, korygując Bryana. - Jeden samochód. Drugi wóz zostanie tu w ukryciu, na nasłuchu radiowym.

- Co robimy? - zapytał Warren. Nie miał złudzeń co do swoich możliwości i wiedział, że Tozier, jako zawodowiec, zna się lepiej od niego na tego rodzaju akcjach. Był gotów słuchać jego rozkazów.

Tozier spojrział w dolinę.

- Kiedyś przetrząsałem wiele spokojnych z pozoru wiosek, głównie w poszukiwaniu ukrytej broni. Ale szliśmy tam wtedy uzbrojeni po zęby, jako patrol wojskowy. Tutaj nie możemy tego zrobić. Jeżeli ci ludzie mają czyste sumienia, potraktują nas jak przyjaciół. Jeżeli są winni, będą udawali gościnność. Musimy zajrzeć do każdego budynku, a gdyby coś przed nami ukrywali, wystawią sobie złe świadectwo. Potem zobaczymy, co da się zrobić.

Jedziemy.

- Tylko my dwaj - oznajmił Warren. - Ben i Johnny zostają tutaj.

* * *

Krętą drogą jechało się do żyznej oazy w dolinie, gdzie zielona roślinność wyglądała niewiarygodnie świeżo. Część ziemi leżała odłogiem, zaorana płytko prymitywnymi pługami, ale na większości pól widać było uprawy. Tozier zapytał zza kierownicy:

- Rozpoznałbyś ten mak, z którego wytwarza się opium? Może tu rosnąć.

- Na razie nic takiego nie widzę - odparł Warren. - Czekać. Możesz pojechać tędy? - powiedział wskazując kierunek ręką.

- Czemu nie - Tozier skręcił kierownicę. Land-rover zjechał z trasy i pomknął przez szczerze pole. Nie odczuli szczególnej różnicy: trzęsło nimi i telepało dokładnie tak samo. Pojęcie drogi było czysto umowne. - Dokąd jedziemy?

- Chcę popatrzeć na te leje - powiedział Warren. - Przypuszczenie, że ktoś zrzucił tu bomby, nie daje mi spokoju - to zupełnie bez sensu.

Tozier podjechał do najbliższego leja, pozostawiając włączony silnik. Wysiedli z wozu i popatrzyli na leżącą w dolinie osadę. Leje usytuowane w równych odstępach co pięćdziesiąt jardów, ciągnęły się szeregiem w kierunku zabudowań. Tozier spojrział na najbliższy z nich i stwierdził:

- Jeżeli to nie jest lej po bombie, to ja jestem baletnicą. Zobacz tę wyrzuconą na zewnątrz ziemię.

- Przypatrzmy się dokładniej - powiedział Warren i ruszył naprzód. Wspiął się po miękkiej krawędzi leja, zajrzał do środka i zaczął się śmiać. - A więc jesteś baletnicą, Andy. Spójrz.

- Niech mnie diabli! - powiedział Tozier. - To tylko wykop. - Wszedł do środka, chwycił kamień i wrzucił go w otwór. Po dłuższej chwili rozległ się cichy plusk. Wyprostował się i ze zdumieniem popatrzył na szereg lejów, a raczej wykopów.

- To jeszcze bardziej idiotyczne. Po jaką cholere ktoś miałby kopać co pięćdziesiąt jardów aż tyle głębokich studni, i w dodatku w idealnym szeregu?

Warren strzelił palcami.

- Już wiem! O mało nie domyśliłem się już wtedy, gdy Follet nam je pokazał, ale nie mogłem się jakoś skupić. To qanat.

- Co takiego?

- Qanat. Podziemny kanał. - Odwrócił się, spoglądając na wzgórze. - Zbiera wodę z tamtych zboczy i sprowadza ją do wioski. Zanim tu przyjechaliśmy interesowałem się trochę Iranem i czytałem o tych kanałach. Przecinają wzdłuż i wszerz cały kraj. Mają w sumie prawie dwieście tysięcy mil długości.

Tozier podrapał się w głowę.

- Dlaczego nie budują kanałów na powierzchni, tak jak wszyscy?

- Chodzi o zaopatrzenie w wodę - wyjaśnił Warren. - Dzięki podziemnym kanałom traci się jej mniej wskutek parowania. To bardzo stary system. Persowie stosują go od trzech tysięcy lat. - Uśmiechnął się z ulgą. - To nie leje po bombach, tylko szyby wentylacyjne. Są niezbędne, żeby robotnicy, którzy dokonują napraw, nie udusili się.

- Więc ten problem mamy z głowy - stwierdził Tozier. - Jedziemy.

Ruszyli znowu, najpierw z powrotem na drogę, a potem w kierunku zabudowań. Były one typowe, podobne do tych, jakie widywali już w innych miejscach. Miały ściany z utwardzonej ziemi i płaskie dachy. Były to wyłącznie parterowe budynki, co mogło ułatwić

im poszukiwania. Podjechawszy bliżej zobaczyli kozy, pasące się pod czujnym okiem małego chłopca. Pomachał do nich ręką, gdy go mijali. Wjeżdżając na dziedziniec przed największym z budynków spłoszyli stado wychudzonych kurcząt.

Tozier zatrzymał wóz.

- Gdybyś chciał mi coś powiedzieć, zaczekaj, aż będziemy sami. Ci ludzie mogą znać angielski lepiej niż nam się wydaje. Na razie muszę przyznać, że jest tu całkiem spokojnie. Warren nie podzielał jednak jego zdania, gdyż nieoczekiwanych gości otoczyła nagle chmara małych chłopców, którzy płasali w tumanach kurzu i robili przeraźliwy hałas. Znajdujące się w pobliżu kobiety zniknęły gdzieś jak duchy, zakrywając chustami twarze i chowając się pośpiesznie za drzwiami w którymś z kilkunastu pomieszczeń.

- Cholernie tu dużo tych pokoi do sprawdzenia - zauważył Warren. - A jeżeli Fahrwaz ma harem, będą problemy. Wyszli z wozu, otoczeni przez grupę chłopców.

- Zamknij lepiej wszystko, bo ubędzie nam sprzętu - powiedział głośno Tozier.

W tym momencie czyjś równie donośny głos wydał stanowczą komendę i chłopcy rozbiegli się, pędząc przez podwórze, jakby gonił ich diabeł. Na dziedzińcu pojawił się wysoki mężczyzna, bogato ubrany i postawny, choć w sile wieku. Rękojeść tkwiącego za szarfą zakrzywionego noża lśniła klejnotami, pojedynczy kamień przypięty do turbana skrzył się, a pierścienie na palcach również lśniły. Mężczyzna miał szczupłą, surową twarz i siwą brodę.

Odwrócił się i powiedział coś cicho do swego towarzysza, który odezwał się - o dziwo - po angielsku:

- Szejk Fahrwaz wita panów. Jego dom jest waszym domem. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał drwiąco: - Nie brałbym tego zbyt dosłownie - to tylko metafora.

Warren okazał się na tyle przytomny, by odpowiedzieć:

- Dziękujemy. Nazywam się Nicholas Warren, a to jest Andrew Tozier. Poszukujemy planów zdjęciowych do filmu. - Wskazał napis na boku land-rovera. - Pracujemy dla wytwórni Regent Films z Londynu.

- Znaleźli się, panowie, z dala od uczęszczanych szlaków. Nazywam się Ahmed, a to mój ojciec. - Odezwał się do starca. Szejk pokiwał poważnie głową, mrucząc coś w odpowiedzi. - Jesteście tu mile widzianymi gośćmi - kontynuował Ahmed - chociaż ojciec nie pochwała tego, co robicie. To prawdziwy muzułmanin, a nasze prawo nie pozwala nikogo portretować. - Uśmiechnął się. - Mnie tam wszystko jedno. Nie muszą panowie zamykać samochodu. Nic panom nie zginie.

Warren uśmiechnął się.

- To dość... hm... zaskakujące, żeby spotkać na tym odludziu kogoś, kto mówi po angielsku. Ahmed uśmiechnął się trochę drwiąco.

- Uważa pan, że na Dżebel Ramadi powinno się umieścić duży napis: MÓWIMY PO ANGIELSKU? - Uczył zapraszający gest: - Mój ojciec pragnie, by panowie weszli do jego domu.

- Dziękujemy - powiedział Warren. - Bardzo dziękujemy. - Spojrzał na Toziera. - Chodź, Andy.

Wprowadzono ich do dużego pomieszczenia. Na podłodze leżały rozpostarte owcze skóry, a ściany obwieszane były gobelinami. Otwartą przestrzeń na środku pokoju ozdobił piękny perski dywan, a wokół niego stało kilka niskich sof. Wnoszono właśnie kawę na mosiężnych tacach.

- Proszę siadać - powiedział Ahmed, sadowiając się dystyngowanie na jednej z sof. Warren taktownie czekał, aż szejk Fahrwaz zajmie swoje miejsce, a potem usiadł, starając się naśladować dziwną nieco pozycję Ahmeda, w której tamtemu było najwyraźniej całkiem wygodnie. Tozier zrobił to samo i Warren usłyszał, jak trzeszczą mu stawy.

- Miewaliśmy już gości z Europy - stwierdził Ahmed. - Mój ojciec jest tradycjonalistą, zwykle więc informuję przyjezdnych o naszych zwyczajach. Ojciec cieszy się, gdy postępują tak, jak uważa za stosowne, a nikomu przecież nie przynosi to szkody. - Uśmiechnął się ujmująco. - Później pójdziemy do mnie i wypijemy dużo whisky.

- Bardzo pan uprzejmy - stwierdził Warren. - Prawda, Andy?
- Nie odmówiłbym jakiegoś trunku - przyznał Tozier. Ahmed powiedział coś do ojca, a potem wyjaśnił:
- Napijemy się teraz kawy. To cała ceremonia, ale nie potrwa długo. Mój ojciec pragnie wiedzieć, od kiedy przebywają panowie w Kurdystanie.
- Od niedawna - odparł Warren. - Przyjechaliśmy z Gilan dwa dni temu.
Ahmed przetłumaczył to ojcu, a następnie powiedział:
- Mosiężną filiżankę bierze się do prawej ręki. Kawa jest bardzo gorąca i słodka - może zbyt słodka dla waszego podniebienia. Czy są panowie w Kurdystanie po raz pierwszy?
Warren uważał, że lepiej mówić prawdę. Niepotrzebne kłamstwa mogły okazać się niebezpieczne. Uniósł filiżankę i objął ją dłonią.
- Byliśmy tu już przed paroma tygodniami - przyznał. - Nie mieliśmy szczęścia w poszukiwaniach, wróciliśmy więc do Teheranu, żeby trochę odpocząć.
- To prawda - stwierdził Ahmed. - Kurdystan nie jest spokojnym miejscem - Zwracając się do szejka Fahrwaza wyrzucił z siebie potok słów, a potem rzekł: - Proszę wypić od razu całą kawę i położyć na tacy odwróconą filiżankę. Zrobi się bryja, ale to bez znaczenia. Jaki film będzie pan kręcił, panie Warren?
- Nie robię filmu - odparł Warren. - Wyszukuję tylko miejsca, jakich wymaga scenariusz. - Wypił kawę. Była gorąca i obrzydliwie słodka, a połowę objętości zajmowały fusy, które odsuwał językiem. Odstawił filiżankę i odwrócił ją na tacy do góry dnem. Stary szejk Fahrwaz uśmiechnął się zyczliwie.
- Rozumiem - powiedział Ahmed. - Jeszcze tylko dwie filiżanki i będziemy kończyć. Sprawiają panowie wielką radość mojemu ojcu, wykazując zrozumienie dla naszej kurdyjskiej gościnności. - Wypił kawę, jakby znajdował w tym przyjemność. - Czy pan jest ... hm... szefem, panie Warren?
- Tak. - Warren poszedł za przykładem Ahmeda i wziął do ręki drugą filiżankę. - Andy - to znaczy pan Tozier - jest od spraw technicznych. Zajmuje się ustawianiem kamer i tak dalej.
- Warren nie wiedział, co właściwie robi ekipa rozpoznawcza i miał jedynie nadzieję, że nie za bardzo się sypie.
- I są panowie tylko we dwójkę?
- Och, nie - odparł uprzejmie Warren. - Jest nas czterech, w dwóch samochodach. Tamci dwaj złapali gumę i zatrzymali się, żeby zmienić koło.
- Ach, więc musimy zaprosić także pańskich przyjaciół. Zbliża się noc.
Warren pokręcił głową.
- To zbyteczne. Mają wszystko, czego potrzeba do rozbicia obozu.
- Jak pan uważa - odparł Ahmed, po czym odwrócił się do ojca.
Kiedy po trzeciej i ostatniej filiżance ceremonia picia kawy dobiegł końca, szejk Fahrwaz wstał i wygłosił uroczystą, przydługą mowę. Ahmed streścił ją krótko:
- Mój ojciec upoważnia panów do korzystania tej nocy z jego domu.
Warren spojrzął kątem oka na Toziera, a ten prawie niezauważalnie skinął głową.
- Będziemy zachwyceni. Chciałbym tylko zabrać parę rzeczy z land-rovera - przybory do golenia i tak dalej.
- Przyniosę je - zaofiarował się Tozier.
- No, panie Tozier - odezwał się Ahmed tonem wymówki - zaczynałem już sądzić, że odjęło panu mowę - stwierdził, popisując się znajomością potocznej angielszczyzny.
- Od mówienia jest szef - odparł z uśmiechem Tozier.
- Mogą panowie, oczywiście, wyjść - powiedział Ahmed - ale dopiero po moim ojcu. Taki jest zwyczaj.
Szejk Fahrwaz uklonił się i zniknął w drzwiach w głębi pokoju. Tozier wyszedł na dziedziniec. Sięgnął do kabiny wozu, zdjął z zaczepu mikrofon i rzucił go niedbale na tył pojazdu. Na szczęście przewód był wystarczająco długi. Wspiął się na tył land-rovera. Rozpinając walizkę, nacisnął równocześnie przełącznik i powiedział cicho:
- Regent Dwa, zgłoś się. Regent Dwa, zgłoś się. Odbiór. Głos Folleta, który popłynął z

konsoli na przedzie, słycać było niepokojąco dobrze.

- Tu Johnny. Wszystko w porządku? Odbiór.

- Mów ciszej to wszystko będzie dobrze. Zostajemy tu na noc. Bądźcie na nasłuchu na wypadek, gdyby coś się działo. Odbiór.

- Nie mogę włączyć radia na cała noc - powiedział już ciszej Follet. - Wyczerpią się baterie. Odbiór.

- Więc bądźcie na nasłuchu przez dziesięć minut o każdej pełnej godzinie. Zrozumiałeś? Odbiór.

- Zrozumiałem. Powodzenia. Wyłączam się.

Tozier wypakował wszystko, czego mogli z Warrenem potrzebować i ukrył mikrofon. Kiedy wszedł z powrotem do budynku, zastał Warrena i Ahmeda na pogawędce.

- Pan Ahmed opowiadał mi właśnie, jak nauczył się angielskiego

- wyjaśnił Warren. - Przez siedemnaście lat mieszkał w Anglii.

- O, to ciekawe - zainteresował się Tozier. - Jak to się stało? Ahmed uczynił uprzejmy gest.

- Porozmawiamy o tym przy szklaneczce. Chodźcie, przyjaciele. - Poprowadził ich przez dziedziniec do pomieszczeń, w których niewątpliwie zamieszkiwał, umeblowanych w całości po europejsku. Otworzył szafkę i zapytał: - Whisky?

- Chętnie - odparł grzecznie Warren. - Bardzo to ładnie z pana strony.

Kiedy Ahmed nalewał do szklanek, Warren zauważył, że piją chivas regal.

- Ojciec tego nie pochwała, ale kiedy jestem u siebie, robię to, na co mam ochotę. - Podał Warrenowi szklanę. - Prorokzabrania picia alkoholu, ale czy Bóg pozwoliłby nam go

produkować, gdyby był zakazany? - Podniósł butelkę i powiedział żartem: - A jeżeli grzeszę, przynajmniej jest to grzech najwyższej jakości. Panie Tozier, pańska szklanka.

- Dziękuję.

Ahmed nalał sobie solidną porcję whisky.

- Poza tym samo słowo "alkohol" jest pochodzenia arabskiego. Muszę przyznać, że kiedy byłem w Anglii, zagustowałem w szkockiej whisky. Usiądźcie, panowie. Myślę, że będzie wam tu wygodniej niż u mojego ojca.

- Jak znalazł się pań w Anglii? - zapytał z zainteresowaniem Warren.

- O, to długa historia - odrzekł Ahmed. - Czy dużo pan wie o polityce Kurdystanu?

- Zupełnie nic. A ty, Andy?

- Słyszałem o problemie Kurdów, ale nigdy nie miałem pojęcia, o co tam chodzi - przyznał Tozier. Ahmed zaśmiał się.

- My, Kurdowie, wolimy nazywać go problemem irańskim, irackim albo tureckim. Nie postrzegamy siebie jako problemu, ale to zupełnie naturalne. - Pociągnął łyk ze szklanki. -

Jak panowie wiedzą, w czasie wojny południe Iranu było okupowane przez was, Brytyjczyków, a północ przez Rosjan. Kiedy okupacja się skończyła, Rosjanie rozegrali sprawę po swojemu i pozostawili za sobą "piątą kolumnę". Próbowali wykorzystać do tego

Kurdów. Proklamowano w Mahabadzie popieraną przez Rosjan Republikę Kurdyjską, nie przetrwała jednak długo i upadła, gdy tylko nowy rząd Iranu wysłał armię na północ. -

Podniósł szklanę. - Działo się to w roku 1946, kiedy miałem pięć lat. Mój ojciec był zaangażowany w sprawę i podobnie jak mullah Mustafa Barzani* schronił się w Rosji. - Ahmed uderzył się w pierś. - Ale mnie wysłał do Anglii i mieszkałem tam do 1963 roku. Mój

ojciec jest mądrym człowiekiem. Nie chciał, żeby cała rodzina była w Rosji. Wy, Anglicy, mówicie, że nie należy wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka. Mnie wysłano do Anglii, a mojego starszego brata do Francji. To wszystko wyjaśnia, prawda?

- Ten mullah czy jak mu tam - kto to taki? - zapytał Tozier.

- Mullah Mustafa Barzani? To jeden z naszych kurdyjskich przywódców. Nadal żyje. -

Ahmed zaśmiał się cicho. - Jest w Iraku z armią dwudziestu tysięcy ludzi. Sprawia Irakijczykom sporo kłopotów. Ja też należę do Barzaniego, to znaczy jestem członkiem szczepu, któremu przewodzi mullah. Podobnie, rzecz jasna, jak mój ojciec.

- Jak pana ojciec wrócił do Iranu? - zapytał Warren.

- Ogłoszono coś w rodzaju amnestii - odparł Ahmed - i pozwolono mu wrócić. Oczywiście

jest śledzony. Ale dotyczy to w zasadzie wszystkich Kurdów. Ojciec jest już stary i nie zajmuje się polityką. A mnie nigdy ona nie interesowała. Życie w Anglii uczy człowieka... łagodności.

Warren spojrział na nóż, który Ahmed miał zatknięty za szarfę. Ciekaw był, czy nosi go jedynie dla ozdoby.

- Co mają z tym wspólnego Irakijczycy i Turcy? - zapytał Tozier.

- Z problemem Kurdów? Najlepiej wyjaśnić to na mapie. Chyba mam tu jakaś. - Ahmed podszedł do biblioteczki i wyjął coś, co wyglądało na stary szkolny atlas. Przerzucił kartki i powiedział: - Proszę, tutaj jest Bliski Wschód. Na północy Turcja, na wschodzie Iran, a na zachodzie Irak. - Wykreślił palcem linię na południe od gór we wschodniej Turcji, wzdłuż granicy iracko - irańskiej.

- Oto ojczyzna Kurdów. Jesteśmy podzielonym narodem, zamieszkującym trzy różne kraje i w każdym z nich stanowimy mniejszość - uciskaną mniejszość, jeśli pan woli. Jesteśmy podzieleni pod rządami Persów, Irakijczyków i Turków. Przyzna pan, że to może prowadzić do konfliktu.

- Tak, to zrozumiałe - powiedział Warren. - I mówi pan, że doszło do tego w Iraku?

- Barzani walczy tam o autonomię dla Kurdów - wyjaśnił Ahmed.

- To mądry człowiek i dobry żołnierz. Irakijczycy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Nie byli w stanie go pokonać, choć dysponują samolotami, czołgami i ciężką artylerią, więc teraz prezydent Bakr został zmuszony do negocjacji. - Uśmiechnął się. - Barzani triumfuje. - Zamknął atlas. - Ale dosyć już tej polityki. Należę panom jeszcze whisky i porozmawiamy o Anglii.

II

Następnego ranka Warren i Tozier wstali dość późno. Ahmed był ujmująco gościnnie, natomiast szejk Fahrwaz już się nie pokazał. Ahmed opowiadał im do późnej nocy o swoim życiu w Anglii i zasypywał pytaniami na temat tego, co się tam aktualnie dzieje. Rano, po śniadaniu zapytał:

- Chcieliby panowie zobaczyć farmę? To typowe kurdyjskie gospodarstwo. - Uśmiechnął się czarująco. - Może jeszcze kiedyś zobaczę farmę ojca na ekranie.

Ahmed zaprowadził ich w każdy zakątek - i był wyjątkowo męczący. Pokazywał im wszystko, a towarzyszył temu nieprzerwany komentarz. Dopiero po jedenastej byli gotowi do drogi.

- Dokąd panowie teraz jadą? - zapytał. Tozier zerknął na zegarek.

- Johnny jeszcze się nie pokazał. Może ma jakieś kłopoty. Powinniśmy chyba wrócić i odszukać go. Nie uważasz, Nick?

- Może masz rację - odparł Warren. - Ale założyłbym się, że pojechał z powrotem jeszcze raz rzucić okiem na to obozowisko, którym się tak zachwycił. Lepiej ruszajmy w pogoń. - Uśmiechnął się do Ahmeda. - Dziękujemy za gościnę. Był pan bardzo miły.

- Typowo po kurdyjsku - odparł pogodnie Ahmed.

Wymienili jeszcze kilka grzecznościowych formułek, a potem odjechali. Ahmed pożegnał ich słowami "Niech was Bóg prowadzi" i pomachał im ręką. Kiedy jechali wyboistą drogą z powrotem w kierunku przełęczy, Warren zapytał:

- No i co o tym myślisz? Tozier fuknął z pogardą:

- Na mój gust to wszystko jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Facet za bardzo nam nadskakiwał.

- Fakt, że zajął się nami bardzo troskliwie - stwierdził Warren. - "Typowa kurdyjska gościnność" - powtórzył słowa Ahmeda.

- W dupie mam taką gościnność - powiedział wulgarnie Tozier. - Zauważyłeś, że wprowadził nas do każdego budynku i do wszystkich pokoi? Jak by chciał udowodnić, że nie ma nic do ukrycia. Dobrze spałeś?

- Jak zabity - odparł Warren. - Nie żałował tego swojego chivas regal. Wróciłem do pokoju na miękkich nogach.

- Ja też - przyznał Tozier. - Zwykle szkocka tak na mnie nie działa. - Zamilkł na chwilę. - Czyżby odurzili nas tą morfiną, której szukamy? Czy to możliwe?

- Owszem - powiedział Warren. - Muszę przyznać, że dziś rano czułem się trochę niewyraźnie.

- A ja mam niejasne wrażenie, że w nocy był tu spory ruch - stwierdził Tozier. - Pamiętam jakieś wchodzące i wychodzące wielbłądy. Kłopot w tym, że nie wiem, czy działo się to naprawdę, czy tylko mi się śniło.

Wjechali na szczyt przełęczy i Warren obejrzał się. Osada wyglądała spokojnie i niewinnie - urocza sielankowa sceneria. "Typowo kurdyjska", pomyślał z ironią. A jednak szejkh Fahrwaz był odbiorcą tych cholernych odczynników.

- Zobaczyliśmy tam wszystko, co chcieliśmy, a więc nie mają nic do ukrycia - stwierdził Warren. - Chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że wszystko jest doskonale zamaskowane i Ahmed był pewien, że niczego nie zauważymy.

- Ile miejsca zajmowałyby to laboratorium Speeringa? Warren przypomniał sobie absurdalne ilości odczynników, o których informował ich Javid Raqi.

- Od dwudziestu do dwustu metrów kwadratowych.

- No to tam go nie ma - stwierdził stanowczo Tozier. - Musielibyśmy je zauważyć.

- Jesteś pewien? - zastanawiał się Warren. - Wspominałeś o poszukiwaniu w wioskach ukrytej broni. Gdzie ją zwykle znajdowaliście?

- Och, na litość boską, oczywiście, że pod ziemią! - odparł Tozier, uderzając ze złością w kierownicę. - Ale tamta broń była rozłożona na części, które leżały oddzielnie. Nie chodziło nigdy o żadne duże pomieszczenie, jak w tym przypadku.

- Nie byłoby to takie trudne. Dno doliny nie ma skalistego podłoża. Warstwa gleby leży na czerwonej glinie, która jest zupełnie miękka.

- Więc uważasz, że powinniśmy tam wrócić i rozejrzeć się? To będzie trudne i ryzykowne.

- Przedyskutujemy sprawę we czterech. Jest Ben.

Bryan dał im znak ręką, żeby zjechali z drogi w niewielką dolinę, która była właściwie wąwozem. Kiedy przejeżdżali obok, wskoczył na stopień samochodu. Dwieście jardów dalej wąwóz zakręcał pod kątem prostym. Zobaczyli stojący tam drugi wóz, przed którym siedział na ziemi Follet. Gdy się zatrzymali, spojrzął na nich i zapytał:

- Jakież kłopoty?

- Na razie nie - odparł lakonicznie Tozier. Podszedł do Folleta. - Co tam masz?

- Zdjęcia doliny. Zrobiłem kilkanaście ujęć swoim polaroidem.

- Mogą się przydać. Musimy tam wrócić - zachowując dyskrecję. Pokaż je, Johnny.

Wszystkie.

Follet rozłożył fotografie na masce land-rovera. Po chwili Tozier oznajmił:

- Nie ma się z czego cieszyć. Zauważą każdego, kto w ciągu dnia będzie schodził w dolinę, a założę się, że ją obserwują. Od podnóża przełęczy do osady są cztery mile - osiem w obie strony. Daleko jak na nocną przechadzkę. A kiedy dotrzemy na miejsce, będziemy musieli szukać po omacku czegoś, co wcale nie musi się tam znajdować. Nie bardzo to sobie wyobrażam.

- Czego pan szuka? - zapytał Follet.

- Ukrytego pod ziemią pomieszczenia - odparł Warren. Follet skrzywił się.

- Jak pan je chce znaleźć, do cholery?

- Nie wiem, jak je znajdziemy - odrzekł Warren nieco znudzonym głosem.

Bryan pochylił się i wziął do ręki jedno ze zdjęć.

- Andy bardziej martwi się tym, jak dotrzeć potajemnie do osady - powiedział. - Musi być jakiś sposób. - Pokazał palcem szereg "lejów". - Powiedz mi coś więcej na temat tego podziemnego kanału.

- Po prostu ściąga wodę z gór i doprowadza ją w dolinę.
- Jakiej jest wielkości? Czy człowiek może się w nim poruszać? Warren skinął głową.
- Na pewno. - Próbował sobie przypomnieć, co czytał na temat owych kanałów. - Posyłają tam ludzi, którzy je konserwują,
- No właśnie - stwierdził Bryan. - Nie trzeba błędzić po omacku. To jak autostrada, która prowadzi wprost do osady. Można wejść do dziury w jednym miejscu i wyjść w innym, jak królik.

Tozier przyglądał mu się przez chwilę.

- To takie proste - powiedział z wyraźną ironią. - Jaki tam jest kąt nachylenia, Nick?

- Niewielki. Wystarczający, by zapewnić przepływ wody.

- A głębokość?

- Też chyba nieduża. Może trzydzieści centymetrów. - Warrena ogarnęła rozpacz. - Słuchaj, Andy. Niewiele wiem na ten temat. Tylko tyle, co przeczytałem.

Tozier nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Jakie tam jest podłoże? Płaskie?

Warren przymknął oczy, próbując przypomnieć sobie oglądane ilustracje.

- Chyba tak - powiedział w końcu. Tozier spojrział na fotografie.

- O zmroku zejdziemy w dolinę. Dostaniemy się szybem do kanału. Jeżeli da się nim iść, powinniśmy robić dwie mile na godzinę. W dwie godziny dotarlibyśmy do osady.

Podchodzimy możliwie najbliżej i prawie do świtu mamy czas na poszukiwania. Później wskakujemy z powrotem do naszej dziury i wracamy pod ziemią, nie zauważeni przez nikogo. Zaryzykujemy wejście na przełęcz przy dziennym świetle. Mamy tam wystarczającą osłonę. To wszystko zaczyna wyglądać realnie.

- Realnie? - zachnął się Follet. - Moim zdaniem to szaleństwo. Na miłość boską, mamy zapuszczać się pod ziemię?

- Powiedzmy, że da się skorzystać z kanału - stwierdził Warren. - Wątpię w to, ale gdyby założyć taką możliwość, w jaki sposób przeszukamy osadę, żeby nikt nas nie nakrył?

- Zawsze trzeba próbować szczęścia - stwierdził Tozier. - A zresztą, możesz zaproponować inne rozwiązanie?

- Nie, do cholery - odparł Warren. - Nie mogę.

III

Tozier nadzorował przygotowania. Wyciągnął z land-roverów takie ilości lin, że Warren nie podejrzewał nawet, iż tyle ich wiozą. Były to właściwie lekkie nylonowe linki o dużej odporności na zerwanie. Ze skrzynki na narzędzia wyjął raki.

- Zejść do szybu będzie łatwo - powiedział. - Spuścimy się na linie. Z wychodzeniem może być gorzej. Te raki będą nam potrzebne.

Wyciągnął elektryczne latarki o dużej mocy i noże, które mieli wetknąć sobie za pas. Kiedy jednak zaczął rozkładać jeden ze statywów do kamer, Warren zapytał ze zdziwieniem:

- Co robisz?

Tozier przerwał na chwilę.

- Założmy, że znajdziemy to laboratorium - co masz zamiar z nim zrobić?

- Zniszczyć je - odparł bez namysłu Warren.

- W jaki sposób?

- Myślałem, żeby je spalić czy coś w tym rodzaju.

- Pod ziemią to może się nie udać - orzekł Tozier, zabierając się ponownie do rozkładania statywu. Zdjął okrągłe aluminiowe nóżki i wytrząsnął z nich kilka brązowych lasek. - Ale to nam pomoże. Do zniszczenia stosunkowo niewielkiej instalacji wystarczy mała ilość dynamitu.

Warren- otworzył usta ze zdumienia, patrząc jak Tozier układa laski dynamitu w zgrabną wiązkę i owija je taśmą izolacyjną.

- Przecież kazałeś mi się zająć przygotowaniami do walki, pamiętasz? - zapytał z

uśmiechem Tozier.

- Pamiętani - odparł Warren.

Potem Tozier zrobił coś jeszcze bardziej zaskakującego. Wziął śrubokręt i wymontował z tablicy rozdzielczej zegar.

- Jest już gotowy do akcji - powiedział. - Widzisz to ostrze z tyłu? To zapalnik. Wystarczy wetknąć go w jedną z tych lasek dynamitu i możemy z dwunastogodzinnym wyprzedzeniem nastawiać czas eksplozji. - Roześmiał się. - Sztuka wojenna polega na tym, żeby być na wszystko przygotowanym.

- Masz jeszcze jakieś niespodzianki? - zapytał oschle Warren. Tozier przyjrzał mu się z powagą i wskazał kciukiem w kierunku osady.

- Ci faceci to gangsterzy i będą używać właściwej sobie broni - noży i pistoletów. W tym kraju może również strzelb. Ale ja jestem żołnierzem i lubię żołnierski sprzęt. - Poklepał bok land-rovera. - Te pojazdy różnią się od modeli fabrycznych. Firma Rover nie rozpoznałaby wielu części, które w nich zamontowałem. Celnicy, na szczęście, także.

- I co z tego?

- Wiesz, jak wygląda karabin? Warren z konsternacją pokręcił głową.

- Ma lufę, spust, kolbę...

- Właśnie - potwierdził Tozier. Podszedł do land-rovera od tyłu i zaczął demontować jeden ze wsporników, podtrzymujących plandekę. Kiedy go wyjął, plandeka opadła, ale tylko trochę. - Oto i lufa - oznajmił wpychając ją Warrenowi w rękę. - Teraz potrzebny nam jest mechanizm zamka.

Zaczął wymontowywać z pojazdu różne dziwne kawałki metalu. Zapalniczka z tablicy rozdzielczej została rozebrana na części składowe, wytłoczona z metalu popielniczka okazała się wykonanym precyzyjnie suwadłem, w skrzynce z narzędziami znalazły się sprężyny i w ciągu dziesięciu minut Tozier miał złożony karabin.

- A teraz kolba - powiedział, ściągając przymocowaną do boku land-rovera łopatę. Jednym ruchem dłoni rozkręcił ją na dwie części. Rękojeść łopaty została wmontowana w karabin, umożliwiając oparcie go o ramię. - No i gotowe - oznajmił Tozier. - Automatyczna broń maszynowa. W samochodzie jest tyle metalowych części, że drobnych elementów nikt nie rozróżnia, a duże trzeba zamaskować. - Pokazał trzymaną w rękę broń. - Z czymś takim nie przeszlubiśmy zwyczajnie przez granicę, prawda?

- Nie - odparł Warren, wyraźnie zafascynowany. - Ile tego masz?

- Dwie takie zabawki i dość porządny, chłodzony powietrzem kaem, który mocuje się na jednym z trójnogów. Problem tylko z amunicją - nie daje się zamaskować jako coś innego, więc nie mamy jej za wiele. - Znacząco wskazał kciukiem za siebie. - Każda z tych zapieczętowanych puszek z nie naświetloną kliszą mieści stosowny ładunek.

- Bardzo pomysłowe.

- Poza tym jest moździerz - dodał od niechcienia Tozier. - Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać trochę lekkiej artylerii.

- Nie! - rzekł z nagłym niedowierzaniem Warren. - W to już nie uwierzę.

- Proszę bardzo - powiedział Tozier, wskazując na land-rovera. - Jeżeli go znajdziesz, dostaniesz moją premię - albo przynajmniej tyle, ile mi z niej zostawi Johnny Follet. Gdy odszedł, Warren zaczął oglądać samochód z nowym zainteresowaniem. Moździerz musiał mieć spore rozmiary. Mimo dokładnych poszukiwań nie mógł znaleźć niczego, co by choć w przybliżeniu go przypominało. Nie znalazł też żadnych pocisków, które same w sobie musiały być dość duże. Pomyślał, że chyba jednak Tozier z niego zakpił.

* * *

Zakończywszy przygotowania wjechali na szczyt przełęczy i zaparkowali land-rovery za głazami obok drogi. O zachodzie słońca zaczęli schodzić w dolinę. Nie okazało się to szczególnie trudne. Było jeszcze na tyle jasno, że widzieli drogę na kilka metrów przed sobą, ale wystarczająco ciemno, by nikt ich z daleka nie zobaczył. Od szczytu przełęczy do

pierwszego szybu wentylacyjnego qanat mieli do przebycia nieco ponad milę i dotarliby tam prawie po ciemku, gdyby nie wzeszedł właśnie księżyc.

Tozier spojrzął na niebo.

- O tym nie pomyślałem - stwierdził. - Kiedy tam dotrzemy, może być niebezpiecznie.

Mamy cholerne szczęście, że istnieje ten podziemny korytarz - jeżeli tylko się nada. - Zaczął rozwijać linę.

- Zaczekaj - powstrzymał go Warren. - Nie ten szyb. - Właśnie coś sobie przypomniał. - Tu jest zapewne główna studnia - na dole będzie głęboka woda. Spróbujmy w następnym.

Przeszli około pięćdziesięciu jardów wzdłuż linii kanału aż dotarli do następnego szybu.

Tozier zdjął z ramienia linę.

- Jak głębokie są te szyby, Nick?

- Nie mam pojęcia.

Tozier podniósł kamyk i wrzucił go do wykopu, mierząc na zegarku czas spadania.

- Niecałe sto stóp. To nie najgorzej. Możliwe, że będziemy musieli szybko tedy wychodzić. -

Podał Bryanowi jeden koniec liny.

- Masz, Ben. Przy wiąż ją do czegoś - i upewnij się, że to coś się nie przesunie.

Bryan rozejrzał się i znalazł mocno osadzony w ziemi gład. Okręcił wokół niego linę i mocno ją zawiązał. Tozier sprawdził silnym pociągnięciem, czy dobrze trzyma, po czym wrzucił jej drugi koniec do szybu i podał Warrenowi swój automat.

- Zejdę pierwszy. Jeżeli tam na dole będzie wszystko w porządku, błysnę trzy razy latarką. -

Usiadł na krawędzi szybu z opuszczonymi swobodnie nogami, po czym odwrócił się na brzuch i zaczął zjeżdżać po linie. - Do zobaczenia na dole - szepnął, a jego głos zabrzmiał niesamowicie z ciemnej otchłani.

Spuszczał się powoli, zapierając się kolanami o ściany szybu, który miał około trzech stóp średnicy. Natrafiał na kolejne skrawki materiału, przywiązane do liny co dziesięć stóp.

Mógł w ten sposób ocenić przebytą odległość. Kiedy minął poziom dziewięćdziesięciu stóp, uderzył butami o twarde podłoże i poczuł powyżej kostek prąd wody.

Spojrzął w górę i zobaczył ciemne niebo, którego obraz nagle lekko zamigotał, domyślił się więc, że ktoś zagląda do szybu. Sięgnął po latarkę, trzykrotnie błysnął światłem w tamtym kierunku, a potem poświecił wokół siebie i wzdłuż kanału. Był szeroki na trzy stopy i wysoki na sześć. Ciągnął się daleko w głąb, o wiele dalej niż sięgało światło latarki. Ściany wykopanego w ziemi tunelu były zawilgocone, a przepływająca woda miała głębokość około dziewięciu cali.

Poczuł drgnięcie liny, gdy ktoś zaczął schodzić w głąb szybu. Na głowę posypała mu się ziemia. Odsunął się na bok i wkrótce zobaczył obok siebie Warrena, który z trudem chwytał oddech. Odebrał od niego broń i powiedział:

- Tak to wygląda, Nick. - Oświetlił latarką ziemne sklepienie tunelu. - Niech Bóg ma nas w opiece, jeśli się to coś zawali.

- Nie powinno - stwierdził Warren. - Tam, gdzie istnieje takie zagrożenie, wzmacnia się ziemię wielkimi, glinianymi obręczami. Nie zapominaj, że dość regularnie pracują tu ludzie, którzy zapewniają swobodny przepływ wodzie. Oni też nie mają ochoty ginąć. - Nie wspomniał Tozierowi, że robotnicy pracujący w tych podziemnych kanałach wymyślili dla nich bardzo trafną i obrazową nazwę - nazywali je "mordercami".

- Jak myślisz, ile ten tunel ma lat? - zapytał Tozier.

- Nie wiem. Może dziesięć, a może tysiąc albo i więcej, Czy to ważne?

- Chyba nie.

Dołączył do nich Bryan, a zaraz potem Follet.

- Szyb, przez który chcemy wychodzić, jest trzydziesty piąty z kolei - powiedział Tozier.

- Trzydziesty czwarty - poprawił go cicho Warren,

- No tak. Zapomniałem, że pierwszy ominęliśmy. Na wszelki wypadek będziemy wszyscy liczyć. Gdybyśmy nie byli zgodni, zadecyduje zdanie większości. I zachowujmy się cicho, bo nie wiem, jak w tych szybach rozchodzi się głos. Mam broń, więc pójdę przodem, za mną Nick, potem Ben, a na końcu Johnny z automatem jako tylna straż. Ruszajmy.

Trasa okazała się śmiesznie łatwa. Szli o wiele szybciej niż przewidywał Warren - co najmniej trzy mile na godzinę. Jak powiedział Bryan, była to autostrada prowadząca wprost na farmę. Twarde podłoże nie okazało się wcale błotniste ani śliskie, szło się więc po nim nawet łatwiej niż wzdłuż strumienia w Anglii. Woda nie była na tyle głęboka, by zanadto utrudniać im marsz, a silna latarka Toziera dawała dużo światła.

Tylko raz natrafili na drobną przeszkodę. Głębokość wody wzrosła nagle do dwóch, a potem trzech stóp. Tozier kazał im się zatrzymać i poszedł naprzód, żeby rozwalić nogą zaporę z miękkiej ziemi, która powstała wskutek osunięcia się niewielkiego fragmentu sklepienia. Spiętrzona woda popłynęła swobodnie, opadając szybko do normalnego poziomu około dziewięciu cali.

Mimo wszystko marsz był jednak męczący i Warren poczuł ulgę, kiedy Tozier podniósł rękę, kazując im się zatrzymać. Odwróciwszy się powiedział cicho:

- To trzydziesty trzeci szyb. Jesteśmy co do tego zgodni? - Nikt nie miał zastrzeżeń. - Teraz uwaga - powiedział. - Pamiętajcie, że osada jest tuż nad nami. Zachowajmy ciszę.

Szli dalej w ciemnościach, a Tozier bardzo ostrożnie stawiał każdy krok. Nagle zatrzymał się i Warren o mało na niego nie wpadł.

- Słyszycie coś? - zapytał ściszym głosem.

Warren nasłuchiwał, ale słyszał jedynie delikatny plusk wody. Odpowiedział przecząco i w tej samej chwili dotarł do jego uszu warkot, który szybko ucichł. Zachowywali milczenie, ale nie usłyszeli już niczego więcej.

- Chodźmy - odezwał się w końcu Tozier. - Zostało nam tylko dwadzieścia jardów. - Brnął dalej, aż przystanął pod szybem. Odwrócił się nagle i wyszeptał: - Na górze pali się światło.

Rzuć okiem i powiedz mi, co to może być.

Warren przecisnął się obok niego i spojrzał w górę. Wysoko nad głową zobaczył błyśnięcie nieba, ale nieco niżej, na ścianie widać było inne jaśniejsze światło, wychodzące jakby z boku samego szybu. Oceniał, że znajduje się w odległości około pięćdziesięciu stóp.

Cofnął się i rzeki cicho:

- Szukaliśmy czegoś, co jest pod ziemią, prawda? Moim zdaniem to właśnie to. Muszą doprowadzać tam jakoś powietrze, wykorzystując więc jeden z szybów kanału. A ten leży najbliżej farmy.

Głos Toziera był pełen niedowierzania.

- Myślisz, że tak od razu trafiliśmy w dziesiątkę?

- Każdy ma kiedyś szczęście - odezwał się z ciemności Follet. - Dlaczego nie miałyby trafić na nas?

Usłyszeli jakiś odgłos. Było to dochodzące z daleka, ale wyraźne kaszlnięcie.

- Ktoś się obudził - wyszeptał Tozier. - Na razie nie możemy nic zrobić. - Wyjrzał przez szyb. - Jeżeli w ogóle się kładą, zgaszą to światło. Zostanę na straży. A wy cofnijcie się jakieś sto jardów. I bądźcie cicho.

W ten sposób zaczęło się jedno z najbardziej nieprzyjemnych doświadczeń w życiu Warrena. Minęły prawie trzy godziny, zanim Tozier dał im znak latarką. Warren wiedział, w jakim stanie zobaczy swoje stopy, gdy zdejmie buty. Będą białe jak brzuch ryby i pomarszczone jak dłonie pomywaczki. Zanotował w pamięci, że kiedy - i jeśli - wrócą, musi rozdać wszystkim chirurgiczny spirytus, bo inaczej odciski zupełnie ich unieruchomią. Ucieszył się więc bardzo, gdy na sygnał Toziera mógł wreszcie ruszyć dalej i rozprostować zdrętwiałe kończyny.

- Wszystko w porządku?

- Światło nie pali się już prawie od godziny. Przed chwilą słyszałem chyba jakieś chrapanie, więc miejmy nadzieję, że ten ktoś jeszcze śpi. Wejść na górę i rozejrzeć się. Będziecie musieli mnie podsadzić.

- Tylko spokojnie.

- Nie ma obawy - odparł zgryźliwie Tozier. - Przyglądałem się temu światłu, zanim zgasło. Domyślam się, że jest tam główne wejście do ich kryjówki. Zaczynamy. Rzuć wam linę. Warren, Bryan i Follet utworzyli żywą drabinę, po której Tozier mógł się wspiąć.

Podciągnął się w górę, wymacał rękami ściany szybu, a potem podniósł nogę i wbił kolce buta w glinę. Wyprostowawszy się z wysiłkiem, wkopał w ziemię drugą stopę. Nie było to szczególnie trudne. Wspiął się już w gorszych warunkach, ale nigdy w takich ciemnościach. Zmierzał powoli ku górze, o jedną ścianę opierając plecy, a od drugiej odpychając się nogami. Tej kominowej techniki wspinaczki nauczył się kiedyś w szkółce alpinistycznej.

Zatrzymał się w połowie drogi, by przez parę minut odpocząć, po czym ruszył dalej. Czuł, że złapał właściwy rytm i coraz lepiej sobie radzi, dzięki czemu druga połowa wspinaczki poszła mu o wiele szybciej niż pierwsza. Dotarł w końcu do wykopanej w ścianie szybu niszy, wystarczająco przestronnej, aby w niej stanąć. Zaryzykował zapalenie na moment latarki i zobaczywszy podpierający sklepienie słup, przywiązał do niego mocno jeden z końców zdjętej z ramienia liny, rzucając ją potem w głąb szybu.

Jako następny dotarł na górę Warren. Miał ze sobą automat, który Tozier odebrał i odbezpieczył, powodując metaliczny trzask. Potem zjawił się Bryan, a tuż za nim Follet. Wszyscy czterej zmieścili się w wąskiej niszy. Gdy Tozier błysnął latarką, ujrzeli jakieś drzwi. Ostrożnie je pchnął. Otworzyły się bezgłośnie, wszedł więc do środka, z gotową do strzału bronią.

Za Tozierem podążył Follet, gdyż i on był uzbrojony, a tuż za nimi trzymali się Warren i Bryan. Tozier włączył latarkę. Snop światła omiółł całe pomieszczenie, odbijając się od ustawionych na ławach; szklanych pojemników, po czym skoncentrował się na łóżku, na którym spał jakiś człowiek. Kiedy ten poruszył się niespokojnie, Tozier szepnął :

- Zajmij się nim, Johnny.

Follet ruszył tam, gdzie padało światło latarki. Pokonał trzema krokami dzielącą przestrzeń, po czym uniósł rękę, trzymając w niej jakiś czarny przedmiot. Kiedy opadła, rozległo się głucho uderzenie, a potem stłumiony jęk.

Tozier przeszukał z pomocą latarki całe pomieszczenie, starając się sprawdzić, czy nie śpi tam ktoś jeszcze, ale nikogo nie znalazł,

- Zamknij drzwi, Ben - powiedział. - Johnny, zapal tę lampę.

Jej jaskrawe światło wystarczyło, aby Warren nabral przekonania, że odnaleźli właściwe miejsce. Było tam tylko jedno pomieszczenie, wyłobione w osadowej glinie, ze sklepieniem z surowego drewna. Przypominało mu bardzo widywane na filmach okopy z czasów pierwszej wojny światowej. Było ciasne, gdyż prawie połowę powierzchni zajmowały skrzynie, a resztę zawałone sprzętem ławy.

- Rozejrzyj się, Nick - powiedział Tozier. - Czy tego szukałeś?, Warren popatrzył fachowym okiem na ustawiony na ławach sprzęt.

- Na miły Bóg, owszem! - Powąchał zawartość kilku otwartych butelek, a potem znalazł jakiś biały proszek i dotykając ostrożnie oblepiony palec czubkiem języka, skrzywił się. - To jest z całą pewnością to.

Bryan wyprostował się, stojąc nad łóżkiem.

- Jest nieprzytomny. Czym go rąbnąłeś, Johnny?

Follet uśmiechnął się, pokazując pękatą skórzaną pałkę.

- To na pewno Speering - stwierdził Bryan. - Zapuścił brodę, ale poznaję go.

- Niemożliwe, żeby pracował sam - powiedział Tozier. Warren szukał czegoś między ławami.

- Na pewno potrzebował paru pomocników, ale kiedy miał już gotową instalację, pracę mogli wykonywać pod jego nadzorem ludzie bez kwalifikacji. Przypuszczam, że byli to nasi gościnni Kurdowie. - Rozejrzał się wokół i zobaczył termos do kawy, brudne talerze i puste butelki po whisky. - Widzę, że Ahmed nie daje mu chivas regal. Chyba przez cały czas tu siedzi. Nie pozwoliliby mu spacerować po osadzie, żeby ich nie zdradził.

Zaczął przyglądać się skrzyniom i sprawdzivszy zawartość jednej z nich, która była otwarta, powiedział: "Wielki Boże!"

Tozier popatrzył mu przez ramię na przedmioty o cylindrycznym kształcie.

- Co to, sery?

- To opium - odparł Warren. - W dodatku tureckie, jak mi Bóg miły! Wcale nie irańskie.

- Skąd wiesz, że tureckie?
- Spójrz na ten kształt - tylko Turcy pakują je w ten sposób. - Cofnął się o krok, przyglądając się stercie skrzyń. - Jeżeli wszystkie są pełne, musi tu tego być z dziesięć ton.
Tozier sprawdził ciężar kilku wybranych przypadkowo skrzyń.
- Z całą pewnością są pełne.
Warren pomyślał, że Raqi podał im jednak prawdziwe dane. Znalazł ką, w którym przechowywano odczynniki i zaczął porównywać pozostałe tam zapasy z dostarczoną im listą. Po chwili stwierdził:
- Wygląda na to, że zużył je mniej więcej w połowie. Ale gdzie jest morfina?
Follet wydał stłumiony okrzyk, gdy Tozier podnosząc prostokątną bryłkę, zapytał:
- Co to?
Warren wziął ją do ręki i poskrobał po powierzchni paznokciem.
- Opium zawinięte w liście maku. Przypuszczam, że z Afganistanu. Ściągają chyba towar z całego Bliskiego Wschodu. - Rzucił bryłkę na ławę. - Ale to mnie nie interesuje. Chcę znaleźć morfinę.
- Jak ona wygląda?
- To miarki biały proszek. Jak sól kuchenna albo cukier puder. I powinno tego być cholernie dużo.
Przeszukiwali starannie całe pomieszczenie i w pewnej chwili Follet zapytał z przejęciem "Co to?", podnosząc wielki szklany gąsior, wypełniony do połowy białym proszkiem. Warren spróbował ostrożnie, jaki ma smak.
- To jest to. Morfina.
- Czysta czy z domieszką?
- Czysta - przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w tak prymitywnych warunkach.
Follet gwizdnął cicho.
- A więc tego pan szukał. Skrzętnie pan to ukrywał, prawda, panie Warren? - Sprawdził, ile waży gąsior. - Jezu! Musi tu być że dwadzieścia funtów. To jest warte z pół miliona dolców.
- Lepiej nic nie kombinuj, Johnny - ostrzegł Tozier. Warren nadal węszył.
- Dwadzieścia funtów! Spodziewam się znaleźć sto razy tyle!
- Mówi pan serio? - Follet przypatrywał mu się z niedowierzaniem. - Na pewno pan żartuje, doktorze.
- To nie temat do żartów - powiedział z pasją Warren, wskazując wyciągniętą ręką na stojące pod ścianą skrzynie z opium. - Z tego można wyprodukować tonę morfiny. Speering zużył połowę odczynników, możemy więc założyć, że wykonał połowę roboty. Jest tu dostatecznie długo, żeby, korzystając z pomocy, wyprodukować tonę morfiny. Wielkość laboratorium też by się zgadzała. Więc gdzie ona jest, do cholery? - Mówił coraz bardziej podniesionym głosem.
- Nie tak głośno - ostrzegł Tozier. Skinął głową w kierunku łóżka, skąd dochodził chrapliwy oddech Speeringa. - Może jego spytamy?
- Tak - przyznał Follet. - Żeby tylko nie podniósł krzyku, kiedy będziemy to robić.
- Więc zabierzemy go ze sobą - zaproponował Tozier. - Pójdzie z nami kawałek. - Odwrócił się do Warrena. - Co chcesz zrobić z tym laboratorium?
- Chcę je zniszczyć - odparł chłodno Warren. - Całkowicie.
- Pół miliona dolców - westchnął Follet, trącając nogą szklany gąsior. - Kosztowna eksplozja.
- Czyżbyś miał jakiś inny pomysł? - zapytał cicho Tozier.
- Nie, do cholery! - odrzekł Follet. - To nie moja działka. Przestrzegam prawa - chociaż muszę przyznać, że ta eskapada wymaga odstępstw od niektórych zasad.
- W porządku, więc spuść Speeringa do szybu. Nick, możesz mi pomóc założyć ładunki. Follet podał na kawałki prześcieradło i zaczął wiązać Speeringa, wtykając mu na koniec knebel do ust.
- To na wypadek, gdyby się ocknął, kiedy będzie zjeżdżał w dół. Pomóż mi, Ben.
Owiązali bezwładne ciało Speeringa liną, wywlekli go przez drzwi i zaczęli opuszczać w głąb

szybu. Kiedy lina straciła naprężenie, wiedzieli, że znalazł się na dole i Follet zaczął przygotowywać się do zejścia. Podszedł do Toziera i oznajmił:

- Ben i ja już schodzimy.

- W porządku. Zaczekajcie tam na Nicka i na mnie. - Tozier spojrział na zegarek. - Eksplozja nastąpi za trzy godziny. Powinniśmy mieć dość czasu, żeby spokojnie się stąd wynieść.

Follet wyszedł, a Tozier skończył zakładać ładunki. Na koniec nastawił ostrożnie zegar i bardzo delikatnie przesunął niewielką dźwignię.

- Gotowe - powiedział. - To budzik dla Ahmeda. Chodź, Nick, wynosimy się stąd w cholerę. Uzbrojone ładunki zawsze działają mi na nerwy.

Warren wszedł do mrocznego szybu i schodził po linie, dopóki jego stopy nie znalazły się w wodzie.

- Tędy - wyszeptał Bryan i Warren ruszył w górę strumienia.

- Nasz przyjaciel dochodzi do siebie - oznajmił Follet, świecąc Speeringowi przed nosem latarką. Ten przewracał dziko oczami, a z jego zakneblowanych ust wydobywał się stłumiony bełkot. Zobaczył tuż przy twarzy długi nóż, od którego ostrza odbijało się światło.

- Jak narobisz hałasu, poderżnę ci gardło.

Speering nagle umilkł.

Od strony szybu dobiegło głucho uderzenie i plusk wody.

- W porządku - powiedział Tozier. - Zabierajmy się stąd szybko. Czy Speering może iść?

- Niech się lepiej postara - zagroził Follet. - Będę z tym skalpelem tuż za nim. - Oświetlił latarką stopy Speeringa i rozciął mu więzy. - Podnieś się, skurwielu. Wstawaj i ruszaj naprzód.

Mimo że Speering był dla nich przeszkodą, szybko posuwali się w górę kanału. Tozier szedł przodem, tuż za nim podążał Speering, któremu dodawał sił strach przed Folletem i jego nożem, zaś Bryan i Warren zamykali pochód. Ponieważ Speering miał związane ręce, z trudem utrzymywał równowagę. Zataczał się w kanale i obijał o ściany, padając czasem na kolana. Follet dźgał go bezlitośnie nożem i zmuszał kopniakami, by się podniósł.

Po trzech kwadransach morderczego marszu Tozier dał znak, żeby się zatrzymali.

- Pora na odpoczynek - oznajmił. - Poza tym chcemy pogadać ze Speeringiem, prawda? Tu powinno być wystarczająco bezpiecznie. - Poświecił w górę latarką. - Jesteśmy między szybami. Wyciągnij mu knebel, Johnny.

Follet przytknął Speeringowi nóż do twarzy.

- Masz być cicho, rozumiesz? - Speering skinął głową, a Follet włożył ostrze pod szmatę, która trzymała knebel i przeciął ją. - Wypluj to, kanalio.

Speering, krztusząc się i kaszląc, wyrzucił z ust gałgan. Po policzku płynęła mu krew, plamiąc brodę, gdyż Follet zranił go przy usuwaniu knebla. Przełknął gwałtownie ślinę i wyszeptał:

- Kim jesteście?

- Nie zadawaj pytań, tylko odpowiadaj - oznajmił Tozier. - Zaczynaj, Nick.

- Ile morfiny pan wyprodukował, panie Speering? I gdzie ona jest?

Speering nie odzyskał jeszcze tchu. Oddychając z trudem, pokręcił głową.

- Mój Boże! - odezwał się Follet. - Rozmawiamy z nieboszczykiem.

Tozier zareagował gwałtownie i z wściekłością. Unosząc błyskawicznie rękę, trzasnął Speeringa z obu stron w twarz.

- Mój przyjaciel ma rację - powiedział cicho. - Odpowiadaj na pytania albo będzie po tobie.

- Ile morfiny pan wyprodukował, Speering? - powtórzył spokojnie Warren.

- Oni mnie zabiją - wykrztusił Speering. - Nie znacie ich.

- Kto?

- Fahrwaz i Ahmed. - Speering był przerażony. - Nie wiecie, jacy są źli.

- A ty nie wiesz, jacy my jesteśmy źli - powiedział rozsądnie Follet. - Wybieraj - możesz umrzeć teraz albo później. - Przytknął Speeringowi nóż do gardła. - Odpowiedz na pytanie: ile było tej morfiny?

Speering wygiął się w tył, próbując uniknąć noża.

- Ty... tysiąc kilogramów. Tozior zerknął na Warrena.

- Niewiele się pomyliłeś. To dwa tysiące dwieście funtów. No dobrze, Speering - gdzie jest ta morfina? Speering gwałtownie pokręcił głową.

- Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem.

- Kiedy ją wywieźli?

- Wczoraj. Zabrali wszystko o północy.

- Pewnie wtedy, kiedy tam byliśmy - powiedział w zamyśleniu Tozior. - Sprzątnęli nam towar sprzed nosa. Dokąd z nim pojechali?

- Nie wiem.

- Ale może się domyślasz - nalegał Follet, dociskając odrobinę mocniej ostrze noża. Po szyi Speeringa popłynęła strużka krwi. -Założę się, że potrafiysz to nieźle odgadnąć.

- Do Iraku - wybuchnął Speering. - Powiedzieli, że towar ma dotrzeć do Iraku.

- Jesteśmy jakieś trzydzieści mil od irackiej granicy - stwierdził Tozior. - Wszystko zaczyna się zgadzać. Przysięgłbym, że minionej nocy słyszałem wielbłądy. Czy wywieźli towar na ich grzbietach?

Speering próbował skinąć głową, ale trafił gardłem na czubek noża, powiedział więc cicho "Tak".

- Dlaczego nie przerabiał pan morfiny tutaj? - zapytał Warren. - Gdzie mają zamiar zamienić ją na heroinę?

- Chciałem zrobić to tutaj - odparł Speering - ale oni zmienili zdanie. Wczoraj w nocy zabrali towar. Nic więcej nie wiem. Tozior spojrział na Warrena.

- Czy Speering nie jest im do tego potrzebny?

- Niekoniecznie. Nie tak trudno to zrobić. Zdaje się, że napędziliśmy Ahmedowi strachu. Chyba w trosce o bezpieczeństwo pozbył się przedwcześnie towaru.

- Jak widać, miał rację - powiedział zgryźliwie Tozior. - Gdyby tego nie zrobił, zgarnęlibyśmy wszystko. A tak straciliśmy okazję. O tej porze towar jest już pewnie w Iraku. - Odwrócił się do Speeringa: - Czy na pewno nie wiesz, dokąd mieli tam z nim jechać? Lepiej powiedz prawdę.

Speering niespokojnie rozglądał się na boki.

- No, chłopcze - zachęcał go Follet. - To już ostatnie pytanie. Speering poddał się.

- Dokładnie nie wiem, ale gdzieś w okolicy As-Sulajmanija. Tozior sprawdził czas.

- Zaknebluj go jeszcze raz, Johnny. Droga do Iraku prowadzi obok farmy Fahrwaza. Musimy zdążyć na fajerwerki.

- Co zrobimy ze Speeringiem? - zapytał Warren.

- A cóż możemy z nim zrobić? Zostawimy go tutaj. Ze związanymi rękami i kneblem w ustach niewiele zdziała. Pośpiesz się, Johnny.

W trzy minuty później wyruszyli znowu w drogę, już bez Speeringa. Kiedy odchodzili, Warren odwrócił się i poświecił latarką w głąb kanału. Speering był oparty o ścianę w pozycji, w jakiej go pozostawili, potem jednak przekręcił się i pokuśtykał w przeciwnym kierunku. Warren napotkał wzrokiem spojrzenie Bena Bryana.

- No dobrze, Ben, chodźmy.

Bryan zawahał się przez ułamek sekundy, a potem ruszył w ślad za Warrenem, który starał się dogonić będących już daleko w przedzie towarzyszy.

Warren zastanawiał się intensywnie nad znaczeniem uzyskanych informacji. Góry Kurdystanu stanowiły część istniejącego od stu lat szlaku przemytników. Fahrwaz i Ahmed musieli dobrze je znać, nie miał więc wątpliwości, że mogli bez trudu przeszmugłować morfinę do Iraku. W żadnym rejonie Kurdystanu prawo nie działało skutecznie, a w jego irackiej części, od której siły rządowe trzymały się z daleka, zupełnie przestało istnieć.

Warren podążał bezwiednie za Folletem, zastanawiając się, jak u diabła teraz postąpią. Tozior najwyraźniej nie miał co do tego wątpliwości. Oznajmił, że droga do Iraku prowadzi obok farmy Fahrwaza i uznał za oczywiste, że tam pojedą. Warren zazdrościł mu uporu i nieustępliwości. 1 Rozmyślania te przerwał Ben Bryan, klepiąc go po plecach.

- Poczekaj. Powiedz Toziorowi, żeby się zatrzymał. Warren przekazał to do przodu i Tozior

przystanął.

- O co chodzi?

- Speering nie przeżyje - oznajmił Bryan. - Kiedy ostatnio go widziałem, szedł w przeciwnym kierunku niż my. Jeżeli nie zginie wskutek wybuchu, przywali go sklepienie tunelu. A więc umrze.

- Może wyjść przez szyb - powiedział Follet.

- Mając związane z tyłu ręce?

- No więc czeka go śmierć - stwierdził obojętnie Tozier. - I co z tego?

- Ale żeby umierać w taki sposób? - powiedział z rozpaczą Bryan. - Potykając się w mroku z związanymi rękami?

- Nie uważasz, że na to zasłużył?

- Nikomu nie życzyłbym takiego końca. Zawracam.

- Na litość boską! - zaprotestował Tozier. - Nie mamy czasu. Musimy wrócić do samochodów i ruszyć w drogę, zanim będzie wybuch. Kiedy to podziemne laboratorium wyleci w powietrze, na

farmie zrobi się rojno jak w mrowisku. Chcę być już wtedy po drugiej stronie.

- Idźcie dalej - powiedział Bryan, - Dogonię was.

- Chwileczkę, Ben - odezwał się Warren. - Co masz zamiar zrobić?

- Rozwiązać mu ręce i kazać iść w przeciwnym kierunku - odparł Bryan. - To mu da szansę.

- Szansę, żeby narobić cholernego rabanu - zauważył z przekąsem Follet.

- Nic mnie to nie obchodzi. Zawracam - oznajmił Bryan, odłączając się od grupy. Warren poświecił latarką i zobaczył, jak oddala się szybko w głąb mrocznego kanału.

- Przekłęty głupiec - powiedział ponuro Tozier.

- Co robimy? - zapytał niepewnie Warren.

- Ja się stąd wynoszę - odparł Follet. - Nie będę narażać życia dla takiego, faceta jak Speering.

- Johnny ma rację - przyznał Tozier. - Nie ma sensu tu zostawać. Ściągniemy samochody z przełęczy i pojedziemy po Bena. Ruszajmy.

Wyglądało to na najlepsze rozwiązanie. Warren przez chwilę się zastanawiał, ale potem poszedł w ślady pozostałych, brnąc w wodzie za Folletem. Tozier, przekonany, że mają przed sobą wolną drogę i świadomy zbliżającej się nieuchronnie eksplozji za plecami, narzucił im mordercze tempo marszu. Z monotonną regularnością mijali kolejne szyby, a Warren zliczał je w pamięci.

Wreszcie Tozier zatrzymał się.

- To tutaj.

- Niemożliwe - powiedział Warren, z trudem łapiąc oddech. - Naliczyłem ich dopiero trzydzieści jeden.

- Mylisz się - stwierdził z przekonaniem Tozier. - Trzymam w rękach linę. Im szybciej wydostaniemy się wszyscy na powierzchnię, tym bardziej będę się cieszyć.

Wspiął się na górę, a za nim Warren, który upadł bez sił na krawędź szybu, z trudem chwytając powietrze. Tozier pomógł się wydostać Folletowi, a potem powiedział:

- Pójdziemy z Johnny'm po samochody. Wy zostańcie tutaj i dajcie nam znak latarką, jak usłyszycie warkot silników.

Zniknęli w mroku i tylko chrzęst kamieni pozwalał zorientować się, dokąd poszli.

Warren spojrzął w niebo. Księżyc zachodził za górami, nadal jednak rzucał blask, a nawet światło na skalisty pejzaż, widział więc w oddali dachy zabudowań. Czekał przez jakiś czas w zupełnej ciszy, po czym nachylił się w głąb szybu i zawołał:

- Ben! Ben, gdzie jesteś?

Jego głos odbił się głucho o ściany studni, ale odpowiedzi nie było. Przygryzł wargę.

Niewątpliwie Ben postąpił głupio, ale czy nie miał racji? Warren odczuwał wewnętrzny niepokój. Nigdy dotąd nie przeżywał takiego konfliktu między ideałami a troską o własne interesy. Z wahaniem chwycił linę, gotów spuścić się, w głąb szybu, ale potem zrezygnował, zastanawiając się, czy jednak postąpiłby słusznie. Co stanie się z pozostałymi? Czy idąc po

Bryana nie narazi ich wszystkich na śmierć?

Puścił linę i usiadł zrozpaczony na brzegu szybu, tocząc wewnętrzną walkę. Zaraz potem usłyszał cichy warkot silnika i ostrożnie poświecił w tamtym kierunku latarką, starając się osłonić ją dłonią, aby w osadzie nie dostrzeżono żadnego błysku. Z ciemności wyłonił się nagle land-rover. Kiedy stanął, jego silnik zaczął pracować cicho na wolnych obrotach. Tozier wysiadł z wozu i podszedł do szybu.

- Wrócił?

- Nie - odparł z rozpaczą Warren.

- Cholerni idealisci! - zaklął Tozier. - Zawsze działają mi na nerwy.

- Jego praca polega na ratowaniu życia - stwierdził Warren. - Trudno to tak nagle zmienić. Co robimy?

Tozier zerknął na fosforyzujące wskazówki swego zegarka, który nosił na przegubie tarczą do wewnątrz.

- Za trzydzieści minut nastąpi wybuch. Miałem nadzieję być już wtedy po drugiej stronie osady. - Westchnął z irytacją. - Ten cholerny gówniarz wszystko zepsuł.

- Wy już jedźcie - powiedział Warren. - Ja zaczekam na Bena.

- Nie - zaproponował Tozier. - Ja zaczekam. Ty ruszaj z Johnny'm w kierunku osady. Kiedy będzie wybuch, spróbujcie się przedrzeć. W zamieszaniu powinno się wam to udać.

Zaczekajcie na mnie po drugiej stronie. Jeżeli usłyszycie strzelaninę, wróćcie i wydostańcie nas.

- Nie wiem, czy to jest... - zaczął Warren.

- Na miłość boską, ruszajcie - ponaglił go Tozier. - Wiem, co robię i mam większe doświadczenie. W drogę.

Warren podbiegł do drugiego land-rovera i wyjaśnił Folletowi, co się dzieje.

- Niech pan lepiej siada za kierownicę - powiedział Follet, podnosząc lufę automatu. - Będę mógł swobodnie strzelać.

Warren wsiadł do wozu i ruszył, starając się robić jak najmniej hałasu. Jechali po wyboistym dnie doliny w kierunku osady z prędkością poniżej dziesięciu mil na godzinę.

Follet cały czas z niepokojem spoglądał na zegarek. W końcu Warren ostrożnie przyhamował. Zobaczył przed sobą w świetle księżyca pierwsze niskie zabudowania o płaskich dachach, ale cała sceneria pozostawała w bezruchu. Jedynym dźwiękiem był cichy równomierny warkot silnika.

- Niecała minuta - szepnął Follet.

Zaledwie to powiedział, rozległ się głuchy grzmot, jakby zakaszał gwałtownie jakiś olbrzym. Ziemia zadrżała im pod nogami. Z leżącego najbliżej osady szybu qanat - tego, który stanowił tajne wejście do podziemnego laboratorium - wystrzeliła w niebo chmura pyłu.

Unosiła się coraz wyżej, przybierając kształt pierścienia, skłębiona i błyszcząca w świetle księżyca, jakby olbrzym wydmuchał w powietrze kółko dymu. W widocznej na horyzoncie linii dachów zaszła jakaś zmiana, była ona jednak tak niezauważalna, że Warren nie potrafił określić, co się tam stało. Follet walnął go po ramieniu.

- Jazda, człowieku, jazda! Światła!

Land-rover ruszył z dużym przyśpieszeniem do przodu, rozjaśniając reflektorami zabudowania. Silnik wył przy szybkich zmianach biegów. Warren czuł, jak ślizgają się koła, kiedy za mocno naciskał na gaz, a potem zaczęła się szaleńcza jazda po wertepach, która na zawsze pozostała mu w pamięci.

Postrzegał jedynie szybkość, ruch i pojawiające się nagle pojedyncze obrazy, wydobywane z mroku przez jaskrawe światła reflektorów: spłoszone stado kur, brutalnie obudzonych i przerażonych wybuchem, ogorzała twarz w jednym z okien, z oczami zmrużonymi z powodu oślepiającego blasku, człowieka, który rozpostarłszy ramiona przywarł do muru, aby uchronić się przed rozpędzonym pojazdem.

Nagle Follet wrzasnął "Uwaga!" i Warren nadepnął z całej siły na pedał hamulca. Pęknięta ściana jednego z budynków, który mieli przed sobą, zaczęła się nagle rozpadać i runęła na drogę. Wyostrzone zmysły Warrena odbierały to wszystko jak w zwolnionym tempie.

Rozległ się huk i land-rover wpadł w skłębioną chmurę pyłu, zatrzymując się ze zgrzytem hamulców. Kurz wdarł się do kabiny i Warren, mając go pełno w ustach, zaczął gwałtownie kaszleć.

- Co za cholernie prymitywne budownictwo - utyskiwał Follet.

Warren wrzucił wsteczny bieg i zaczął szybko cofać. Kiedy kurz opadł okazało się, że droga przed nimi jest zupełnie zablokowana. Z daleka słychać było stłumiony huk wystrzałów.

- Lepiej się stąd wynosić - powiedział Follet. - Może znajdziemy jakiś objazd.

Warren jechał ciągle na wstecznym biegu, nie mając gdzie zawrócić. Przy pierwszej okazji skręcił i zaczął rozglądać się za wyjazdem, który prowadziłby mniej więcej we właściwym kierunku. Padło jeszcze kilka strzałów, ale żadna z kul ich nie dosięgła.

- Niech pan spróbuje tędy - zawołał Follet, wskazując drogę. - Szybciej, na Boga!

Kiedy Warren skierował land-rover w wąską uliczkę, coś uderzyło w bok wozu. Follet wysunął przez boczne okienko automat i nacisnął spust, opróżniając do połowy magazynek. Towarzyszył temu dźwięk przypominający prucie tkaniny.

- To powinno ich powstrzymać! - krzyknął.

Land-rover pędził ulicą, która jakby coraz bardziej się zwężała i w pewnej chwili otarł się ze zgrzytem o mur. Z przodu wyskoczył jakiś człowiek, mierząc do nich z karabinu. Warren odruchowo schylił głowę i nacisnął mocniej na gaz. Wóz szarpnął i popędził naprzód.

Rozległo się głuche stuknięcie, a potem zobaczyli tylko dwie wyrzucone rozpaczliwie w górę ręce i znikający w mroku karabin.

Wreszcie wyjechali z ulicy i znaleźli się po drugiej stronie osady, mając przed sobą jedynie ciemność. Follet chwycił Warrena za ramię.

- Niech pan wyłączy światła, żeby nas nie widzieli. - Spojrzał w tył. - Ciekawe, jak radzi sobie Andy?

* * *

Kiedy nastąpił wybuch, Tozier patrzył w kierunku osady. Zobaczył wzbijającą się w niebo chmurę pyłu, a zaraz potem ziemia zadrżała mu pod nogami na skutek wstrząsu i usłyszał odgłos eksplozji. Poczul na twarzy nagły podmuch powietrza z wylotu szybu. Trwało to tylko chwilę, po czym doszły go jakieś hałasy, których nie mógł rozpoznać.

Nachylił się i krzyknął "Ben!" Nie było odpowiedzi.

Wahał się, przygryzając nerwowo wargę, ale w końcu chwycił linę i opuścił się w głąb szybu. Znalazszy się na dole poświecił wokół latarką. Wyglądało na to, że nic się nie stało, zawołał więc jeszcze raz. W tym momencie od sklepienia oderwał się kawałek ziemi i spadł z pluskiem do wody.

Skierował snop światła w dół i zmarszczył brwi, widząc głębokość strumienia. Z całą pewnością przedtem było tu płycej. Wyjął nóż i wbił go w ścianę qanat tuż nad lustrem wody. Gdy zobaczył, jak jej poziom stopniowo się podnosi, zakrywając trzonek noża, zasepił się jeszcze bardziej.

Ruszył naprzód, świecąc latarką w głąb kanału, ale niczego nie zauważył. Kiedy przeszedł sto jardów i minął dwa szyby, woda sięgała mu już do ud. I wtedy zobaczył zapadnięte sklepienie, które całkowicie zablokowało qanat. Prymitywny, pozbawiony stempli tunel nawet w tej odległości nie był w stanie oprzeć się potężnej sile eksplozji. Zastanawiał się, jak duży odcinek kanału uległ zniszczeniu.

Był zupełnie bezsilny, zawrócił więc, a kiedy dotarł do liny, płynąca z podziemnego górskiego źródła woda sięgała mu już do piersi. Wyszedł na powierzchnię przemoczony i rozdygotany z powodu nocnego zimna, ruszył jednak biegiem, nie oglądając się na śmiertelną pułapkę, - która pogrzebała Bryana i Speeringa. W jego fachu śmierć była czymś zwyczajnym i należało się z nią pogodzić. W żaden sposób nie mógł już pomóc Bryanowi, a musiał się jeszcze sporo napracować, by ocalić własną skórę.

Podjechał ostrożnie na skraj osady i zatrzymał się, wyłączając silnik, aby lepiej wszystko słyszeć. Słychać było sporo - krzyki i zgiełk głosów, pojawiły się też światła, gdyż Ahmed i

jego ludzie próbowali ustalić rozmiary szkód. Tozier uśmiechnął się cynicznie, słysząc, że całe zamieszanie przemieszcza się coraz bardziej w lewo, w kierunku qanatu.

Zdjął z automatu wspornik na ramię, odbezpieczył broń i położył obok siebie na siedzeniu, aby mieć ją pod ręką. Potem włączył ponownie silnik i nie zapalając świateł zanurzył się w ciemność. Przyszedł czas na spryt, a nie brawurę. Ludzie Ahmeda byli już na nogach i nie przedarłby się przez osadę, jak radził zrobić Warrenowi.

Przejechał powoli obok pierwszych zabudowań, ale gdy znalazł się na otwartej przestrzeni, zauważono go. Rozległ się krzyk, ktoś wystrzelił z karabinu, a z daleka odpowiedział następny strzał i odległe, podniesione głosy. Kiedy próbował przełożyć bieg, strzelono ponownie. Dostrzegł przed sobą w mroku błysk z lufy karabinu, włączył więc światła, żeby przekonać się, co go czeka.

Land-rover nabierał szybkości. Tozier zobaczył przed sobą trzech ludzi, zasłaniających oczy przed oślepiającym światłem reflektorów. Sięgnął po leżącą na siedzeniu broń i zdążył ją akurat podnieść, gdy jeden z mężczyzn wskoczył na stopień wozu, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wyciągnął rękę w jego kierunku. Tozier podniósł broń i dwukrotnie wystrzelił, Rozległ się zdławiony krzyk. Kiedy mógł na chwilę oderwać wzrok od drogi, rozejrzał się ostrożnie i spostrzegł, że napastnik zniknął.

Rzucił okiem we wsteczne lusterko i zobaczył za sobą w ciemnościach błysk wystrzału z karabinu. Obraz zniknął raptownie, gdy obok głowy przemknął mu pocisk, rozbijając lusterko na kawałki. Obrócił kierownicę, aby skrócić za róg i sięgnął ręką do czoła, próbując zetrzeć z oczu lepka plamę krwi, sączącej się z głębokiej rany.

Potem nagle zahamował, natrafiając na ten sam zwalony mur, na który natknęli się Follet i Warren. Zaklął, wrzucając wsteczny bieg i pochylił się, gdy kulą trafiła w bok karoserii. Krótka, ostra salwa kilku strzelających równocześnie karabinów sprawiła, że chwycił automat, przełączył go na ogień ciągły i wypruł cały magazynek śmiertelnych pocisków w kierunku znajdujących się za nim niewidocznych postaci.

Follet przysłuchiwał się w napięciu dochodzącym z osady coraz głośniejszym odgłosom strzelaniny. Kiedy usłyszał terkot automatu, powiedział:

- Andy jest otoczony. Trzeba go wydostać.

Warren, który zdążył już zawrócić wóz, aby być przygotowanym na tę chwilę, przystąpił do akcji i natychmiast ruszyli z powrotem.

- Myślę, że osaczyli go w tym samym miejscu, gdzie o mało i nas nie dostali - stwierdził Follet. - Wie pan, dokąd jechać.

Warren popędził wąską uliczką, mijając skrzyżowanie ciała człowieka, którego wcześniej przejechał. Za rogiem natknęli się na grupę Kurdów, kryjących się przed ogniem Toziera i zaskoczonych niespodziewanym atakiem od tyłu. Follet wychylił się przez okno i nacisnął spust, zmuszając ich do ucieczki. Jednemu się nie udało. Potykając się jakby o jakiś niewidzialny przedmiot, upadł i leżał nieruchomo.

- Prosto! - krzyknął Follet. - A potem w bok.

Zapisały opony, gdy Warren ze zbyt dużą prędkością wprowadził land-rovera w ostry zakręt. W świetle reflektorów zobaczyli drugi wóz. Follet wychylił się i krzyknął:

- Jazda, Andy, na co czekasz, do cholery!

Tozier raptownie cofnął land-rovera, wykorzystując wolny teren i popędził wąską uliczką, mając tuż za sobą Warrena. Follet wystrzeliwał tymczasem w tył regularne serie, by powstrzymać ewentualny pościg. Warren siedział cały czas Tozierowi na kole i w ten sposób wyniknęli się z osady, zatrzymując się dopiero całe trzy mile dalej, na szczycie górującej nad doliną przełęczy.

Follet popatrzył na światła w dole, ale żadne z nich się nie poruszało.

- Nie jadą za nami - stwierdził. - Nie ścigaliby nas po ciemku.

Warren czuł ucisk w żołądku i pustkę. Pierwszy raz w życiu ktoś chciał go zastrzelić. Podniósł drżące dłonie, po czym spojrzął w kierunku drugiego wozu.

- Nie widziałem Bena - powiedział.

Usłyszał skrzypienie butów na żwirze i w oknie po jego stronie ukazała się zakrwawiona

twarz Toziera.

- Ben nie przyjdzie - powiedział cicho. - Już po nim.
- Sam sobie winien, do cholery - odezwał się podniesionym głosem Follet.
- Tak - przyznał ze smutkiem Warren. - Sam sobie winien. Jesteś tego pewien, Andy?
- Całkowicie - odparł zdecydowanie Tozier. Obejrzał się, patrząc w dolinę. - Lepiej już jedźmy. Chcę być za iracką granicą, zanim Ahmed zda sobie sprawę, co się naprawdę stało. Odszedł i po chwili Warren usłyszał trzaśnięcie drzwiczek. Oba pojazdy powoli ruszyły w drogę.

7

Dan Parker z lubością przesunął rękę po gładkiej powierzchni torpedy. Na dłoni została mu warstwa lepkiego smaru.

- Stary Mark XI... - powiedział. - Nie sądziłem, że znowu go zobaczę.
- Radzę, żeby wszystko grało - ostrzegł Eastman. - Te rzeczy kosztują sporo forsy.
- Zanim skończę, wydacie o wiele więcej - odparł spokojnie Parker. - Będę potrzebował trochę sprzętu. - Rozejrzał się po pustej szopie. - Jest tu dosyć miejsca.
- Co będzie potrzebne? - zapytała Jeanette Delorme.
- Przede wszystkim trochę maszyn: obrabiarka, niewielka frezarka - najlepiej ogólnego użytku - i pionowa wiertarka. Także całe mnóstwo drobnych narzędzi, kluczy i temu podobnych - przygotuję ich wykaz.
- Weź to zaraz od niego, Jack - rozkazała. - Daj mu wszystko, czego chce. Jadę do domu.
- A ja? - zapytał Eastman.
- Złap taksówkę - powiedziała i wyszła.

Abbot uśmiechnął się do Eastmana.

- Rzeczywiście ona tu rządzi. To od razu widać.
- Obejdę się bez pańskich uwag - powiedział Eastman z kwaśną miną, po czym zwrócił się do Parkera: - Coś jeszcze?
- O, tak - odparł Parker, przyglądając się z uwagą tej części torpedy, która miała posłużyć do robienia interesów. - To jest głowica. Mam nadzieję, że pusta.
- Taką zamawialiśmy.
- Oddycham z ulgą. Trotyl to cholernie niepewny materiał. Zresztą i tak ta torpeda mi nie wystarczy.
- Co do diabła...?
- Spokojnie - odparł Parker. - Nic się nie stało. Jeżeli jednak chcecie sprawdzić, czy wszystko działa, będzie mi potrzebna dodatkowo próbna głowica. Gdyby wystrzelić tę torpedę, zatonąłaby kończąc bieg, a to by wam nie odpowiadało. Próbna głowica ma komorę pływakowa, dzięki której torpeda i światło umożliwiające jej odszukanie, nie tonie. Zdobędziecie ją w tym samym miejscu, gdzie dostaliście to - poklepał korpus torpedy. - Gdziekolwiek się ono znajduje.
- W porządku. Będzie pan miał próbną głowicę. Coś jeszcze?
- Oczywiście baterie. Są dość istotne, prawda? Wpiszę je także na listę - jakiego typu i ile sztuk. Wydacie na nie kupę forsy. - Przyglądał się torpedzie. - Będę chciał robić tu próby, więc musimy w jakiś sposób ją umocować. Dwa betonowe słupy z odpowiednimi zaciskami.
- Podniósł wzrok. - Ten mechanizm ma cholernie wysokie obroty, a nie chcemy przecież, żeby torpeda latała po całej szopie. - Poklepał dłonią okaleczoną nogę. - Właśnie z tego powodu skończyła się moja służba w marynarce.

Abbot odliczał krokami długość torpedy.

- Jest większa niż myślałem. Nie sądziłem, że są aż tak duże.
- Średnica dwadzieścia jeden cali - powiedział Parker. - Dwadzieścia dwie stopy plus pięć i cztery piąte cala długości. Ciężar uzbrojonej torpedy: trzy tysiące sześćset trzydzieści jeden funtów. - Poklepał ręką głowicę. - I mieści tutaj cholernie duży ładunek: siedemset osiemnaście funtów trotylu.

- Możemy tam załadować ponad siedemset funtów towaru? - zapytał z ożywieniem Eastman. Parker pokręcił głową.

- Powiedziałem pięćset to pięćset. Mam zamiar włożyć do głowicy parę baterii. Zastanawiał się pan, w jaki sposób odpalić tę torpedę?

- To pan jest ekspertem - odparł Eastman. - Proszę mi powiedzieć.

- Są trzy sposoby. Można ją wystrzelić z wyrzutni umieszczonej pod wodą, jak na okręcie podwodnym, z wyrzutni nad wodą, jak na niszczycielu, albo z samolotu. Tego ostatniego bym nie polecał, kiedy chodzi o cenny ładunek. System naprowadzania może ulec uszkodzeniu.

- W porządku - zgodził się Eastman. - Samolot odpada. A pozostałe możliwości?

- Nie przypuszczam, żebyście mogli zdobyć niszczyciel - powiedział z zadumą Parker. - A zainstalowane gdzie indziej wyrzutnie torped są jakby trochę nie na swoim miejscu, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Chyba najlepiej będzie wystrzelić je spod wody - sprawnie i dyskretnie. Oznacza to jednak, że potrzebujemy statku o dużej wyporności.

Eastman skinął głową.

- Podoba mi się pańskie rozumowanie. Brzmi logicznie.

- Tam, gdzie załatwił pan tę torpedę, powinien pan też dostać wyrzutnię, z jakich korzystają okręty podwodne. Do odpalenia ładunku mogę wykorzystać butle z powietrzem.

- Będzie pan miał tę wyrzutnię - obiecał Eastman. Parker ziewnął i oznajmił:

- Jestem zmęczony. Zrobię panu wykaz na jutro.

- Szefowa kazała dzisiaj - zauważył Eastman.

- Więc będzie musiała poczekać, do cholery - odburknął Parker.

- Jestem tak zmęczony, że nie mogę myśleć. To nie będzie robota od ręki i osiem godzin niczego nie zmieni.

- Przekażę jej pańskie słowa - powiedział drwiąco Eastman.

- Zrób to, kolego - odparł Parker. - Ustalmy od razu zasady współpracy, dobrze? - popatrzył Eastmanowi w oczy. - Jeśli chce pan, żebym się śpieszył - proszę bardzo, ale nie ręką za efekty. Kiedy pracuję po swojemu, daję gwarancję. - Uśmiechnął się. - Nie chcielibyście stracić tej torpedy z pełnym ładunkiem narkotyków, prawda?

- Nie, do diabła! - na samą myśl o tym Eastman mimo woli się wzdrygnął.

- No właśnie - powiedział Parker, odprawiając go ruchem dłoni.

- Niech pan teraz stąd zjeżdża i wróci rano, około dziesiątej. Wtedy wykaz będzie gotowy. Wiemy już, gdzie mamy spać.

- W porządku - odparł Eastman. - Wrócę jutro. - Przeszedł przez szopę i zaczął wchodzić po drewnianych schodach. Kiedy dotarł na górę, odwrócił się. - Jeszcze jedno. Niech nikt z was się stąd nie oddala. Ali ma tego dopilnować. To kawał drania, kiedy się go rozdrażni, więc uważajcie.

- Będziemy na niego uważać - stwierdził Abbot. Eastman uśmiechnął się jowialnie.

- Nie to miałem na myśli, ale wiecie, o co chodzi. - Otworzył drzwi i usłyszeli, jak mówi coś ścisłym głosem. Kiedy zniknął, pojawił się Ali. Nie zszedł po schodach, lecz stał oparty o poręcz i obserwował ich.

Abbót spojrzał na Parkera.

- Trochę go przyduśiłeś, co?

- Musiałem sobie zapewnić swobodę ruchów - odparł Parker, szeroko się uśmiechając. - Spotykałem już takich typów, kiedy byłem podoficerem. W marynarce jest wielu zadufanych oficerów, którzy próbują cię zgnoić. Ale dobry fachowiec zawsze da im popalić. Trzeba tylko przycisnąć ich na tyle mocno, żeby to poczuli. Zorientują się w mig, o co chodzi.

- Mam nadzieję, że się nie przeliczysz - powiedział Abbot i spojrzał na torpedę. - Błyskawicznie to załatwili. Zastanawiam się, jakim cudem zdobyli ją tak szybko. Cholernie sprawnie działają. Myślę, że będziemy musieli bardzo na siebie uważać. - Popatrzył z namysłem na stojącego na schodach Araba.

- Wcale nie żartowałem, że jestem zmęczony - stwierdził Parker.

- Poza tym chcę zrzucić z siebie ten idiotyczny strój, bo mnie dobija. Chodźmy już spać, do diabła!

II

Otrzymałszy wykaz Eastman załatwił wszystko bardzo sprawnie. W ciągu dwóch dni zainstalowano większość potrzebnego sprzętu. Torpeda została na ten czas ukryta, aby nie zobaczył jej nikt z robotników. Mieli odnieść wrażenie, że wyposażają jedynie niewielki warsztat.

Potem zaczęła się praca przy samej torpedzie. Abbot był zdumiony złożonością jej konstrukcji i patrzył na Parkera z coraz większym podziwem. Ktoś, kto zna się na tak skomplikowanym urządzeniu i obchodzi się z nim nader swobodnie, zasługuje na najwyższy szacunek.

Wyjęli ołowiowo-kwasowe baterie - pięćdziesiąt dwie sztuki - i ułożyli je w stos w kącie szopy.

- Będą mi później potrzebne do przetestowania silnika - oznajmił Parker. - Nie ma sensu zużywać tych drogich. Ale potem trzeba je zatopić w morzu. Byle marynarz zorientuje się od razu, co to jest i może być wpadka.

Eastman zanotował to sobie, Abbot pomyślał zaś, że Parker jakby za bardzo wczuwa się w swoją rolę. Powiedział mu to, kiedy zostali sami.

- Musimy się postarać, żeby to dobrze wyglądało, prawda? - odparł z uśmiechem Parker. - Liczy się każdy drobiazg. Eastman powoli się z nimi zaprzyjaźnia. Możemy na tym skorzystać. - Abbot musiał przyznać mu rację.

Parker wymontował silnik, żeby go wyczyścić.

- Jest w dobrym stanie - powiedział, poklepując go niemal z czułością. - Piękna robota. Taki mały, a ma dziewięćdziesiąt osiem koni mechanicznych. Konstruuje prawdziwe cuda, żeby je potem wysadzać w powietrze. - Pokręcił głową. - Zyjemy w dziwnym świecie.

Demontował ostrożnie torpedę, a tymczasem Abbot pomagał mu we wszystkim i czyścił mniej ważne części. Parker zamówił - i dostał - specjalne oleje i smary do uszczelniania dławików oraz kosztowne kable do zmodernizowanych obwodów. Nowe baterie rtęciowe też warte były fortunę. Parker, niczym ewangelista, głosił słowo "perfekcja".

- Nic nie jest dla niej za dobre - twierdził stanowczo. - To będzie najlepsza torpeda, jaka kiedykolwiek ślizgała się po wodzie.

I bardzo możliwe, że się nie mylił. Żadnej torpedy nie otaczano dotąd w marynarce tak niepodzielną i serdeczną troską. Abbot doszedł do wniosku, że podobne emocje mógł wzbudzać jedynie prototyp, hołubiony przed ostatnimi próbami przez zdenerwowanych konstruktorów.

Eastman szybko pojął sens nieprzejednanej postawy Parkera. Zobaczył, że Parker naprawdę bardzo się stara i udzielał mu chętnie wszelkiej pomocy. Abbot pomyślał, że właściwie trudno się temu dziwić, skoro głowicę torpedy miały wypełnić narkotyki warte dwa-dziesiąt pięć milionów dolarów.

Najwięcej czasu zajął Parkerowi system naprowadzania, nad którym trząsał się jak kwoka nad kurczęciem.

- Jeżeli coś tu nawali, straciecie wszystko - wyjaśnił Eastmanowi.

- Lepiej, żeby do tego nie doszło - odparł Eastman ponuro.

- Nie ma obawy - powiedział spokojnie Parker.

- Do czego to służy?

- Utrzymuje kurs torpedy - bez względu na okoliczności - stwierdził Parker. - Kiedy wspomniałem o trafianiu z dokładnością trzech cali na sto jardów, pozwoliłem sobie na pewien margines błędu. Dzięki dobremu mechanikowi Mark XI może trafiać prawie tak samo celnie jak pocisk z karabinu - z dokładnością, powiedzmy, jednego cala na sto jardów. Oczywiście, zwykła torpeda tego typu ma mały zasięg, a więc jeżeli została prawidłowo wystrzelona - nawet w skrajnym przypadku zoczy z kursu najwyżej o sześć stóp. Ale to

cacko ma pokonać cholernie dużą odległość, zamierzam więc ustanowić nowy rekord. Staram się, żeby odchylenie wynosiło najwyżej pół cala na sto jardów. To prawie niewykonalne, ale robię, co mogę.

Eastman odchodził wyraźnie uszczęśliwiony.

- Poświęcasz sporo czasu i energii czemuś, co ma być wysadzone w powietrze - zauważył Abbot. Parker wzruszył ramionami.

- Każdy specjalista od torped miewa czasem podobne uczucie. Dostajesz do ręki takie wspaniałe urządzenie i uzyskujesz wyniki, o jakich nie marzył nawet jego konstruktor. A potem rozbijasz je o burtę okrętu i wszystko rozpada się na kawałki. To także pewnego rodzaju sabotaż, prawda?

- Można by tak powiedzieć. Ale torpedy właśnie do tego służą. Parker skinął głową.

- Wiem, że trzeba będzie ją w końcu zniszczyć, ale czekają nas jeszcze próby na morzu i wtedy musi być sprawna. - Spojrzał na Abbota i rzekł poważnie: - Wiesz, już dawno nie czułem się tak cholernie szczęśliwy. Odkąd rozstałem się z marynarką i zacząłem dłużyć w cudzych samochodach, cały czas czegoś mi brakowało, a nie wiedziałem czego. -

Wymownym gestem wskazał na zdemontowaną torpedę. - Teraz już wiem. Brakowało mi tych ślicznotek.

- Tylko za bardzo się nie rozczulaj - doradził Abbot. - Pamiętaj, że jak przyjdzie co do czego, ta torpeda musi nawalić.

- I nawali - powiedział smętnie Parker. Twarz mu stężała. - Ale najpierw pokaże, co potrafi.

- Poklepał Abbota po torsie. - Jeżeli sądzisz, Mike, że to prosta sprawa, całkowicie się mylisz. Próbuję przez cały czas zrobić coś prawie niewykonalnego. Mark XI nie miał nigdy pokonywać dystansu piętnastu mil i nie będzie łatwo go do tego przystosować. Ale zrobię to z wielką przyjemnością, bo mam ostatnią w życiu okazję, żeby popracować przy torpedzie. Bierzmy się do roboty.

Wszystkie dające się rozłączyć metalowe elementy zostały rozebrane, dokładnie obejrzone i starannie złożone z powrotem. Kawałek po kawałku zmontowano ponownie całą torpedę, aż nadszedł czas, by umocować ją i poddać próbom. Abbot przekonał się, po co potrzebne są zaciski. Już po włączeniu zaledwie jednej czwartej mocy stało się oczywiste, że gdyby torpedy do czegoś nie przytwierdzić, miotałaby się po całej szopie.

Parker okazał zadowolenie i zwrócił się do Eastmana:

- Co z wyrzutnią? Zrobiłem już przy torpedzie wszystko, co mogłem.

- W porządku - odparł Eastman. - Proszę za mną.

Poprowadził ich kawałek wzdłuż brzegu, do niewielkiej stoczni i pokazał sfatygowaną łajbę o wyporności około trzech tysięcy ton, używaną do żeglugi przybrzeżnej.

- To ten statek. Nazywa się "Orestes". Zarejestrowany w Panamie, pływa pod grecką banderą.

Parker przyglądał się statkowi podejrzliwie.

- Chce pan na tym przepłynąć Atlantyk?

- Owszem - i to razem z panem - oświadczył Eastman. - Ten statek kursował już tą trasą i robi to raz jeszcze. Tylko jeden raz - potem zaginie na morzu. - Uśmiechnął się. - Jest ubezpieczony poniżej swej wartości, a i tak nie zamierzamy starać się zbyt usilnie o odszkodowanie. Nie chcemy, żeby ktokolwiek zaczął węszyć, co mu się przytrafiło. Skoro chce pan zainstalować podwodną wyrzutnię, trzeba będzie wyciąć dziurę w kadłubie. Jak ma pan zamiar to zrobić?

- Przyjrzyjmy mu się z bliska - powiedział Parker, weszli więc na statek. Spędził sporo czasu pod pokładem i na dziobie, a następnie sporządził szkic. - Zrobimy kaseton. Niech go przygotowują i przyspawają od zewnątrz do kadłuba, tak jak zaznaczyłem. Potem będę mógł wyciąć od środka otwór i zainstalować rurę wyrzutni. Mając to urządzenie można odpalać torpedę. Będziecie musieli znaleźć nurka, który umie zachować milczenie. W stoczni nie robi się zwykle takich rzeczy.

Eastman uśmiechnął się.

- Stocznia należy do nas - powiedział cicho.

Tak więc Parker wziął się za instalowanie wyrzutni torped, co zajęło mu kolejny tydzień. Poświęcił sporo czasu na pomiary, by precyzyjnie umieścić rurę między dziobem a rufą.

- Musicie teraz tylko dokładnie ustawić statek - powiedział. - I możemy zaczynać próby.

III

Jeanette Delorme nie pokazywała się od pewnego czasu, co martwiło Abbota, ponieważ chciał mieć ją na oku. W zaistniałych warunkach byli z Parkerem praktycznie uwięzieni i odcięci od reszty zespołu. Nie wiedział, co robi Warren, ani nie miał możliwości skontaktowania się z Hellierem, żeby zawiadomić go o sytuacji. Przy takim braku łączności sprawy mogły przybrać fatalny obrót.

- Pana szefowa nie okazuje nam specjalnego zainteresowania - powiedział do Eastmana. - Nie widziałem jej od naszego pierwszego spotkania.

- Ona nie zadaje się z wyrobnikami - odparł Eastman. - Sam wszystkiego doglądam. - Zmierzył Abbota drwiącym spojrzeniem. - Proszę pamiętać, co panu o niej mówiłem. Na pańskim miejscu trzymałbym się od niej z daleka.

Abbot wzruszył ramionami.

- Myślę o pieniądzach. Jesteśmy gotowi do prób, a pan nie ma chyba upoważnienia, żeby podpisywać czeki.

- O forszę niech się pan nie martwi - stwierdził z uśmiechem Eastman. - Proszę się pomartwić o wynik próby. Jest wyznaczona na jutro. Ona tam będzie - i niech Bóg ma pana w opiece, jeżeli coś nie wyjdzie. - Po namyśle dodał: - Była właśnie w Stanach, żeby pozalać tam sprawę.

* * *

Czarny mercedes przyjechał wczesnym rankiem, aby zabrać Abbota, który z niepokojem stwierdził, że chcą go rozdzielić z Parkerem.

- Gdzie będzie Dan?

- Na "Orestesie" - odparł Eastman.

- A ja?

- Niech pan pojedzie i sam się przekona - stwierdził Eastman. Był wyraźnie w złym humorze.

Abbot wsiadł więc niechętnie do mercedesa, żeby pojechać tam, dokąd zamierzano go zawieźć - jak się okazało, do centrum Bejrutu. Kiedy samochód mijał biura wydawanego po angielsku dziennika "Daily Star", Abbot dotknął schowanej w kieszeni koperty i zaczął się zastanawiać, jak mógłby niepostrzeżenie dostać się do budynku redakcji. Ustalili z Hellierem system przekazywania sobie w nagłych wypadkach wiadomości, wyglądało jednak na to, że nie będzie miał szansy z niego skorzystać.

Dojechał samochodem do przystani jachtów, a tam wyszedł mu na spotkanie starannie ubrany marynarz.

- Pan Abbot? - zapytał, a gdy Abbot skinął głową, tamten powiedział "Proszę tędy" i zaprowadził go do zacumowanej przy schodach szybkiej motorówki.

- Dokąd płyniemy? - zapytał Abbot, kiedy odbili gładko od brzegu.

- Do jachtu "Stella del Mare" - marynarz wskazał ręką kierunek. - Tam.

Abbot obejrzał sobie dokładnie ów jacht, gdy się do niego zbliżali. Był typową na Morzu Śródziemnym zabawką dla bogaczy. Miał około dwustu ton wyporności i wyposażono go zapewne we wszelkie możliwe wygody oraz przyrządy nawigacyjne, umożliwiające upłynięcie kuli ziemskiej. Prawdopodobnie nigdy jednak w taki rejs nie wyruszy, co również było typowe. Owe jachty - pływające rezydencje bogaczy - stały zwykle przycumowane całymi tygodniami w Nicei, Cannes, Bejrucie i innych ulubionych miejscach ludzi z wyższych sfer. Widać było coraz wyraźniej, że przemysł heroiny to intratne zajęcie. U góry powitał Abbota kolejny okrętowy lokaj w marynarskim uniformie, który

zaprowadził go na pokład słoneczny. Wspinając się po schodkach Abbot usłyszał brzęk łańcucha kotwicznego i wibrację silników. Wyglądało na to, że "Stella del Mare" czekała tylko na niego.

Na pokładzie słonecznym spotkał Jeanette Delorme. Opalała się, wyciągnięta na wznak i ubrana w taki sposób, by wystawić na słońce jak największą powierzchnię skóry. Miała na sobie najbardziej skąpe bikini, jakie widział w życiu: nieduży trójkącik na biodrach i stanik, zakrywający tylko sutki. Oglądał coś podobnego jedynie w nocnym lokalu na Soho. Wątpił, czy cały kostium waży więcej niż ósmą część uncji. Z pewnością był lżejszy od ciemnych okularów, przez które się w niego wpatrywała.

Powitała go leniwie unosząc dłoń.

- Cześć, Mike. To jest Youssif Fuad.

Abbot niechętnie oderwał od niej wzrok, by spojrzeć na siedzącego obok mężczyznę. Jego łysina, ciemna jak u jaszczurki skóra i oczy gada stanowiły na pewno mniej przyjemny widok. Ukłonił mu się, mówiąc "Dzień dobry, panie Fuad". Widział już tego człowieka. Był to ów libański bankier, z którym Delorme jadła obiad i do którego nie próbowali podejść, bo wydał im się zbyt porządny. Dowodziło to jedynie, jak bardzo można się pomylić. Z pewnością nie względy zdrowotne skłoniły Fuada do wybrania się na wycieczkę w morze w dniu, gdy testowali torpedę.

Pokręcił gwałtownie głową, zupełnie jak ptak i powiedział z rozdrażnieniem:

- Dlaczego on tu jest?

- Bo ja tego chcę - odparła Jeanette. - Siadaj, Mike.

- Mówiłem chyba wyraźnie, że masz mnie nie wplątywać... - Fuad przerwał i jeszcze raz pokręcił głową. - Nie podoba mi się to.

Abbot, który właśnie zamierzał usiąść, ponownie się wyprostował.

- Rozumiem, że nie jestem tu mile widziany. Proszę wezwać motorówkę, to zejdę, ze statku.

- Usiądź, Mike - powiedziała Jeanette tak rozkazującym tonem, że Abbot poczuł, jak nogi same uginają mu się w kolanach. - Youssif zawsze się denerwuje. Boi się utraty reputacji. - W jej głosie pobrzmiwała drwina.

- Zawarliśmy umowę - przypomniał rozgniewany Fuad.

- Więc jej nie dotrzymałam - odparła Jeanette. - Co na to poradzisz? - Uśmiechnęła się. - Nie przejmuj się tak bardzo, Youssif. Zadbam o ciebie.

Rozgrywało się między nimi coś, co Abbotowi nie przypadło do gustu. Najwyraźniej nie powinien był wiedzieć o istnieniu Fuada, który chciał pozostać w cieniu. Mike Abbot mógł znaleźć się w niebezpieczeństwie, gdyby Fuad postanowił zrobić ze wszystkim porządek. Wyglądał na faceta, który zdolny jest popełnić morderstwo, nie mrugnawszy nawet tym swoim okiem bazyliuszka. Abbot przeniósł wzrok na pannę Delorme i przyglądając się jej z o wiele większą przyjemnością uświadomił sobie, że i ona bez zmrużenia oka postąpiłaby tak, jak Fuad.

- Co porabiałeś, Mike? - zapytała Jeanette, uśmiechając się do niego.

- Cholernie dobrze wiesz, co robiłem - odparł bez ogródek Abbot.

- Chyba że Eastman marnował czas.

- Jack powiedział mi wszystko, co wie - przyznała. - Ale to niewiele. Nie zna się na technice.

- Jej głos nabrął ostrego tonu. - Czy ta torpeda będzie działać?

- Ja też nie znam się na technice - powiedział Abbot. - Ale Dan Parker jest pewny swego. -

Potarł dłonią szczękę. - Myślę, że przed wieczorem będziesz nam winna sto tysięcy dolarów.

- Youssif przygotował już czek. Mam nadzieję, że go dostaniecie

- to dla waszego dobra.

To niedwuznaczne ostrzeżenie przed karą za nieudaną próbę sprawiło, że Abbotowi wystąpiły na czole krople potu. Przypomniał sobie stwierdzenie Parkera, że czeka go prawie niewykonalne zadanie. Zaczerpnawszy tchu, zmusił się, by zapytać niefrasobliwie: "Dokąd płyniemy? Jakie są plany?" - Potem odwrócił głowę i popatrzył w kierunku oddalającego się łądu, nie tyle ze względu na ciekawe widoki, ile po to, by uniknąć spojrzenia Jeanette, przyglądającej mu się zza ciemnych okularów. Spośród tych dwojga osobników, z którymi

miał do czynienia, samica była z całą pewnością bardziej jadowita niż samiec. Podniosła się nagle, poprawiając kusy stanik, który przy zmianie Pozycji niebezpiecznie się osunął.

- Podpłyniemy do "Orestesa". Jest na morzu, z dala od uczęszczanych szlaków. Mamy też parę motorówek, żeby zapewnić sobie spokój. To przypomina morskie manewry.

- Ile czasu będziemy tam płynąć?

- Dwie godziny, może dłużej.

- Powiedzmy, że trzy godziny w jedną stronę - stwierdził Abbot. - I Bóg raczy wiedzieć, ile zajmie nam sama próba. To potrwa cały dzień. Już zaczynam odczuwać mdłości. Nigdy nie lubiłem okrętów.

- Mam pewien sposób na chorobę morską - oznajmiła Jeanette, przesuwając czubkiem języka po górnej wardze. - Zapewniam, że jest niezawodny. Nie sądzę, Mike, żebyś miał czas chorować.

Kiedy położyła ręce za głowę i wyprężyła piersi w jego kierunku, był skłonny jej uwierzyć. Rzucił okiem na Fuada, który również wpatrywał się w nią jak bazyliśzek, ale w jego martwym gadzim spojrzeniu nie było śladu pożądania.

* * *

"Orestes", widoczny już wyraźnie na horyzoncie, sunął ociężale na spotkanie po spokojnej tego ranka powierzchni morza. Parker wspiął się po schodkach na mostek i uniósł w górę kciuk.

- Wszystko w porządku. Rozgrzeję teraz baterie. Eastman przytaknął, a potem wskazał znacząco głową na oficera z otoczką pleśni na wygniecionej czapce.

- Kapitan nie jest zachwycony. Mówi, że statek stracił stabilność.

- A czego się spodziewał, skoro na samym środku dziobu jest ta cholernie wielka dziura? - zdenerwował się Parker. - W końcu się przyzwyczai.

- Pewnie tak - powiedział z namysłem Eastman. - Może byłoby dobrze wyciąć też otwór po drugiej stronie?

- Możliwe - powiedział ostrożnie Parker. - To by zapewniło lepszą równowagę.

- O co chodzi z tym rozgrzewaniem baterii? Nie wiedziałem, że pan to robi.

- Rozgrzana bateria wydziela energię szybciej i łatwiej niż zimna. Przy różnicy trzydziestu stopni Fahrenheita można o jedną trzecią zwiększyć zasięg torpedy, a chcemy, żeby był on maksymalnie duży. - Parker wyjął fajkę. - Nastawiłem głębokość na dwanaście stóp. Przy mniejszej kołysałaby się zapewne na fałach i wyskakiwała z wody. Taki brak stateczności mógłby wytrącić ją z kursu. Kiedy skończy bieg, wypłynie na powierzchnię gładko jak korek, a dzięki światłu Holmesa da się łatwo zlokalizować.

- Będzie pan na miejscu, żeby ją odszukać.

- Myślałem, że mam pomóc przy jej odpalaniu.

- Zrobi pan jedno i drugie - stwierdził Eastman. - Motorówka zabierze pana tam, gdzie trzeba. Parker zapalił zapalną.

- Musi być cholernie szybka, żeby wyprzedzić torpedę.

- Mamy odpowiedni sprzęt. Czy prędkość czterdziestu pięciu węzłów wystarczy?

- Wystarczy - przyznał Parker, wydmuchując wstęgę niebieskiego dymu.

Eastman z odrazą zmarszczył nos i ustawił się z wiatrem.

- Co pan pali? Stare skarpetki?

- Już łapią pana mdłości? - zapytał z szerokim uśmiechem Parker, ponownie się zaciągając.

- Gdzie podziwia się od rana Mike? Eastman wpatrywał się w horyzont.

- Szefowa chciała się z nim widzieć - odparł ponuro.

- Po co? - zapytał ze zdziwieniem Parker.

- Niech pan zgaduje. Do trzech razy sztuka - powiedział Eastman uszczypliwym tonem. - Ta dziwka lubi ściągać majtki.

- Nieładnie tak mówić o swojej szefowej - zauważył z dezaprobatą Parker. - Myśli pan, że...

hm... że ona i Mike...?

- Dałbym głowę, że są teraz w łóżku - powiedział z pasją Eastman, waląc pięścią w reling.

- No, no, zdaje się, że Jack jest zazdrosny... - stwierdził Parker, tłumiąc śmiech.

- Gówno prawda - powiedział twardo Eastman. - Nie obchodzi mnie, co ten kociak robi ze swoim ostentacyjnie pokazywanym tyłkiem, ale nie powinna mieszać rozrywki z interesami. Może nam wszystkim przysporzyć kłopotów. Nie powinna była...

Zamilkł nagle, a Parker zapytał niewinnie:

- Czego nie powinna...?

- Nieważne - odparł szorstko Eastman. Poszedł na mostek i zaczął rozmawiać tam cicho z kapitanem.

* * *

Abbot zapiął koszulę i wychylił się ze zmiętej pościeli, aby wyrzec przez iluminator. "Czego to ja nie robię dla sprawy" - pomyślał spoglądając na zegarek. Byli na morzu od ponad dwóch godzin. Słyszał plusk wody, gdyż Jeanette brała prysznic w kabinie przylegającej do kajuty. Zjawiała się po chwili, mokra i naga. Rzuciła mu ręcznik i rozkazała, by ją wytarł.

Zabrawszy się do tego energicznie, nie mógł oprzeć się wspomnieniom z dzieciństwa, kiedy bywał często w stadninie dziadka, a stary Benson, główny stajenny, uczył go sztuki obchodzenia się z końmi. Mimo woli pogwizdywał przez zęby, tak jak robił to Benson, gdy czesał wierzchowca. Zastanawiał się, co staruszek pomyślałby o tej klaczy.

- Prawie wcale się nie pokazywałaś - powiedział. - Miałem nadzieję częściej cię widywać.

- Widziałeś już wszystko.

- Co robiłaś w Stanach? Poczul, jak lekko zeszywniała.

- Skąd wiesz, że tam byłam?

- Eastman mi powiedział.

- Jack za dużo mówi. - Po chwili dodała: - Robiłam to, czego się pewnie domyślasz - załatwiałam różne sprawy.

- Z powodzeniem?

- Jak najbardziej. - Wyśliznęła mu się z rąk. - Zarobię mnóstwo pieniędzy.

Abbot uśmiechnął się szeroko.

- Wiem. Zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym wykroić więcej dla siebie.

Przyglądał się Jeanette, kiedy szła przez kajutę. Jej smukłe ciało było równomiernie opalone, bez śladu białych plam. Najwyraźniej kuse bikini, które miała na sobie rano, stanowiło ustępstwo na rzecz czyjejś skromności. Nie wyobrażał sobie tylko - czyjej. Czyżby Fu-ada? Czysta kpina.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

- Jeżeli próba się uda, możesz dostać więcej. - Włożyła kuse figi i zapytała: - Co sądzisz o Jacku Eastmanie?

- Robi wrażenie twardziela - odparł z namysłem Abbot. - Nie jest mięczakiem.

- Mógłbyś się z nim zaprzyjaźnić?

- Chyba tak. To zależy też od niego. Skinęła głową.

- Może dałoby się coś zrobić - powiedziała zapinając stanik. - Nawet gdybyście nie doszli do porozumienia, można by to jakoś załatwić - o ile byłbyś gotów pomóc.

"Boże, co za diabolic!" - pomyślał. Było oczywiście, jaką kuszącą ofertę mu podsuwa.

Pozbywszy się Eastmana mógł zająć jego miejsce, ale nie miał złudzeń, o co w tym wszystkim chodzi. Zapewne eliminując z pomocą Abbota swego współnika, Jeanette zarobiłaby jeszcze więcej pieniędzy. Ale znalazłszy się na miejscu Eastmana

-niebezpiecznym miejscu - stanowiłby cel dla następnego frajera ze spluwą, który chciałby wejść w jej wypełnione tanim seksem życie. Pomyślał o spisie zamordowanych mężczyzn w dossier Jeanette. Ciekawe, ilu z nich było jej kochankami. Modliszka pożerająca samców.

Obdarzył ją ujmującym uśmiechem.

- To jest myśl. A co ma z tym wszystkim wspólnego nasz przyjaciel Fuad?

- Teraz ty za dużo mówisz - odparła z wyrzutem, zapinając bluzkę.
- Ciebie to nie dotyczy.
- Ależ tak. On trzyma kasę, prawda? Usiadła przy toalecie i zaczęła się malować.
- Za prędko wyciągasz wnioski - stwierdziła. - Ale nie mylisz się.
- Jej oczy patrzyły na niego z lustra. - Jesteś bystry, Mike. O wiele bardziej niż Jack. Nie przypuszczam, żebyś miał z nim jakieś problemy.
- Dzięki za wotum zaufania.
- Skoro jesteś taki mądry, może coś mi wyjaśnisz. Co wiesz o Regent Films?
Abbot zdawał sobie sprawę, że go obserwuje, chociaż była odwrócona plecami i miał nadzieję, że zdoła zachować niewzruszoną twarz.
- To angielska, a właściwie brytyjska - wytwórnia filmowa. Całkiem duża.
- Kto jest jej szefem?
- Niejaki Hellier - sir Robert Hellier. Odwróciła się do niego.
- No więc wyjaśnij mi, dlaczego angielski szlachcic przeszkadza mi w interesach?
Abbot z trudem stłumił śmiech.
- Założmy, że starego Helliera można nazwać szlachcicem. Naprawdę ci przeszkadza?
- Jego firma - i to bardzo. Narazili mnie na duże straty.
Abbot zachował niewzruszoną twarz, choć miał ochotę krzyknąć z radości. A więc Warren ze swoją irańską grupą wbili jej sztylet w ten portfel, który nosiła zamiast serca. Wzruszył ramionami.
- Niewiele wiem o Hellierze. To nie moja działka - nie interesowały mnie filmy ani plotki. Moim zdaniem prowadzi całkiem szacowną firmę. Robią niezłe filmy. Niektóre widziałem. Rzuciła z łoskotem grzebień.
- Przez tych facetów z Regent Films straciłam więcej forsy niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. Oni są... - przerwała, gdyż zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę. - Tak? W porządku.
Abbot wyjrzał przez iluminator i zobaczył, że "Orestes" jest już blisko.
- Chodź, Mike - powiedziała Jeanette. - Musimy wyjść na pokład. Przenosimy się na drugi statek.
Kiedy znaleźli się na pokładzie, Abbot zobaczył grupę marynarzy zajętych spuszczeniem łodzi. "Stella del Mare" stanęła i kołysała się niespokojnie na falach, a "Orestes" znajdował się na jej trawersie w odległości około dwustu jardów.
Fuad nie wyszedł na pokład, ale Abbot zauważył, że ukrywa się w salonie. Wyglądało na to, że Youssif Fuad chciał zataić swoje powiązania z ich podejrzaną operacją i dlatego sprzeciwiał się obecności Abbota na statku. Jeanette zależało natomiast wyraźnie, aby Fuad został bardziej uwikłany w całą sprawę. Abbot zastanawiał się, czy nie da się tego wykorzystać przeciw niemu.
Zszedł za Jeanette do motorówki, która leniwie zatoczyła koło i popłynęła w kierunku "Orestesa". Kiedy panna Delorme wspięła się na pokład sfatygowanego statku, zrobiła się nagle bardzo oficjalna.
- W porządku, Jack, ruszamy. Jest pan gotowy, Parker? Parker uśmiechnął się beztrząsco.
- Jak najbardziej.
Odpowiedziała mu zdawkowym uśmiechem.
- Oby się udało. Jack mówił mi zresztą, że dobrze pan pracuje. Zabrzęczał telegraf, pokład zadrżał przy zwiększonych obrotach silników i "Orestes" ruszył z miejsca.
- Jaką mamy marszrutę? - zapytał Abbot.
- Popłyniemy jeszcze piętnaście mil - wyjaśnił Eastman. - Potem zawrócimy statek i wystrzelimy torpedę. Zostawiamy po drodze parę łodzi, na wypadek, gdyby za prędko się wynurzyła, ale tak czy inaczej będziemy ją śledzić. Powinna wypłynąć gdzieś w pobliżu jachtu - jeżeli zdołamy uzyskać odpowiedni zasięg.
Abbot roześmiał się i powiedział do Parkera:
- Żebyś tylko nie okazał się za dobry, Dan. Byłby niezły kawał, gdybyś rąbnął torpedą w "Stella del Mare". Parker chrząknął.

- Bez głowicy nie wyrządziłaby większych szkód. Ale nadawałaby się na złom, a tego wolałbym uniknąć.

- Ja także - przyznał Eastman. Rzucił Abbotowi złowrogie spojrzenie i powiedział chłodnym tonem: - Nie podoba mi się pańskie poczucie humoru.

- Mnie również - stwierdził Abbot, nadal się uśmiechając. - Dan i ja mamy w tej torpedzie sto tysięcy dolarów.

"Orestes" pruł fale, płynąc na zachód. Jeanette wzięła Eastmana pod rękę i poszli na drugi koniec pokładu, pogrążeni w rozmowie.

- Nie jest już tak przyjaźnie nastawiony, jak kiedyś - powiedział Abbot.

Parker nie mógł opanować śmiechu.

- Może jest zazdrosny. Czy ma powody, Mike?

- Chodzi ci o mnie i pannę Delorme? - Abbot zrobił kwaśną minę. - Nie wiem, czy jest zazdrosny, ale powinien mieć cholernego stracha. Ta dziwka chce, żebym go stuknął, jak tylko nadarzy się okazja. Mieliśmy małą przyjacielską pogawędkę.

- Założę się, że nie poprzestałeś na rozmowie - zauważył zgryźliwie Parker. - Chcesz powiedzieć, że zaproponowała ci zabicie Eastmana?

- Może nie dosłownie, ale poruszyła ten temat. I jeszcze jedno: Warren zadał jej w Iranie dotkliwy cios. Jest wściekła jak diabli. Pytała mnie o Regent Films.

- Dobrze wiedzieć - stwierdził Parker. - Co jej powiedziałaś?

- Udawałem idiotę i poprzestałem na ogólnikach. Może Warren zdoła sam załatwić sprawę i uwolni nas z opresji.

- Nie da rady - powiedział Parker. - Jesteśmy jak robak wijący się na haczyku. Sami będziemy musieli się z tego wyplątać. Zejdę na dół. Chcę sprawdzić torpedę.

Abbot zmarszczył brwi. Zdawało mu się, że dostrzegł u Parkera cień zdenerwowania. Nigdy dotąd tego nie zauważył. Wolał nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby próba się nie powiodła. Parkera martwiło jednak co innego: co będzie, jeżeli próba się uda. Warto było się nad tym zastanowić.

Kiedy przyjdzie pora na wykonanie zadania, będą zapewne musieli razem z Parkerem przepłynąć na "Orestesie" Atlantyk i odpalić torpedę w kierunku jakiejś samotnej plaży. Tyle tylko, że torpeda nigdy tam nie dotrze - Parker już o to zadba. Nietrudno było przewidzieć, co zrobi wtedy Jeanette - jedynie szczegóły pozostawały do wyjaśnienia. Prawdopodobnie podzieliliby z Parkerem betonową trumnę na dnie Morza Karaibskiego. Była to nieprzyjemna perspektywa.

Należało raczej zaczekać aż głowica zostanie napełniona heroiną, a potem zatopić torpedę w takich okolicznościach, żeby obaj mogli uciec. Kłopot polegał na tym, że wszystko zależało od decyzji Delorme - sam nie mógł podjąć żadnego działania. Musieli po prostu czekać i obserwować, co się dzieje.

Oparł się o reling i spoglądał posępnie w morze, zatopiony w myślach. Potem westchnął ciężko, a kiedy się odwrócił, zobaczył Jeanette przytuloną do Eastmana. Opowiadała mu zapewne, co załatwiła w Stanach. Dużo by dał, żeby podsłuchać ich rozmowę. Gdyby wiedział, dokąd chcą przerzucić heroinę, amerykański gang mógłby wpaść w pułapkę. Torpeda zostałaby przechwycona na plaży, a Parker i on byliby czysti.

Rozmyślenia te przerwało brzęczenie dzwonnka telegrafu i nagły spadek wibracji. Parker wrócił na górę i wyjrzał przez burtę.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił. - Patrz, co tam płynie. Abbot zobaczył szybką motorówkę, poruszającą się swobodnie po wodzie. Zjawił się Eastman i powiedział:

- Ma nas zabrać z powrotem na jacht. Jak zamierza pan to rozegrać, Parker?

- Mamy z motorówki łączność ze statkiem?

- Oczywiście. Przez radio.

- Więc proszę pogadać z kapitanem. Obok kolumny busoli jest przełącznik. Niech go naciśnie, kiedy kompas wskaże północ. Chciałbym być w motorówce, żeby widzieć start torpedy. Kapitan będzie musiał tylko obserwować kompas i włączyć przycisk. Wolałbym, żeby sam trzymał ster.

- Przekażę mu to - obiecał Eastman i udał się na mostek.

Wydano polecenia, po czym wsiedli do motorówki, która stała przy burcie. Najpierw zeszli Jeanette i Eastman, potem Abbot i Parker. Silniki wydały głuchy pomruk, co oznaczało, że pracują na małych obrotach. Zaczęli oddalać się od "Orestesa", który zatoczył szeroki krąg, by popłynąć w przeciwnym kierunku. Parker obserwował statek.

- Niech mi pan da lornetkę i powie kapitanowi, że może odpalać, kiedy będzie gotowy. Gdy dam znak, ruszamy. Odległość nieco ponad trzydzieści węzłów. Kurs dokładnie na północ. Wszyscy niech patrzą za rufę.

Eastman powiedział coś do mikrofonu, a potem oznajmił:

- Odpali torpedę, kiedy znajdzie się na właściwej pozycji. Lada chwila.

Parker przytknął do oczu lornetkę i wpatrywał się w dziób "Ore-stesa". Zaległo milczenie, po czym Eastman powiedział: "Odpalił!" i równocześnie Parker krzyknął:

- Już leci! Ruszamy! - Zobaczył wydobywające się spod dziobu "Orestesa" bańki powietrza, które przykrył natychmiast kilwater.

Przy otwartych przepustnicach cichy pomruk silników przeszedł nagle w ogłuszający ryk, a gwałtowne przyspieszenie przyparło na chwilę Abbota do siedzenia. Parker wpatrywał się w wodę.

- Nie wyskoczyła! - zawołał triumfalnie. - Trochę się o to martwiłem. Chyba dobrze leci.

- Co pan ma na myśli? - krzyknął Eastman.

- Wyrzutnia jest zaledwie sześć stóp pod wodą, a torpedę nastawiłem na dwanaście stóp.

Balem się, że może zanurkować, a potem wyskoczyć nagle na powierzchnię. Ale ta ślicznotka nie zrobiła tego. - Parker pochylił się do przodu. - Niech pan powie sternikowi, żeby starał się utrzymywać prędkość trzydziestu jeden węzłów i płynąć cały czas prosto. Była to szaleńcza gonitwa i Abbot miał wrażenie, że nigdy się nie skończy. Morze było spokojne, ale nawet na niewielkich falach motorówka podskakiwała i leciała przez ułamek sekundy w powietrzu, zanim opadła z trzaskiem na powierzchnię wody. Dotknął w końcu ramienia Parkera i zapytał:

- Ile czasu to potrwa?

- Jakieś pół godziny. Torpeda robi trzydzieści węzłów, powinniśmy więc być trochę przed nią. Patrz uważnie za rufę. Przy odrobinie szczęścia jeszcze przez jakiś czas niczego nie zobaczymy.

Abbot wpatrywał się w morze za motorówką i w kipiela, którą za sobą pozostawiała, prując, jak mu się wydawało, z niesamowitą prędkością. Po pewnym czasie stwierdził, że ten widok go hipnotyzuje i przyprawia o mdłości, odwrócił więc głowę i spojrzał na pozostałych, mrużąc oczy od wiatru.

Jeanette siedziała równie spokojnie jak swego czasu w Paon Rouge, trzymając się jedną ręką metalowego relingu. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy i przyciskał do ciała bluzkę.

Eastman szczerzył zęby jakby w wymuszonym uśmiechu. Od czasu do czasu mówił coś do trzymanego w ręce mikrofonu, Abbot nie wiedział jednak, z kim się kontaktuje. Zapewne informował "Stellę del Mare", że są w drodze. Parker był na luzie i spoglądał za rufę z błyskiem podniecenia w oczach i szerokim uśmiechem na twarzy. Przeżywał swój wielki dzień.

Motorówka pędziła bez końca po wodzie. Po dziesięciu minutach przemknęli obok innej dużej łodzi, która krążyła leniwie w kółko. Eastman podniósł się i pomachał ręką. Była to jedna z łodzi pilnujących szlaku. Eastman przysiadł raptownie, gdy ich motorówka podskoczyła nagle, przecinając raz i drugi pozostawiony przez tamtych ślad na wodzie. Pędzili naprzód, oddalając się coraz bardziej od krążącej łodzi.

Abbot pomyślał o torpedzie, która - o ile Parker się nie mylił - znajdowała się pod wodą gdzieś za nimi. Chociaż widział ją rozebraną na części, z trudem potrafił sobie uzmysłować, że mknie tam w dół z dużą prędkością, nie zbaczając z kursu. Popatrzył w przód na barczystego mężczyznę przy sterze i zobaczył, jak napina ramiona i plecy, starając się utrzymać kurs motorówki. Dało mu to pojęcie o tym, czego podjął się Parker - zredukować odchylenie do połowy cała na sto jardów, na dystansie wielu mil.

Minęli następną krążącą łódź, podskakując znowu na pozostawionej przez nią fali i prędko się od niej oddalając. Eastman zerknął na zegarek.

- Jeszcze dziesięć minut - krzyknął, uśmiechając się do Parkera. - Pokonaliśmy dziesięć mil - zostało pięć. Parker energicznie skinął głową.
- Proszę zmniejszyć prędkość o jeden węzeł, jeśli to możliwe. Nie powinniśmy jej za bardzo wyprzedzać.

Eastman odwrócił się, by powiedzieć coś do ucha sternika i ryk silników minimalnie osłabł. Abbot nie odczuł żadnej zmiany prędkości. Motorówka pozostawiała za sobą spieniony ślad, równie prędko kreśląc idealnie prostą linię na błękitnej powierzchni morza. Coraz bardziej ogarniały go mdłości. Hałas był ogłuszający, a ruch motorówki działał mu źle na żołądek. Wiedział, że jeśli wkrótce się nie zatrzymają, zwymiotuje za burtę. Ten rodzaj sportów wodnych stanowczo mu nie odpowiadał.

Po chwili Jeanette przerwała milczenie, wstała i pokazując coś ręką, powiedziała: - „Stella del Mare”.

Abbot poczuł ulgę - jego męczarnie dobiegały końca. Parker odwrócił się i spojrzał na jacht, po czym skinął na Eastmana:

- Nie zatrzymujemy się tutaj. Płyniemy dalej tym samym kursem. Chodzi o torpedę, a nie o ten przeklęty jacht.

Eastman pokiwał głową i znowu powiedział coś sternikowi. Przemknęli obok "Stelli del Mare" i mieli teraz przed sobą już tylko falujący horyzont.

- Niech wszyscy patrzą za rufę! - krzyknął Parker. - Zobaczycie ją z dziobem nad wodą, jak wystający z morza ogromny słup. Będzie widać światło i trochę dymu.

Wszyscy rozglądali się, ale widzieli jedynie oddalającą się sylwetkę "Stelli del Mare". W miarę upływu czasu Abbot był coraz bardziej przygnębiony. Spojrzał na zegarek i zauważył, że minęły już trzydzieści trzy minuty, odkąd zaczęli tę szaleńczą gonitwę po Morzu Śródziemnym. Obliczył w pamięci, że przebyli co najmniej szesnaście mil, a może nawet więcej. Co mogło zawieść?

Przypomniał sobie słowa Parkera, że torpeda odpalona na głębokości sześciu stóp ma potem zejść na dwanaście. Parker martwił się, czy nie grozi jej wynurzenie, ale co będzie, jeżeli po prostu opadła na dno morza? Z tego, co mu opowiadał, wynikało, że gdyby znalazła się na głębokości poniżej sześćdziesięciu stóp, zmiażdżyłoby ją ciśnienie wody i nigdy więcej by jej nie zobaczyli.

Spojrzał na Jeanette, której twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Jak się zachowa? Mógł się domyślać, że zareaguje gwałtownie. Parker wpatrywał się z napięciem w morze za rufą. Nie uśmiechał się już, a zmarszczki w kącikach oczu stały się bardziej widoczne.

Trzydzieści cztery minuty - i nic. Trzydzieści pięć minut - nadal nic. Abbot próbował napotkać wzrok Parkera. ale ten koncentrował całą uwagę na morzu. "Wszystko przepadło" - pomyślał z rozpaczą.

Nagle Parker podskoczył.

- Wypływa! - krzyknął z podnieceniem. - Z prawej burty. Wyłączcie te przeklęte silniki! Abbot patrzył w morze, dziękując Bogu, że silniki przestały pracować. Torpeda wynurzała się w oddali dokładnie w taki sposób, jak opisał to Parker. W silnym blasku słońca widać było dym i nikły żółty płomień. Motorówka skręciła i popłynęła w tym kierunku. Parker dosłownie tańczył z radości.

- Gdzie jest bosak? - pytał. - Musimy ją zaczepić.

- Co to za płomień? - zainteresował się Eastman.

- Światło Holmesa - wyjaśnił Parker. - Zasilane sodem - im większa wilgoć, tym intensywniej się pali.

- Zręczna sztuczka - stwierdził Eastman.

Parker odwrócił się do niego i powiedział uroczyście:

- To drobiazg wobec faktu, że ta torpeda w ogóle tu jest. Przypuszczam, że zrobiła osiemnaście mil. To już nie sztuczka, tylko prawdziwy cud. Jesteście zadowoleni? Eastman uśmiechnął się i spojrzał na Jeanette.

- Chyba tak.
- Spodziewamy się teraz czeku - powiedział Abbot do Jeanette. Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.
- Dostanę go od Youssifa, gdy tylko wrócimy na jacht.

IV

Wrócili do Bejrutu na pokładzie "Stelli del Mare", pozostawiając "Orestesa", aby odczepił torpedę od motorówki, do której była przymocowana. Parker przyrzekał wieczne potępienie każdemu, kto okazałby się na tyle nieostrożny, by ją uszkodzić. Kiedy znaleźli się w luksusowym salonie, Eastman otworzył barek.

- Chyba wszyscy musimy się czegoś napić.

Abbot opadł bez sił na fotel. Tym razem Eastman okazał się wyrazicielem jego uczuć. W ciągu minionej godziny zaznał tylu emocji, że wystarczyłoby ich na całe życie i miał ochotę na jakiś mocny trunek. Towarzystwo dobrze się bawiło. Eastman miał znakomity humor, Parker, który upajał się sukcesem, nie musiał poprawiać sobie nastroju alkoholem, Jeanette była wesoła i olśniewająca, nawet Youssif Fuad udobruchał się na tyle, że na jego twarzy pojawił się przez moment ulotny uśmiech. Abbot odczuwał jedynie ulgę.

Jeanette pstryknęła palcami na Fuada, który wyjął z kieszeni złożony kawałek papieru i podał go jej.

- To pierwsza rata, Mike - powiedziała przekazując papier Abbotowi. - Potem będzie więcej.
- Oby było ich jak najwięcej - powiedział.

Rozłożył czek i zobaczył, że Fuad wystawił go we własnym banku na sumę stu tysięcy dolarów amerykańskich. Pomyślał, co by się stało, gdyby próbował go zrealizować, zanim torpeda wykona swoje zadanie na wybrzeżu Stanów. Nie pozwolił sobie jednak na żaden komentarz. Nie powinien przecież wiedzieć, że Fuad jest bankierem.

Eastman wznosił toast:

- Za najlepszego mechanika, jakiego miałem szczęście spotkać. Wypili zdrowie Parkera, który aż się zarumienił.

- Szkoda, że nie organizują wyścigów torped - stwierdził Eastman. - Miałby pan zapewnioną pracę, Dan. Nie widziałem czegoś równie podniecającego, odkąd byłem w Hialeah. - Uśmiechnął się do Jeanette. - Tyle, że na tym można chyba zarobić o wiele więcej niż wygrałem kiedykolwiek na wyścigach.

- To dopiero początek - powiedział Parker. - Teraz, zaczną się następne problemy.

Jeanette pochyliła się naprzód.

- Jakie problemy? - zapytała ostro. Parker zamieszał drinka w szklance.

- Torpeda typu Mark XI ma zwykle niewielki zasięg - nieco ponad trzy mile. Widać to, do czego się strzela. Nawet głupiec zobaczy statek z odległości trzech mil. W waszym przypadku jest inaczej. Chcecie celować w coś, co jest za horyzontem.

- Nie powinno być z tym problemu - stwierdził Eastman. Sami widzieliście, jaki kawał drogi przepłynęliśmy. Jeżeli jeszcze ma się dobrego nawigatora, który wie, gdzie się znajduje...

- Nawet najlepszy nawigator na świecie nie potrafi określić pozycji statku na otwartym morzu z dokładnością do jednej czwartej mili - powiedział stanowczo Parker. - Chyba, że miałby inercyjny system naprowadzania, na który nie byłoby was stać, nawet gdyby marynarka zechciała wam go sprzedać. Takich rzeczy nie kupuje się na wolnym rynku.

- Jakie mamy wyjście? - zapytała Jeanette.

- Ten wielki bom na "Orestesie" jest około pięćdziesięciu stóp nad wodą - odparł Parker. - Gdyby umieścić tam człowieka w czymś w rodzaju bocianiego gniazda, widziałby horyzont o ponad osiem mil

dalej. Musielibyście na tej samej wysokości, albo nawet wyżej, zapa lić na brzegu światło i jeśli tylko będzie wystarczająco jasno, nasz obserwator powinien je dostrzec z odległości szesnastu mil od lądu. Ale trzeba by to robić nocą.

- Takie było założenie - stwierdził Eastman. Parker skinął głową.

- Wszystko wymaga jeszcze doszlifowania, ale w ogólnym zarysie tak to wygląda. - Przerwał na chwilę. - Na brzegu może się palić więcej świateł, więc musicie znaleźć jakiś sposób, żeby rozpoznać to właściwe. Można wybrać jakiś określony kolor, albo lepiej włączyć do obwodu przerywacz i nadawać sygnał. Człowiek w bocianim gnieździe na "Orestesie" powinien mieć teleskop - wystarczy taki, jakich używają strzelcy wyborowi. I niech będzie solidnie umocowany, jak celownik teleskopowy. Gdy tylko zobaczy w nim światło, naciśnie guzik i odpali torpedę. Byłoby dobrze, gdyby miał kontakt ze sternikiem przez interkom.

- Widzę, że ma pan dużo błyskotliwych pomysłów - powiedział z podziwem Eastman.

- Staram się tylko zasłużyć na zarobek - powiedział skromnie Parker. - W końcu mam w tym swój udział.

- Taaak - stwierdził Eastman. - Kolejnych dwieście tysięcy dolców. Zapracowuje pan na nie.

- Może dostanie pan nawet więcej, Parker - oświadczyła Jeanette, uśmiechając się słodko do Fuada. - Youssif nie jest ani biedny, ani skąpy.

Fuad zmrużył oczy. Jego twarz była sztywna i napięta. Abbot odniósł wrażenie, że jest tak samo hojny jak ktoś, komu udało się właśnie obrabować kościelną skarbonkę na datki dla ubogich.

* * *

Kiedy wrócili do przystani jachtów, samochód Jeanette nadal ich oczekiwał.

- Chce wam coś pokazać - powiedziała do Abbota i Parkera. - Wsiądźcie do wozu. - Potem zwróciła się do Eastmana:

- Ty zostaniesz z Youssifem i sprawdzicie to, o co prosiłam. Zobaczymy, czy któryś z was znajdzie tam jakieś luki.

Wsiadła do wozu, zajmując miejsce obok Abbota. Samochód ruszył. Abbot szukał okazji, żeby porozmawiać na osobności z Parkerem, który - upojony sukcesem - trochę za dużo gadał. Musiał mu o tym powiedzieć.

- Dokąd jedziemy? - powiedział, zwracając się do Jeanette.

- Z powrotem na miejsce, z którego zabraliśmy was rano.

- Nic mnie tam nie zaskoczy - stwierdził. - Wszystko już obejrzałem.

Uśmiechnęła się tylko, nic nie mówiąc. Samochód opuścił majestatycznie Bejrut i jadąc szosą w kierunku Trypolisu dotarł do szopy.

w której znajdowała się torpeda. Kiedy skręcił na dziedziniec, Jeanette powiedziała:

- Zajrzyjcie do środka, a jak wróćcie, to porozmawiamy.

Wysiedli obaj i poszli w kierunku szopy. Zanim otworzyli drzwi, Abbot powiedział:

- Zaczekaj chwileczkę, Dan. Chcę z tobą pogadać. Chyba nie powinieneś mówić im za dużo, tak jak dzisiaj w powrotnej drodze. Jeżeli tej diablcy przyjdzie do głowy, że już nas nie potrzebuje, możemy mieć kłopoty.

Parker uśmiechnął się zuchwałe.

- Jesteśmy im potrzebni - powiedział z przekonaniem. - Kto włoży do torpedy nowe baterie? Eastman nie wiedziałby przede wszystkim, jak to zrobić. Będziemy bezpieczni aż do końca, Mike. - Twarz mu nagle spoważniała. - Nie wiem tylko, do cholery, co się stanie potem. Wejdźmy tam i zobaczmy, co to za wielka niespodzianka.

Weszli do szopy. Parker zapalił światło i stanął osłupiały na szczycie schodów.

- A niech mnie diabli! - wybuchnął. - Z całą pewnością będą nas potrzebować!

Na dole stały na kozłach aż trzy torpedy. Abbot poczuł nagle, że zaschło mu w gardle.

- Jeszcze trzy! To oznacza cholerną ilość heroiny.

Odczuł neodpartą potrzebę, żeby przekazać informację na ten temat komuś, kto mógłby je z pożytkiem wykorzystać. Ale jak miał to zrobić, u diabła? Każdy jego krok, każde posunięcie było pod obserwacją.

- Jeżeli myślą, że zacznę tu sam taśmową produkcję, to grubo się mylą - zrzędził Parker.

- Dan, uspokój się, na miłość boską! - zganił go Abbot. - Staram się coś wymyślić. - Po

chwili dodał: - Spróbuję wystawić tę dziwkę do wiatru. Musisz mi pomóc. Pamiętaj tylko, że

miałeś ciężki dzień i marzysz o tym, żeby się położyć.

Opuściwszy szopę poszedł przez podwórze do oczekującego samochodu. Nachylił się i powiedział:

- To spora niespodzianka. Czy wszystkie chcecie załadować i odpalić równocześnie?

- Jack nazywa to pułą - odparła Jeanette. - Oczywiście i wy więcej w ten sposób zarobicie.

- Jasne - przyznał Abbot. - Będziemy musieli wszystko omówić, ale po co robić to tutaj?

Może weźmiemy Dana i pójdziemy gdzieś się zabawić, powiedzmy do Paon Rouge. -

Uśmiechnął się szelmowsko. - Zapraszam. Mogę już sobie na to pozwolić.

Parker odezwał się za jego plecami:

- Na mnie nie liczcie. Jestem za bardzo zmęczony. Marzę tylko, żeby się wyspać.

- No cóż, to chyba bez znaczenia, prawda? Pozwolisz mi załatwić za ciebie sprawy finansowe z Jeanette?

- Oczywiście. Zrobisz, co trzeba. - Parker przesunął dłonią po twarzy. - Idę się położyć.

Dobranoc. Kiedy odszedł, Abbot powiedział:

- No i co, Jeanette? Mam już dość siedzenia tutaj. Chcę rozprostować skrzydła i trochę sobie polatać. - Wskazał ręką w kierunku szopy. - Będzie tam sporo roboty. Chciałbym rozerwać się nieco, zanim zaczniemy.

- Ale nie pójdę do Paon Rouge w tym stroju - oznajmiła Jeanette, dotykając ubrania.

- W porządku - powiedział Abbot. - Daj mi tylko chwilę, żebym się przebrał, a potem pojedziemy do ciebie. Założysz coś i lecimy do miasta. Prosta sprawa.

Uśmiechnęła się niezdecydowanie.

- Tak, to może być niezły pomysł. Jak radzisz sobie w roli pokojówki? Dałam swojej dziewczynie wychodne.

- To dobrze - powiedział Abbot z ożywieniem. - Za chwilę będę gotowy.

* * *

W pięć minut później obracał w ręce szklankę brandy i mówił: " - Ciężko się z tobą targować, moja mała Jeannie, ale umowa stoi. Kupiłaś nas za bezcen. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Mike, czyżby obchodziły cię tylko pieniądze? - odparła z urazą.

- W zasadzie tak - przyznał, popijając brandy. - Ty i ja jesteśmy do siebie podobni. - Dał znak kelnerowi, aby do nich podszedł.

- Tak, chyba masz rację. Czuję, że jesteś mi bardziej bliski niż biedny Jack.

Abbot ze zdziwieniem uniósł brew.

- Dlaczego biedny?

Usiadła wygodniej na krześle.

- Złościł się, że byłeś dzisiaj na "Stelli". Chyba robi się zazdrosny. Jeżeli zostaniesz z nami - ze mną - trzeba będzie jakoś to załatwić. Raz na zawsze. - Uśmiechnęła się. - Biedny Jack.

- On z tobą mieszka, prawda? - zapytał Abbot. - Zdawało mi się, że widziałem w szafie jego rzeczy.

- No proszę, chyba ty też jesteś zazdrosny - zawołała uradowana.

Poczuł na karku zimny dreszcz, wyobrażając sobie, jak Jeanette leży z tamtym w łóżku i podsuwa mu myśl, że niejaki Jack Eastman mógłby załatwić niejakiego Michaela Abbota.

Ta diablica była zdolna grać na dwie strony. Uznawała teorię doboru naturalnego. Kto przeżyje, otrzyma główną nagrodę - jej giętkie, nienasycone ciało. Nagroda była niezła - byle tylko poradzić sobie z konkurencją. Problem polegał na tym, że przyjmując jej zasady gry, trzeba by walczyć w nieskończoność.

Zmusił się do uśmiechu.

Lubię cię i pieniądze mniej więcej w tym samym stopniu. A jeśli chodzi o Jacka Eastmana, proponuję, żebyśmy odłożyli tę sprawę na później. Może się jeszcze przydać.

Oczywiście - przyznała. - Ale nie zwlekaj z tym za bardzo.

- Przepraszam - powiedział, odsuwając krzesło. - Muszę pójść na stronę. Zaraz wracam.

Przeszedł prędko przez foyer do jednego z nielicznych miejsc w hotelu Fenicja, gdzie panna Delorme nie mogła mu towarzyszyć. Zaniknął się w kabinie, wyjął z kieszeni kopertę i sprawdził tekst na umieszczonej w środku pojedynczej kartce papieru. Następnie włożył ją z powrotem, zakleił kopertę i starannie zaadresował.

Odszukawszy boya, który ze służalczą gorliwością otrzepał mu marynarkę, powiedział:

- Chciałbym, żeby natychmiast doręczono ten list do redakcji "Daily Star".

Chłopak wydawał się niezdecydowany, ale ożywił się od razu, gdy usłyszał delikatny szelest banknotów.

- Tak, sir. Dopilnuję tego.

- Chodzi o ważną sprawę - podkreślił Abbot. - Musi dotrzeć tam jeszcze dziś. - Dorzucił kolejny banknot. - Chciałbym mieć pewność, że będzie na miejscu w ciągu godziny. Potem rozprostował ramiona i wrócił tam, gdzie oczekiwała go modliszka.

V

Sir Robert Hellier siedział za biurkiem i przeglądał gazetę. Był to wydawany po angielsku bejrucki dziennik "Daily Star", który regularnie dostarczano mu samolotem do Londynu. Ominął bieżące wiadomości i koncentrując się na dziale ogłoszeń, przemierzał palcem kolejne kolumny. Od wielu tygodni robił to co rano.

Nagle chrząknął, zaprzestał poszukiwań i wziął do ręki pióro, aby zakreślić kółko na jednym z ogłoszeń. Brzmiało ono następująco:

Gospodarstwo rolno-hodowlane w pobliżu, Zahli. Dwa tysiące akrów urodzajnej ziemi, duża winnica, zabudowania w dobrym stanie, bydło, narzędzia. Skr. poczt 192.

Odetchnął z ulgą. Już od wielu tygodni nie miał kontaktu z Abbotem i Parkerem i bardzo go to martwiło. Poczul się lepiej wiedząc, że nic im się nie stało. Ponownie przeczytał ogłoszenie i marszcząc brwi sięgnął po pióro.

W pięć minut później poczul, że oblewa go zimny pot. Musiał popełnić błąd w obliczeniach. Pomylił się gdzieś po drodze o parę zer. Wspomniana w ogłoszeniu liczba dwóch tysięcy akrów oznaczała, że Delorme miała zamiar przemycić dwa tysiące funtów heroiny. To stanowiło punkt wyjścia. Zaczął od początku i dokładnie wszystko sprawdził. Końcowy wynik był niewiarygodny.

Przyjrzał mu się ponownie i nadal nie mógł się otrząsnąć. Trzysta czterdzieści milionów dolarów. Tyle zapłacą za dwa tysiące funtów heroiny konsumenci, narkomani, których każdy zastrzyk kosztuje od siedmiu do ośmiu dolarów. Zanotował jeszcze jedną liczbę: sto milionów dolarów.

Tyle dostanie Delorme, jeżeli uda jej się dostarczyć te narkotyki na amerykański rynek. Podejrzewał, że sprawa będzie załatwiana na zasadach kredytu Nawet mafii nie byłoby stać na zgromadzenie takiego kapitału przy jednej transakcji. Ukryją towar i będą go wydawać w kilkufuntowych porcjach, po pięćdziesiąt tysięcy dolarów za funt, a Delorme zbierze całą śmietankę. Zorganizowała wszystko, poczynając od uprawy maku na Bliskim Wschodzie, wzięła na siebie ogromne ryzyko i teraz doczeka się kolosalnych zysków.

Podniósł drżącą ręką słuchawkę telefonu.

- Panno Walden, proszę na czas nieokreślony odwołać wszystkie moje spotkania, zarezerwować mi jak najszybciej lot do Bejrutu, a na miejscu hotel - Saint-Georges albo Fenicja. Wszystko w możliwie najkrótszym terminie.

Siedział i wpatrywał się w ogłoszenie, mając w Bogu nadzieję, że ten, kto składał je do druku, popełnił błąd i może jego podróż okaże się zbędna.

Miał też nadzieję na jakieś wiadomości od Warrena, gdyż i on, i towarzyszący mu trzej mężczyźni gdzieś zniknęli.

Z wjechaniem do Iraku nie było szczególnych problemów. Mieli wizy na wszystkie kraje Bliskiego Wschodu, do których mogli trafić w pogoni za celem, poza tym Hellier zaopatrzył ich w nader cenne dokumenty i listy polecające. Na przejściu granicznym iracki oficer wyraził jednak zdziwienie, że wjeżdżają od strony Kurdystanu, tak daleko na północy, i okazał niepożądane zainteresowanie.

Tozier wygłosił pełną pasji mowę, dobywając z gardła chrapliwe arabskie dźwięki i dopiero to, łącznie z ich listami uwierzytelniającymi, umożliwiło przekroczenie granicy. W pewnej chwili Warren widział już jednak oczami wyobraźni więzienie w irackim Kurdystanie, a nie jest to miejsce, z którego można by łatwo zadzwonić do adwokata.

Uzupełnili na granicy zapasy paliwa i wody, po czym prędko odjechali, nie czekając, aż oficer zmieni zdanie. Tozier ruszył przodem, a Follet z Warrenem za nim. W południe Tozier zjechał na pobocze i zaczął, aż dogoni go drugi wóz. Wyciągnął szybkowar i stwierdził:

- Pora coś przekąsić.

Follet otworzył puszki i zauważył:

- Zupełnie jak w Iranie. Nie powiem, żebym był szczególnie głodny - najadłem się kurzu. Tozier szeroko się uśmiechnął i spojrzał na jałowy pejzaż. Drogi były tu tak samo pełne kurzu, a góry równie ponure, jak po drugiej stronie granicy.

- Do As-Sulajmanija już niedaleko, ale nie wiem, co zrobimy, kiedy tam dotrzemy. Pewnie trzeba będzie zdać się na przypadek.

Warren wlał wodę do szybkowara i zaczął ją gotować. Potem spojrzał na Toziera i powiedział:

- Nie mieliśmy jeszcze okazji porozmawiać. Co tam się wydarzyło?

- W qanat"!

- Właśnie - potwierdził cicho Warren.

- Zawalił się tunel, Nick. Nie mogłem się przedostać.

- Ben nie miał szansy? Tozier pokręcił głową.

- To musiało się stać bardzo prędko.

Twarz Warrena była ściągnięta ze zgrzyoty. Nie mylił się mówiąc Hellierowi, że poleje się krew, ale nie oczekiwał takiego obrotu sprawy.

- Nie miej wyrzutów, Nick - powiedział Tozier. - Ben sam postanowił zawrócić. Wiedział, czym ryzykuje. Postąpił zresztą cholernie głupio. O mało nie załatwił nas wszystkich.

- Tak - przyznał Warren. - To było bardzo głupie. - Pochylił głowę, aby pozostali nie mogli widzieć jego twarzy. Czuł się tak, jakby wbito mu w brzuch zimny sztylet. Byli obaj lekarzami, powołanymi do ratowania życia. Kto okazał się lepszy: Ben Bryan przy całym swoim naiwnym idealizmie, czy Nicholas Warren, który przywiózł go na pustynię i doprowadził do jego śmierci? Warren wolał nie roztrząsać tego nieprzyjemnego dylematu. Byli w połowie lunchu, kiedy Tozier zauważył jakby od niechcienia:

- Mamy gości. Radzę nie robić żadnych gwałtownych ruchów. Zaniepokojony Warren odruchowo się rozejrzył. Follet pewną ręką nalewał dalej kawę.

- Gdzie oni są? - zapytał.

- Dwóch jest na wzgórzu nad nami - oznajmił Tozier. - Trzech albo czterech podchodzi z drugiej strony. Okrążają nas.

- Mamy szansę się przedrzeć?

- Nie sądzę, Johnny. Nie damy rady sięgnąć teraz po broń. Jeżeli ci faceci - kimkolwiek są - nie żartują, zablokowali z obu stron szosę. Pieszko daleko nie zajdziemy. Będziemy musieli poczekać, aż dowiemy się, co jest grane. - Przyjął od Folleta filiżankę kawy. - Podaj mi cukier, Nick.

- Co?

- Podaj cukier - powtórzył cierpliwie Tozier. - Nie ma powodu robić zamieszania. Może to tylko wścibscy Kurdowie.

- Mogą okazać się za bardzo wścibscy - stwierdził Follet. - Pamiętaj, że Ahmed jest Kurdem.

- Wstał powoli i przeciągnął się. - Idzie do nas poselstwo.
 - Ktoś znajomy?
 - Trudno powiedzieć. Mają na sobie burnusy. Warren usłyszał za plecami łoskot kamieni.
 - Tylko spokojnie - ostrzegł Tozier. - Wstań i rób dobre wrażenie. Podniósł się i odwrócił, a pierwszym człowiekiem, którego ujrzał, był Ahmed, syn szejka Fahrwaza.
 - Strzał w dziesiątkę! - zauważył Tozier. Ahmed wystąpił naprzód.
 - No cóż, panie Warren, panie Tozier - jakże miło znów panów spotkać! Proszę mi przedstawić swojego kolegę. - Uśmiechał się, ale Warren wyczytał z jego twarzy, że nie ma ochoty na żarty.
 - To pan Follet. Należy do mojej grupy - odparł w podobnym tonie.
 - Miło mi pana poznać - oznajmił radośnie Ahmed. - Ale czy kogoś nie brakuje? Nie powiecie mi panowie chyba, że zgubiliście kolegę? - przyjrzał się im z uwagą. - Nie macie nic do powiedzenia? Na pewno zdajecie sobie sprawę, że nie spotykamy się przypadkowo. Szukałem panów.
 - A z jakiego powodu? - zainteresował się Tozier.
 - Czy musi pan o to pytać? Mój ojciec ma obawy, czy nie grozi panom niebezpieczeństwo - wskazał ręką otaczające góry. - Nie uwierzylibyście, jacy straszni ludzie kręcą się w tej okolicy. Poleciał mi zaprowadzić panów w bezpieczne miejsce. Zauważyliście na pewno, że otacza nas eskorta, która ma panów... hm... chronić.
 - Przed nami samymi - skomentował ironicznie Warren. - Nie zboczył pan czasem z drogi, Ahmedzie? Czy rząd iracki wie, że jest pan w ich kraju?
 - Rząd iracki nie wie o bardzo wielu rzeczach - stwierdził Ahmed. - Proponuję jednak ruszać w drogę. Moi ludzie zapakują wszystko z powrotem do samochodów. Będą je także prowadzić, żeby zaoszczędzić panom zbędnego wysiłku. Wszystko w ramach naszych usług. Warren czuł się bardzo nieswojo widząc uzbrojonych w karabiny ludzi Ahmeda i mając świadomość, że cała okolica została otoczona. Zerknął na Toziera, który wzruszył ramionami, mówiąc:
 - W porządku!
 - Znakomicie - pochwalił go Ahmed. - Pan Tozier niewiele mówi, ale okazuje rozsądek. - Strzelił palcami i jego ludzie ruszyli naprzód. - Nie traćmy czasu. Mój ojciec nie może się doczekać, żeby z panami... pomówić.
 Warrenowi zupełnie nie przypadł do gustu ton tej uwagi.

II

Całą trójkę wepchnięto na tył jednego z land-roverów. Z przodu siedział kierowca i jakiś odwrócony częściowo w ich stronę człowiek, który trzymał nieruchomo pistolet. Czasem gdy wóz podskakiwał, Warren zastanawiał się, czy broń nie jest odbezpieczona, gdyż nieznajomy dotykał zgiętym palcem spustu i wystarczył niewielki wstrząs, by wcisnął go do końca. Gdyby wystrzelił w tył wozu, któryś z mężczyzn stłoczonych między fotograficznym sprzętem, na pewno by ucierpiał.

O ile zdołał się zorientować, zawrócili na wschód, prawie do granicy z Iranem, a potem skierowali się na północ, wjeżdżając głębiej w góry. Oznaczało to, że ominęli As-Sulajmanija, zostawiając je za sobą. Jechali za ciężarówką, potężną maszyną, która wyglądała jakby zbudowano ją dla wojska. Kiedy udawało mu się spojrzeć w tył, widział od czasu do czasu drugiego land-rovera w chmurze wszechobecnego pyłu.

Uzbrojony mężczyzna nie zabraniał im rozmawiać, Warren był jednak ostrożny. Dobra brytyjska wymowa, którą tak zaskoczył ich Ahmed, stanowiła ostrzeżenie, że złowrogi i obcy wygląd nie musi wcale oznaczać nieznajomości angielskiego.

- Wszystko w porządku? - zapytał Warren.

- Będzie całkiem niezłe, gdy ktoś zabierze łokieć z mojego brzucha - stwierdził Follet i dodał: - A więc to był Ahmed! Taki sympatyczny facet!

- Chyba nie powinniśmy mówić za wiele o interesach - ostrzegł Warren. - Ci chłopcy mogą mieć długie uszy. Follet spojrział na faceta z pistoletem.
- Długie i włochate - powiedział z odrazą. - A oprócz tego brudne. Słyszałeś kiedyś o wodzie, chłopie?

Nieznajomy popatrzył na niego bez wyrazu, a Tozier stwierdził:

- Przestań, Johnny. Nick ma rację.

- Chciałem tylko coś sprawdzić - bronił się Follet.

- Mogło cię to drogo kosztować. Nigdy nie śmieję się z faceta z bronią - może mieć zabójcze poczucie humoru.

* * *

Jechali bardzo długo.

Z zapadnięciem zmroku włączono reflektory i posuwano się wolniej, nadal jednak zapuszczali się w góry, gdzie - o ile Warren przypominał sobie oglądaną mapę - nie było w ogóle dróg. Zapewne się nie mylił sądząc z tego, jak samochód chwiał się i kołysał.

O północy Warren usłyszał, jak warkot silnika odbija się echem od skalistego wąwozu i podniósł się na łokciu, żeby popatrzeć przed siebie. Na wprost ukazała się w świetle reflektorów skalna ściana i kierowca land-rovera skrzył o dziewięćdziesiąt stopni, a potem robił to jeszcze wielokrotnie, gdyż wąwóz biegł serpentynami i coraz bardziej się zwężał. Nagle znaleźli się na otwartej przestrzeni, skąd widać było usiane światłami zbocze i tam się zatrzymali. Gdy otworzyły się tylne drzwiczki, wypełzli z wozu, ponaglani przez człowieka z bronią. Otoczyły ich jakieś ciemne postacie i usłyszeli szmer głosów. Warren przeciągnął się z ulgą, prostując zdrętwiałe kończyny, po czym rozejrzał się wokół po stromych, wyrastających naokoło zboczach. Niebo rozjaśniała pełnia księżyca, dzięki czemu widać było, jakie urwiska otaczają zewsząd tę niewielką dolinę.

Tozier pomasaował udo, spojrział w górę na światła na zboczu i rzekł drwiąco:

- Witajcie w Shangrila.

- Dobrze powiedziane - odezwał się z mroku głos Ahmeda. - I zapewniam, że równie trudno się tu dostać. Pozwólcie panowie za mną.

"A jeśli nie pozwolę?" - pomyślał z przekąsem Warren, nie próbował jednakiego sprawdzić. Przeszli pośpiesznie po dnie wąwozu do podnóża urwiska, gdzie poczuli pod stopami wąską i kretą ścieżkę, która prowadziła stromo pod górę. Była zapewne na tyle szeroka, że w ciągu dnia mogły po niej iść obok siebie dwie osoby, ale w ciemnościach wydawała się niebezpieczna. W połowie wysokości urwiska wychodziła na skalną półkę i Warren przekonał się, że światło pada z wykutych w skale jaskiń.

Zajrzał tam, gdy przechodzili obok i stwierdził, że mieszka w nich sporo ludzi. Oceniał na oko, że w całej wspólnoty było co najmniej dwustu mężczyzn. Nie zauważył żadnych kobiet.

Kazano im się zatrzymać przed jedną z większych jaskiń. Była jasno oświetlona i kiedy Ahmed wszedł do środka, Warren zobaczył wysoką postać szejka Fahrwaza, który podniósł się z sofy. Tozier wydał stłumiony okrzyk i trącił łokciem Warrena, który zapytał szeptem:

- O co chodzi?

Tozier wpatrywał się w głąb jaskini i w tym momencie Warren zobaczył, co przykuło jego uwagę. Obok Fahrwaza stał ubrany po europejsku niski, szczupły, ale muskularny mężczyzna. Podniósł rękę na powitanie Ahmeda, a potem trzymał się z boku, gdy tamten rozmawiał z Fahrwazem.

- Znam tego człowieka - wyszeptał Tozier.

- Kto to jest?

- Powiem ci później - jeżeli będę mógł. Ahmed już wraca.

Wyszedszy z jaskini Ahmed dał znak, by poprowadzono ich dalej wzdłuż urwiska. Zniknęli Fahrwazowi z oczu, przeszli około dwudziestu jardów i zatrzymali się przed drzwiami, wmurowanymi w skalną ścianę. Ktoś otworzył je, brzęcząc kluczami, po czym Ahmed

oznajmił:

- Mam nadzieję, że to miejsce nie okaże się zanadto niewygodne. Przyślę panom jedzenie. Staramy się bez potrzeby nie głodzić naszych gości...

Czyjeś ręce wepchnęły Warrena przez drzwi. Potknął się i upadł, a zaraz potem ktoś znalazł się na nim. Kiedy pozbierali się jakoś w ciemnościach, drzwi zostały zatrzaśnięte i zamknięte na klucz.

- Co za nieokrzesane chamy! - powiedział Follet, z trudem łapiąc oddech.

Warren podciągnął nogawkę i obmacując goleń poczuł pod palcami lepka krew. Zapalniczka Toziera zaiskrzyła się parę razy, a potem wybuchnęła płomieniem, rzucając groteskowe cienie, kiedy uniósł ją w górę. W tylnej części jaskini panowała ciemność i jej odleglejsze zakątki były zupełnie niewidoczne. Warren dostrzegł jakieś skrzynie i worki, ułożone pod jedną ze ścian, ale niewiele poza tym, gdyż Tozier zaglądał w różne miejsca i światło, podobnie jak cienie, cały czas płasały.

- O, tego nam potrzeba! - odezwał się Tozier z zadowoleniem. Płomień stał się nagle większy i jaśniejszy, gdy przytknął go do kawałka świecy.

Follet rozejrzył się wokół.

- To pewnie areszt - stwierdził. - Sądząc z wyglądu także magazyn, ale przede wszystkim areszt. W wojsku zawsze jest niezbędny - takie są prawa natury.

- W wojsku? - zdziwił się Warren.

- Tak - potwierdził Tozier. - To obóz wojskowy. Trochę prymitywny - pewnie partyzancki - ale z pewnością stacjonuje tu jakiś oddział. Nie widziałeś broni? - zapytał stawiając świecę na skrzyni.

- Tego się nie spodziewałem - przyznał Warren. - Nie pasuje mi jakoś do narkotyków.

- Tak samo jak Metcalfe - stwierdził Tozier. - To ten człowiek, który był z Fahrwazem.

Zupełnie mnie zaskoczył. Rozumiałbym, gdyby chodziło o broń - kojarzy się z nią w tak oczywisty sposób, jak jajka z bekonem. Ale Metcalfe i narkotyki? To nieprawdopodobne!

- Dlaczego? Kim on jest?

- Metcalfe... cóż, to po prostu Metcalfe. Jest łajdakiem, jak wszyscy w jego branży, ale słynie z jednego - nie chce mieć nic wspólnego z narkotykami. To bystry facet i dostawał sporo różnych ofert, ale zawsze je odrzucał - czasem w brutalny sposób. Ma jakiś uraz na tym punkcie.

- Powiedz mi o nim coś więcej - poprosił Warren, sadowiąc się na skrzyni.

Tozier przewrócił papierowy worek i spojrzał na umieszczony z boku napis. W środku był sztuczny nawóz. Ustawił go i usiadł na nim.

- Robił to samo, co ja. Tak się poznaliśmy.

- Był najemnikiem? Tozier skinął głową.

- W Kongo. Ale on nie trzyma się jednego zajęcia. Przystaje na różne oferty - im bardziej są szalone, tym lepiej. Zdaje się, że wyrzucono go z Południowej Afryki, bo był zamieszany w jakąś aferę z diamentami. Wiem, że organizował przemyt z Tangeru, kiedy był tam jeszcze otwarty port - zanim przejęli go Marokańczycy.

- Co przemyczał?

Tozier wzruszył ramionami.

- Papierosy do Hiszpanii, antybiotyki - wtedy było ich brak. Słyszałem też, że szmuglował broń dla powstańców w Algierii.

- Czyżby? - zainteresował się Warren. - Zupełnie jak Jeanette Delorme.

- Słyszałem pogłoski, że był zamieszany w przemyt cholernie dużych ilości złota z Włoch, ale chyba nic z tego nie wyszło. W każdym razie nie wzbogacił się. Mówię ci to wszystko, żebyś wiedział, jakim

jest człowiekiem. Namówisz go na każdą robotę, z wyjątkiem jednego - narkotyków. I nie pytaj mnie o powód, bo sam tego nie wiem.

- Więc co on tu robi?

- Jest wojskowym. To jeden z najlepszych dowódców partyzanckich, jakich znam. W regularnym wojsku nigdy specjalnie się nie wyróżnił, ale w partyzantce nie ma sobie

równych. Mogę się tylko domyślać, o co chodzi. Wiemy, że Kurdowie chcą zadać cios Irakijczykom - mówił nam o tym Ahmed. Sprowadzili Metcalfe'a, żeby im pomógł.

- A co z narkotykami, których podobno nie lubi? Tozier milczał przez chwilę.

- Może o nich nie wie.

Warren pograżył się w rozmyślaniach, zastanawiając się, w jaki sposób można by to wykorzystać. Miał właśnie zamiar się odezwać, gdy w zamku zazgrzytał klucz i otworzyły się drzwi. Wszedł jakiś Kurd z gotowym do strzału pistoletem i stanął plecami do skalnej ściany. Za nim pojawił się Ahmed.

- Powiedziałem, że nie głodzimy naszych gości. Oto i posiłek. Może nie będzie odpowiadał waszym europejskim podniebieniom, ale to naprawdę dobre jedzenie.

Wniesiono dwie duże, mosiężne tace, przykryte obrusami.

- Ach, panie Tozier - powiedział Ahmed - zdaje się, że mamy wspólnego znajomego. Nie widzę powodu, by nie mógł pan później pogawędzić sobie z panem Tomem Metcalfem. Po posiłku.

- Chętnie znowu go zobaczę - odparł Tozier.

- Tak przypuszczałem. - Ahmed odwrócił się i dodał po chwili milczenia: - Aha, panowie, jeszcze jedna sprawa. Mój ojciec potrzebuje pewnych informacji. Kto mógłby mu ich udzielić? - przyglądał się Warrenowi z lekkim uśmiechem na ustach. - Pana Warrena nie da się chyba łatwo przekonać. Pana Toziera tym bardziej. Uważnie panów obserwowałem, kiedy widzieliśmy się ostatnio.

Skierował wzrok na Folleta.

- Pan jest Amerykaninem, panie Follet.

- Tak - odparł Follet. - Jak pan zobaczy amerykańskiego konsula, proszę mu powiedzieć, że chciałbym się z nim widzieć.

- To bardzo chwalebna postawa - zauważył z westchnieniem Ahmed. - Obawiam się, że będzie pan tak samo uparty, jak pańscy przyjaciele. Ojciec życzy sobie... hm... porozmawiać z panami osobiście, ale to starszy człowiek i o tej porze potrzebuje snu. Macie więc panowie szczęście, bo pozostało wam jeszcze kilka godzin. - Powiedziawszy to wyszedł, ubezpieczony przez strażnika. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z łoskotem.

Tozier wskazał lampę naftową, stojącą na jednej z tac.

- Był na tyle miły, że nam ją zostawił.

- Ciepły posiłek - stwierdził Follet, podnosząc obrus. Tozier odsłonił także drugą tacę.

- Chyba warto by coś zjeść. To nie jest wcale takie złe - kuskus i kurczak, a na deser kawa.

Follet nadgryzł kurze udko. po czym spojrzał na nie z obrzydzeniem i stwierdził:

- Ten kurczak musiał mieć atletyczną budowę. Warren wziął do ręki talerz.

- Jak myślisz, gdzie jesteśmy?

- Gdzieś w pobliżu tureckiej granicy - odparł Follet. - Tak mi się wydaje. I niedaleko od granicy z Iranem.

- W samym sercu Kurdystanu - zauważył Tozier. - To może coś znaczyć - albo zupełnie nic.

- Zmarszczył brwi. - Pamiętasz, Nick, o czym Ahmed mówił nam w Iranie? Chodziło o sytuację polityczną Kurdów. Wymienił jakieś nazwisko. Kogoś, kto trzymał w szachu iracką armię.

- Barzani - powiedział Warren. - Mullah Mustafa al-Barzani.

- Właśnie. Ahmed mówił, że posiada własną armię. Zastanawiam się, czy ci ludzie do niej nie należą.

- Możliwe. Nie wiem tylko, co nam to daje.

- Bóg pomaga tym, którzy nie są bierni - stwierdził rzeczowo Follet. Trzymając w ręce kurze udko, wstał, wziął świecę i zaczął zaglądać w najdalsze zakamarki jaskini. Usłyszeli jego dudniący głos. - Niewiele tu jest.

- A co chciałbyś znaleźć w celi? - zapytał Tozier. - W każdym razie nie zaszkodzi sprawdzić, czym dysponujemy. Co jest w tej skrzyni, na której siedzisz, Nick?

- Jest pusta.

- A ja siedzę na nawozie - powiedział z obrzydzeniem Tozier. - Masz coś jeszcze, Johnny?

- Niewiele. Też trochę pustych skrzyń, jakieś części od samochodów - wszystkie zardzewiałe, pół puszki oleju napędowego, całe mnóstwo różnych śrub i sworzni, dwa worki słomy - to chyba wszystko.

Tozier westchnął. Follet wrócił, odłożył świecę, a potem podniósł lampę i potrząsnął nią przy uchu.

- W środku jest trochę nafty, a tam mamy słomę - może dałoby się coś zrobić.

- Nie spał jaskini, Johnny. Tylko byśmy się udusili. - Tozier podszedł do drzwi. -

Wymagałyby sporego zachodu - mają ze cztery cale grubości. - Przechylił głowę na bok. -

Uwaga. Ktoś idzie. - Oddalił się od drzwi i usiadł.

Do otwartej celi wszedł człowiek nazwiskiem Metcalfe. Otrzepał się i odwrócił głowę, słysząc za plecami łoskot zatraskiwanych drzwi. Potem spojrzął na Toziera i powiedział, wcale się nie uśmiechając:

- Cześć, Andy. Dawno się nie widzieliśmy.

- Cześć, Tom.

Metcalfe podszedł i wyciągnął rękę, a Tozier ją uściskał.

- Co tu robisz, u diabła?

- Długo by trzeba mówić - odparł Tozier. - To jest Nick Warren, a to Johnny Follet.

- Gdybym powiedział "miło mi", minąłbym się z prawdą - stwierdził ironicznie Metcalfe.

Obrzucił Warrena od stóp do głów przenikliwym spojrzeniem, a potem popatrzył na Toziera. - Jesteś tu w interesach, Andy?

- W pewnym sensie. Nie przyjechaliśmy z własnej woli. - Widziałem, jak chłopcy was prowadzili. Nie wierzyłem własnym oczom. To do ciebie niepodobne, żeby dać się tak łatwo złapać.

- Spocznij sobie, Tom - powiedział Tozier. - Co wolisz - nawóz czy skrzynkę?

- Tak, proszę zostać na chwilę z nami - zachęcał Follet.

- Usiądę na skrzyni - powiedział skromnie Metcalfe. - Jest pan jankesem. prawda?

- Tem, skąd pochodzę, mamem tredrioszci z mówieniem - odparł, przedrzeźniając akcent południowców. - Może i uredziłem się w Arezonie, ale me stary beł z Dżordży.

Metcalfe przyglądał mu się z namysłem przez dłuższą chwilę.

- Cieszę się, że nie opuszcza pana optymizm. Oby go tylko nie zabrakło. Zdaje się, że służył pan w wojsku.

- Dawno temu - odparł Follet. - W Korei.

- Aha - Metcalfe uśmiechnął się, a jego zęby zaśniły bielą na tle opalonej twarzy. -

Prawdziwy żołnierz. A pan, panie Warren?

- Jestem lekarzem.

- Ach, tak! A dlaczego to lekarz wędruje po Kurdystanie z takim podejrzany typem jak Andy Tozier? Tozier pociągnął go za ucho.

- Masz aktualnie jakąś robotę, Tom?

- Właśnie kończę - odparł Metcalfe.

- Jesteś dowódcą?

Metcalfe wydawał się zaskoczony.

- Dowódcą? - Po chwili rozchmurzył się i roześmiał. - Chodzi ci o to, czy szkole tych chłopców? To my moglibyśmy się od nich uczyć, Andy. Walczą już od trzydziestu pięciu lat. Przywożem tylko towar, nic więcej. Za dwa dni wyjeżdżam.

- Co za towar?

- A jak myślisz, u diabła? Oczywiście broń. Czego innego mogliby potrzebować? -

Uśmiechnął się. - Ale to ja mam zadawać pytania, a nie wy. Stary Fahrwaz po to mnie tu przysłał. Ahmed nie był zachwycony. Chciał was natychmiast poćwiartować, ale starsuszek uważał, że może uda mi się załatwić sprawę bez uciekania się do radykalnych środków. - Jego twarz była poważna. - Tym razem paskudnie wpadłeś, Andy.

- Czego chce się dowiedzieć? - zapytał Warren. Metcalfe podniósł wzrok.

- Wszystkiego, co można. Zdaje się, że naraziliście go na jakieś kłopoty, ale nie wdawał się ze mną w szczegóły. Uważa, że skoro znam

Andy'ego, mogę zdobyć wasze zaufanie. - Pokręcił głową. - Schodzisz na psy, Andy, jeżeli naprawdę pracujesz dla filmu. Moim zdaniem to tylko kamuflaż - i Fahrwaz myśli tak samo.

- A co sądzi Barzani? - zapytał Tozier.

- Barzani? - Metcalfe był szczerze zdziwiony. - Skąd mam wiedzieć, do cholery, co on sądzi?

- Nagle klepnął się po kolanie. - Naprawdę myślałeś, że Fahrwaz jest jednym z ludzi Barzaniego? A to ci dopiero!

- Uśmiełem się do rozpuku - stwierdził kwaśno Follet.

- Pora na wykład o sytuacji politycznej Kurdów - stwierdził Metcalfe z pedagogicznym zacięciem. - Fahrwaz współpracował kiedyś z Barzanim. Byli razem, gdy Rosjanie próbowali w 1946 roku proklamować na terenie Iranu Republikę Kurdyjską w Mahabadzie. Kiedy upadła, udali się nawet wspólnie na wygnanie. Byli wielkimi przyjaciółmi. Potem Barzani przyjechał tu, do Iraku, zdobył sobie zwolenników i od tamtej pory daje się Irakijczykom we znaki.

- A Fahrwaz?

- Należy do PEJ MERGA - odparł Metcalfe, jakby nazwa ta wszystko wyjaśniała.

- To oznacza samoofiara - przetłumaczył Tozier, pogrążony w myślach. - No i co?

- Członkowie PEJ MERGA tworzyli trzon organizacji i Barzani mógł zawsze na nich polegać, ale wszystko się zmieniło, odkąd zaczął pertraktować z prezydentem Bakrem na temat utworzenia autonomicznej prowincji Kurdów w Iranie. Fahrwaz jest jastrzębiem i uważa, że Irakijczycy nie dotrzymają umowy. I wcale nie musi się mylić. Co ważniejsze, ani on, ani większość członków PEJ MERGA nie chcą żadnej Republiki Kurdyjskiej w Iranie. Nie życzą sobie, żeby Kurdystan został podzielony między Irak, Iran i Turcję. Chcą zjednoczenia narodu kurdyjskiego, bez żadnych półśrodków.

- Całkiem jak w Irlandii - zauważył Tozier. - Fahrwaz i PEJ MERGA pełnią tu rolę IRA.

- Właśnie. Fahrwaz uważa, że Barzani zdradza naród kurdyjski, dając posłuch Bakrowi, ale Barzani cieszy się szacunkiem, gdyż przez całe lata walczył z Irakijczykami, kiedy Fahrwaz siedział na tyłku w Iranie. Gdyby Barzani zawarł z Irakijczykami porozumienie, Fahrwaz zostanie na lodzie. Dlatego tak pośpiesznie gromadzi broń.

- A pan mu ją dostarcza - stwierdził Warren. - Po czyjej pan jest stronie?

Metcalfe wzruszył ramionami.

- Kurdów od stuleci źle traktowano - powiedział. - Jeżeli Barzani porozumie się z Irakijczykami, a potem nic z tego nie wyjdzie, będą potrzebowali jakiegoś zabezpieczenia. Właśnie to im zapewniam. Bakr doszedł do władzy wskutek zamachu stanu i pod jego rządami wcale nie jest tak różowo. Rozumiem punkt widzenia Fahrwaza. - Potarł szczękę. - Co nie znaczy, że go lubię. Na mój gust trochę za dużo w nim fanatyzmu.

Kto go popiera? Skąd ma pieniądze?

Nie wiem. - Metcalfe szeroko się uśmiechnął. - Póki mi płaci, nie obchodzi mnie, skąd bierze pieniądze.

- Może cię to jednak zainteresuje - powiedział cicho Tozier. - W jaki sposób dostarczyłeś broń?

- Dobrze wiesz, że nie zadaje się takich pytań. To tajemnica handlowa, mój stary.

- Co stąd zabierasz?

- Nic - odparł Metcalfe ze zdziwieniem. - Płacą mi przez bank w Bejrucie. Nie myślisz chyba, że włócę się po Bliskim Wschodzie z kieszeniami wypchanymi złotem. Nie jestem taki głupi.

- Uważam, że powinieneś mu o wszystkim powiedzieć, Nick - stwierdził Tozier. - Sprawa zaczyna być dość oczywista, prawda?

- Najpierw chciałbym o coś zapytać - odparł Warren. - Kto zgłosił się do pana, żeby zamówić dostawę broni? Komu przyszło do głowy, że byłoby dobrze zawieźć wszystkie karabiny do Fahrwaza? Kto je dostarczył?

Metcalfe uśmiechnął się i zerknął na Toziera.

- Twój przyjaciel jest zbyt wścibski, by mogło mu to wyjść na zdrowie. Takie sprawy

również obejmuje tajemnica handlowa.

- Czy tą osobą nie była przypadkiem Jeanette Delorme? - zagadnął Warren. Metcalfe szeroko otworzył oczy.

- Zdaje się, że sporo pan wie. Nic dziwnego, że Fahrwaz jest zaniepokojony.

- Ty też powinieneś się pomartwić - stwierdził Tozier. - Kiedy zapytałem, czy coś stąd zabierasz, miałem na myśli narkotyki. Metcalfe nagle znieruchomiał.

- A skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał głosem pełnym napięcia.

- Ponieważ gdzieś w pobliżu leży tona czystej morfiny - powiedział Warren. - Ponieważ Fahrwaz sprzedaje narkotyki, żeby mieć pieniądze na swoją rewolucję. Ponieważ panna Delorme płaci za nie bronią, a teraz siedzi właśnie w Bejrucie i zamierza wysłać partię heroiny do Stanów.

Na twarzy Metcalfe'a pojawiły się głębokie bruzdy.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Och, przestań być dzieckiem, Tom! - odezwał się Tozier. - Zrobiliśmy porządek w rezydencji Fahrwaza w Iranie. Sam zniszczyłem dziesięć ton opium, wysadzając je w powietrze. Ten kościsty staruch siedzi w tym po szyję.

Metcalfe powoli stanął na nogi.

- Dajesz słowo, Andy?

- O ile tylko coś dla ciebie znaczy - odparł Tozier. - Znasz mnie, Tom.

- Nie pozwolę się wykorzystywać - powiedział Metcalfe zduszonym głosem. - Jeanette wie, że nie lubię narkotyków. Jeżeli mnie w

to wplątała, zabiję tę sukę - przysięgam. - Odwrócił się do Warrena: - O jakiej ilości morfiny pan mówił?

- Około tony. Przypuszczani, że przed wysyłką przetworzą ją na heroinę. Jeżeli ta ilość heroiny znajdzie się jednorazowo na czarnym rynku, wolę nie myśleć o konsekwencjach.

- Tonął - wyszeptał Metcalfe z niedowierzaniem.

- Mogło jej być dwukrotnie więcej - stwierdził Tozier. - Ale zniszczyliśmy laboratorium. Twoja przyjaciółka starannie wszystko przygotowywała. To jeden z największych przemytów w historii.

Metcalfe zastanawiał się.

- Nie przypuszczam, żeby towar był tutaj - powiedział powoli. - Zaraz po moim przyjeździe pojawiła się karawana wielbłądów. Było mnóstwo gadania na ich temat, wszystko w wielkiej tajemnicy. Kiedy przenosili towar do ciężarówki, nikogo do niej nie dopuszczano. Odjechała o świcie.

- Więc co zamierzasz zrobić, Tom? - zapytał od niechcienia Tozier.

- Słuszne pytanie - Metcalfe głęboko wciągnął powietrze. - Przede wszystkim trzeba was stąd wydostać - a to wymaga niemal cudu - uśmiechnął się ironicznie. - Nic dziwnego, że Fahrwaz cały się gotuje.

- Możesz nam dostarczyć jakąś broń? Poczuliśmy się lepiej, mając w ręku splotę.

Metcalfe pokręcił głową.

- Nie ufają mi aż na tyle. Zrewidowali mnie, kiedy tu wchodziłem. Na zewnątrz stoi przez cały czas dwóch strażników. Tozier wysunął wskazujący palec.

- Musimy wyjść tymi drzwiami, bez względu na strażników. - Podniósł się raptownie i worek z nawozem osunął mu się na nogę. Od niechcienia odepchnął go butem, a potem przystanął i zaczął mu się przyglądać. Po chwili zapytał, myśląc o czymś intensywnie: - Czy mógłbyś załatwić dla nas parę kawałków węgla, Tom?

- Węgiel w Kurdystanie? - Metcalfe był tym wyraźnie ubawiony. Powędrował oczami za spojrzeniem Toziera, a potem schylił się, aby przeczytać napis na worku. - Ach, rozumiem. Sztuczka z Mwanza? - Wyprostował się. - Wystarczy węgiel drzewny?

- Czemu nie. Nie potrzebujemy go dużo. Ile oleju jest w tej puszczy, którą znalazłeś, Johnny?

- Około kwarty. A bo co?

- Wysadzimy te drzwi z zawiasów. Będzie nam potrzebny detonator. Tom, jak podejdziesz do land-roverów, zobaczysz, że w jednym z nich jest zegar. Odkręć go i przynieś tutaj,

razem z węglem.

- A niby jak mam go tu przemycić?

- Znajdziesz jakiś sposób. Idź już, Tom.

Metcalf zaskoczył drzwi i został wypuszczony. Kiedy się za nim zamknęły, Warren zapytał:

- Myślisz, że on... nie stanowi zagrożenia?

- Dla nas nie - odparł Tozier. - Dla Fahrwaza - tak. Znam Toma Metcalfe'a bardzo dobrze.

Wpada w szal, kiedy tylko ktoś wspomni o

narkotykach. Jeżeli wyjdziemy z tego cało, będzie mi cholernie żal panny Delorme -

obedrze ją ze skóry. - Schylił się i zaczął otwierać worek z nawozem.

Masz zamiar wysadzić te drzwi za pomocą nawozu - stwierdził beznamyślnie Follet. -

Naprawdę tak powiedziałeś, czy już mi się wszystko miesza?

- Tak powiedziałem - zapewnił go Tozier. - Tom i ja byliśmy razem w Kongo. W pobliżu

Mwanza nieprzyjaciel wysadził skały i zablokował drogę, żeby nasze ciężarówki nie mogły

przejechać. Brakowało nam amunicji i materiałów wybuchowych, ale mieliśmy tajną broń -

faceta z Południowej Afryki o nazwisku van Niekerk, który był kiedyś górnikiem w

Witwatersrand.

Wsadził rękę do worka i wyjął z niego garść białego proszku.

- To sztuczny nawóz - azotan amonowy. Skutecznie wzbogaca glebę w azot. Ale van Niekerk

wiedział o nim coś więcej. Jeżeli weźmie się sto funtów tego proszku, trzy kwarty ropy, dwa

fundy pyłu węglowego i zmiesza się to wszystko, powstaje coś w rodzaju

czterdziestoprocentowego dynamitu. Zapamiętałem to na zawsze. Van Niekerk napędził mi

strachu - przyrządził tę miksturę w betoniarni.

- Czy ten nawóz będzie dobry? - zapytał z niedowierzaniem Follet.

- Nie potrzebujemy go tak dużo - odparł Tozier. - Nie wiem tylko, czy nadadzą się zastępcze

składniki. Ale jak wszystko wyjdzie, będzie bombowo. - Uśmiechnął się. - To cholernie

nieprzyjemna gra słów. Van Niekerk twierdził, że w kopalniach złota w Południowej Afryce

często wysadza się w ten sposób skały. Stwierdzili, że przygotowywanie mieszanki na

miejscu jest bezpieczniejsze - i mniej kosztowne - niż magazynowanie dynamitu.

- Ale będzie nam potrzebny węgiel - przypomniał Warren.

- I detonator. Możemy właściwie odpocząć, dopóki nie wróci Tom.

"O ile w ogóle wróci" - pomyślał Warren. Usiadł na skrzyni i popatrzył ponuro na worek z

nawozem. Swego czasu powiedział w Londynie Hellierowi, że jada właściwie na wojnę. Ale

zęby rozgrywać ją, cholera, w taki sposób!

III

Metcalf wrócił w ciągu godziny. Wszedł paląc cygaro i lekko utykając. Kiedy tylko

zamknęły się drzwi, oderwał z cygara żarzącą się końcówkę i wręczył ją Tozierowi.

- To kawałek węgla drzewnego - oznajmił. - Kiedy mnie rewidowali, przekładałem cygaro z

ręki do ręki. W butach mam tego węgla dużo więcej.

- A detonator? - zapytał z niepokojem Tozier.

Metcalf rozpiął pasek i zaczął grzebać w spodniach. Wyjął zegar z jakiegoś tajemniczego

schowka i podał mu go. Szpic detonatora wystawał pod kątem prostym z tylnej ścianki.

- Jak mogli tego nie znaleźć, kiedy pana przeszukiwali? - zapytał nieco podejrzliwie Follet.

Metcalf skrzywił się:

- Wsadziłem sobie ten detonator w tyłek i przez cały czas siedłem sztywno. Założę się, że

zaczną mi się robić hemoroidy.

- To wszystko dla sprawy - powiedział ze zjadliwym uśmiechem Tozier. - Miałeś jakieś

problemy, Tom?

- Żadnych. Opowiedziałem Fahrwazowi w miarę prawdziwą historyjkę, zostawiając w niej

jednak trochę luk. Przysłał mnie z powrotem, żeby je uzupełnić. Ustalmy lepiej, co robimy.

Przez jakiś czas zostawią was w spokoju. Staruszek powiedział, że jest zmęczony i kładzie

się spać. - Zerknął na zegarek. - Za trzy godziny będzie świtało.

- Może lepiej uciekać nocą - zaproponował Tozier. Metcalfe zdecydowanie pokręcił głową.

- W nocy nie mielibyście szans. Złapią was, zanim znajdziecie wyjście. Najlepiej uciekać o brzasku, bo wtedy będzie widać drogę. Poza tym zyskam trzy godziny czasu. Mam parę pomysłów, jak odwrócić ich uwagę. Z jaką dokładnością możesz nastawić ten zegar?

- Do jednej minuty.

- To wystarczy. Nastaw na piątą trzydzieści. O tej porze będzie się sporo działo. - Metcalfe przykucnął i zaczął rysować coś na piaszczystym dnie jaskini. - Wasze land-rovery są tutaj, z kluczykami w stacyjkach - sprawdziłem to. Tu jest wyjście. Przy wysadzaniu drzwi strażnicy zginą albo cholernie się przestraszą. W obu wypadkach nie musicie się ich obawiać, jeżeli będziecie działać prędko. Po wydostaniu się z jaskini skierujcie się w lewo - nie tam, skąd was przyprowadzili. O jakieś dziesięć jardów dalej schodzi ze skalnej półki w dolinę cholernie stroma ścieżka.

- Na ile stroma?

- Dacie sobie radę - zapewnił Metcalfe. - A teraz posłuchajcie. Z doliny jest tylko jedno wyjście - przez wąwóz. Dostaniecie się do samochodów, wjedziecie do wąwozu i staniecie przy pierwszym ostrym zakręcie. Będę jechał tuż za wami jedną z ciężarówek Fahrwaza, a potem unieruchomię ją i zostawię na drodze. Jeżeli uda nam się zablokować wąwóz, mamy szansę uciec. Tylko, na litość boską, zaczekajcie na mnie!

- W porządku, Tom.

Metcalfe zdjął buty i wytrząsnął z nich na kupkę czarny proszek, wyjmując następnie ze skarpetek laski węgla drzewnego.

- Mam nadzieję, że to się nada - stwierdził z powątpiewaniem. - Bo jak nie, będziemy w opałach.

- To nasza jedyna szansa - zauważył Tozier. - Nie ma się nad czym zastanawiać. - Spojrzał na Metcalfe'a i powiedział: - Dzięki za wszystko, Tom.

- Czego się nie robi dla starego kumpla - odparł niefrasobliwie Metcalfe. - Powiniennem już iść. Pamiętaj - piąta trzydzieści. Strażnik wypuścił go z celi, a Warren zapytał z namysłem:

- Jak myślisz. Andy - czy Metcalfe pomógłby staremu kumplowi, gdyby nie chodziło o narkotyki?

- Dobrze, że nie muszę tego sprawdzać - powiedział oschle Tozier. - Najemnik, tak jak polityk, jest dobry wtedy, gdy dochowuje wierności temu, kto go opłaca. Walczyłem po tej samej stronie, co Tom Metcalfe, i po przeciwnej. Całkiem możliwe, że kiedyś do siebie strzelaliśmy. Myślę, że gdyby nie chodziło o narkotyki, musielibyśmy liczyć tylko na siebie. Mamy cholernie szczęście, że poczuł się oszukany.

- I że nam uwierzył - stwierdził Follet.

- To prawda - przyznał Tom. - Inna sprawa, że znamy się z Tomem jak łyse konie. Żaden z nas nigdy drugiego nie okłamał, więc nie ma powodu, by mi nie ufał. No dobrze, bierzmy się do roboty.

Follet i Warren mieli ucierać nawóz na miarki proszek, używając misek jako moździerz, a łyżek jako tłuczków.

- Nie mogą pozostać żadne grudki.

- Czy to bezpieczne? - dopytywał się zdenerwowany Follet.

- To tylko nawóz - uspokoił go Tozier. - Nawet gdy go zmieszamy, do eksplozji niezbędny będzie detonator. - Zaczął obliczać ilość i wagę poszczególnych składników, a potem zabrał się za tłuczenie węgla drzewnego. Po chwili poszedł w głąb jaskini, poszperał w skrzynce, w której leżały części silnika i wrócił z zaszpunktowaną z jednej strony rurką. - Właśnie tego nam potrzeba. Kompletnie wyposażenie dla anarchisty-amatora. Robiłeś już kiedy bomby, Nick?

- To chyba mało prawdopodobne, nie uważasz?

- Pewnie. To nie twoja działka. Ale ja już miewałem z tym do czynienia. Kiedy jest się po stronie przegrywających, zaczyna zwykle brakować pieniędzy i sporo rzeczy trzeba łątać. Złożyłem kiedyś z sześciu wraków całkiem sprawny czołg. - Uśmiechnął się. - Ale ta robota

przypomina mi za bardzo historię o Mojżeszu - wyrabianie cegieł bez słomy.

Wyczyścił dzbanek do kawy i starannie go wytarł, a potem wsypał do środka utarty nawóz i cały czas mieszając, dodawał stopniowo sproszkowany węgiel. Kiedy uznał, że proporcje są już właściwe, podał dzbanek Folletowi.

- Mieszaj dalej - przynajmniej nie będziesz się nudził. Podniósł puszkę z olejem napędowym i popatrzył na nią bez przekonania.

- W przepisie jest mowa o ropie. Nie wiem, czy to się nada. Ale nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy, więc trzeba wszystko zmiksować. - Wlał trochę oleju do trzymanego w wyciągniętej ręce dzbanka. - Mieszaj, Johnny. Nie można dolewać za dużo, żeby nie zrobiła się z tego pasta. Masa musi być na tyle wilgotna, by się nie kruszyła, kiedy ściśnię się ją w ręce.

- Ściskaniem zajmij się sam-stwierdził Follet - Ja ściskam tylko dziewczyny.

Tozier roześmiał się.

- Są tak samo wybuchowe, jeżeli nieodpowiednio się do nich podejdziesz. Daj mi to. -

Spróbował ugnieść masę w ręce, a potem dolał jeszcze trochę oleju. Okazało się, że za dużo i trzeba było wyrównać proporcje, dodając nawozu i węgla. Dopiero po pewnym czasie doszedł do wniosku, że wszystko jest jak należy i powiedział: - W porządku. Teraz zrobimy bombę.

Wziął rurkę, sprawdził, czy jest dobrze zaszpuntowana, po czym zaczął napełniać ją z drugiego końca mieszanką wybuchową, którą wpychał do środka długim prętem. Follet przyglądał się temu przez chwilę i nagle powiedział nerwowo:

- Andy, zostaw to. Tozier znieruchomiał.

- O co chodzi?

- To rurka ze stali, prawda? - zapytał Follet.

- No i co?

- I upychasz masę stalowym prętem. Na miłość boską, nie zrób iskry!

Tozier wypuścił powietrze z płuc.

- Postaram się - stwierdził i zaczął dużo ostrożniej poruszać prętem. Napełnił całą rurkę masą, starannie ją upychając, a potem wziął do ręki zegar, nastawił go i wcisnął trzpień detonatora w koniec rurki. - W głębi jaskini leży parę kawałków blachy, a skrzynia, na której siedzi Warren, jest skręcona śrubami. Dzięki temu będziemy mogli przymocować rurkę do drzwi.

Potrwało to bardzo długo, gdyż musieli pracować w ciszy, obawiając się, by strażnicy nie zwrócili na nich uwagi. Zanim skończyli, mały scyzoryk Toziera, którego używali jako prowizorycznego śrubokręta, miał połamane wszystkie ostrza. Tozier przyjrzał się krytycznie bombie, a potem popatrzył na zegarek.

- Zajęło nam to więcej czasu niż przypuszczałem. Jest już prawie piąta. Zostało niewiele ponad pół godziny.

- Nie chcę wyjść na zrzedę - stwierdził Follet - ale siedzimy teraz zamknięci w jaskini z bombą, która zaraz wybuchnie. Pomyślałeś o tym drobiazgu? -

- Jeżeli położymy się z tyłu, za tamtymi skrzyniami, powinniśmy być bezpieczni.

- Dobrze, że jest z nami lekarz - powiedział Follet. - Może pan się okazać potrzebny, Nick, jeżeli ta petarda naprawdę zadziała. Idę znaleźć sobie jakiś bezpieczny kąć.

Warren i Tozier poszli za nim w głąb jaskini i zbudowali tam prowizoryczną barykadę ze skrzyń, a potem położyli się, używając worków ze słomą jako materacy. Przez następne pół godziny czas bardzo się dłużył. Warren był zdumiony, bo w pewnej chwili poczuł, że usypia. Śmiały się, gdyby ktoś mu powiedział, że coś podobnego może się zdarzyć w tak krytycznej sytuacji. Nie było w tym jednak właściwie nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że nie spał już drugą dobę.

Tozier obudził go kuksańcem.

- Zostało pięć minut. Bądź gotowy.

Warrenowi kłębiło się w głowie mnóstwo pytań. Czy ta idiotyczna bomba Toziera zadziała? Jeżeli tak, czy okaże się wystarczająco skuteczna? A może aż za bardzo? Follet wyraził już

swoje obawy na ten temat.

- Cztery minuty - oznajmił Tozier, wpatrując się w zegarek. - Johnny, ruszasz pierwszy, potem Nick. Ja biegnę na końcu.

Mijały sekundy i Warren obserwował, jak ogarnia go coraz większe napięcie. Zaszło mu w gardle i odczuwał dziwne ssanie w żołądku, jakby był bardzo głodny. Jakiś zakątek jego świadomości odnotowywał beznamiętnie te objawy.

"A więc to jest uczucie przerażenia" - pomyślał.

- Trzy minuty - oznajmił Tozier, a zaledwie to powiedział, od strony drzwi rozległy się jakieś odgłosy. - Niech to szlag! - wyszeptał. - Ktoś wchodzi.

- W cholernie dobrym momencie - mruknął Follet.

Zaskrzypiały otwierane drzwi, a kiedy Tozier uniósł ostrożnie głowę, zobaczył w szarym świetle poranka sylwetki jakichś mężczyzn. Drwiący głos Ahmeda odbił się echem od kamiennych ścian:

- Cóż to, wszyscy śpią? Nikogo nie męczą wyrzuty sumienia? Tozier podniósł się na łokciu i przeciągnął się, jakby właśnie go obudzono.

- Czego pan znowu chce, do cholery? - zapytał opryskliwym tonem.

- Chcę z kimś porozmawiać - odparł Ahmed. - Któż to mógłby być? Jak pan myśli, panie Tozier, kogo powinniśmy zabrać najpierw?

Tozier próbował zyskać na czasie. Spojrzał na zegarek i powiedział:

- Na mój gust, za wcześnie pan zaczyna. Proszę wrócić za godzinę. Albo niech pan lepiej w ogóle nie wraca. Jeszcze półtorej minuty. Ahmed rozłożył ręce.

- Żałuję, że nie mogę spełnić pańskiej prośby. Mój ojciec źle sypia - to starszy człowiek.

Właśnie się obudził i bardzo się niecierpliwi.

- W porządku - odparł Tozier. - Ej, wy dwaj, obudźcie się! Za minutę macie być na nogach. Słyszycie? Za minutę!

Warren pojął wypowiedziane z naciskiem słowa i przyłgął do podłogi.

- O co chodzi, Andy? - odezwał się. - Jestem zmęczony.

- A, pan Warren - powiedział Ahmed. - Mam nadzieję, że dobrze pan spał. - Jego głos nabrał ostrego tonu: - Wstawać, wszyscy. A może mam kazać was stąd wyciągnąć? Ojciec czeka już, żeby wam pokazać, jak wygląda typowa kurdyjska gościnność - oznajmił i roześmiał się.

Tozier zdążył na niego spojrzeć, zanim rzucił się na ziemię. Ahmed jeszcze się śmiał, kiedy nastąpiła eksplozja. Wyrwane z zawiasów drzwi poleciały z impetem na roześmianego człowieka, przygniatając go do skalnej ściany. Podniósł się tuman kurzu, a w oddali słychać było czyjś krzyk.

- Naprzód! - wrzasnął Tozier.

Zgodnie z planem Follet pierwszy znalazł się za drzwiami. Zrobił skręt w lewo, potknął się o leżące na skalnej półce ciało i o mało nie spadł z krawędzi urwiska. Warren, który biegł tuż za nim, błyskawicznie wyciągnął rękę i uchronił go przed upadkiem.

Follet szybko się pozbierał i popędził wzdłuż skalnej półki. Tam, gdzie zaczynała się ścieżka, stał strażnik. Rozdziawił ze zdumienia usta i próbował pośpiesznie zdjąć karabin. Follet dopadł go, zanim tamten mógł skorzystać z broni i dał mu pięścią w twarz. Wewnątrz pięści miał duży stalowy pręt i Warren wyraźnie usłyszał chrzęst miażdżonej szczęki. Strażnik wydał zdławiony jęk i upadł. Prowadząca w dolinę wąska ścieżka była wolna.

Follet zbiegał po niej niebezpiecznie szybko, ślizgając się i potykając. Spod jego butów osuwały się lawiny kurzu i kamieni. Warren zawadził nogą o skałę i poleciał do przodu, myśląc przez ułamek sekundy, że upadnie, ale Tozier chwycił go swą potężną dłońią za pasek i przytrzymał. To były jedyne trudności, jakie napotkali schodząc w dolinę.

Tymczasem w okolicy zaczęły się dziać różne rzeczy. Wybuchła strzelanina, przy czym jazgot ręcznej broni przeplatał się z poważniej brzmiącymi odgłosami wybuchających granatów. Jedna z odleglejszych jaskiń wyleciała z hukiem w powietrze, a część skalnej półki osunęła się nagle w dolinę. Metcalfe "odwracał uwagę przeciwnika", wywołując coś w rodzaju małej wojny.

Biegli w kierunku land-roverów w nikłym świetle poranka. Jakiś człowiek z przetrąconym kręgosłupem leżał, wijąc się z bólu, poniżej jaskini, w której ich więziono i Warren domyślił się, że wybuch bomby Toziera zdmuchnął go ze skalnej półki. Przeskoczył przez poruszające się jeszcze ciało i popędził za Folletem. Za sobą słyszał miarowy stukot butów Toziera.

Nagły hałas spłoszył niewielkie stado przywiązanych w pobliżu wielbłądów. Niektóre z nich zaczęły się szarpać, powyrywały słupki i popędziły wzdłuż doliny, powodując jeszcze większe zamieszanie. Warrenowi bzyknęło coś koło ucha, potem usłyszał ostry brzdęk i świst kuli odbijającej się od skały. Pojął, że wśród ogólnego popłochu ktoś zdążył oprzytomnieć już na tyle, by do nich strzelać. Nie miał jednak czasu zamartwiać się z tego powodu. Koncentrował uwagę wyłącznie na tym, by jak najszybciej dostać się do land-roverów.

Miał do przebycia sto jardów. Oddech wiązał mu w gardle, gdy wyteżał płuca, a jeszcze bardziej gdy napinał nogi. Z przodu pojawiło się nagle przed pojazdami trzech Kurdów i jeden z nich przykłękał już z podniesionym karabinem, gotów wystrzelić z bliskiej odległości. Wyglądało na to, że nie może chybić, ale kula trafiła przebiegającego właśnie wielbłąda. Follet uskoczył w prawo, wykorzystując ślaniające się zwierze jako osłonę. Inny szalejący wielbłąd powalił drugiego z Kurdów.

Follet skoczył na niego, z całej siły wbijając mu w gardło czubek buta. Sięgnął po leżący karabin i zaczął strzelać w biegu, prędko, lecz niedokładnie. Niespodziewany grad kul wystarczył jednak, aby dwaj przeciwnicy rzucili się do ucieczki i droga była wolna. Pozostawiali za sobą jeden wielki chaos, gdyż rozszałałe wielbłądy wrywały się, kopały i coraz więcej zwierząt, uwolniwszy się z pęt, uciekało w dolinę. Warren pomyślał później, że jedynie to ich uratowało. Żaden ze znajdujących się w pobliżu Kurdów nie mógł w tym zamieszaniu celnie strzelać i kule trafiały w powietrze. Dobiegł do najbliższego land-rovera, jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki i wskoczył do środka.

Przekręciwszy kluczyk w stacyjce zobaczył, że drugi land-rover rusza, buksując kołami, a Tozier biegnie obok. Wskoczył do wozu dopiero wtedy, gdy Follet otworzył mu drzwiczki. Kule wzbily fontanny piasku w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą były nogi Toziera, ale on siedział już bezpiecznie w kabinie. Warren, przerzucając ostro biegi, ruszył za Folletem z nadzieją, że tamten pamięta drogę do wąwozu.

Rzucił okiem w boczne lusterko i zobaczył, że z tyłu jedzie wielka ciężarówka. To zapewne Metcalfe starał się zablokować wąwóz. Ruchoma przednia szyba ciężarówki była podniesiona i Warren zobaczył z daleka opaloną twarz i błysk białych zębów. Metcalfe po prostu się śmiał! Rzut oka wystarczył też Warrenowi, by zorientować się, że z ciężarówką coś jest nie w porządku. Ciągnęła za sobą gęstą chmurę czarnego dymu, który kłębił się i płynął w kierunku doliny. Nagle gdzieś z tyłu rozległy się dwa krótkie głucho uderzenia i boczne lusterko land-rovera w jednej chwili rozpadło się na kawałki.

Warren gwałtownie nacisnął gaz i popędził za Folletem, który wjeżdżał właśnie do wąwozu. Pamiętał jak przez mgłę, że o sto jardów dalej jest ostry zakręt, ale pojawił się on nadszpiekowanie prędko, musiał więc błyskawicznie hamować, aby nie wpaść na Folleta. Słyszac za plecami głośny huk, odwrócił głowę, aby się obejrzeć. Metcalfe zjechał w bok i uderzył ciężarówką w ścianę wąwozu, całkowicie blokując przejazd. Gramolił się właśnie przez przednią szybę, a z ciężarówki wydobywał się nadal gęsty czarny dym. Warrenowi przyszło na myśl, że było to celowe. Metcalfe mógł postawić zasłonę dymną, żeby ukryć ich ucieczkę w kierunku wąwozu.

Metcalfe przybiegł, wymachując automatem, pokiwał do Folleta, który siedział w pierwszym wozie i krzyknął: - Jedziemy! - Potem wskoczył na fotel obok Warrena i powiedział zdyszany: - Zaraz będzie tu piekielna eksplozja. Ta ciężarówka, która tak ładnie się pali, jest pełna pocisków od mózdzierzy.

Follet ruszył, a Warren pojechał za nim. Za ledwie znaleźli się za zakrętem, w płonącej ciężarówce nastąpił pierwszy wybuch, któremu towarzyszyły takie odgłosy, jakby pułk piechoty odbywał ćwiczenia na strzelnicy.

- Otworzyłem parę skrzynek z amunicją i trochę tego porozrzuciłem - wyjaśnił Metcalfe. - Przez najbliższe pół godziny przechodzenie obok tej ciężarówki będzie cholernie ryzykowne. Warren stwierdził, że nie potrafi opanować drżenia rąk na kierownicy i jadąc przez pełen zakrętów wąwóz czynił rozpaczliwe wysiłki, aby się uspokoić.

- Czy możemy napotkać tu jakiś opór? - zapytał.

- To cholernie prawdopodobne - odparł Metcalfe, odbezpieczając automat. Zobaczywszy mikrofon, wziął go do ręki. - Działa? Jest podłączony?

- Będzie działał, jeżeli się go uruchomi. Nie wiem tylko, czy Andy jest na podsłuchu.

- Na pewno - stwierdził z przekonaniem Metcalfe, pstrykając przełącznikami. - Taki stary wyga, jak on, nie zaniedbuje łączności. - Podniósł mikrofon do ust. - Cześć, Andy. Słyszysz mnie? Odbiór.

- Słyszę cię, Tom - odezwał się metaliczny głos Toziera. - Znakomicie wszystko zorganizowałeś. Odbiór.

- Jestem do usług - odparł Metcalfe. - Możemy jeszcze napotkać opór. Fahrwaz ma przyczółek po drugiej stronie wąwozu. Najwyżej kilkunastu ludzi, ale uzbrojonych w karabin maszynowy. Masz jakiś pomysł? Odbiór.

Z głośnika rozległ się stłumiony okrzyk, po czym Tozier zapytał:

- Ile mamy czasu? Odbiór.

- Około dwudziestu minut. Najwyżej pół godziny. Odbiór. Głośnik zaszumiał, a potem lekko zatrzeszczał.

- Stańmy gdzieś na uboczu - powiedział Tozier. - Chyba sobie poradzimy. Wyłączam się. Metcalfe odłożył mikrofon na miejsce.

- Andy to dobry chłopak - powiedział beznamiętnie. - Ale tym razem musi się okazać cholernie dobry. - Przekreślił przewieszoną na ramieniu torbę, aby móc ją rozpiąć, po czym wskazał kciukiem w tył pojazdu. - Idę tam, ale zaraz wrócę.

Wspiął się na tył land-rovera i Warren, zerkając we wsteczne lusterko, zobaczył, że co pewien czas podnosi rękę, jakby coś wyrzucał. Kiedy wrócił na swoje miejsce, cisnął przez okno pustą torbę.

- Co pan tam wyrzucał? - zapytał zaintrygowany Warren.

- Kotwiczki. Przebijają opony - odparł Metcalfe z uśmiechem. - Zawsze upadają w taki sposób, że jeden kolec sterczy w górę. Kurdowie często z nich korzystają, kiedy ścigają ich irackie patrole z wozami pancernymi. Nie widzę powodu, by nie mogli raz sami na nie wjechać.

Warrenowi przestały się trząść ręce. Rzeczowość i opanowanie tego człowieka podziałały na niego uspokajająco. Zwolnił przed następnym ostrym zakrętem i zapytał:

- Jak pan zorganizował tą całą hecę w dolinie?

- Wzniciłem pożar w składzie amunicji - oznajmił wesoło Metcalfe - i podłożyłem ładunek z opóźnionym zapalnikiem w magazynie z pociskami do moździerzy. Przywiązałem też sznurki do całego mnóstwa granatów, mocując je z drugiej strony do ciężarówki. Kiedy ruszyła, pociągnęła za wszystkie zawleczone granaty - zaczęły wybuchać. Może staruszek Fahrwaz ma jeszcze karabiny, które mu przywiozłem, ale nie będzie miał czym z nich strzelać.

Daleko za nimi rozległy się kolejne eksplozje, których odgłos stłumiły skaliste ściany wąwozu. Metcalfe uśmiechnął się z zadowoleniem, a Warren zapytał:

- Jak daleko jeszcze?

- Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi. - Wziął mikrofon i położył go sobie na kolanach. Po chwili zbliżył go do ust i powiedział: - Dojeżdżamy, Andy. Zatrzymaj się za następnym zakrętem. Odbiór.

- W porządku, Tom. Bez odbioru.

Kiedy Follet zaczął zwalniać, Warren zatrzymał wóz. Metcalfe zeskoczył na ziemię i podszedł do Toziera, który zapytał:

- Jaką mamy sytuację? Metcalfe wskazał głową na drogę.

- Wąwóz kończy się zaraz za tym zakrętem. Jest tam niewysokie skaliste wzgórze - w

Południowej Afryce mówimy na nie "kopje". Góruje nad wejściem do wąwozu, a nasi chłopcy są na jego szczycie.

- Jak to daleko stąd? Metcalfe zadął głowę.

- Jakies czterysta jardów. - Wskazał ręką ścianę wąwozu. - Jeżeli się tam wdrapiesz, sam się przekonasz.

Tozier spojrział w górę, kiwnął głową i odezwał się do Warrena:

- Nick, pomożesz Johnny'emu. Najpierw wyjmij zapasowe koło. I zrób to ostrożnie - bez żadnych metalicznych odgłosów.

- Zapasowe koło...? - powtórzył Warren, marszcząc brwi. Ale Tozier zdążył się już oddalić i rozmawiał z Folletem. Warren wzruszył tylko ramionami i wyciągnął korbę, aby odkręcić śruby mocujące zapasowe koło.

Metcalfe i Tozier zaczęli się wspinać po zboczu wąwozu, Follet zaś przyszedł pomóc Warrenowi. Wyjęli zapasowe koło i Follet toczył je po ziemi, jakby szukał dla niego jakiegoś specjalnego miejsca. Wreszcie ostrożnie je położył i wrócił do Warrena.

- Niech pan wyciągnie lewarek - powiedział i, ku zaskoczeniu Warrena, wsunął się po land-rover, ściskając w ręce klucz.

Warren znalazł lewarek i położył go na ziemi. Follet powiedział stłumionym głosem:

"Proszę mi pomóc", więc Warren przyklęknął i zobaczył, że tamten pracowicie zdejmuje z rury wydeć nowej tłumik. Wziąwszy go do ręki, przekonał się, że jest zaskakująco ciężki i tylko trochę nagrzanym. Kiedy wymontowali tłumik, Follet odkręcił jeszcze parę śrub i ściągnął przymocowane do niego przegrody.

- Niech pan zanieś go tam - powiedział, wskazując głową w kierunku koła. Johnny sam wziął lewarek i skrzynkę z narzędziami. Warren rzucił tłumik obok koła i zapytał:

- Co my właściwie robimy?

- Składamy moździerz - wyjaśnił Follet. - Koło posłuży za podstawę. Dzięki Kryzie opiera się mocno o ziemię. Tłumik będzie lufą. Nie przypuszczał pan, że do land-roverów produkuje się takie tłumiki, prawda? - Zaczął się śpieszyć. - Te uchwyty mocuje się tutaj, do koła. Proszę mi pomóc.

Uchwyty pasowały idealnie do nacięć w kole. Follet przeciągnął pręt przez rząd otworów.

- Ten lewarek zastąpi mechanizm podnośnika - wyjaśnił. - Montuje się go w ten sposób, że kiedy obraca się korbą, lufa podnosi się albo opada. Proszę tylko dokręcić te śruby, dobrze? Pobiegł z powrotem do wozów, pozostawiając Warrena oniemiałego ze zdumienia, nie na tyle jednak, by zapomniał, że trzeba się śpieszyć. Po chwili Follet wrócił i rzucił na ziemię zwykłą ekierkę z przezroczystego plastiku.

- Trzeba ją przykręcić do podnośnika. Są już tam wywiercone otwory.

Warren przymocował ekierkę w odpowiednim miejscu i zobaczył, że służy jako prosty dalmierz.

Metcalfe i Tozier obserwowali tymczasem z wysoka skaliste wzgórze. Leżało rzeczywiście w odległości około czterystu jardów. Widzieli wyraźnie kilku stojących na szczycie mężczyzn.

- Czy Fahrwaz ma z nimi kontakt przez telefon albo coś w tym rodzaju? - zapytał Tozier.

Metcalfe przechylił głowę, nasłuchując odległego grzmotu.

- W tej sytuacji nie jest mu potrzebny - stwierdził. - Ci chłopcy doskonale słyszą, co się dzieje. Zaczynają się już niepokoić. Spójrz na nich.

Ludzie na wzgórzu obserwowali wejście do wąwozu, żywo gestykulując. Tozier wyjął niewielki kompas i starannie go ustawił.

- Mamy moździerz - oznajmił. - Johnny Follet właśnie go składa. Mamy też lekki karabin maszynowy. Jeżeli go tu wciągniemy, będziesz mógł ostrzelać szczyt wzgórza i sprowokować ich ogień. - Odwrócił się i spojrział ponownie na moździerz. - Jak tylko się dowiemy, gdzie mają cekaem, załatwimy go pociskami z moździerza.

- Ależ z ciebie podstępna kanalia, Andy - powiedział czule Metcalfe. - Zawsze to powtarzam i Bóg mi świadkiem, że mam rację.

- Nasz kaem nie ma taśmy ani bębna, tylko lejek, do którego wrzuca się pojedyncze naboje. Powinieneś sobie z nim poradzić.

- To mi przypomina japońskie "nambu". Dam sobie radę.
- Będziesz też naszym zwiadem artyleryjskim - dodał Tozier. - Postrzelamy z dołu na oślep. Pamiętaj sygnały, których używaliśmy w Kongo?
- Pamiętam - odparł Metcalfe. - Wciągnijmy ten kaem na górę. Nie zdziwię się, jeżeli ci chłopcy zejść do wąwozu, żeby sprawdzić, co się dzieje.
Kiedy znaleźli się na dole, Warren dokręcał w moździerz ostatnią śrubę. Metcalfe popatrzył z niedowierzaniem:
- Co za obłądna maszyna! To naprawę działa?
- Działa - odparł lakonicznie Tozier. - Sprawdź, jak Johnny radzi sobie z kaemem. Zostało niewiele czasu.
Przykłąknął na jedno kolano, sprawdził, czy moździerz jest dobrze zmontowany, a potem zaczął go ustawiać zgodnie ze wskazaniami kompasu.
- Damy zasięg czterystu jardów - powiedział. - I oby się udało.
- Nie wierzyłem ci, kiedy mówiłeś, że mamy moździerz - przyznał Warren. - A co z pociskami?
- To są bomby - poprawił go Tozier. - Mamy ich zaledwie kilka. Zauważyłeś może, że jesteśmy nieźle zaopatrzeni w gaśnice. Jedna leży pod maską obok silnika, jedna pod deską rozdzielczą i jedna z tyłu. W obu wozach jest ich w sumie sześć - i tyle właśnie mamy bomb. Pomóż mi je wyciągnąć.
Metcalfe wspiął się po ścianie wąwozu z powrotem na swoje stanowisko, wlokąc za sobą linę. Kiedy już się tam ulokował, wciągnął do góry kaem, napełnił lejek nabojami i położył broń przed sobą, opierając ją mocno na nóżkach. Starannie wymierzył celownik w niewielką grupę na wzgórzu, po czym odwrócił głowę i pomachał ręką.
Tozier odpowiedział mu i skinął na Folleta.
- Weź ten rozpylacz, który przyniósł Tom, i leć z powrotem do najbliższego zakrętu. Jeśli tylko coś się tam poruszy, strzelaj. Follet wskazał na moździerz.
- A co z tym?
- Nick i ja damy sobie radę. Nie będzie żadnej kanonady - mamy tylko sześć pocisków. Idź już. Chciałbym być spokojny, że ktoś mnie od tyłu ubezpiecza.
Follet skinął głową, wziął do ręki erkaem i pośpiesznie się oddalił. Tozier odczekał dwie minuty, po czym dał znak Metcalfe'owi. Ten wykonał kilka ruchów ramionami, żeby je rozluźnić, przyłożył policzek do kolby i spojrział przez celownik. Zobaczył wyraźnie pięciu mężczyzn. Nacisnął delikatnie spust i śmiertelne pociski pomknęły w kierunku wzgórza z prędkością dwóch i pół tysiąca stóp na sekundę. Z tej odległości nie mógł chybić. Przesuwał powoli karabin, kosząc gradem kul wierzchołek wzgórza i w pewnej chwili nie ujrzał już tam nikogo.
Przerwał ogień i czekał, aż coś się zdarzy. Poruszając się bardzo wolno, wysunął rękę i wrzucił do lejka garść naboji. Ta pierwsza długa seria kosztowała go ogromną ilość amunicji. Zlustrował uważnie wzgórze, nie dostrzegł tam jednak żadnego ruchu. Dwukrotnie rozległ się wystrzał z karabinu, ale obie kule chybiły. Ktoś strzelał na oślep. Cekaem ustawiono na przyczółku w taki sposób, żeby kontrolował otwartą przestrzeń przed wejściem do wąwozu. Najwyraźniej nikt nie wziął pod uwagę, że atak może nastąpić od tyłu, potrzebowali więc trochę czasu na reorganizację. Uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją na myśl o szaleńczych wysiłkach, jakie niewątpliwie czyniono po drugiej stronie wzgórza. Przerażenie tych ludzi też musiało być niemałe.
Karabin znowu wypalił dwa razy z rzędu i Metcalfe doszedł do wniosku, że strzelają dwie różne osoby. Miał ściągnąć na siebie ogień, postanowił więc podrażnić przeciwnika. Ponownie nacisnął spust i wypuścił oszczędną krótką serię pięciu pocisków. Tym razem odpowiedział mu ciągły ogień cekaemu i grad kul, uderzających o skały na lewo od niego, trzydzieści jardów w bok i dziesięć w dół.
Nie zauważył, skąd strzelano, wypuścił więc kolejną krótką serię, która ponownie wywołała odzew. Tym razem ich zlokalizował. Przenieśli cekaem na drugą stronę wzgórza i ukryli go za stosem kamieni, mniej więcej w połowie wysokości zbocza. Dał znak Tozierowi, który

pochylił się, aby nastawić moździerz.

Tozier pociągnął za sznur i moździerz wypalił. Warren zobaczył na tle nieba cienką smugę dymu, kiedy pocisk zatoczył łuk i zniknął z pola widzenia, natomiast Tozier patrzył już w kierunku Metcalfe'a, aby dowiedzieć się o wynik próbnego strzału.

Mruknął z niezadowoleniem, gdy Metcalfe pokazał mu ręką jakieś skomplikowane znaki.

- O trzydzieści jardów za blisko - i dwadzieścia bardziej w lewo. - Zmienił kąt podniesienia i lekko przesunął moździerz, po czym ponownie go załadował. - Teraz powinno być lepiej. - Moździerz wystrzelił po raz drugi.

Kolejna bomba eksplodowała dokładnie na linii stanowiska cekaemu, ale za daleko. Jakiś człowiek rzucił się do ucieczki i Metcalfe z zimną krwią powalił go krótką serią na ziemię, po czym dał znak Tozierowi, by zredukował odległość.

"Są już na pewno ogłupiali z przerażenia" - pomyślał, ale natychmiast zmienił zdanie, gdyż cekaem odezwał się ponownie, i tuż pod jego stanowiskiem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wystrzeliły w górę fontanny ziemi, a nad głową przeleciały mu ze świstem odłamki skał. Musiał szukać schronienia, gdyż miejsce, w którym przed chwilą się znajdował, zasypał grad ołowiu, a uderzenia kul wytrąciły mu z ręki broń.

Ale trzecia bomba była już wówczas w powietrzu. Usłyszał jej wybuch i ogień cekaemu raptownie umilkł. Podniósł się i wyjrzał ostrożnie w kierunku wzgórza. Delikatna smuga dymu unoszącego się nad ziemią w ten bezwietrzny poranek wyznaczała miejsce upadku bomby - dokładnie na stanowisku cekaemu. Usłyszał za plecami przygłuszony huk, gdy moździerz ponownie wystrzelił i jeszcze jedna bomba upadła niemal w tym samym miejscu. Odwrócił się i krzyknął: - Wystarczy! Już oberwali! - Potem zaczął schodzić po zboczach, pośliznął się i zjechał na dół, w końcu stanął jednak na nogi. Podbiegł do moździerza i powiedział zdyszany: -Ruszajmy w drogę, póki się nie otrząsną. Rozpieprzyli mi to twoje cacko, Andy.

- Już się wysłużyło - stwierdził Tozier, włożył w usta dwa palce i zagwizdał ostro jak uliczny włóczęga: - Johnny powinien to usłyszeć.

Warren pobiegł do land-rovera i włączył silnik, a Metcalfe wskoczył na siedzenie obok niego.

- Ten Andy jest niesamowity - zagadnął. - Co za wspaniała kanonada! - Warren ruszył tak ostro, że Metcalfe'owi odskoczyła do tyłu głowa. - Ostrożnie, bo zrobi mi pan krzywdę! Oba land-rovery z rykiem silników wyjechały z wąwozu i minęły wzgórze, które spowijała nadal lekka mgielka dymu. Follet siedział z tyłu pierwszego wozu, mając przygotowaną broń, okazało się to jednak zbyt bezużyteczne. Nikt do nich nie strzelał, nie dostrzegli też żadnego ruchu. Warren zobaczył jedynie na skalistym zboczach trzy kupki łachmanów.

Metcalfe zdjął mikrofon.

- Przepuść nas, Andy. Znam drogę. Lepiej się pośpieszyć, zanim Ahmed odblokuje przejazd. Odbiór.

- Nie robi tego - stwierdził Tozier. - Nie żyje. Zderzył się z drzwiami. Odbiór.

- Niesamowite! - powiedział ze zdumieniem Metcalfe. - To był ukochany syn starego. Tym bardziej należy się śpieszyć. Fahrwaz będzie żądny zemsty. Im szybciej wydostaniemy się z tego kraju, tym lepiej. A to znaczy, że musimy pędzić do Mosulu na międzynarodowe lotnisko. Zjedźcie na bok - wyprzedzamy was. Bez odbioru.

Odłożył mikrofon i powiedział:

- Doktorze, jeżeli chce pan jeszcze leczyć ludzi, zamiast ich zabijać, niech się pan modli, żeby ten gruchot nie nawalił, zanim miniemy As-Sulajmanija. Naprzód, doktorze - i to prędko!

Dwa dni później wylądowali na międzynarodowym lotnisku Khaldeh w Libanie i pojechali taksówką do Bejrutu. Land-rovery pozostały w Mosulu pod opieką jednego z podejrzanych przyjaciół Metcalfe'a. Wysłużyły się już i nie były im więcej potrzebne.

- Bejrut to nasza ostatnia szansa - stwierdził Tozier. Kiedy zameldowali się w hotelu.

Warren oznajmił:

- Zadzwoń do Londynu. Hellier powinien nas poinformować, co się tu dzieje. Będzie wiedział, gdzie znaleźć Mike'a i Dana. Potem postanowimy, co robić dalej.

- Chciałbym teraz mocno zacisnąć ręce na pięknej szyi Jeanette - powiedział brutalnie Metcalfe.

Warren spojrział na Toziera i uniósł brwi. Tozier odezwał się cicho:

- Jesteś nadal po naszej stronie, Tom?

- Jestem. Mówiłem ci, że nie lubię, jak mnie wykorzystują. Można mnie kupić - tak jak ciebie - ale na moich warunkach. A to zawsze oznacza: żadnych narkotyków.

- Więc proponuję, żebyś zostawił pannę Delorme w spokoju - powiedział Tozier. - Ona się teraz nie liczy. Chodzi nam o heroinę. Kiedy już ją zniszczymy, zajmiesz się tą kobietą.

- Z wielką przyjemnością - stwierdził Metcalfe.

- W porządku - odezwał się ponownie Tozier. - Johnny, wynajmij samochód - albo lepiej dwa. Musimy się swobodnie poruszać. Jak tylko Nick skontaktuje się z Hellierem, bierzemy się do roboty.

Kiedy jednak Warren zadzwonił do Londynu, panna Walden oznajmiła mu, że Hellier jest w Bejrucie. Wystarczył szybki telefon do hotelu Saint-Georges i w pół godziny później siedzieli wszyscy w apartamencie Helliera, przedstawiając mu Metcalfe'a.

- Dołączył do nas w najbardziej odpowiednim momencie. Hellier rozejrzył się wkoło.

- Gdzie jest Bryan?

- Powiem panu później - jeśli naprawdę chce pan wiedzieć - odparł Warren. Zaczynał odnosić się do Helliera z niechęcią. Facet twierdził, że jest żądny krwi, ale jak dotąd nie narażał na szwank własnej skóry, a w Londynie sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej niż na Bliskim Wschodzie. Hellier wyjął z teczki jakieś papiery.

- Abbot coś pokręcił. Przekazał mi informację, że Delorme przemyca dwa tysiące funtów heroiny. Moim zdaniem to bzdura, ale nie mogę znaleźć Abbota, żeby te dane zweryfikować.

- Potwierdzam, że są prawdziwe - oznajmił Warren. - Gdyby nie Andy i Johnny, byłyby tego dwie tony, zamiast jednej.

- Niech mi pan wszystko opowie - poprosił Hellier. Warren spełnił jego prośbę, niczego nie opuszczając. Kiedy doszedł do tego, jaki los spotkał Bena Bryana, stwierdził z goryczą:

- Postąpił cholernie głupio. Mam wyrzuty sumienia, że pozwoliłem mu zawrócić.

- Bzdura! - zaprotestował Follet. - Ben sam dokonał wyboru. Warren zrelacjonował ich kolejne przygody, a kiedy skończył, Hellier był bardzo blady.

- To mniej. Więcej wszystko - stwierdził Warren bez entuzjazmu. - Przez cały czas nam nie wychodziło. Hellier bębnił palcami po stole.

- Chyba nie możemy ciągnąć tego dalej. To sprawa dla policji - niech się nią zajmą. Mamy już teraz wystarczająco dużo dowodów. Głos Toziera zabrzmiał stanowczo:

- Policja nie może się o tym dowiedzieć. Niech pan nie zapomina, w jaki sposób zdobyliśmy dowody. - Odwrócił się do Warrena: - Nikogo nie zabiłeś, Nick?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Warren, rozumiał jednak, co Tozier ma na myśli.

- Czyżby? A co zdarzyło się w Iranie na farmie Fahrwaza, tej nocy gdy wysadziliśmy laboratorium? Johnny jest przekonany, że przejechaliście człowieka.

- Stuknęliśmy go tak, że nie miał szans - przyznał Follet. - Poza tym leżał jeszcze na drodze, kiedy tamtędy wracaliśmy.

- Ten człowiek do nas strzelał - powiedział ze złością Warren.

- Powiedz to irańskiej policji - stwierdził pogardliwie Tozier. - Co do mnie, nie będę owijać w bawełnę, że w czasie tej ekspedycji zabijałem ludzi. Ahmed zginął od bomby, którą pomógł mi zrobić Warren. Parę następnych osób załatwiliśmy z moździerza. Na mój gust, spowodowaliśmy we dwóch śmierć kilkunastu ludzi. - Pochylił się naprzód. - Zwykle jestem kryty - pracuję dla rządu, co upoważnia mnie do zabijania. Ale tym razem jest inaczej i zgodnie z prawem cywilnym mogę zawisnąć na szubienicy. Dotyczy to nas wszystkich.

-Wycelował w Helliera wskazujący palec. - Pana także. Jest pan tak samo winny - brał pan udział w planowaniu przestępstwa, więc proszę dobrze się zastanowić, zanim wezwie pan gliny.

Hellier zachnął się.

- Naprawdę pan sądzi, że ścigano by nas za zabicie jakichś mętów? - spytał z pogarda.

- Nic pan nie rozumie, prawda? - stwierdził Tozier. - Wytłumacz temu kretynowi, Tom. Metcalfe uśmiechnął się pod nosem.

- Rzecz w tym, że tutejsi ludzie są czuli na punkcie swojej narodowej dumy. Weźmy na przykład Irakijczyków. Nie przypuszczam, żeby prezydent Bakr ronił łzy z powodu śmierci paru Kurdów - w końcu sam próbuje się z nimi rozprawić - ale żaden rząd nie pozwoli na to, by jacyś cudzoziemcy wdzierali się do jego kraju i wszczynali burdy, choćby nawet ich motywy były najbardziej chwalebne. Andy ma całkowitą rację: jeżeli wezwiemy teraz policję, zacznie się afera dyplomatyczna na taką skalę, że nie wiadomo, czym się to wszystko skończy. Nawet się nie obejrzymy, jak Rosjanie oskarżą Johnny'ego, że jest agentem CIA, a z pana zrobią tajnego szefa brytyjskiego wywiadu. I trzeba będzie cholernie gęsto się tłumaczyć.

- Żadnej policji - oświadczył Follet nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Hellier milczał przez chwilę, nie mogąc przełknąć tej pigułki. Wreszcie powiedział:

- Rozumiem, co pan ma na myśli. Naprawdę uważa pan, że pańska działalność w Kurdyście może być uznana za mieszanie się w wewnętrzne sprawy innego państwa?

- Ależ tak, na Boga! - odparł zdecydowanie Tozier. - A jak by pan to określił, do cholery?!

- Muszę przyznać, że mnie pan przekonał - powiedział ze skrucą Hellier. - Chociaż nadal uważam, że moglibyśmy liczyć na pobłażanie. - Spojrzał na Metcalfe'a. - Przynajmniej niektórzy z nas. Przemysł broni to osobna sprawa.

- Mam w głębokim poważaniu pańskie opinie na temat mojej osoby - stwierdził spokojnie Metcalfe. - Sam odpowiadam za to, co robię. A skoro mam tutaj pozostać, proszę zachować dla siebie wymysły tego pańskiego tłustego łba.

Hellier zaczerwienił się.

- Nie powiem, żeby podobało mi się takie zachowanie.

- Mało mnie to obchodzi - odparł Metcalfe, po czym zwrócił się do Toziera. - Czy ten facet naprawdę istnieje, czy ktoś go wymyślił?

- Dostyc tego! - powiedział stanowczo Warren. - Niech pan się zamknie, Hellier. Za mało pan wie, żeby się wypowiadać. Jeżeli Metcalfe chciał dostarczać broń Kurdom, to jego sprawa.

Metcalfe wzruszył ramionami.

- Wybrałem po prostu niewłaściwych Kurdów - to błąd, który nie wpływa jednak na zmianę moich poglądów. Ci chłopcy doznają od Irakijczyków wielu krzywd i ktoś musi im pomóc.

- A przy okazji zarobić - szydził Hellier.

- Robotnik zasługuje na zapłatę - stwierdził Metcalfe. - Narażam własną skórę.

Tozier wstał i spojrzał na Helliera z niechęcią. - Chyba nic tu po nas, Tom. Zrobiło się za dużo smrodu.

- Taaak - zgodził się Follet, odsuwając krzesło. - Trochę tu duszno.

- Siadajcie na miejsca - rozkazał Warren, a potem powiedział do Helliera: - Myślę, że jest pan komuś winien przeprosiny, sir Robert,

Hellier, spuściwszy z tonu, wymamrotał:

- Nie miałem zamiaru pana urazić, panie Metcalfe. Proszę o wybaczenie.

Metcalfe odpowiedział skinieniem głowy, a Tozier ponownie usiadł.

- Przejdźmy do rzeczy - odezwał się Warren. - Andy, jak twoim zdaniem, możemy odnaleźć Abbota i Parkera?

- Odszukaj pannę Delorme, a ona cię do nich zaprowadzi - odparł bez namysłu Tozier.

- Sporo myślałem o tej kobiecie - stwierdził Warren. - Znasz ją najlepiej, Tom. Możesz nam powiedzieć coś, czego nie wiemy?

- Też się nad tym zastanawiałem - przyznał Metcalfe. - Jest w niej sporo sprzeczności.

Jeanette nieźle sobie radzi, ale nigdy nie odnosiła błyskotliwych sukcesów. Wszystko, za co się bierze, przynosi zyski, ale wydaje przy tym tyle pieniędzy, że wątpię, by zgromadziła większy kapitał. Odkąd ją znam, zawsze trwonila pieniądze.

- I jaki stąd wniosek? - zapytał Hellier.

- Ile opium zgromadził w Iranie Fahrwaz?

- Dwadzieścia ton albo więcej - odparł Warren.

- No właśnie - stwierdził Metcalfe. - To kosztuje cholernie dużo szmalu. Skąd go miała?

- Nie potrzebowała pieniędzy - zauważył Tozier. - Załatwiała transakcje w inny sposób.

Wymieniała towar bezpośrednio na broń. Nie musiała wyklądać gotówki na opium - robił to Fahrwaz, a na ojczystej ziemi i przy posiadanych kontaktach nie musiał płacić szczególnie dużo.

- Fakt, że to była transakcja wymienna - powiedział z rozdrażnieniem Metcalfe. - Ale dostarczyłem Fahrwazowi towaru za pół miliona funtów. I nie po raz pierwszy robiłem dostawę do Kurdystanu. Skąd Jeanette wzięłaby pół miliona?

- Chwileczkę - powiedział Hellier i zaczął szperać w teczce. - W jednym z pierwszych raportów Abbota była mowa o jakimś bankierze. - Przerzucił kartki. - Jest. Jadła obiad z człowiekiem o nazwisku Fuad, który - jak się okazało - pracuje w Inter-East Bank. -

Podniósł słuchawkę telefonu. - Zasięgnę o nim informacji. Mam tam dobre kontakty.

- Proszę zrobić to w miarę dyskretnie - ostrzegł Warren. Hellier obdarzył go pełnym wyższości uśmiechem.

- Niech mi pan wierzy, że znam się na swojej robocie. To zwykły wywiad finansowy - rutynowa praktyka.

Powiedział coś do telefonu, a potem przez dłuższy czas tylko słuchał. W końcu znowu się odezwał:

- Tak, bardzo proszę. Interesują mnie wszelkie informacje na jego temat. Zwłaszcza lista przedsiębiorstw i tak dalej. Bardzo dziękuję. Tak, myślę, że wpadnę pod koniec tygodnia - kręcimy tutaj film. Zadzwoń, jak tylko załatwię najpilniejsze sprawy. Musimy zjeść razem obiad. Przyśle mi pan zaraz to dossier Fuada? Świetnie.

Odłożył słuchawkę telefonu i zawadiacko się uśmiechnął:

- Sądziłem, że Fuad może być dyrektorem banku Inter-East, ale nie - jest jego właścicielem. To zaczyna wyglądać interesująco.

- Dlaczego? - zapytał Warren.

Na twarzy Helliera pojawił się jowialny uśmiech:

- Ma pan konto w Midland Bank, prawda? Kiedy ostatnio jadł pan obiad z prezesem tego banku? Warren skrzywił się.

- Nigdy. Wątpię, czy wie o moim istnieniu. Obracam za małą gotówką, żeby wzbudzić zainteresowanie tak wysokich sfer.

- Zdaniem Metcalfe'a panna Delorme też nie ma jej za wiele, a jednak jada obiady z Fuadem, który jest właścicielem banku Inter-East. - Hellier zetknął dłonie czubkami palców. - Libańskie banki funkcjonują w taki sposób, że finansisci z londyńskiego City dostaliby apopleksji. Od czasu spektakularnego krachu w Intrabanku rząd libański stara się odzyskać finansową wiarygodność, ale ten Fuad swobodnie sobie poczyna z zalecanym kodeksem postępowania. Jego zasady działania są uznawane za normalne w atmosferze tolerancji, jaka panuje na Bliskim Wschodzie, oznacza to jednak, że każdy, kto podaje mu rękę, powinien zaraz potem sprawdzić, ile ma palców. Znajomy, z którym rozmawiałem właśnie przez telefon, zbiera na bieżąco informacje na temat poczynań Fuada - dla własnego bezpieczeństwa. Zaraz je nam podeśle.

- Myśli pan więc, że finansuje całą transakcję - stwierdził Warren.

- Bardzo możliwe - przyznał Hellier. - Dowiemy się, kiedy przejrzę jego dossier.

Zadziwiająco, jak wiele mówi o człowieku lista przedsiębiorstw, którymi zarządzają.

- To jedna sprawa, którą trzeba się zająć - stwierdził Tozier. - Ale jest coś jeszcze. Morfiną musi być przerobiona na heroinę. Co o tym sądzisz, Nick?

- Gdzieś muszą to robić. Założyłbym się, że tutaj, w Bejrucie.

- Bez Speeringa?
- Są inni chemicy, a nie jest to takie trudne. Łatwiejsze niż wytwarzanie morfiny z opium. Przeprowadza się acetylację morfiny i zmienia zasadę w chlorowodorek. Potrzeba jedynie dużej ilości plastikowych wiader i wiedzy, zdobytej na lekcjach chemii w szóstej klasie. Rozmawiali o tym przez jakiś czas, nie doszli jednak do żadnego konstruktywnego wniosku. Heroina mogła być wytwarzana praktycznie wszędzie, a nie byli przecież w stanie przetrząsnąć całego Bejrutu czy tym bardziej Libanu. Warren przypomniał o zniknięciu Abbota i Parkera.
- Jeżeli Delorme dała się namówić na sztuczkę z torpedą, Parker ma pełne ręce roboty. Myślę, że dlatego zniknęli nam z oczu.
- Jeanette nie powinna mieć trudności ze zdobyciem torpedy - zauważył Metcalfe. - Od wielu lat handluje bronią w całym rejonie Morza Śródziemnego. Ale oznacza to coś jeszcze - będzie jej potrzebny statek. Zawęża to obszar naszych poszukiwań do wybrzeża i portów.
- Niewielka pociecha - stwierdził Follet. - Statków tu nie brakuje. Zadzwoił telefon i Hellier podniósł słuchawkę.
- Proszę przysłać go na górę - powiedział. Po chwili rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Hellier poszedł otworzyć i wrócił zaraz z grubą kopertą. - To dossier Fuada - oznajmił. - Zobaczmy, co tu mamy. Wyciągnął plik zapisanych na maszynie kartek i uważnie je przejrzał. Po chwili stwierdził z odrazą:
- Ten człowiek kieruje się zasadami kupca z bizantyjskiego bazaru. Zarabia masę pieniędzy. Ma nawet jacht - "Stella del Mare". - Przerzucił parę stron. - Sądząc z tej listy przedsiębiorstw, macza palce w różnego rodzaju działalności: hotele, restauracje, winnice, kilka farm, stocznia... - Podniósł wzrok znad kartki. - Może w kontekście naszej rozmowy warto by się nią zainteresować. Zanotował coś i czytał dalej:
- Fabryka przypraw i marynat, warsztat samochodowy, zakład mechaniki ogólnej, firma budowlana...
- Proszę to powtórzyć - przerwał mu Warren.
- O firmie budowlanej?
- Nie. Coś na temat fabryki marynat. Hellier ponownie to sprawdził.
- Tak, wytwórnia sosów i marynat. Kupił ją niedawno. I co z tego?
- Powiem panu - odparł z namysłem Warren. - Acetylacja morfiny powoduje potworny smród. Dokładnie taki sam zapach spotyka się w fabryce marynat. To kwas octowy. Śmierdzi po prostu jak ocet.
- No to już coś mamy - stwierdził z satysfakcją Tozier. - Proponuję się rozdzielić. Nick zajmie się wytwórnią marynat - najlepiej się na tym zna. Johnny przypilnuje panny Delorme, a ja w razie potrzeby przyjdę mu z pomocą. Tom zajrzy do stoczni. - Odwrócił się do Metcalfe'a. - Trzymaj się lepiej od Jeanette z daleka. Fahrwaz pała żądzą zemsty i dziewczyna wie już na pewno o twoim udziale w całej akcji.
- W porządku - zgodził się Metcalfe. - Ale później dobiore się jej do skóry.
- Dostaniesz ją - powiedział ponuro Tozier. - Sir Robert może dalej zgłębiać dossier Fuada. Już nam to przyniosło korzyści, a może opłacić się jeszcze bardziej. Będzie też pełnił rolę sztabu. Zostanie tu przy telefonie, żeby kierować akcją.

II

Parker nucił sobie wesoło, przygotowując do przeróbki ostatnią torpedę. Pracował całymi godzinami, marnie jadał i od dłuższego czasu skazany był na przebywanie w szopie lub w jej sąsiedztwie, przepełniało go jednak uczucie szczęścia, gdyż zajmował się pracą, którą najbardziej lubił. Żałował z dwóch powodów, że zbliża się ona do finału: kończyło się to, co przyjemne, a zaczynał naprawdę niebezpieczny etap. W tym momencie nie myślał jednak o tym, co się zdarzy po drugiej stronie Atlantyku, lecz był skoncentrowany na demontowaniu

głowicy.

Abbot odczuwał coraz większe rozdrażnienie. Nie potrafił wydobyć z Jeanette niczego na temat przebiegu operacji w Stanach. Chciał koniecznie znać czas i miejsce akcji, nie podzieliła się z nim jednak tą cenną informacją. Przypuszczał, że Eastman również nic nie wie. Delorme trzymała karty bardzo blisko swych pięknych piersi.

Od owej nocy, gdy zabrał ją do Paon Rouge, skazany był, podobnie jak Parker, na przebywanie w szopie. Wpadła mu w ręce gazeta, dzięki czemu wiedział, że udała się sztuczka z ogłoszeniem, nie miał jednak pojęcia, co z tego wyniknie. Zmarszczył gniewnie brwi i odwróciwszy głowę zobaczył, że Ali, oparty o poręcz na szczycie schodów, przygląda mu się nieruchomymi ciemnymi oczami. To był kolejny problem - poczucie, że jest się stale pod obserwacją.

W pewnym momencie uświadomił sobie, że w warsztacie zaległa cisza. Spojrzał na Parkera, który ze spuszczoną głową wpatrywał się w głowicę torpedy.

- Co się dzieje?

- Podejdz tu - powiedział cicho Parker.

Abbot stanął obok niego i popatrzył na głowicę. Parker odłożył narzędzie, które trzymał w lekko drżących rękach.

- Nie wpadaj w panikę - powiedział. - Nie rób niczego, co zwróciłoby uwagę tego cholernego Araba. Ta torpeda jest pełna.

- Pełna czego? - zapytał bez sensu Abbot.

- Trotylu, cholerny głupcze. A czego może być pełna głowica? Jest go tu dosyć, żeby wysadzić całą tę budę na milę w powietrze. Abbot głośno przełknął ślinę.

- Ale Eastman twierdził, że torpedy będą puste.

- Więc ta trafiła tu przez pomyłkę - wywnioskował Parker. - Co więcej, ma detonator.

Należy tylko mieć nadzieję, że nie jest uzbrojony. To mało prawdopodobne, ale w zasadzie nie powinno go tu w ogóle być - podobnie jak trotylu. Uważaj, dopóki go nie wyjmę.

Abbot wpatrywał się w głowicę jak zahipnotyzowany, a Parker przeprowadzał ostrożnie niezbędną operację. Wreszcie położył detonator na ławie.

- Teraz jest już trochę lepiej - ale tylko trochę. Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej nie wybuchła. To zbrodnia zostawiać detonator w głowicy. Po prostu zbrodnia.

- Tak - przyznał Abbot, czując, że się poci. - Dlaczego mówisz, że jest tylko trochę lepiej?

- Trotyl dziwnie się zachowuje - wyjaśnił Parker. - Kwaśniej z czasem i wtedy nie jest już stabilny. Staje się tak wrażliwy, że może samoczynnie wybuchnąć. - Spojrzał na Abbota spod oka. - Lepiej, żebyś się do niego nie zbliżał, Mike.

- Nie ma obawy, nie będę. - Abbot wyciągnął machinalnie z kieszeni paczkę papierosów, ale wystarczyło spojrzenie Parkera, by się zreflektował. - Przypuszczam, że palić też nie wolno. Co z tym zrobimy?

- Wszystko wyjmemy. W marynarce wypieprzyłoby to za burtę, ale mnie może się jeszcze przydać. I nie chcę, żeby Ali o tym wiedział.

- Raczej nie ma obawy - stwierdził Abbot. - Nie zna się na technice. Ale gdyby przyszedł Eastman, mógłby się zorientować, co robimy. Po co ci ten trotyl, Dan?

- Moim zdaniem torpedy powinny eksplodować - powiedział Parker. - Do tego służą i nie widzę powodu, by miało być inaczej. Kiedy je odpalimy, chcę, żeby wyleciały w powietrze. To dla mnie zrządzenie Opatrzności, że ta głowica jest pełna trotylu.

Abbot pomyślał o czterech torpedach, z których każda ma mieścić ładunek heroiny wart dwadzieścia pięć milionów dolarów, a wszystkie eksplodują na wybrzeżu Ameryki, wprawiając w zdumienie oczekujący tam komitet powitalny. Byłby to niezły numer.

- A co z obciążeniem? Ciągłe marudzisz, że nie może być za duże. Parker znacząco mrugnął okiem.

- Nigdy nie należy mówić całej prawdy. Zachowałem co nieco w rezerwie.

- Masz tylko jeden detonator.

- Dobry rzemieślnik - zawsze sobie poradzi - oznajmił Parker. - Ale całkiem możliwe, że obaj wylecimy w powietrze, kiedy będę to świństwo wyciągał, więc zostawmy ten problem na

później. Może się okazać nieaktualny. - Przyjrzał się bacznie głowicy. - Będą mi potrzebne mosiężne narzędzia. Pójdę je przygotować.
Tak też uczynił. Abbot przyglądał się jeszcze przez chwilę głowicy, po czym także się oddalił, zachowując maksymalną ostrożność.

* * *

W cztery dni później Eastman z satysfakcją oglądał torpedy. - A więc twierdzi pan, że jesteśmy gotowi, Dan?

- Całkowicie - odparł Parker. - Trzeba tylko napęłnić głowice ładunkiem. Potem można wsadzać torpedy do wyrzutni i odpalać.

- Zamontowanie na "Orestesie" drugiej wyrzutni poprawiło sterowność - stwierdził Eastman. - Kapitan mówi, że statek już się tak nie chybcze.

Parker uśmiechnął się.

- To dzięki wyrównaniu turbulencji. Jeżeli macie już towar, jestem gotów do rozpoczęcia załadunku.

- Szeftowa trochę się niepokoi - powiedział Eastman. - Chce zrobić to sama - dla wszelkiej pewności.

- Nie ma mowy - stwierdził stanowczo Parker. - To nie takie proste. Muszę - dopilnować, żeby środek ciężkości wypadł w odpowiednim miejscu, bo w przeciwnym razie nie gwarantuję, jak zachowa się torpeda. Musi być idealnie wyważona.

Najmniej życzył sobie tego, by ktoś majstrował przy głowicach.

- Może stać przy mnie i patrzeć, co robię - powiedział w końcu. - Na to mogę się zgodzić.

- Dan wspominał mi, że przy niewłaściwym wyważeniu torpeda może opaść na dno - odezwał się Abbot.

- Miałoby to też wpływ na ich sterowność - dodał Parker. - Byłyby cholernie niedokładne.

- W porządku, w porządku! - przerwał mu Eastman, podnosząc w górę obie ręce. -

Przekonał mnie pan - jak zwykle. Jeanette będzie tu zaraz z ładunkiem do jednej torpedy. Zobaczmy, czy ją potrafi pan przekonać.

Wymagało to sporego wysiłku, w końcu jednak Jeanette zgodziła się, ustępując wobec potęgi technicznej wiedzy, którą emanował Parker.

- Pod warunkiem, że będę przy załadunku, a głowica zostanie zaplombowana - oświadczyła.

- Tak bardzo nam ufasz - stwierdził z przekąsem Abbot.

- Zgadza się - odparła chłodno. - Pomóż Jackowi przynieść towar.

Abbot pomógł Eastmanowi wciągnąć do szopy duże kartonowe pudło. Znieśli je po schodach i poszli po następne. Jeanette delikatnie postukała w karton zgrabnie obutą stopą i powiedziała:

- Otwórz je.

Parker wziął do ręki nóż i rozciął pokrywę pudła. Było pełne plastikowych woreczków z białym proszkiem.

- Są pakowane po pół kilo - wyjaśniła. - Pięćset sztuk - akurat na jedną torpedę.

Parker wyprostował się.

- To nie jest w porządku. Powiedziałem pięćset funtów, a nie dwieście pięćdziesiąt kilogramów. Nie wiem, czy dam radę - to o pięćdziesiąt funtów za dużo.

- Załaduj wszystko - rozkazała.

- Pani nie rozumie - stwierdził z irytacją. - Wyważyłem te torpedy na ładunek pięćset funtów. Zwiększając obciążenie przy samym dziobie o dziesięć procent zakłóca się równowagę dźwigni - środek ciężkości ulega przesunięciu. - Potarł palcem nos. - Może i da się to zrobić - powiedział bez przekonania.

- Za następnych sto tysięcy dolarów? - zapytała. - Tylko dla ciebie. Abbotowi nic nie powiem.

- W porządku - zgodził się. - Spróbuję. - Chciał, żeby w torpedach znalazło się jak najwięcej heroiny, a na ich wyważenie nie miało to w istocie większego wpływu. Spierał się z

Jeanette, zgrywał się przed nią i szafował naukowymi wywodami po to tylko, by nie wzbudzać podejrzeń. - Za dodatkowych sto tysięcy dolarów mogę to dla pani zrobić.

- Tak przypuszczałam - stwierdziła z uśmiechem.

Pomyślał, że niewiele ją to kosztuje. Za dodatkowe dwieście funtów heroiny o wartości dziesięciu milionów dolarów płaci zaledwie sto tysięcy - o ile w ogóle da mu te pieniądze. U diabła, ależ to dochodowy interes!

Eastman i Abbot wrócili z kolejną partią towaru, a Parker zaczął bardzo ostrożnie upychać pakunki do głowicy.

- Gęstość materiału też ma swoje znaczenie - wyjaśnił. - Trotyl jest bardziej zbity. Ten proszek zajmuje więcej miejsca, zwłaszcza w plastikowych opakowaniach.

- Jesteś pewien, że głowica jest wodoszczelna? - dopytywała się Jeanette.

- O to nie musi się pani martwić - uspokoił ją Parker. - Jest szczelna jak kaczy kuper.

Jeanette wyglądała na zaskoczoną. Eastman, tłumiąc śmiech, zainteresował się ławą, na której wałały się narzędzia i kawałki metalu. Wziął do ręki jakiś przedmiot i zaczął mu się przyglądać. Abbot zamarł widząc, że to jeden z detonatorów, które zmajstrował Parker.

- Co to? - zapytał Eastman.

Parker popatrzył i odparł od niechcienia:

- Przerywacz do obwodu B. Poprzedni był niesprawny, więc zrobiłem nowy.

Eastman podrzucił go w górę, pochwycił i położył z powrotem na ławę.

- Ma pan złote ręce, Dan. Chyba mógłbym panu znaleźć w Stanach dobrą robotę.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - odparł Parker. - Jeśli zarabiałbym tyle, co tutaj... -

Przez dłuższy czas pracował w milczeniu, a Jeanette stała nad nim, zaglądając mu przez ramię. W końcu powiedział: - To ostatnia paczka. Jestem naprawdę zaskoczony. Nie przypuszczałem, że to wszystko się zmieści. Dokręcę głowicę i będzie pani mogła ją zaplombować, jeśli pani chce.

Sprawdził posmarowaną grubą warstwą smaru uszczelkę i przymocował niewielką pokrywę, po czym powiedział:

- Mike, przygotuj blok. Zamontujemy głowicę do korpusu torpedy i będzie już można przetransportować ją na "Orestesa".

Głowica, kołysząc się na bloku, powędrowała do korpusu torpedy i Parker solidnie ją tam umocował.

- Proszę bardzo, panienko - powiedział. - Jest pani zadowolona? Czuję, że powinienem poprosić o pokwitowanie, ale wątpię, czy bym je dostał.

- Jestem zadowolona - odparła Jeanette. - Jack, niech dziś wieczorem wezmą tę torpedę na "Orestesa". Jutro będzie następny ładunek, panie Parker. "Orestes" wypływa pojutrze rano.

- Uśmiechnęła się do Abbota i dodała: - To będzie dla nas wszystkich przyjemny rejs.

III

Warren był przybity, kiedy spotkali się w apartamencie Helliera, aby porównać notatki. Miał za sobą bezowocny dzień.

- Wytwórnia marynat jest zamknięta na cztery spusty. Na zewnątrz jest informacja, że z powodu remontu.

- A skąd pan to wie? - zapytał Metcalfe. - Napis był chyba po arabsku?

- Ktoś przetłumaczył mi go na francuski - wyjaśnił Warren znużonym głosem. - W okolicy pachniało trochę octem, ale nie za bardzo. Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek wchodził czy wychodził. To był stracony dzień.

- Ja widziałem kogoś, kto tam wchodził - wtrącił nieoczekiwanie Follet. - Śledziłem pannę Delorme. Weszła do fabryki od tyłu. Był z nią jakiś facet - chyba Amerykanin. Spędzili tam około godziny.

- Wszystko zaczyna się zgadzać - stwierdził Hellier, patrząc na Folleta z uznaniem. - To

oznacza, że Delorme ma na pewno powiązania z Fuadem. A co ze stoczną?

- Jest nieduża - odparł Metcalfe. - Nie ma szans, żeby dostać się tam niepostrzeżenie. W ogóle nie widziałem Jeanette. Wynająłem łódź i przyjrzałem się tej stoczni od strony morza. Jest tam zakotwiczony jacht Fuada i jakaś stara łajba, pływająca pod panamską banderą - nazywa się "Orestes". To wszystko. Sama stocznia wygląda na mocno zaniedbaną. Mało kto tam pracuje, za to przy głównej bramie kręci się mnóstwo goryli.

- Może też zamknęli ją z powodu remontu - stwierdził ironicznie Tozier. - Jeżeli przerzucają przez Bejrut heroinę wartości wielu milionów dolarów, będą cholernie uważać, żeby w punktach przeładunkowych nikt ich nie podpatrzył. Całkiem możliwe, że "Orestes" jest tym statkiem, którego szukamy. Dałby radę przepłynąć przez Atlantyk?

- Czemu nie? - powiedział Metcalfe. - Ma około trzech tysięcy ton wyporności. Ale jest coś jeszcze. Dziś po południu pojawiła się tam ciężarówka z bardzo długą przyczepą. Nie widziałem, co wiozła, bo wszystko zakrywała plandeka, ale mogła to być torpeda.

- Nie jestem taki pewny, czy się na nią zdecydowali - stwierdził Warren. - Parker mówił mi, że torpeda może przenieść tylko pięćset funtów ładunku, a wiemy, że mają do przemycenia całą tonę. - Zmarszczył brwi. - Gdyby nawet Abbot i Parker zatopili pierwszą partię towaru, pozostanie jeszcze siedemset pięćdziesiąt kilogramów Heroiny. Jeżeli torpeda zostanie zniszczona, Delorme i jej gang gdzieś się zadekują i znajdziemy się w jeszcze gorszej sytuacji niż teraz.

- Skoro Jeanette potrafi zdobyć jedną torpedę, a wiem, że potrafi, zdobędzie i cztery - stwierdził Metcalfe. - Znam ją. Idzie zawsze na całość i jeżeli będzie przekonana, że torpeda załatwi sprawę, zrobi wszystko, żeby ją mieć.

- Bardzo dobrze - powiedział Warren - ale nie wiemy nawet, czy Parker przekonał ją do swojego pomysłu.

- Mam jeszcze coś - kontynuował Metcalfe. - Śledziłem tę ciężarówkę z przyczepą, kiedy opuściła stocznię. Pojechała w pewne miejsce nad morzem, które też jest zamknięte na cztery spusty i cholernie trudne do obserwowania. Zapłaciłem kupę forsy za możliwość korzystania z poddasza i widziałem stamtąd mniej więcej jedną czwartą terenu po drugiej stronie muru. Był tam jakiś Arab, chyba dozorca, a oprócz niego niewysoki facet, szeroki w ramionach i bardzo muskularny, który lekko utyka...

- To Parker! - wykrzyknął Warren.

- ...i młody wysoki blondyn. Czy to Abbot? Warren skinął głową.

- Opis się zgadza.

- Pojawił się tam jakiś samochód, stał przez parę minut, a potem odjechał. Przywiózł wysokiego mężczyznę z haczykowatym nosem i łysiną na skroniach.

- Wygląda na faceta, który towarzyszy Delorme - stwierdził Follet. - Czy to był czarny mercedes?

Metcalfe przytaknął, a Hellier oznajmił:

- Nie ulega chyba wątpliwości, że posuwamy się we właściwym kierunku. Pozostaje tylko pytanie, co dalej?

- Myślę, że Parker i Abbot są w bardzo niebezpiecznej sytuacji - stwierdził Warren.

- To za mało powiedziane - zachnął się Metcalfe. - Założmy, że statek wypłynie, a torpedy zawiodą, ponieważ Parker je zniszczy. Jeanette będzie wściekła jak osa. Nikt nie przyjąłby spokojnie straty takiej sumy pieniędzy, a ona zawsze była porywcza. Parker i Abbot dostaną za swoje - wylądują za burtą "Orestesa" i nikt więcej o nich nie usłyszy. - Metcalfe zamyślił się głęboko. - Prawdę mówiąc, mogą zginąć nawet gdyby torpedy sprawiły się jak należy. Jeanette ma obsesję na punkcie zacierania śladów.

- Nick, obawiam się, że popełniłeś błąd - stwierdził Tozier. - Ten pomysł z torpedą jest sam w sobie niezły, ale nie przemyślałeś go do końca. W porządku, mamy okazję zniszczyć heroinę, ale co się stanie z Abbotem i Parkerem?

- Myślę, że sprawa jest oczywista - oznajmił Hellier. - Pozostaje decyzja, czy atakujemy fabrykę marynat czy statek?

- Na pewno nie fabrykę - odparł bez namysłu Warren. - Przypuśćmy, że wywieźli już

stamtąd część heroiny. Gdybyśmy nawet zaatakowali fabrykę, część towaru pozostanie gdzieś na zewnątrz. Optuję za statkiem. Będziemy mieli szansę zgarnąć wszystko.

- A przy okazji uratować Parkera i Abbota - zauważył Hellier.

- Czyli musimy zaatakować statek, zanim wypłynie w morze, a nie wiemy, kiedy to nastąpi - stwierdził z namysłem Tozier.

- Ani czy wyruszy z całym ładunkiem - dodał Metcalfe. - Wciąż mamy za mało informacji.

- Gdybym tak mógł porozmawiać z Abbotem choćby przez pięć minut - powiedział Warren. Metcalfe strzelił palcami.

- Wspomniał pan, że Parker służył w marynarce. Czy jest szansa, że zna alfabet Morse'a?

- To możliwe - odparł Warren. - Nawet dość prawdopodobne.

- Z tego poddasza, na którym byłem, widać zachód słońca - powiedział Metcalfe. - Miałem fatalną widoczność, bo świeciło mi w oczy. Ale otwiera to przed nami pewne możliwości. Potrzebuję tylko lusterka. Mogę wysłać sygnały.

Warren zacisnął usta.

- Mam nadzieję, że dyskretne.

- Postaram się - stwierdził z powagą Metcalfe.

Narada dobiegła końca. Warren miał wesprzeć Metcalfe'a, a Tozier i Follet skoncentrować się na stoczni, aby znaleźć tam jakiś słaby punkt. Hellierowi pozostała rola koordynatora.

Warren omówił z Metcalfe'm plan akcji, a potem powiedział:

- Chciałbym zadać panu osobiste pytanie.

- W porządku, byle tylko nie oczekiwał pan uczciwej odpowiedzi.

- Zastanawia mnie pan, Metcalfe. Nie wierzy pan w prawo i porządek, prawda? A jednak jest pan zaciekłym wrogiem narkotyków. Dlaczego?

Metcalfe przestał się uśmiechać.

- To nie pańska sprawa - odparł chłodno.

- W zaistniałych okolicznościach mam chyba prawo wiedzieć - powiedział ostrożnie Warren.

- Może i tak - przyznał Metcalfe. - Boi się pan, że mógłbym prysnąć z forszą i wykiwać was wszystkich. - Uśmiechnął się pod nosem. - Zrobiłbym to, gdyby nie chodziło o narkotyki.

Stawką jest przecież kupa szmalu. Powiedzmy, że miałem kiedyś młodszego brata i niech to wystarczy, dobrze?

- Rozumiem - powiedział powoli Warren.

- Może i tak. Andy wspominał, że jest pan z branży. A jeśli chodzi o prawo i porządek, wierzę w nie tak samo, jak każdy, skoro jednak ci nieszczęśni Kurdowie chcą walczyć o to, by żyć jak ludzie, jestem gotów dostarczać im broń.

- Zdaje się, że podziela pan poglądy Andy'ego Toziera.

- Dobrze się rozumiemy - stwierdził Metcalfe. - Ale niech pan posłucha mojej rady, Nick. Lepiej nie zadawać nikomu osobistych pytań - zwłaszcza na wschód od Marsylii. Łatwo narazić się na utratę zdrowia - i to na zawsze.

IV

Dan Parker siedział na stołku obok ławy i przyglądał się ostatniej torpedzie. Szopa skąpana była w popołudniowych promieniach słońca. Dan skończył już właściwie pracę. Dwie wypełnione ładunkiem torpedy zabrano tego ranka, a ostatnia miała opuścić szopę już za kilka godzin. Czuł się zmęczony i nieco przygnębiony. Niepokoił go bardzo następny etap ich przygody.

Pozostawił w Londynie żonę i synów. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ich zobaczy. Nie miał złudzeń co do tego, co stanie się po drugiej stronie Atlantyku, gdy cztery torpedy eksplodują u spokojnych wybrzeży i ogromna fortuna ulegnie zniszczeniu. Po prostu go zabiją i nie widział sposobu, by tego uniknąć. Zdarzało mu się już ryzykować życiem, ale tylko w przypadkowych sytuacjach, jakie zdarzają się na wojnie. Tym razem mógł zostać zamordowany z zimną krwią.

Zmrużył oczy, gdyż na ławie zamigotał jakiś przypadkowy promień światła. Zastanawiał się,

jak wybrnąć z rozpaczliwego położenia, w jakim znaleźli się z Abbotem. Próba ucieczki z Bejrutu nie wchodziła w rachubę, gdyż byłby to sygnał, że z torpedami coś jest nie w porządku i cała ryzykowna operacja poszłaby na marne. Delorme odrobiłaby straty i powróciła do swoich poprzednich planów. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko wejść następnego dnia na pokład "Orestesa" i mieć nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży.

W pewnej chwili zaczęła go nurtować jakaś myśl, której nie potrafił na razie sprecyzować. Miało to coś wspólnego z nim samym, z jego własnym... nazwiskiem? Zmarszczył brwi i próbował się skoncentrować. Co to było? Jakie znaczenie mogło mieć nazwisko Parker? Na ławie znowu zamigotało światło. Stał się nagle czujny, uświadomiwszy sobie, że ktoś literuje w ten sposób jego nazwisko, w kółko je powtarzając.

Podniósł się obojętnie i podszedł do Alego, który przycupnął u podnóża schodów.

- Hej, Ali, ty cholerny kundlu, idź do biura i przynieś mi papierosy. Rozumiesz? Papierosy.

- Pokazując na migi, jak się je zapala, wskazał na schody.

- Mam tu jakieś, Dan - odezwał się Abbot.

- Tych nie lubię - odparł krótko Parker, nie odwracając głowy. - Rusz się, ty pogańskie nasienie!

Ali przytaknął i zaczął iść po schodach. Kiedy tylko zniknął za drzwiami szopy, Parker powiedział pośpiesznie:

- Wejdz na górę i zatrzymaj go tam. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale nie pozwól mu wejść do szopy! Niech cię chwyci na dziedzińcu atak kolki albo coś w tym rodzaju. - Abbot skinął głową i pobiegł po schodach. Nie znoszący sprzeciwu ton głosu Parkera sprawił, że pośpiesznie wykonał jego polecenie, nie zadając dalszych pytań. Nie miał pojęcia, o co chodzi, ale bez wątpienia sprawa była pilna. Parker podszedł z powrotem do ławy, na której nadal migotało światło i chwilę mu się przyglądał. Potem powiódł wzrokiem w kierunku okna, przez które padały promienie. Kiedy się schylił, światło zaświeciło mu prosto w oczy i znieruchomiło, zupełnie go oślepiając. Osłonił twarz ręką, w znaczącym geście unosząc w górę kciuk, a potem odsunął się na bok.

Światło zamarło przez chwilę na ławie, po czym zaczęło znowu migotać, literując powoli słowa alfabetem Morse'a:

Tu Warren... będę zadawać pytania... odpowiedź tak jeden błysk... nie dwa błyski... czy to jasne...

Parker wziął lampę z długim kablem, ustawił ją przodem do okna i włączył na krótką chwilę. Wpadające przez okno światło zamarło na moment na ławie, po czym znów zaczęło migać:

...czy torpeda działa...

Parker zawahał się. Chodziło chyba o to, czy użyją do przemytu torpedy. Błysnął światłem jeden raz.

...ile... jedna...

Dwa błyski.

...cztery...

Pojedynczy błysk.

... na Orestesie...

Jeden błysk.

...kiedy... wprzyszłym tygodniu...

Dwa błyski.

...jutro...

Jeden błysk.

Metcalf, siedząc na poddaszu, sprawdzał przygotowany uprzednio zestaw pytań, które bardzo starannie przemyślał. Skorzystał z nazwiska Warrena, ponieważ sam był Parkerowi nie znany, a nie chcąc go narażać na niebezpieczeństwo musiał w jak najkrótszym czasie uzyskać maksimum informacji. Przypominało to grę w "dwadzieścia pytań". Następne było szczególnie ważne.

...czy wszystkie narkotyki będą na statku... powtarzam... czy wszystkie...

Pojedynczy błysk.

...czy pani Abbot płyniecie...

Jeden błysk.

...czy oczekujecie pomocy...

Nikłe światło w szopie zamigotało gwałtownie i Metcalfe domyślił się, że Parker próbuje nadawać alfabetem Morse'a. Sygnały były nieczytelne, gdyż lampa świeciła za słabo, a w dodatku słońce razilo w oczy. Metcalfe trzymał lusterko w bezruchu, dopóki Parker nie przestał sygnalizować, a potem zawahał się, widząc, że z biura wyłania - się Arab. Poczul ulgę, gdy Abbot ruszył naprzód i zastąpił tamtemu drogę. Odwrócił jego uwagę od szopy, po czym weszli razem do biura.

Metcalfe nastawił lusterko:

...proszę sprawdzić gdzie jestem... czy może pan w nocy nadawać Morsem...

Jeden błysk.

... będziemy tu cała noc... powodzenia...

Światło ponownie znieruchomiało na ławie, a potem nagle zniknęło. Parker zdjął rękę z przełącznika i westchnął. Podeszedł do okna i spojrzal na odległy budynek, z którego nadawano sygnały. Zachodzące słońce odbijało się czerwoną luną w pojedynczym okienku na dachu. Przestał się martwić. Nie byli już z Abbotem osamotnieni.

Wszedł po schodach i otworzywszy drzwi szopy, wrzasnął:

- Gdzie są te cholerne papierosy?

V

Hellier wynajął szybki motorowy jacht, który stał teraz na przystani. Zebrali się tam wczesnym rankiem na naradę. Follet pomógł Metcalfe'owi wnieść na pokład ciężką walizkę, a potem wszyscy usiedli wokół stołu w salonie.

- Tom, jesteś pewien, że "Orestes" ma wypłynąć o dziewiątej? - zapytał Tozier.

- Tak wynika z informacji Parkera. Dość długo sobie pogawędziliśmy.

- Co ci przekazał? - dopytywał się Tozier.

- Nie chce, żebyśmy uwalniali ich z szopy. W razie potrzeby mogą z Abbotem wydostać się sami - ogłuszą tylko tego Araba i zwieją. Ale to by zniweczyło całą akcję.

Tozier zerknął na zegarek.

- Jest siódma. Trzeba prędko podjąć decyzję. Czy atakujemy statek w stoczni, zanim wypłynie, czy już na morzu?

- Musimy to zrobić zanim wypłynie - powiedział z przekonaniem Metcalfe. - Na morzu nie damy rady dostać się na pokład. Kapitan nie zatrzyma statku i nie położy nam pod nogi czerwonego dywanu, kiedy Eastman będzie się wszystkim przyglądał.

- Wyjaśnijmy sprawę dokładnie - powiedział Hellier. - Eastman płynie z Parkerem i Abbotem na "Orestesie". Delorme zostaje w Bejrucie, czy tak?

- Nie na długo - odparł Warren. - Parker twierdzi, że Delorme i Fuad wybierają się w rejs jachtem - oficjalnie na Karaiby. Uważa, że zatopią "Orestesa", kiedy pozbędzie się torped. Te wyrzutnie na statku stanowią oczywisty dowód, więc nie odważą się wypłynąć nim do portu, gdzie celnicy poddaliby go kontroli. "Stella del Mare" weźmie załogę na pokład.

- Być może - stwierdził cynicznie Metcalfe. - Albo tylko część załogi. Wspominałem panu, że Jeanette lubi zacierać ślady.

- A więc uderzamy na stocznię - powiedział Tozier. - Proponuję to zrobić, zanim "Orestes" wyruszy w rejs. Przejmiemy statek, wypłyniemy nim w morze i tam zatopimy torpedy. Potem przybijemy do jakiejś spokojnej plaży i znikniemy.

- Powinni być zaskoczeni - stwierdził Metcalfe. - Pojawimy się od morza. To typowe szczury lądowe i trzymają straż przy wejściu, od strony brzegu. Trzeba jednak działać prędko i sprawnie. - Dał znak Folletowi: - Otwórz walizkę, Johnny.

Follet otworzył walizkę i zaczął wykladać jej zawartość na stół.

- Skontaktowałem się z kumplami - mówił Metcalfe, gdy na blacie pojawiały się kolejne sztuki broni. - Pomyślałem, że będziemy tego potrzebować. Nie tylko Jeanette ma dostęp do arsenałów. - Uśmiechnął się do Helliera. - Rachunki dostanie pan później.

Tozier wziął do ręki erkaem.

- To coś dla mnie. Jak stoimy z amunicją?

- Wystarczy, o ile nie będziecie strzelać w powietrze, ale byłoby najlepiej, gdybyśmy w ogóle nie musieli korzystać z broni. Robi dużo hałasu, a nie chcemy ściągnąć sobie na kark portowej policji. - Wskazał ręką na stół. - Na co pan ma ochotę, Nick?

Warren wpatrywał się w kolekcję broni.

- Chyba na nic - powiedział powoli. - Nigdy nie strzelałem z pistoletu. Pewnie i tak bym nie trafił.

Follet wziął broń do ręki i zaczął nią manipulować.

- Lepiej niech pan coś dla siebie znajdzie, choćby tylko po to, żeby móc do kogoś wymierzyć. W przeciwnym razie będzie pan nosił dupę na temblaku.

- Wezmę to - powiedział Hellier, wyciągając rękę. - Też nie mam specjalnego doświadczenia. Służyłem w artylerii, w dodatku bardzo dawno.

Metcalfe ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Idzie pan z nami?

- Oczywiście - powiedział spokojnie Hellier. - A dlaczego nie? Metcalfe wzruszył ramionami.

- W porządku. Myślałem, że zostanie pan na tyłach. Hellier spojrzał na Warrena.

- Abbot i Parker znaleźli się tam, gdzie są, częściowo z mojej winy. Powiedziałem kiedyś Warrenowi, że chcę krwi. Jestem gotów osobiście za nią zapłacić.

Warren zerknął na ostatni pozostawiony na stole pistolet.

- Pokaże panu, jak się nim posługiwać - powiedział Follet. - Będziemy mieli dosyć czasu na szkolenie.

Warren wyciągnął powoli rękę i sięgnął po broń. Metal, który poczuł w dłoni, był nadspodziewanie ciężki.

- W porządku, Johnny - stwierdził. - Pokaż mi, jak to działa.

10

W krajach leżących na obszarze Bliskiego Wschodu wzrosła wyraźnie liczba sporządzanych raportów. Jeden z nich studiował właśnie w Teheranie pułkownik Mirza Davar.

W pobliżu granicy irackiej, w prowincji Kurdystan doszło do silnej eksplozji. Wybuchy nie były w Iranie rzeczą pożądaną, szczególnie w tak newralgicznym rejonie. Poza tym wyglądało na to, że w sprawę zamieszany jest Fahrwaz, co nie napawało Davara szczególnym entuzjazmem. Pułkownik Mirza Davar był szefem wywiadu prowincji północno-zachodnich.

Do drzwi zapukała sekretarka.

- Przyszedł kapitan Muktarri.

- Niech wejdzie.

Sądząc po jego zewnętrznym wyglądzie, kapitan Muktarri miał za sobą ciężką i szybką jazdę w trudnym terenie. Pułkownik przyjrzał mu się i zapytał:

- I czego się pan dowiedział, kapitanie?

- To była eksplozja, sir. Bardzo silna. Qanat został całkowicie zniszczony.

Pułkownik usiadł wygodnie w krześle.

- Posprzeczali się o wodę - stwierdził. Sprawa była więc błaha, a w dodatku nie dotyczyła jego prowincji. Powinna się tym zająć miejscowa policja.

- Też tak myślałem, sir - powiedział Muktarri - dopóki nie znalazłem tego. - Położył na biurku niewielką prostokątną bryłę.

Pułkownik wziął ją do ręki, poskrobał paznokciem i ostrożnie powąchał.

- Opium. - Teraz sprawa wyglądała już poważniej, choć nadal bezpośrednio go nie dotyczyła. - Znalaziono to na farmie Fahrwaza?
- Tak, sir. Wśród zgłiszcz pozostałych po eksplozji. Fahrwaza tam nie było - ani jego syna. Mieszkańcy osady twierdzą, że o niczym nie wiedzieli.
- Jasne. - Pułkownik był nieporuszony. - Niech się tym zajmą spece od narkotyków. - Przynął do siebie telefon.

* * *

W Bagdadzie inny pułkownik wywiadu studiował kolejny raport. Coś dziwnego działo się w pobliżu tureckiej granicy. Miała tam miejsce jakaś potyczka, ale intensywne śledztwo wykazało, że irackie wojsko nie brało w niej udziału. Ciekawa sprawa. Wyglądało na to, że Kurdowie zaczynają się bić między sobą.

Sięgnął po mikrofon i zaczął nagrywać na taśmę ostatnie uwagi.

- Jak powszechnie wiadomo, przywódca rebeliantów, Al Fahrwaz, który zamieszkuje w Iranie, ma bazę na naszym terenie. Nasuwa się nieodparty wniosek, że Mustafa Barzani próbował usunąć Fahrwaza, zanim rozpoczną się dalsze negocjacje z rządem irackim. Według nie potwierdzonych doniesień Ahmed ben Fahrwaz zginął w walce. Szczegóły w następnych komunikatach.

Nie wiedział, jak bardzo się myli.

* * *

O niecałe dwieście jardów dalej, na tej samej ulicy Bagdadu wyższy oficer policji konfrontował z mapą jeszcze jeden raport. Ismail Al-Khalil pracował od wielu lat w wydziale do spraw narkotyków i znał się na swojej robocie. Raport dotyczył eksplozji, która zniszczyła podziemne laboratorium w Iranie. Znalaziono potłuczone szkło, ogromne ilości opium, a także mnóstwo odczynników, które zostały szczegółowo opisane. Doskonale wiedział, co to oznacza.

Wykreślił palcem linię z Iranu do północnego Iraku, a stamtąd do Syrii. Potem wrócił do biurka i powiedział do swego towarzysza:

- Irańczycy są przekonani, że towar znalazł się za granicą. -Wzruszył ramionami. - Przy obecnej sytuacji politycznej Kurdystanu nic na to nie poradzimy. Lepiej napiszę raport. Trzeba wysłać kopie do Syrii, Jordanii i Libanu.

Al-Khalil usiadł i zanim zaczął dyktować tekst raportu, stwierdził mimochodem:

- Irańczycy uważają, że chodzi o przemyt aż pięciuset kilogramów morfiny albo heroiny. Ktoś tam się nie popisał. -Pokręcił głową ze smutkiem.

* * *

Raportów było coraz więcej i jeden z nich trafił na biurko Jamila Hassana z bejruckiego urzędu do spraw narkotyków. Przeczytał go, a kiedy przystąpił do działania, libański półświatek zaczął przeżywać ciężkie chwile. Jedną z zatrzymanych osób był drobny oszust, niejaki Andrew Picot, podejrzany o udział w przemyśle narkotyków. Przesłuchiowano go przez wiele godzin, ale bez rezultatu.

Stało się tak z dwóch powodów: nie dość, że on sam niewiele wiedział, przesłuchujący go ludzie wiedzieli za mało, by zadawać właściwe pytania. Tak więc tuż przed dziewiątą rano, po całonocnej sesji, której jedynym efektem było to, że od jaskrawego światła lamp rozboleły Picota oczy, zwolniono go do domu. A szkoda.

II

Dziesięć minut przed dziewiątą wynajęty motorowy jacht kołysał się łagodnie na błękitnych

falach Morza Śródziemnego. Jeden z silników pracował na wolnych obrotach, zapewniając statkowi minimum sterowności. Hellier siedział w kokpicie, najwyraźniej koncentrując całą uwagę na trzymanej w rękach wędce, Tozier był natomiast w salonie i bacznie obserwował przez lornetkę "Orestesa". Smuga dymu unoszącego się w niebo z pojedynczego komina, dowodziła, że napalono już pod kotłami i statek przygotowywał się do odpłynięcia.

Warren siedział w salonie w pobliżu drzwi i przyglądał się Metcalfe'owi, który trzymał ster.

- Pomyślał, że świetnie sobie radzi i nie omieszkał mu tego powiedzieć. Metcalfe szeroko się uśmiechnął.

- Przeszedłem twardą szkołę. Parę lat temu przemycałem papierosy z Tangu do Hiszpanii z pewnym jankesem, który nazywał się Krupke. Mieliśmy duży statek - typu Fairmile, z demobilu. Zmieniłem w nim silnik, żeby nie dać się dogonić hiszpańskim kutrom patrolowym. Jeżeli w takich warunkach człowiek nie nauczy się kierować łodzią, to już nigdy nie będzie umiał tego robić.

Pochylił się i zajrzał do salonu.

- Jest coś nowego, Andy?

- Bez zmian - odparł Tozier, nie odrywając oczu od lornetki. - Zaczynamy za dziesięć minut. Metcalfe wyprostował się i powiedział przez ramię:

- Musimy zostawić tę łajbę, sir Robert. Jej właścicielom się to nie spodoba. Będzie pan miał sprawę w sądzie.

- Mogę sobie na to pozwolić - mruknął rozbawiony Hellier.

Warrena uciskał tkwiący za paskiem pistolet. Było mu niewygodnie, więc lekko go przesunął. Metcalfe spojrzął na niego i powiedział:

- Niech się pan nie denerwuje, Nick, wszystko będzie dobrze. Proszę tylko wspiąć się po linie i trzymać się moich wskazówek.

Warrenowi zrobiło się głupio, że Metcalfe zauważył jego zdenerwowanie.

- Przejdzie mi, jak zaczniemy - stwierdził lakonicznie.

- Oczywiście - odparł Metcalfe. - Na tym etapie wszyscy mamy tremę. - Westchnął ciężko. - Przez całe życie daję się wciągać w takie sprawy. Ależ ze mnie głupiec.

Warren usłyszał za sobą metaliczny dźwięk i odwróciwszy głowę zobaczył, jak Follet ładuje pełny magazynek do kolby pistoletu.

- Każdy z nas reaguje po swojemu - stwierdził Metcalfe. - Johnny też jest zdenerwowany i dlatego ciągle sprawdza broń. Nigdy nie ma pewności, czy jest gotowa do strzału - zupełnie jak ta staruszka, która jadąc na urlop zastanawia się ciągle, czy wyłączyła gaz.

Warren znowu poprawił pistolet i powiedział cicho:

- Wchodzimy na pokład tego statku z bronią gotową do strzału. A może jego załoga o niczym nie wie?

- Wykluczone - powiedział drwiąco Metcalfe. - Nie da się zainstalować wyrzutni torped na statku tej wielkości tak, by załoga o tym nie wiedziała. Są we wszystko wtajemniczeni. Nie będzie zresztą żadnej strzelaniny - chyba, że sami zaczną. - Popatrzył na "Orestesa".

-Możliwe, że załoga jest nieliczna -to ułatwiłoby nam sprawę. Jeanette zadbała na pewno, żeby o wszystkim wiedziało jak najmniej osób.

- Nie rozumiem, dlaczego by nie zacząć już teraz - powiedział Tozier. - Statek jest całkowicie przygotowany i my także. Nie możemy czekać, aż będą podnosić kotwice.

- W porządku - odparł Metcalfe. Obrócił lekko ster i powiedział przez ramię: - Niech pan udaje wędkarza, sir Robert. - Zwiększył nieco obroty silnika i jacht zaczął szybciej posuwać się po wodzie. Mrugnął do Warrena i stwierdził: - Rzecz w tym, żeby zachowywać się spokojnie. Nie będziemy podpływać do nich z rykiem silników. Zbliżyliśmy się powoli, jakby nigdy nic, więc nawet jeśli nas zauważą, nie będą mieli pojęcia, co się za tym kryje. A zanim się zorientują, będzie już za późno. Mam nadzieję.

Tozier odłożył lornetkę i zabrał się do roboty. Przewiesił sobie przez ramię erkaem i sprawdził, czy na linie nie ma zbędnych węzłów. Do jednego z jej końców przymocowana była trójzębna kotwiczka, owinięta tak, by nie robiła hałasu. Upewnił się, czy jest mocno uwiązana, a potem poklepał Warrena po ramieniu.

- Cofnij się i daj myśliwemu zobaczyć zdobycz - powiedział. Warren pozwolił mu przejść. Obserwator na łodzi mógł odnieść wrażenie, że jacht podpływa niebezpiecznie blisko "Orestesa", który, bądź co bądź, najwyraźniej zbierał się do drogi. Gdyby śruba zaczęła się obracać, mogło dojść do paskudnego wypadku. Takiego błędu w sztuce nawigacji nie usprawiedliwiał fakt, że potężny gruby Anglik złapał właśnie coś na wędkę i jego podniecenie odwróciło uwagę sternika.

Hellier wyciągał rybę z morza. Kupił ją rano na targu w Suq des Orfdrvres. Był to naprawdę piękny okaz. Follet, mistrz podstępu, wpadł na ten pomysł w ostatniej chwili. Hellier tak zrecznie poruszał linką, że ryba wyglądała jak żywa. Przy odrobinie szczęścia mogli dzięki tej sztuczce podpłynąć bezkarnie do "Orestesa" o dziesięć jardów bliżej.

Jacht był w coraz mniejszej odległości od statku. Metcalfe skinął na Toziera i powiedział zdecydowanie: "Teraz!", zwiększając obroty silnika i obracając ster, aby podpłynąć do rufy "Orestesa". Jacht ukryty za kadłubem statku, był nadal niewidoczny z brzegu.

Tozier skoczył do kokpitu i dwukrotnie zakręcił w powietrzu kotwiczką, po czym rzucił ją w kierunku relingu na rufie. Kiedy się tam zahaczyła, Hellier dał sobie spokój z wyciąganiem ryby i pochwycił linę, naprężając ją i przyciągając jacht do burty statku. Metcalfe przełączył tymczasem silnik na jałowe obroty. Tozier wspinał się już po linie i po chwili Warren usłyszał, jak stuknął butami o pokład.

Metcalfe odszedł od steru i ruszył za nim, Warren zaś patrzył z niepokojem za burtę na wysuniętą rufę "Orestesa". Śruba statku była zanurzona jedynie w dwóch trzecich, gdyż nie miał on pełnego obciążenia i gdyby kapitan dał rozkaz do wypłynięcia, niewielki jacht padłby niechybnie ofiarą turbulencji.

Follet pchnął Warrena, sycząc: "No, dalej!" Doktor chwycił linę i zaczął się wspinać. Nie robił tego od gimnazjalnych czasów, gdy nauczyciel wuefu, trzymając w ręce palik do krykieta, zmuszał go do ćwiczeń. Warren nigdy nie był wysportowany. Dotarł jednak na górę, gdzie czyjaś ręka chwyciła go za kark i wciągnęła przez reling.

Nie było czasu na odpoczynek. Z trudem łapiąc oddech, podążył za Metcalfem. Tozier zniknął z pola widzenia, kiedy - jednak Warren odwrócił głowę, zobaczył za sobą Helliera. Wyglądał komicznie w kolorowej koszuli w kwiaty i krótkich spodenkach, które postanowił nałożyć, by uchodzić za wędkarza. Za to broń, którą trzymał w potężnej dłoni, wcale nie wydawała się śmieszna.

Pokład zadrżał im pod stopami i Metcalfe uniósł rękę w ostrzegawczym geście. Kiedy Warren podszedł bliżej, powiedział do niego cicho:

- Zdążyliśmy na czas. Właśnie odpływa. - Wskazał ręką kierunek. - Tam są schody na mostek. Idziemy:

Pobiegł ostrożnie naprzód i zaczął wchodzić na górę. Warren podążył za nim, nie mogąc się nadziwić, że nikt ich jeszcze nie zauważył. Teraz musiało jednak dojść do konfrontacji. Nie można wtargnąć na mostek, nie narażając się na protesty kapitana.

Metcalfe dotarł na górę pierwszy i równocześnie - jakby zgodnie z opracowanym wcześniej planem - z drugiej strony pojawił się Tozier. Na mostku było czterech ludzi: kapitan, dwóch oficerów i sternik. Kapitan spojrzał z niedowierzaniem na trzymanego przez Toziera erkaem, a kiedy się odwrócił, zastąpił mu drogę Metcalfe. Nie pozwalając kapitanowi dojść do słowa, powiedział oschle: "Arretez!", po czym dodał na wszelki wypadek po arabsku: "Ukaf!"

Ruch, który wykonał bronią, był zrozumiały we wszystkich językach, więc kapitan zamilkł. Tozier lułą erkaemu nakazał oficerom ustawić się z boku, a Metcalfe w ten sam sposób zatrzymał w miejscu sternika. Warren stał na szczycie schodów, trzymając w ręce pistolet. Spojrzał w dół na Helliera, który trzymał straż przy wejściu na mostek. Follet robił zapewne to samo po drugiej stronie.

Statek powoli odpływał i widać było coraz szerszy pas wody, który dzielił go od nabrzeża. Metcalfe chwycił mosiężną rączkę telegrafu, którym przekazywano sygnały do siłowni i polecił nastawić turbiny na połowę mocy. Dźwięk dzwonka potwierdził wykonanie rozkazu. Sternik gorliwie skinął głową, gdy Metcalfe wskazał mu palcem kierunek, przystawiając

broń do pleców. Pokręcił sterem i nabrzeże zaczęło oddalać się coraz szybciej. Nagle nastąpił zgrzyt. Z kabiny na mostku wyszedł Eastman i zdębiał widząc, co się dzieje. Sięgnął ręką pod marynarkę i w mgnieniu oka wyciągnął broń. Warren wymierzył ze swojego pistoletu i przez drobny ułamek sekundy obaj trwali w bezruchu. Potem Eastman krzyknął, gdy ktoś uderzył go od tyłu w rękę stalowym drągiem. Broń wystrzeliła. Usłyszeli metaliczny dźwięk i świst kuli, która odbita rykoszetem poleciała gdzieś w morze. Eastman nadal trzymając pistolet, odwrócił się w kierunku Dana Parkera, który stał tuż za nim ze stalowym drągiem. Trzymał go tak kurczowo, jakby przyrósł mu do ręki. Eastman grzmotnął Parkera łokciem w żołądek i ten zwinął się z bólu, upuszczając stalowy drąg, który z loskotem upadł na pokład. Potem Eastman uciekł co sił w nogach i Warren usłyszał odgłos zatraskiwanych gdzieś drzwi. Metcalfe pierwszy ruszył się z miejsca. Podbiegł na skraj mostku, spojrzał na brzegi zobaczył, że zapanowało tam poruszenie i wszyscy wpatrują się w odpływający statek.

- Usłyszeli hałas - powiedział i dodał podniesionym głosem: - Johnny, podejdź tutaj. -
- Potem zwrócił się do Toziera, załoga też musiała to usłyszeć: - Możesz zostać na mostku, dopóki Johnny i ja nie załatwimy Eastniana.
- Nie ma sprawy - odparł Tozier. - Nick, przyprowadź na górę Helliera, a potem zajmij się naszym przyjacielem, który przykłada żelaznym drągiem. - Odwrócił się do oficerów: - Kto z panów mówi po angielsku? - zapytał swobodnie.
- Mówię całkiem dobrze - odezwał się kapitan.
- Więc się dogadamy. Proszę wziąć megafon i polecić załodze, żeby zebrała się na dziobie. Ale najpierw powie mi pan, gdzie jest kabina radiowa.
- Kapitan wciągnął głęboko powietrze, jakby zbierał siły, by odmówić, ale prędko zrezygnował, gdy Tozier groźnie potrząsnął bronią. Wskazał głową w kierunku, gdzie Warren pomagał właśnie Parkerowi stanąć na nogach.
- Jest tam - oznajmił.
- Proszę go przypilnować - powiedział Tozier do Helliera i prędko się oddalił. Kiedy wrócił, kapitan krzychał coś do megafonu pod czujnym okiem Helliera, a załoga była już na pokładzie. Tak jak przypuszczał, stanowiło ją zaledwie paru ludzi. Statek nie miał pełnej obsady.
- Wiele bym dał, żeby wiedzieć, czy to już wszyscy - stwierdził, przyglądając się im z góry. W tym momencie podszedł do niego Warren w towarzystwie Parkera.
- To Dan Parker. Może nam wszystko powie. Tozier uśmiechnął się.
- Miło mi pana poznać.
- Ja cieszę się nawet bardziej - powiedział Parker, po czym spojrzał na pokład. - To już wszyscy. Nie widzę tylko ludzi z siłowni. Jeżeli zatrzymają silniki, będzie po nas.
- Nie mogli usłyszeć strzału, ale zaraz się przekonamy - Tozier nadał przez telegraf sygnał: "Cała naprzód" - i po chwili dzwonek potwierdził wykonanie rozkazu. - Nikt im jeszcze nie powiedział - oznajmił.
- Jeżeli ich stamtąd wydostaniemy, poradzę sobie z turbinami - stwierdził Parker. Potem rozejrzał się wokół i zapytał: - Gdzie jest Mike?
- Nie widziałem go - odparł Warren. - A gdzie był?
- Chyba w swojej kabinie.
- Znajdziemy go później - powiedział zniecierpliwiony Tozier. - Co zrobimy z załogą? Przede wszystkim musimy zapewnić sobie bezpieczeństwo na statku.
- Mamy pustą ładownię - oznajmił Parker. - Będą tam wystarczająco bezpieczni.
- Nick, weź Helliera i Parkera i zajmijcie się tym. Ich też zabierzcie. - Tozier wskazał na oficerów. - Nie sprawią wam kłopotów. Kiepsko wyglądają. - Przygryzł z namysłem dolną wargę. - Mam tylko nadzieję, że Tom dobrze sobie radzi.

III

Warren pomógł związać członków załogi i wsadził ich do ładowni. Potem we trzech zajęli

siłownię. Zostawił tam Parkera i Helliera, dołączył trójkę mechaników do reszty załogi i zajrzał z dołu na mostek. Tozier wychylił się przez reling i powiedział:

- Przyjdź tu, mamy pewien problem.

- A co z tą gromadką?

- Poślę tam Abbota. Już go znaleźliśmy. Daj mu swój pistolet. Abbot zszedł na dół i uśmiechnął się promiennie do Warrena.

- Niezła zabawa - stwierdził. - Fajnie, że zjawiała się cała banda. Warren dał mu broń.

- Ładna zabawka. W czym problem?

- Chłopcy na górze wszystko panu powiedzą. Warren wszedł na mostek i zastał Folleta przy sterze. Tozier, który stał obok, powiedział bez wstępu:

- Mamy Eastmana w pułapce, ale sytuacja jest patowa. Tom pilnuje na dole, żeby się nie wymknął, oznacza to jednak dla nas pewien problem. Eastman jest tam, gdzie torpedy, więc nie możemy pozbyć się heroiny, póki go stamtąd nie wykurzymy.

- Chce uratować forszę - stwierdził Follet. - Pewnie spodziewa się pomocy. Załoga jest bezradna, ale Delorme ma jacht Fuada i może nas ścigać.

Warren odrzucił tę możliwość.

- W jaki sposób mają być wystrzelone torpedy?

- Te dwa przyciski koło steru - powiedział Tozier, wskazując je palcem. - Wystarczy nacisnąć, żeby odpalić dwie torpedy. Warren skinął głową.

- Możemy się pozbyć połowy heroiny - stwierdził, robiąc krok do przodu.

Tozier chwycił go za rękę.

- Spokojnie. Ten twój Parker bardzo się napracował. Wszystkie torpedy są uzbrojone. Znalazł ładunki wybuchowe. W każdej główicy jest sto osiemdziesiąt funtów trotylu.

- Jeśli nie liczyć bomby wodorowej, będzie to najkosztowniejsza eksplozja w historii - odezwał się Follet. Warren był zdezorientowany.

- Ale na czym polega problem?

- Na Boga, człowieku! - powiedział Tozier, przyglądając mu się. - Na Morzu Śródziemnym nie można tak sobie odpalać uzbrojonych torped - zwłaszcza takich. Abbot twierdzi, że mają zasięg osiemnastu mil. - Wskazał na horyzont. - Skąd mamy wiedzieć, do cholery, co tam jest? Na odległość osiemnastu mil nic nie widać.

Follet zaśmiał się wesoło.

- Podobno jest w tych stronach amerykańska Szósta Flota. Jeżeli rąbnjemy w jeden z lotniskowców wuja Sama, będzie całkiem niezły pretekst do trzeciej wojny.

Warren zaczął się zastanawiać.

- Może są tu bezludne wyspy? Albo skały czy mielizny, jakieś miejsce, w które można by wystrzelić, zabijając co najwyżej ryby?

- To dobry sposób, żeby sprowokować międzynarodowy konflikt - stwierdził Tozier. -

Wystarczy rozwalić torpedami skały na terytorium któregoś z państw arabskich, by Izrael znalazł się w tarapatkach. Sytuacja jest bardzo delikatna i parę eksplozji w tym rejonie może naprawdę do czegoś doprowadzić.

- A nam i tak zostałyby jeszcze połowa towaru - powiedział Follet. - Albo nawet cały. Jeżeli Eastman jest dostatecznie sprytny mógł przeciąć przewody.

- Więc musimy go stamtąd wykurzyć - oznajmił Warren. - Myślę, że Parker powinien nam pomóc - zna statek.

- Chwileczkę - przerwał mu Follet. - Tkwią ciągle przy tym przeklętym sterze, więc może ktoś mi powie, dokąd płyniemy?

- Czy to ważne? - zapytał zniecierpliwiony Tozier.

- Metcalfe uważa, że tak - odparł Follet. - Kiedy odpływaliśmy, widział na molo Jeanette Delorme - a ona widziała jego. Dojdzie do wniosku, że uprowadziliśmy statek i Tom twierdzi, że popłynie za nami uzbrojona po zęby.

- Więc co mamy robić?

- Możemy trzymać się brzegu albo wypłynąć na pełne morze. Ona ma do wyboru te same możliwości. Co byś proponował?

- Wolałbym trzymać się brzegu - stwierdził Tozier. - Gdyby dopadła nas na pełnym morzu, gdzie może strzelać sobie do woli, mielibyśmy nikłą szansę, zwłaszcza, jeżeli ten jej jacht będzie pełen zbirów.

- Nie pomyślałeś, że przewidzi takie właśnie rozumowanie i popłynie wzdłuż wybrzeża, żeby nas złapać? Założę się, że nawet teraz nas obserwuje.

- Skąd mam wiedzieć, u diabła, co myśli Delorme? - wybuchnął Tozier. - Albo jakakolwiek kobieta?

- Jest na to sposób - powiedział Follet. - Weź ster. - Odszedł na bok, wyjmując pióro i notes.

- Jeżeli popłyniemy wzdłuż brzegu, a ona będzie nas szukać na morzu, mamy stuprocentową szansę przeżycia, zgadza się?

- Dopóki nas nie dogoni - zauważył Warren.

- Może uda nam się uciec - przekonywał Follet. - To samo dotyczy odwrotnej sytuacji - gdybyśmy my popłynęli na morze, a ona wzdłuż brzegu. Andy, jakie dawałbyś nam szansę, gdyby dopadła nas na morzu?

- Niewielkie - stwierdził Tozier. - Powiedzmy: dwadzieścia pięć procent.

Follet zanotował tę liczbę.

- A gdyby dogoniła nas przy brzegu?

- To brzmi lepiej - nie mogłaby robić za wiele hałasu. Myślę, że mielibyśmy spore szansę wyjść z tego cało - jakieś siedemdziesiąt pięć procent.

Follet zaczął szybko coś notować. Warren, zaglądając mu przez ramię, zauważył, że najwyraźniej wylicza jakiś matematyczny wzór. Kiedy skończył, oznajmił:

- Oto, co zrobimy. Włożymy do czapki cztery losy. Jeden będzie oznakowany. Jeżeli go wyciągniemy, płyniemy na morze. Jeżeli nie, trzymamy się brzegu.

- Oszalałeś? - zawołał Tozier. - Pozostawiłbyś taką decyzję przypadkowi?

- Po prostu jestem wariat - stwierdził Follet. - Ile wygrałem z tobą w monety?

- Prawie tysiąc funtów - ale co to ma do rzeczy? Follet wyciągnął z kieszeni garść monet i rzucił je Tozierowi pod nos.

- Proszę. Jest tutaj osiem monet. Trzy z nich z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego.

Kiedy graliśmy, wyciągałem z kieszeni którąkolwiek. Jeżeli była na niej data 1960, mówiłem "orzeł" - jeśli nie, "reszka". To wystarczyło, żebym miał statystycznie większe szansę. I zupełnie nic nie mogłeś zrobić. - Zwracając się do Warrena, dodał: - To wynika z teorii gier. Określa się w sposób matematyczny prawdopodobieństwo zaistnienia pewnej sytuacji w tych trudnych przypadkach, gdy mając coś zrobić przewidujemy, że ktoś tego właśnie się po nas spodziewa, postępujemy więc inaczej, gdyż znamy tok jego rozumowania, i tak w kółko. Teoria ustala nawet naszą szansę - w tym przypadku na nieco ponad osiemdziesiąt jeden procent. Tozier spojrział na Warrena z konsternacją.

- Co o tym sądzisz, Nick?

- Fakt, że ciągle przegrywałeś - stwierdził Warren. - Może Johnny ma rację.

- Oczywiście, że mam. - Follet schylił się i podniósł z pokładu marynarską czapkę, do której wrzucił cztery monety. - Niech pan wybierze jedną, Nick. Jeżeli będzie z 1960 roku, płyniemy na morze, jeśli nie - trzymamy się brzegu.

Kiedy jednak podsunął Warrenowi czapkę, ten się zawahał.

- Niech pan spojrzy na to z innej strony - rzekł poważnie Follet. - Teraz, póki jeszcze nie wyciągnął pan monety, nie wiemy, dokąd będziemy płynąć - a skoro my nie wiemy, jak, u diabła, ma to odgadnąć Delorme? Przypadkowy zestaw monet w czapce daje nam największą szansę, bez względu na jej decyzję. - Zamilkł na chwilę. - Musimy jednak przestrzegać jednej zasady: postąpimy tak, jak zadecyduje los, żadnych wahań. To działa tylko w ten sposób.

Warren sięgnął po monetę i położył ją na wierzchu dłoni, rewersem do góry. Tozier przyjrzał się jej i powiedział z westchnieniem:

- Rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty. Wypływamy w morze. Niech Bóg czuwa nad nami. Obrócił ster i skierował się dziobem na zachód.

IV

Tozier pozostawił Warrena i Folleta na mostku i zszedł do siłowni, aby naradzić się z Parkerem. Zobaczył, jak przechadza się z puszką oleju wśród lśniących, poruszających się nieustannie stalowych tłoków, co nie wyglądało na zbyt bezpieczne zajęcie. Hellier stał w pobliżu telegrafu.

Tozier skinął na Parkera, który odstawił puszkę i podszedł do niego.

- Może pan stąd na chwilę wyjść? - zapytał Tozier.

- Brakuje nam rąk do pracy - odparł Parker. - Ale jeżeli nie potrwa to długo, nic się tu nie stanie. O co chodzi?

- Pański przyjaciel, Eastman, zabarykadował się w torpedowni na dziobie. Próbowujemy go stamtąd wydostać. Parker zmarszczył brwi.

- Będzie to trochę skomplikowane. Kazałem tam zamontować wodoszczelną przegrodę, na wypadek awarii wyrzutni. Jeżeli się za nią ukrył, będzie cholernie trudno się do niego dostać.

- Może ma pan jakiś pomysł? Zamknął się tam i nie możemy w żaden sposób dostać się do heroiny.

- Chodźmy zobaczyć - stwierdził krótko Parker.

Metcalf siedział przykucnięty na końcu wąskiego korytarza o metalowych ścianach, który zamykały z drugiej strony dokładnie zaryglowane stalowe drzwi.

- Tam się schował - wyjaśnił. - Gdyby ktoś chciał spróbować, dałoby się te drzwi otworzyć, ale postrzał gwarantowany. On nie może chybić.

Tozier wyjrzał na korytarz.

- Nie, dziękuję. Nie ma się gdzie schować.

- Poza tym drzwi są kuloodporne - stwierdził Metcalfe. - Próbowałem parę razy strzelać, ale kule odbijają się tu od ścian w taki sposób, że bardziej to niebezpieczne dla mnie niż dla niego.

- Próbowałeś z nim rozmawiać? Metcalfe skinął głową.

- Nie słyszy mnie albo nie ma ochoty odpowiadać.

- Co pan na to, Parker?

- Można tam wejść tylko jedną drogą - odparł Parker. - Właśnie przez te drzwi.

- A więc pat - podsumował Tozier. Metcalfe zrobił kwaśną minę.

- Powiem więcej. Jeżeli uda mu się nas przetrzymać do czasu, gdy statek zostanie odbity, odniesie zwycięstwo.

- Chyba trochę za bardzo się tym przejmujesz. Delorme musi nas najpierw odnaleźć i wcale łatwo się nie poddamy. Co cię tak niepokoi? Metcalfe odwrócił się na pięcie.

- Z partii towaru, który dostarczyłem Fahrwazowi, zostało co nieco - na przykład dwa cekaemy.

- To niedobrze - powiedział cicho Tozier.

- Jest coś gorszego. Delorme próbowała wcisnąć Fahrwazowi cztery 40-milimetrowe działka, ale za nic nie chciał ich kupić. Uznał, że zużywają za dużo amunicji, więc zostawił ją z tym towarem. Jeżeli okazała się dość sprytna i wzięła jedno z tych działek na jacht, wystarczy jej czasu, żeby zainstalować je na pokładzie. Będzie potrzebowała tylko trochę stali i spawarkę, a w stoczni ma tych rzeczy pod dostatkiem.

- Myślisz, że mogłaby to zrobić?

- Ta dziwka jest zdolna do wszystkiego - odparł gwałtownie Metcalfe. - Powinieneś być mi pozwolić załatwić ją jeszcze w Bejrucie.

- Wtedy stracilibyśmy heroinę. Musimy pozbyć się tych narkotyków. Nie można pozwolić, żeby dostały się w jej ręce. Metcalfe wskazał kciukiem w głąb korytarza.

- Proszę bardzo - otwórz te drzwi.

- Mam pewien pomysł - odezwał się Parker. - Może uda nam się go stamtąd wykurzyć.

- Pewnie chce pan zatopić całą komorę - stwierdził Tozier. - Czy to się da zrobić?

- Nie myślałem o wodzie - odparł Parker. Podniósł głowę i spojrzał w górę. - Tuż nad nami,

na pokładzie dziobowym, znajduje się wciągarka kotwicy. Jest napędzana parą z kotła. Myślę, że mógłbym podłączyć się do którejś z rur.

- I co by to dało?

- Na statku jest system urządzeń do przeprowadzania deratyzacji .- żeby pozbyć się szczurów. Do każdej komory dochodzi przewód gazowy i, na mój gust, ten którego potrzebujemy, powinien być otwarty. Sprawdzę tylko, gdzie się kończy i podłączę tam własną instalację. Starczy trochę gorącej pary, żeby Jack Eastman wyleciał stamtąd jak z procy.

- Ma pan sympatyczne pomysły - stwierdził Metcalfe. - I bardzo ludzkie. Ile czasu to zajmie?

- Nie wiem. Godzinę, może dwie. Zależy, co zastanę na górze.

- No to do roboty - powiedział Metcalfe.

V

Jamil Hassan był człowiekiem systematycznym, ale niestety zbiurokratyzowana instytucja, w której pracował, działała opieszale i składała się ze zbyt wielu wydziałów. Informacja o tym, co zaszło, w ogóle nie dotarła do jego biura i dowiedział się o wszystkim tylko dlatego, że postanowił wypić rano filiżankę kawy.

Przechodząc obok biurka dyżurnego oficera, zapytał z przyzwyczajenia:

- Jest coś nowego?

- Nic specjalnego, sir. To, co zwykle. Była tylko jedna dziwna wiadomość - meldunek o strzelaninie na statku, który wypływał ze stoczni El-Gamhurija.

Młody policjant, który pisał obok jakiś raport, wyteńczył słuch.

- Co w tym dziwnego? - zapytał Hassan.

- Zanim otrzymaliśmy meldunek i posłaliśmy tam kogoś, statek opuścił już nasze wody terytorialne. - Oficer dyżurny wzruszył ramionami. - Nie mogliśmy nic na to poradzić.

Młody policjant zerwał się z krzesła.

- Sir!

- Słucham? - powiedział Hassan, mierząc go wzrokiem.

- Wczoraj w nocy przesłuchiowano niejakiego Andrew Picota -zgodnie z pańskim rozkazem, sir.

- I co z tego?

Młody człowiek był trochę podenerwowany.

- Chodzi o to, że... że trzy dni temu widziałem, jak Picot wychodził ze stoczni El-Gamhurija. Może to nie jest...

Hassan uciszył go gestem ręki, porządkując w myślach fakty, jak komputer. Z Iranu wywieziono na zachód duże ilości heroiny; przesłuchanie Picota podejrzanego o przemyt, nie dało rezultatu; widziano go w stoczni El-Gamhurija; w tej samej stoczni ktoś strzelał na jakimś statku; statek opuścił pośpiesznie wody terytorialne Libanu. Były to okruchy informacji, ale wystarczająco ważne.

Podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer i powiedział:

- Sprowadźcie Andrew Picota na przesłuchanie. I proszę o samochód.

W pół godziny później stał na nabrzeżu w stoczni, zadając pytania oficerowi, który zajmował się sprawą.

- I kiedy padł strzał, statek odpłynął?

- Tak, sir.

- Jak się nazywał?

- "Orestes".

Hassan przyglądał się pustemu nabrzeżu.

- I nie było tu żadnych innych statków? To dziwne.

- Niezupełnie, sir. Był jeszcze jacht. Odpłynął dopiero przed pięcioma minutami. - Pokazał na morze. - Jest tam.

Hassan osłonił oczy od słońca i spojrzał we wskazanym kierunku.

- I puścił go pan? Czy właściciel jachtu był tutaj, kiedy zdarzył się ten incydent?

- Tak, sir. Mówi, że niczego nie widział ani słyszał. Członkowie załogi także.

Hassan spoglądał na jacht.

- To bardzo wygodne. Kim on jest?

- Nazywa się Fuad, sir. Mówił, że płynie na Karaiby.

- Wielki Boże! - powiedział z przejęciem Hassan. - Naprawdę? A co tam leży na rufie?

Oficer wyteżył wzrok, starając się odgadnąć.

- Jakież brezentowe plandeki...?

- Jedna brezentowa plandeka, która coś przykrywa - poprawił go Hassan. - Potrzebny mi telefon.

W dwie minuty później wdał się w sprzeczkę z wyjątkowo tępym oficerem sztabowym z dowództwa marynarki w Bejrucie.

VI

"Orestes" prul fale, płynąc nowym kursem. Zarys łądu za rufą zniknął i widać było jedynie mgliste kontury w miejscu, gdzie wznosiły się Góry Liban. Warren, nie marnując czasu, odszukał kuchnię i przygotował posiłek: wołowinę z puszek i płaskie bochny arabskiego chleba, które trzeba było popijać kiepskim kwaśnym winem.

Pracując zastanawiał się, co łączy Metcalfe'a i Toziera. Należeli do tego samego gatunku ludzi, ludzi o silnej woli i wyglądało na to, że bardzo zgodnie ze sobą współpracują i każdy z nich czuje instynktownie, iż jego partner w razie potrzeby zrobi, co trzeba. Ciekawe, który z nich byłby górą, gdyby doszło do konfliktu.

Zdecydował w końcu, że postawiłby na Metcalfe'a. Tozier postępował ostrożniej i chciał, by jego działalność miała przynajmniej pozory legalności. Metcalfe był amoralnym awanturnikiem, do pewnego stopnia pozbawionym skrupułów i nader biegłym w sztuce podstępów. Warren pomyślał, że gdyby doszło między nimi do starcia, Tozier mógłby niebezpiecznie się zawahać, a Metcalfe by tego nie zrobił. Miał jednak nadzieję, że nigdy nie dojdzie do sprawdzenia tych prognoz.

Skończył przygotowania i zaniósł jedzenie na mostek. Metcalfe znający się najlepiej na statkach i morzu, przejął teraz dowodzenie, a Tozier pilnował Eastmana. Follet był w siłowni, trzymając pod bronią dwóch wypuszczonych na wolność mechaników, którzy nerwowo obsługiwali maszyny. Parker i Abbot pracowali na pokładzie dziobowym przy wciąganiu kotwicy, a Hellier trzymał straż koło ładowni.

Metcalfe zawołał Abbota, aby przyszedł po jedzenie, wezwał również na mostek Helliera.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Żadnych problemów - zapewnił go Hellier. - Siedzą cicho. Metcalfe poczęstował go kanapką, a kiedy Hellier ją ugryzł, stwierdził z jowialnym uśmiechem:

- Dodał pan teraz do listy swoich wykroczeń piractwo, sir Robert. W Anglii można za to wisieć.

Hellier zakrztusił się suchym kawałkiem chleba i z ust poleciały mu okruchy.

- Nie przypuszczam, żeby Delorme wniosła oskarżenie - stwierdził Warren. - Zwłaszcza biorąc pod uwagę materiał dowodowy, który mamy na statku. - Rzucił Metcalfe'owi porozumiewawcze spojrzenie. - Ciekawe, co ona teraz myśli.

- Na pewno nic dobrego - odparł Metcalfe. - Bardziej martwię się jednak o to, co robi. Z pewnością nie będzie siedziała na tym swoim zgrabnym tyłku. Kiedy Jeanette wpada w szal, staje się bardzo aktywna. - Skinął głową w stronę dziobu: - Jak radzi sobie Parker?

- Twierdzi, że musi mieć jeszcze godzinę - powiedział Abbot.

- Zaniosę mu coś do żarcia i sprawdzę, czy potrzebuje pomocy - oznajmił Warren.

Metcalfe przytrzymał jedną ręką ster, a drugą jadł kanapkę.

- Co za krypa! Gdyby było z górki, robiłaby dziewięć węzłów. - Spojrzał w niebo. - Co to za konstrukcja tam, na bomie?

- To jeden z pomysłów Dana - odparł Abbot, wyjaśniając kombinację ze światłem na brzegu i człowiekiem w bocianim gnieździe.

- Sprytne - podsumował Metcalfe. - Wejź tam i sprawdź, co widać.

Abbot wdrapał się na bom i usadowił na górze, trzymając się teleskopu celowniczego, który był solidnie przymocowany. Na tej wysokości, pięćdziesiąt stóp nad wodą, odczuwał podmuchy wiatru, który wicherzył jego jasne włosy, a powolne kołysanie "Orestesa" jakby się potęgowało.

- Są tu jeszcze dwa przyciski - krzyknął. - Eastman chciał mieć podwójny zestaw.

- Nie ruszaj ich. Co tam widać?

Abbot spojrzał w kierunku dziobu.

- Przed nami płynie jakiś statek. Widzę dym. - Obrócił się powoli, obserwując horyzont. - Za nami też jest jeden. Metcalfe okazał zaniepokojenie.

- Zbliża się?

- Trudno powiedzieć - krzyknął Abbot. Milczał przez chwilę, a potem dodał: - Chyba tak. Widzę falę przy dziobie.

Metcalfe odszedł od steru, mówiąc do Helliera: - Proszę mnie zastąpić. - Nie zwalniając kroku pochwyił lornetkę i wspiął się na bom jak małpa na palmę. U góry stanął tak, by kołysanie statku nie pozbawiło go równowagi i skierował lornetkę w stronę rufy.

- To jacht Fuada. Pędzi jak szalony.

- Są daleko?

Metcalfe oszacował odległość.

- Jakieś sześć mil stąd. Mają radar. Na pewno już nas zlokalizowali. - Podał lornetkę Abbotowi. - Zostań tu i miej ich na oku.

Zszedł z bomu z powrotem na mostek, gdzie sięgnął po telefon i zadzwonił do siłowni.

- Johnny, pogoń trochę tych swoich chłopaków - musimy płynąć szybciej... Wiem o tym, ale Jeanette siedzi nam na ogonie. Kiedy rzucił słuchawkę, Hellier spojrzał na niego spod oka.

- Ile mamy czasu?

- Ta zardzewiała krypa wyciągnie może z osiem węzłów, jak się ją dobrze przydusi. Jacht robi trzynaście albo czternaście. Mamy około godziny. - Metcalfe poszedł na skraj mostku i spojrzał za rufę. - Stąd go nie widać. Jest jeszcze za horyzontem. - Odwrócił się z kwaśnym uśmiechem. - Byłem już kiedyś w podobnej sytuacji - po zachodniej stronie Morza Śródziemnego. Płynąłem razem z niejakim Krupke na łodzi typu Fairmile. Ale wtedy to myśmy kogoś ścigali.

- I kto wygrał? - spytał Hellier.

Uśmiech Metcalfe'a stał się jeszcze bardziej ponury.

- Ja!

- Co mogą zrobić, jeżeli nas dogonią? Przecież nie wejdą na pokład.

- Mogą nas powystrzelać. - Metcalfe spojrzał na zegarek. - Za godzinę na tej łajbie nie będzie zbyt bezpiecznie.

- Mamy tu sporo stalowych płyt, za którymi można się ukryć. W głosie Metcalfe'a pobrzmiwała pogarda, gdy powiedział z niesmakiem:

- Płyty ze stali! - Kopnął w mostek, z którego posypały się porzewiałe płaty metalu.

- Niklowane kule przebija to jak tekturę. Był pan w artylerii, więc powinien pan wiedzieć. Może mi pan powie, co robi z tym mostkiem 40-milimetrowe działko?

Pozostawił Helliera z tą niepokojącą myślą i poszedł na dziób, gdzie Parker i Warren pracowali przy wciągarnie.

- Niech się pan pośpieszy - płyną za nami. Ile to jeszcze potrwa, na Boga?

Parker nie przerywał pracy, równomiernymi ruchami dokręcając przewód.

- Powiedziałem, że godzinę.

- Nie będzie pan miał ani chwili więcej - stwierdził Metcalfe. - Potem radzę nie wystawiać głowy. Warren podniósł wzrok.

- Dan mówił mi, o co pan podejrzewa Delorme. Czy naprawdę będzie do nas strzelać? To wystarczyło, by Parker oderwał się od pracy.

- Jak tylko zobaczyłem tę babę, wiedziałem co z niej za ziółko -oznajmił. - Nie rozumiem, jak Mike może ją znieść. Zabije nas wszystkich, a potem wróci na parkiet i przetańczy całą noc, niczym się nie przejmując. - Zajął się znów przewodem wciągarki i dodał: -Tu już wszystko gotowe. Teraz musimy zejść pod pokład.

- Jeżeli mógłbym w czymś pomóc, żeby przyspieszyć robotę, proszę mnie zawołać - powiedział Metcalfe. - Zejdę na dół, żeby poznać Andy'ego z sytuacją. - Sprawdził, jak radzi sobie Tozier, odwiedził w siłowni Folleta, a kiedy wrócił na pokład, jacht "Stella del Mare" był już widoczny daleko na horyzoncie. Natychmiast udał się na rufę, żeby coś zobaczyć, a potem poszedł na mostek i powiedział do Helliera:

- Będą celować przede wszystkim w miejsce, gdzie pan stoi - każdy, kto się tu znajdzie, zginie.

- Ktoś musi trzymać ster - odparł spokojnie Hellier.

- Tak, ale nie w tym miejscu. Na rufie jest stanowisko awaryjne. - Metcalfe spojrzał w górę na bom. - Mike, zjedź stamtąd i przejmij ster.

Poszli z Hellierem na rufę i wyciągnęli ze schowka zapasowe koło, mocując je tuż nad sterem. Metcalfe popatrzył i stwierdził:

- Trochę za bardzo je widać. Trzeba zrobić zasłonę z brezentu. Nie zatrzyma kul, ale może nie będą ostrzeliwać rufy, jeżeli tu nikogo nie zobaczą.

Otoczyli ster brezentową zasłoną, po czym Metcalfe powiedział do Helliera:

- Proszę na razie tu zostać. Ściągnę Abbota z mostku - będzie mi potrzebny. Pokieruje pan statkiem, dopóki pana nie zlużuję.

Znowu popędził przed siebie, myśląc po drodze, że pokonuje w ten sposób na nogach wcale niemałe odległości. Kazał Abbotowi puścić ster i patrzył, czy "Orestes" nie zmienia kursu. Początkowo trochę zboczył, ale potem popłynął dalej swoją drogą, a koło na mostku obracało się powoli i równomiernie tam i z powrotem, jakby poruszała nim jakaś niewidzialna istota.

- Skocz do kajut oficerskich - powiedział do Abbota - i przynieś poduszki, prześcieradła, kurtki, czapki - chcę zrobić kilka manekinów.

Naciągnęli uniformy na poduszki, przytwierdzając do nich marynarskie czapki zabranymi z kuchni szpilkami do rolad. Zrobili trzy kukły, które zwisały z sufitu sterówki, sprawiając nieprzyjemne wrażenie powieszonych ludzi. Z większej odległości musiały jednak wyglądać dość przekonująco. Kołysały się lekko i ich ruchy wydawały się zupełnie naturalne.

Metcalfe wyszedł na skraj mostku i spojrzał za rufę.

- Szybko nas dogania. Ma jeszcze około mili - jakieś dziesięć minut. Lepiej się stąd zabieraj, Mike. Zobaczę, co robi Parker.

- Tam płynie jakiś statek - oznajmił Abbot, wskazując za prawą burtę. Statek zmierzał w przeciwnym kierunku i był mniej więcej o dwie mile od nich. - Myślisz, że mamy szansę na pomoc?

- Chyba że chcesz zobaczyć prawdziwą masakrę - stwierdził Metcalfe z napięciem. - Podpływając do tamtego statku, zwiększylibyśmy tylko ilość ofiar.

- Czy to znaczy, że zabiłaby też jego załogę?

- Sto milionów dolarów posiada zabójczą moc. W okolicznych portach nie brakuje facetów, którzy załatwią każdego, kogo im wskażesz, za pięć tysięcy dolarów i załóżę się, że ten jacht jest nimi wypełniony. - Wzruszył nerwowo ramionami. - Bierzmy się do roboty.

Parker i Warren byli zmęczeni i mieli podły nastrój.

- Pięć minut - powiedział Parker, ponaglany przez Metcalfe'a. - To już ostatni kawałek przewodu.

- Gdzie włącza się parę?

- Na pokładzie, koło wciągarki jest zawór - odparł Parker. -Łatwo go zauważyć.

- Idę tam - oznajmił Metcalfe. - Proszę krzyknąć, kiedy trzeba będzie go przekręcić. I niech ktoś pójdzie zawiadomić Andy'ego, co się dzieje. Może potrzebować pomocy, chociaż nie bardzo w to wierzę.

Kiedy znalazł się znów na pokładzie, jacht "Stella del Mare" zbliżał się od lewej burty.

Zmniejszył prędkość, żeby zrównać się z "Orestesem" i zatrzymał się o dwieście jardów od nich. Metcalfe przykucnął za wciągarką, przyglądając się jachtowi. Abbot odezwał się za jego plecami:

- Spójrz na rufę. Co to takiego?

- Nie wychylaj się - skarcił go Metcalfe. Popatrzył na nietrudne do rozpoznania kontury czegoś, co okrywała tylko powierzchownie brezentowa plandeka i poczuł, że robi mu się niedobrze. - To działko. Pociski lecą z niego taką strugą jak woda z gumowego węża.

- Zamilkł na chwilę. - Na dziobie mają chyba jeden karabin maszynowy, a drugi na śródokreściu, na pokładzie łodziowym. To pływająca puszka Pandory.

- Na co oni czekają? - zapytał Abbot niemal z rozdrażnieniem.

- Chcą, żeby odpłynął tamten statek. Jeanette woli nie mieć świadków. Zaczeka, aż zniknie za horyzontem, zanim spróbuje cokolwiek zrobić. - Oceniał, jak daleko jest zawór, który znajdował się na otwartej przestrzeni. - W każdym razie mam taką nadzieję.

Czekając na sygnał bębnił palcami o metal wciągarki. W końcu usłyszał wołanie Warrena:

- W porządku, Tom. Dan mówi, żeby odkręcić zawór na trzy minuty - to powinno wystarczyć.

Metcalfe wyszedł zza wciągarki, stanął przy zaworze i odkręcił go. Miał pełną świadomość, że z pokładu "Stelli del Mare" dokładnie go widać i czuł nieprzyjemne klucie między łopatkami. Para uchodziła z gwałtownym sykiem przez źle zamocowane złącze.

Na dole Tozier czekał już z gotowym do strzału erkaemem. Parker stał tuż za nim, podpierając ścianę w oczekiwaniu na bieg wydarzeń. Nie miał wątpliwości, że coś musi się zdarzyć. Nikt nie wytrzyma długo w stalowej klatce, do której wpuszcza się pod ciśnieniem gorącą parę. Skinął tylko głową, gdy Tozier wyszeptał:

- Porusza się rygiel.

Tozier zlitowałby się może nad Eastmanem i dał mu szansę, ale ten otworzył gwałtownie drzwi i wyskoczył w obłoku pary, strzelając na oślep, Tozier nacisnął spust i potworny łoskot erkaemu wypełnił zamkniętą przestrzeń, nie zdołał jednak zagłuszyć przeraźliwego świstu uchodzącej pod ciśnieniem pary. Kule dosięgnęły Eastmana, zanim ten zdążył zrobić dwa kroki. Siła uderzenia odrzuciła go do tyłu i leżał teraz w otwartych drzwiach torpedowni.

Gwizd pary ustał.

- Wytrzymał dwie minuty - stwierdził Parker. - Dłużej niż przypuszczałem. Zobaczmy, czy czegoś tam nie uszkodził. Tozier opuścił broń.

- Tak, pozbądźmy się tego piekielnego ładunku. Parker nagle przystanął.

- U diabła, fakt, że jest piekielny - powiedział z naciskiem. - Przecież to broń. Możemy z niej skorzystać.

Tozierowi opadła szczeka.

- Na Boga, ma pan rację. Że też o tym nie pomyślałem! Niech pan sprawdzi torpedy, Dan. Muszę wszystko zorganizować. - Pobiegł korytarzem i zaczął wspinać się po drabinkach na dziób. Miał właśnie wyjść na pokład, gdy ktoś chwycił go za ramię.

- Uważaj, bo możesz oberwać - ostrzegł Metcalfe, - Spójrz tam. Tozier wyjrzał ostrożnie zza framugi drzwi i zobaczył, że "Stella del Mare" jest już bardzo blisko. Schował głowę, mówiąc:

- Niech to szlag! Są obok nas.

- W pobliżu przepływa jakiś statek, ale oddala się z każdą chwilą. Jeanette czeka, aż zniknie za horyzontem.

- Parker wpadł na pomysł - oznajmił Tozier. - Chce ją storpedować. - Uśmiechnął się widząc wyraz twarzy Metcalfe'a. - Służył kiedyś w marynarce - to dla niego oczywiste rozwiązanie.

- Też powinienem był o tym pomyśleć - stwierdził Metcalfe ze złowrogim błyskiem w oku. - Chyba zlużuję Helliera - nie zna się aż tak dobrze na kierowaniu statkiem. Czy Parker potrzebuje pomocy?

- Na pewno. Powiedz lepiej Hellierowi, żeby do niego poszedł. A ja dam znać Johnny'emu.

Kiedy Tozier zszedł do siłowni, Follet siedział przy telegrafii z bronią w ręku i obserwował mechanika, który sprawdzał wskazania przyrządów. Tozier musiał podnieść głos, aby Follet go usłyszał.

- A to sukinyś! - powiedział z podziwem Follet. - To znaczy, że storpedujemy jacht?
- Spróbujemy.

Follet spojrzął na zroszoną blachę. Za tą cienką stalową powłoką było morze.

- W razie czego - gdyby były jakieś problemy - daj mi znać - poprosił. - Nieźle pływam, ale chciałbym mieć okazję to udowodnić. Tozier uśmiechnął się ponuro.

- Jakie dajesz nam teraz szansę, Johnny?

- Koniec z zakładami - stwierdził Follet. - Ale postąpiliśmy słusznie, tego jestem pewien. Nawet gdy się ma statystyczną przewagę, nie zawsze można wygrać.

Tozier postukał go lekko po ramieniu zaciśniętą dłonią.

- Dopilnuj, żeby to żelastwo było na chodzie. Tom będzie manewrował statkiem.

Skierował się do torpedowni, lecz zanim tam wszedł, odciągnął na bok ciało Eastmana.

- Zdaje się, że wszystko w porządku - stwierdził Parker. - Eastman niczego tu nie zepsuł. - Poklepał korpus jednej z torped. - Będę przy nich potrzebował pomocy. Dwie są już w wyrzutniach, ale tych sam nie ruszę.

- Zaraz przyjdzie Hellier - powiedział Tozier. - Ma najwięcej siły. - Odwrócił się. - O, już jest. Dan, żeby nie było nieporozumień: mamy tylko wdusić te przyciski, tak?

Parker skinął głową.

- Jeden zestaw jest na mostku, a drugi w bocianim gnieździe. Można wykorzystać którykolwiek z nich. Bocianie gniazdo jest o tyle lepsze, że ma teleskop celowniczy.

- Wróć na górę - stwierdził Tozier. - Zaraz zacznie się zabawa. Wyszedł, zegnając Helliera skinieniem głowy.

- Co mam robić? - zapytał Hellier.

- Na razie nic - odparł ze stoickim spokojem Parker. - Możemy tylko czekać. - Po chwili podniósł wzrok i dodał:

- Jeśli jest pan wierzący, może się pan pomodlić.

* * *

Tozier znalazł Abbota i Warrena na rufie. Abbot leżał na pokładzie, przyglądając się ostrożnie zza nadbudówki jachtowi "Stella del Mare". Cofnął się, gdy Tozier dotknął jego ramienia.

- Szykują tam coś na rufie - powiedział.

Tozier zajął jego miejsce. Trzech albo czterech mężczyzn uwijało się na tylnym pokładzie jachtu, ściągając brezentową plandekę z podłużnej lufy działa. Jeden z nich usadowił się na siodełku i gdy kręcił korbą, lufa unosiła się albo opadała. Drugi również usiadł i obrócił działo, a następnie przyłożył oko do celownika. Tozier oddałby duszę diabłu za dobry karabin. Mógłby powystrelać ich wszystkich, zanim zdążyliby uciec.

Nieco dalej pozostali mężczyźni przygptowywali karabiny maszynowe. Widział wyraźnie, jak montują bęben z amunicją. Cofnął się i spojrzął za rufę. Statek, który minęli, był już jedynie plamą na horyzoncie, a nad nią unosiła się smuga dymu. Tozier wstał i zawołał głośno:

- Tom, wchodzimy do akcji!

- Tak jest, sir! - padła przytłumiona odpowiedź zza brezentowej zasłony.

Tozier odciągnął Warrena i Abbota na bok:

- Na lewej burcie nie będzie od tej chwili zbyt bezpiecznie. Najlepiej położyć się na pokładzie z prawej strony, gdzieś za mostkiem. Spróbujemy ich storpedować. Tom przejął dowodzenie, bo musi naprowadzić statek na cel.

- Ale przyciski do odpalania torped są na mostku - zauważył Warren.

- Tak - odparł Tozier. - I na tym polega cała zabawa. Mike, zostaniesz tutaj i będziesz w kontakcie z Tomem - dasz znać, kiedy zechce atakować. Ty, Nick, pójdziesz ze mną. Jak

dostaniesz sygnał, pobiegiesz na mostek i spróbujesz dotrzeć do przycisków.

Warren skinął głową i zastanawiał się przez moment, jakie zadanie Tozier przeznaczył dla siebie. Dowiedział się tego niebawem, gdy Andy wskazał na bom.

- Drugi zestaw przycisków jest tam, na górze. To będzie zadanie dla mnie, gdybyś nie mógł się dostać na mostek.

Warren spojrział na niczym nie osłonięte bocianie gniazdo i zwilżył wargi.

- A jeżeli ci się nie uda?.

- Wtedy przestanę się tym przejmować - odparł beztrąsko Tozier. - Ktoś inny będzie musiał spróbować szczęścia. Chodźmy się schować.

Ukryli się z Warrenem w pobliżu prawej burty i czekali. Kanonada rozpoczęła się nagle i z zaskakującą gwałtownością.

Ze swej kryjówki Warren widział tylną część mostku, który - przy akompaniamencie serii wybuchów - zaczął się rozpadać. Pociski działa eksplodowały z brutalną siłą, wznecając jaskrawe błyski i ze sterówki pozostały w jednej chwili nędzne szczątki.

Usłyszał nad głową głucho uderzenie i spojrzawszy w górę zobaczył ze zdumieniem wbity w drewnianą listwę kawałek szkła. Wyrzucone siłą wybuchu z rozbitej sterówki, pomknęło niczym śmiertcionośny pocisk w jego kierunku, wbijając się ostrą jak brzytwa krawędzią na głębokość jednego cala w twarde tekowe drewno. Gdyby trzymał głowę o parę cali wyżej, byłoby już po nim.

Zdażył schować się ponownie akurat w chwili, gdy działo zaczęło ostrzeliwać rufę. Pociski wybuchały na pokładzie i ze wszystkich stron sypały się kawałki desek. Jeden z nich rozciął mu kurtkę, pozostawiając wystrzępioną dziurę. Oprócz głuchego grzmotu działa dał się słyszeć terkot karabinów maszynowych. Kule przeszywały nadbudówkę, jakby jej ściany były zrobione z papieru. Warren przyłgął mocno do pokładu i wyglądało na to, że próbuje się w nim zakopać.

Kanonadę usłyszał w odległości czterech mil na zachód młody kapitan libańskiej łodzi patrolowej, na której płynął Jamil Hassan. Odwrócił się do niego i powiedział:

- Strzelają! Hassan odpowiedział ponagląjącym gestem.

- Szybciej! Niech się pan pośpieszy!

Warren ostrożnie uniósł głowę, gdyż potworny hałas ustał i znów zaległa cisza. Słyszeć było tylko jednostajne dudnienie silników i plusk fali przy dziobie. Spojrział na mostek, zauważając z przerażeniem rozmiary zniszczeń. Wyobraził sobie nagle, jak zrobione przez Metcalfe'a kukły tańczyły na sznurkach niby marionetki, a kule i pociski przelatowały przez nie i pomiędzy nimi tak długo, aż nie zapadł się dach.

"Orestes" zaczął - powoli zbaczać w lewo, jakby zabrakło ręki trzymającej ster.

- Zmieniam kurs, żeby statek niby przypadkowo obrócił się dziobem do jachtu - krzyknął Metcalfe. - Może uda nam się ich zmylić. Niech Andy będzie gotowy.

Abbot pochylając się nisko, pomknął naprzód, aby przekazać wiadomość. Tozier popatrzył na rozbity doszczętnie mostek i pokręcił głową.

- Biegnij, Nick, ale uważaj. Zaczekaj, aż jacht będzie na linii strzału, zanim naciśniesz guzik. Jeżeli nie będziesz mógł odpalić, krzyknij.

Warren stwierdził, że cały się trzęsie. Nie był stworzony do takich zadań i dobrze o tym wiedział. Podbiegł do stopni prowadzących na mostek i prędko się po nich wspiął. Gdy znalazł się na górze, natychmiast schował głowę i położył się na brzuchu. Dopiero po chwili rozejrzał się po sterówce. Jej przednia część wyleciała w powietrze i niewiele z niej pozostało. Nie było steru, kolumny kompasu, telegrafu ani małej skrzynki z dwoma przyciskami. Mostek praktycznie przestał istnieć.

Krzyknął: - Nic z tego, Andy! - i w obawie przed następną kanonadą odwrócił się szybko, aby pobiec z powrotem. Nie usiłował nawet schodzić po stopniach, tylko zeskoczył na dół i upadł ciężko na pokład, kryjąc się za szczątkami mostku.

Zobaczył, jak Tozier mija go i pędzi wzdłuż pokładu na otwartą przestrzeń śródokręcia.

Biegł zygzakiem w taki sposób, by nigdy nie robić więcej niż trzech kroków w jednym kierunku. Kiedy zniknął za osłoną maszynierii u podnóża bomu, Warren spojrział w górę. Po

tym wszystkim, co zaszło, wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek był w stanie tam się wspiąć.

Metcalfę patrzył na bom, przyglądając się równocześnie jachtowi. Zobaczył, jak Tozier pnie się w górę i obrócił ster, by "Orestes" nie schodził z kursu. Tozier dotarł do bocianiego gniazda i pochylił się, żeby przyłożyć oko do celownika, ale jacht schodził mu z pola widzenia, choć Metcalfe dokładał starań, by mieć go na linii dziobu.

Nagła zmiana kursu obu statków zdezorientowała cekaemistów na jachcie. Przedni karabin maszynowy stał się zupełnie bezużyteczny, a strzały ze śródokręcia chybiały. Za to działko było doskonale ustawione - obróciło się gładko, otwierając ogień. Obok Toziera przeleciał grad kul i wydawało się nieprawdopodobne, by żadna go nie dosięgnęła. Za rufą "Orestesa" wytrysnęła z morza cała seria fontann, gdy przelatujące nad statkiem pociski eksplodowały w wodzie na przestrzeni jednej mili, nie czyniąc żadnych szkód.

Tozier wdusił z całej siły przyciski i dwie torpedy, warte łącznie pięćdziesiąt milionów dolarów, zostały odpalone.

Potem najszybciej jak mógł, zaczął schodzić z bomu. Znalazłszy się dziesięć stóp nad pokładem, skoczył w dół. Działo przestało strzelać i Warren usłyszał od strony burty czyjś radosny okrzyk, f Zastanawiał się, z czego Metcalfe tak bardzo się cieszy. Jedno było pewne: torpedy chybiły. Na morzu nie nastąpiła żadna eksplozja, a karabin maszynowy nadal grał swoje staccato.

Kiedy pociski wystrzelone z działa ze świstem przelatywały nad statkiem, Metcalfe próbował naśladować żółwia, wtulając głowę w ramiona, jakby w ten sposób mógł ją ocalić. Gdyby lufę ustawiono trochę niżej, cały tył "Orestesa" poszedłby w diabły, a Tom Metcalfe razem z nim. Gdy więc działko przestało strzelać, wyjrzał przez dziurę w brezentowej zasłonie i zaczął głośno wiwatować.

Załoga "Stelli del Mare" miała jakieś kłopoty. Na pokładzie rufowym zrobiło się zamieszanie, a długa lufa sterzczała w górę pod nienaturalnym kątem. Zaimprovizowana podstawa nie wytrzymała nieustannego naporu działa, które wyrzucało z siebie grad pocisków. Teraz nie nadawało się już do użytku. Z jachtu dochodził odległy cichy jęk, jakby ktoś został ranny.

Metcalfę miał więc powody do radości.

Niżej, na dziobie Parker i Hellier usłyszeli syk sprężonego powietrza, gdy torpedy wylatywały z wyrzutni. Hellier chciał zaczekać i posłuchać, czy dosięgnęły celu, ale Parker zamykał już zewnętrzne włazy, przygotowując następny ładunek. Otworzył wewnętrzne drzwiczki i usunął się na bok, gdy wytrysnęła przez nie woda, a potem sprawnym ruchem zwolnił zaciski, które mocowały torpedę ustawioną na kozłach przy lewej burcie.

- No, dalej! - krzyknął. - Wepchnijmy to draństwo do środka!

Z całych sił napierali z Hellierem na torpedę, która sunęła powoli na rolkach w kierunku otwartej wyrzutni. Była bardzo ciężka i początkowo przesunęła się zaledwie o ułamek cała, kiedy jednak wzmogli nacisk, nabrała rozpędu i w końcu weszła gładko do środka. Parker zatrzasnął właz i zakręcił koło zamka.

- Teraz druga - powiedział, z trudem łapiąc powietrze.

- Myśli pan, że tamte trafiły? - zapytał Hellier.

- Nie wiem - odparł Parker, ciągle czymś zajęty. - Raczej nie. Sądząc z zamieszania na górze, musieli być zupełnie blisko. Na litość boską, wsuńmy tę torpedę, do środka!

Warren rozglądał się za Tozierem, ale nigdzie go nie dostrzegł. Wystawił głowę zza mostku i spojrzął na "Stellę del Mare". Gdy "Orestes" zmienił kurs, jacht uczynił to samo i płynął nadal równolegle, trzymając się ich lewej burty. Cekaem ze śródokręcia strzelał ciągle krótkimi seriami. Również karabin na dziobie ponownie otworzył ogień i oba koncentrowały się najwyraźniej na przednim pokładzie statku.

Po chwili zobaczył, dlaczego. Tozier ukrywał się za zniszczoną nadbudówką na dziobie, siedząc tam z wywiniętą do tyłu nogą. Była dziwnie wygięta w miejscu, gdzie nie ma żadnego stawu. Nawet z tej odległości Warren mógł stwierdzić, że jest złamana. Zobaczył, jak Dan Parker wybiega z drzwi nadbudówki, próbując dotrzeć do Toziera. Nie zrobił nawet

dwóch kroków, kiedy dosięgnęła go kula. Zatoczył się i runął na pokład. Leżał tam teraz, dając nikłe oznaki życia.

Dla Warrena tego było już za wiele. Wypadł z kryjówki i pobiegł na pokład, nie zważając na niebezpieczeństwo. W tej samej chwili od strony rufy rozległo się donośne wołanie:

- Okrażają nas, żeby zaatakować z prawej burty! Przeplyną nam przed dziobem. Bądźcie gotowi do odpalenia torped!

Warren usłyszał te słowa, ale nie pojął ich sensu, myśląc wyłącznie o tym, by dotrzeć do Parkera i Toziera. Uświadomił sobie jednak z ulgą, że ogień karabinów maszynowych ustał. "Stella del Mare" zaczęła zawracać przed dziobem "Orestesa" i strzelanina stała się bezcelowa. Dzięki temu zdołał dotrzeć do Parkera nawet nie draśnięty.

Pochylił się i chwyciwszy Dana pod pachy, wciągnął go do nadbudówki. Nie silił się na delikatność, nie mając ani chwili do stracenia, na szczęście jednak Parker był nieprzytomny. Potem wrócił po Toziera, który podniósł na niego wzrok, uśmiechnął się blade i stwierdził:

- Oberwałem w nogę.

- Możesz stanąć na drugiej - powiedział Warren i pomógł mu się podnieść.

- Na miłość boską! - krzyknął Metcalfe. - Niech ktoś wdrapie się na ten cholerny bom!

Warren obejrzał się niezdecydowanie, czując ciężar opierającego się na nim Toziera.

Zobaczył, że Abbot biegnie w kierunku bomu, znikając - podobnie jak wcześniej Tozier - za osłoną maszyny i pojawiając się w połowie wysokości bomu, na który wspinał się tak prędko, jakby gonił go diabeł.

Metcalfe miał z rufy doskonały widok. "Stella del Mare" przepływała im przed dziobem w odległości trzystu jardów. Kiedy Abbot pojawił się na bomie, karabiny maszynowe ponownie otworzyły ogień, bezlitośnie zasypując "Orestesa" gradem kul. Abbot nie próbował nawet korzystać z celownika. Z całej siły wdusił ręką przełączniki i w tej samej chwili przeszła go seria z cekaemu, pozostawiając na piersi krwawe ślady. Runął w tył, szeroko rozpostarłszy ręce i spadł na pokład z wysokości trzydziestu stóp.

Zaraz potem jacht, trafiony torpedami, zadrżał i stracił rozpęd, a kiedy w jego wnętrzu eksplodowało ponad trzysta pięćdziesiąt funtów trotylu, wyleciał w powietrze. Nie był to okręt wojenny, którego konstrukcja pozwala na przyjęcie takiego ciosu. Wybuch rozerwał go w kawałki. Śródokręcie uległo całkowitemu zniszczeniu i jacht rozpadł się na pół. Dziób zatonął po upływie paru sekund, a rufa szybko wypełniała się wodą.

Zanim pograżyła się w morskiej kipieli, wyskoczyło z niej kilka drobnych postaci. Metcalfe wyszczerzył zęby w ponurym uśmiechu. "Orestes" pruł fale, sunąc w kierunku unoszących się na morzu szczątków jachtu i Metcalfe zobaczył w wodzie białą twarz, długie jasne włosy i rękę, rozpaczliwie wzywającą pomocy.

Powoli i z największą starannością skrzył ster w taki sposób, by "Orestes" obrócił się rufą w kierunku Jeanette Delorme i powstający przy śrubie wir wciągnął ją w głębinę. Z nie mniejszą precyzją Metcalfe wyprowadził "Orestesa" na właściwy kurs, nie oglądając się na to, co mogło się wyłonić za statkiem.

VII

Metcalfe stał oparty o reling, spoglądając po raz drugi już tego dnia w przepastną lufę szybkostrzelnego działka. Wycelowano je w "Orestesa" z libańskiej łodzi patrolowej, która kołysała się spokojnie na falach o sto jardów od lewej burty statku, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przedtem znajdowała się "Stella del Mare". Wszystko wyglądało podobnie, tyle że silniki "Orestesa" zostały zatrzymane, spuszczone drabinkę, a w pobliżu cumowała niewielka motorówka z dwoma marynarzami i młodszym oficerem libańskiej marynarki.

- Niech mi pan pomoże, Tom - zawołał Warren.

Metcalfe odwrócił się i podszedł do miejsca, gdzie Warren bandażował Parkerowi ramię.

Pochylił się i przytrzymał opatrunek, aby doktor mógł go zawiązać.

- Jak się pan czuje? - zapytał.

- Nieźle - odparł Parker. - Mogło być gorzej. Nie mam powodów się skarżyć. Metcalfe przykucał i powiedział do Warrena:

- Ten cywil, który wszedł na pokład, nie wygląda mi na oficera marynarki.

- Nawet nie wiedziałem, że Liban ma flotę wojenną - stwierdził Warren.

- Bo nie ma. Jest tylko parę okrętów obrony wybrzeża. - Metcalfe wskazał na łódź patrolową. - Zwiewałem już tym chłopcom wiele razy. - Zmarszczył brwi. - Jak pan myśli, o czym Hellier tak długo z nim rozprawia? Dyskutują już chyba z godzinę.

- Skąd mam wiedzieć - odparł lakonicznie Warren. Jego myśli zaprzętały Mike Abbot i Ben Bryan - dwóch poległych z pięcioosobowej grupy. Czterdzieści procent strat to wysoka cena, a nie obejmowała ona jeszcze rannych, którzy stanowili drugie tyle. Tozier leżał w pobliżu z unieruchomioną nogą, rozmawiając z Folletem.

- Do cholery! Wyjaśnię ci to jeszcze raz - powiedział Follet, brzęcząc trzymanymi w rękach monetami.

- Dobra, wierzę ci - stwierdził Tozier. - Muszę, no nie? W końcu wyciągnąłeś ode mnie całą forszę. Sprytna sztuczka. - Spojrzał na przykryte brezentem ciało, leżące przy wejściu na statek. - Szkoda, że później się nie sprawdziła.

- Wiem, co masz na myśli, ale to było najlepsze wyjście - powiedział z uporem Follet. - Jak mówiłem, nie można zawsze wygrywać. - Podniósł wzrok. - Idzie do nas Hellier. Hellier przeszedł przez pokład, zmierzając w ich kierunku. Metcalfe podniósł się i zapytał, wskazując głową na czekającego przy relingu Hassana:

- Czy ten facet jest z marynarki?

- Nie - odparł Hellier. - To policjant.

- Co pan mu powiedział?

- Wszystko - stwierdził Hellier. - Całą historię. Metcalfe wydał policzki.

- No to wpadliśmy po uszy - zauważył. - Będziemy mieli szczęście, jeżeli na najbliższe dwadzieścia pięć lat nie wsadzą nas do paki. Był pan kiedyś w więzieniu na Bliskim Wschodzie, sir Robert?

Hellier uśmiechnął się:

- O pańskim handlu bronią wspomniałem dość mgliście. To go zresztą nie interesowało. Chce z nami porozmawiać.

Odwrócił się do Hassana, który podszedł do nich trzymając ręce w kieszeniach. Przyglądał się im przez chwilę z zaciśniętymi ustami i nagle powiedział:

- Nazywam się Jamil Hassan. Jestem oficerem policji. Zdaje się, że prowadzą panowie prywatną wojnę i to częściowo na terytorium Libanu. Jako oficer policji muszę uznać takie postępowanie za nielegalne. - Jego twarz stała się w tym momencie mniej surowa. - Jestem jednak bezsilny, gdyż obszar morza poza wodami terytorialnymi Libanu nie podlega mojej jurysdykcji. Więc co mam zrobić?

- Niech pan nam to powie, przyjacielu - powiedział z uśmiechem Metcalfe.

Hassan puścił tę uwagę mimo uszu.

- Oczywiście, jestem nie tylko oficerem policji, lecz również oby- watelem Libanu. Występując w tej roli pozwolę sobie podziękować panom za to, co panowie zrobili. Radziłbym jednak w przyszłości pozostawić podobne sprawy kompetentnym władzom. - Uśmiechnął się z przekąsem. - Fakt, że w tym przypadku nie okazały się szczególnie kompetentne. Tak czy inaczej, pozostaje odpowiedź na pytanie: co mam z panami zrobić?

- Mamy rannych - stwierdził Warren. - Potrzebują szpitalnej opieki. Mógłby ich pan zabrać tą swoją łodzią z powrotem do Bejrutu.

- Nie jest moja - poprawił go Hassan. - Pan nazywa się chyba Warren? - Gdy doktor skinął głową, Hassan ciągnął dalej: - Gdyby któryś z panów wrócił na tej łodzi do Bejrutu, trafiłby niechybnie do więzienia. W naszej niewielkiej flocie nie ma angielskiego zwyczaju przymykania oczu. Nie, panowie zostaną tutaj, a ja wrócę do Bejrutu, przyślę kogoś, żeby panów stąd zabrał i dyskretnie wysadził gdzieś na lądzie. Rozumieją panowie, że organizuję to wyłącznie jako prywatna osoba, a nie oficer policji.

Metcalfe odetchnął z wyraźną ulgą. Hassan obdarzył go ironicznym spojrzeniem i

powiedział:

- Kraje arabskie ściśle ze sobą współpracują i bardzo łatwo o ekstradycję. Mieliśmy doniesienia o międzynarodowym gangu, który grasuje na Bliskim Wschodzie, dokonuje zabójstw, korzysta z wojsko-wego sprzętu i - tu przeszył wzrokiem Metcalfe'a - podejmuje inne działania na szkodę państwa, zwłaszcza w Iraku. Biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, opuszczą panowie Liban możliwie szybko. Dostaną panowie w hotelu bilety lotnicze i skorzystają z nich. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

- A co z załogą? - zapytał Tozier. - Siedzi nadal w ładowni.

- Zwolnicie ich, zanim zejdziecie ze statku. - Hassan uśmiechnął się zdawkowo. - Jeżeli kiedykolwiek zawiną tu do portu, będą musieli odpowiedzieć na parę kłopotliwych pytań. W tej sytuacji nie przypuszczam, żebyśmy jeszcze ich zobaczyli.

- Dziękuję - powiedział Hellier. - Jesteśmy wdzięczni, że rozumie pan nasze położenie. Hassan skinął lekko głową i odwrócił się. W połowie drogi do zejścia zatrzymał się i zapytał jeszcze:

- Ile było tej heroiny?

- Dokładnie tysiąc kilogramów - odparł Parker. - Cała tona. Hassan pokiwał głową.

- Dziękuję, panowie. - Nieoczekiwanie uśmiechnął się i dodał: - Myślałem, że wiem już wszystko o przemyśle - ale torpedy!... - Pokręcił głową, a potem spowaźniał, widząc załonięte ciało Abbota. - Proponuję pochować tego dzielnego człowieka w morzu - powiedział i zszedł za burtę do oczekującej go motorówki.

- Cóż, Nick, już po wszystkim - odezwał się Tozier. - Szliśmy z nimi łeb w łeb, ale udało nam się wygrać.

Warren oparł się o pokrywę luku. Poczł się nagle bardzo zmęczony.

- Tak, udało nam się. Przynajmniej niektórym.

Tyle, że Ben Bryan nigdy nie zostanie panem na włościach, choć Warren zamierzał dopilnować, by Hellier dotrzymał obietnicy i zorganizował ośrodek leczenia narkomanów. Nigdy nie spotka już też u swoich drzwi Mike'a Abbota, polującego na sensacyjne nowinki ze świata narkotyków.

Popatrzył na Helliera - człowieka, który był żądny krwi. Miał nadzieję, że jest zadowolony. Czy ci ludzie nie zginęli na próżno? Pewna liczba osób, w większości Amerykanów, żyć będzie dłużej i zapewne szczęśliwiej, nie zdając sobie sprawy, że zawdzięcza dodatkowe lata życia czyjejs śmierci. A za rok albo dwa pojawi się kolejny Eastman albo następna Delorme i cały ten cholerny, brudny interes rozkręci się od nowa.

Warren zmrużył oczy od słońca. "Ale wtedy niech walczy już z nimi kto inny" - pomyślał. - "Zwykłego lekarza kosztuje to za dużo zdrowia."

KONIEC

* Aluzja do słynnej wypowiedzi Nikity Chruszczowa, który podczas przemówienia na forum ONZ zdjął z nogi but i waląc nim o mównicę krzyczał: - Pogrzebiemy was! Te słowa odebrano jako zapowiedź inwazji Rosjan na USA. (przyp. tłum.)

* Nazwa spółki South Sea jest w Wielkiej Brytanii synonimem bankructwa (przyp. tłum.)

* Mustafa al-Barzani (1899-1979) kurdyjski bojownik o niepodległość (przyp. tłum.)

